


H A N N A

# GREŃ

ŚMIERTELNA DAWKA

A person with long dark hair, seen from behind, stands on a dirt path in a rural landscape. In the background, there is a wooden house with a lit window, and rolling hills or mountains under a pale sky with a few birds flying. The overall tone is somber and atmospheric.

KŁAMSTWO TO TRUCIZNA,  
KTÓRA ZABIJA POWOLI



# ŚMIERTELNA DAWKA



H A N N A  
**GRÉŃ**  
ŚMIERTELNA DAWKA



Copyright © Hanna Greń, 2021

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktor inicjujący: Adrian Tomczyk

Redaktorka prowadząca: Agata Ługowska

Marketing i promocja: Anna Rychlicka-Karbowska

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Pawłowska, Anna Nowak

Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Pola i Daniel Rusiłowiczowie

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Fotografie na okładce:

© Yaroslav Shuraev | Pexels

© Daniel Chen | Unsplash

© Oleksandr Mazur | Shutterstock

Fotografia autorki na skrzydełku: Mateusz Sosna | Ogniskova.pl

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67054-01-0

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl



## Prolog

15 lutego 2020, Bystrzyca Wielka

To nie był dobry pomysł. Z każdym krokiem oddalającym ją od zabudowań Klaudyna Poloczek coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że pomysł był zły. Po prostu idiotyczny. Niestety zrozumiała to dopiero teraz, gdy znalazła się sama wśród okalających wioskę pól, w dodatku w kompletnych ciemnościach. Starła się iść szybko, lecz co rusz potykała się na nierównościach szutrowej drogi lub wpadała w kałuże, o których istnieniu dowiadywała się dopiero wtedy, gdy cienka warstwa lodu pękała z trzaskiem pod butami, a nogi zagłębiały się w zimnej brei.

*Czemu dałam się na to namówić? – wyrzucała sobie w myślach. Angela już pewnie wyleguje się pod kołdrą i nawet o mnie nie pomyśli. Jestem idiotką, przyznała w przypływie samokrytyki. Zawsze dam się wpuścić w maliny, a wszystko przez to, że nie umiem odmówić, kiedy ktoś prosi mnie o przystupę. A potem za to płacę.*

Tylko jak mogła powiedzieć „nie”, kiedy w przerażonych oczach przyjaciółki widziała nieme błaganie? Mimo to zawahała się, a wtedy te piękne niebieskie oczy wypełniły się łzami. Plecami Angeli wstrząsnął bezgłośny szloch i tego było już dla Klaudyny za wiele. Nie dość, że przystała na szalony plan umożliwiający zdemaskowanie prześladowcy, to jeszcze w którymś momencie pomysł zaczął jej się podobać.



Chichotały jak szalone, wyobrażając sobie konsternację i przerażenie stalkera, gdy ten dowie się, że znają jego tożsamość.

Pierwsza opamiętała się Angela. Zerknęła na zegar w telefonie i trąciła koleżankę w bok.

– Klaudia, już dziewiąta. On może za chwilę przyjść. Zrobisz to?

W jej oczach znów pojawił się lęk i Klaudyna z cichym westchnieniem wstała z wygodnego fotela, by po chwili opuścić pokój. Angela Mirska miała w nim wszystko, o czym tylko nastolatka mogła marzyć, lecz przyjaciółka jej nie zazdrościła. Wolała swój dość biednie urządzone kącik od tych luksusów, gdyż wiedziała, jaką cenę Mirska musi za nie płacić.

Ojciec Angeli od blisko dziesięciu lat przebywał w Belgii, gdzie zajmował bardzo wysokie stanowisko w jakimś koncernie. W Polsce nie pojawiał się wcale; córki także nie zapraszał, za to regularnie przekazywał na konta jej i żony kwoty, które przywykłej do skromnego kieszonkowego Klaudynie wydawały się ogromne.

Plotka głosiła, że Weronika Mirska wcale się nie przejęła wyjazdem męża. Piękna kobieta o wesołym usposobieniu nie narzekała na brak męskiej kompanii, a pełne potępienia uwagi sąsiadek zbywała lekceważącym uśmiechem. Od czasu do czasu wyjeżdżała do Belgii, by stać u boku męża na jakimś ważnym spotkaniu, po czym wracała obładowana zakupami i rzucała się w wir zabawy.

Dzieckiem nie przejmowała się prawie wcale. Najpierw opieka nad córką ją nużyła. Później, gdy Angela podrosła, stała się żywym dowodem na to, że matka nie jest tak młoda, za jaką chciałaby uchodzić, więc Weronika tym bardziej starała się z nią nie pokazywać. Zwłaszcza że dziewczyna piękniała z każdym dniem i mogła stanowić konkurencję.

Tym sposobem Angela całymi dniami przebywała w towarzystwie ciągle zmieniających się opiekunek. Pani Mirska bowiem, sama obojętna wobec latorośli, wychwytywała najmniejszy nawet objaw przywiązania dziewczynki do obcej kobiety i dusiła go w zarodku, odprawiając pracownicę. W tym domu wolno było uwielbiać tylko jedną osobę.

Kiedy córka stała się nastolatką, Weronika zrezygnowała z zatrudniania opiekunki, uznawszy to za zbędną fanaberię. Dziewczyna była już na tyle duża, by móc samodzielnie przyrządzać sobie śniadania i kolacje, a obiady i tak od dawna jadała w szkole. Drobne zakupy także mogła robić sama, a raz w tygodniu przychodziły siostry Klaja i wykonywały wszystkie niezbędne prace. Jedna sprzątała dom od strychu aż po piwnice, druga w tym czasie jechała do miasta, skąd wracała po kilku godzinach, a samochód aż się ugiął od zgromadzonych w nim zakupów. Po wyładowaniu wszystkich produktów wstawiała pranie i zabierała się do prasowania.

Angela rzadko widywała matkę i jak kiedyś wyznała Klaudynie, wcale nad tym faktem nie ubolewała. Nigdy nie zadzierzgnęła się między nimi bliższa więź, przez co dziewczyna miała dużo lepszy kontakt z siostrami Klaja niż z nią. A jednak kiedy zaczęła dostawać nieprzyzwoite SMS-y, właśnie do niej udała się po radę. Wydawało jej się to oczywiste; nieraz słyszała, że każda matka jest genetycznie uwarunkowana na chronienie swojego dziecka.

Weronika zbyła ją, tłumacząc SMS-y głupimi żartami, przez co rozżalona dziewczyna całkiem straciła do niej zaufanie. Dlatego gdy prześladowania zaczęły eskalować, nie wspomniała jej o tym nawet słowem. Zwierzyła się jedynie przyjaciółce i wspólnie zastanawiały się, jak powstrzymać upartego stalkera. Rozwiązanie problemu wydało się Klaudynie oczywiste, ale gdy Angela poszła za jej radą,

spotkało ją jedynie upokorzenie. Wówczas Mirska wymyśliła ten szalony plan.

Prześladowca pojawiał się pod domem Angeli nieregularnie, dlatego dziewczyny nie liczyły na natychmiastowy sukces. Tymczasem zaczajona za krzakiem ostrokrzewu Klaudyna już po niecałych pięciu minutach czekania zobaczyła ciemno odzianą postać przekradającą się na posesję Mirskich. Mężczyzna, raczej młody, wnioskując ze szczupłej sylwetki i sprężystych ruchów, przystanął za iglakiem rosnącym naprzeciwko okna sypialni Angeli. Najpierw przez chwilę manewrował telefonem, potem sięgnął do rozporoka, by za moment opuścić spodnie.

Był tak zajęty sobą, że nie zwrócił uwagi na dziewczynę skradającą się z aparatem fotograficznym w ręce. Wstrząsnęła się z obrzydzenia, słysząc jego głośnie jęki, wśród których rozróżniła słowa: „Jeszcze, Angela. Jeszcze. Tak mi dobrze. Dojdź ze mną. Teraz!”. Ostatecznie słowo Klaudyna potraktowała jako nakaz kierowany do siebie. Wycelowała aparat w masturbującego się mężczyznę i sekundę później ciemność rozjarzyła się błyskiem flesza. Stalker odruchowo odwrócił głowę i zastygł w bezruchu niczym zajęty na drodze schwyty w sidła świateł reflektorów, a Klaudyna natychmiast to wykorzystała. Flesz zdążył rozbłysnąć jeszcze trzykrotnie, zanim mężczyzna zdobył się na jakąś reakcję. Ze stłumionym okrzykiem skoczył w jej stronę... i runął jak długi, zaplątany we własne spodnie. Zanim udało mu się wstać, spanikowana dziewczyna była już na szutrówce prowadzącej w stronę lasu, chociaż plan zakładał, że ma zawrócić do domu przyjaciółki.

Przebiegła jeszcze kilkanaście metrów, nim pojęła, że nikt jej nie goni. Wtedy przystanąła i wystukała do Angeli krótkiego SMS-a: „Udało się. Wracam do domu”. Potem ruszyła w dalszą drogę.

Początkowo napędzał ją triumf, lecz w miarę jak zbliżała się do ściany drzew, narastał w niej strach. Mężczyzna pojawiał się zawsze po dwudziestej pierwszej, kiedy ruch w okolicy malał niemal do zera. Założyły, że jest przyjezdny, ale przecież mogły się mylić. A to oznaczało dużo większe niebezpieczeństwo, bo niewykluczone, że znał ten skrót.

– Czemu nie poradziłam się Mariusza? – jęknęła głośno.

Przystanęła, żeby poprawić spadający z ramienia pasek aparatu, zamarudziła, gmerając w torebce, wreszcie ruszyła przed siebie. Pocieszała się, że jeszcze tylko ten kawałek, gdzie droga się rozchodzi, i będzie bezpieczna. Jedna odnoga prowadziła do lasu, druga, znacznie szersza, w stronę zabudowań. Tam nikt nie ośmielił się jej zaatakować.

Znowu się potknęła. W akcie desperacji włączyła latarkę w komórce, tłumacząc sobie, że tamten mężczyzna na pewno jej nie ściga, a idąc w kompletnych ciemnościach, sama sobie wyrządzi krzywdę. Światło dodało jej otuchy, już nie czuła się tak całkiem opuszczona, zdana na łaskę i niełaskę nocnego mroku.

Nagle gdzieś niedaleko rozległ się szelest, jakby ktoś przedzierał się przez krzaki. *Ale tu nie ma żadnych krzaków*, przemknęło jej przez myśl. Szelest się powtórzył. Dochodził z prawej, narastał...

*To trawa!* – nagle uświadomiła sobie oczywistą prawdę, lecz zrozumienie przyszło za późno. Mężczyzna wykorzystał fakt, że trawa pokrywająca łąkę zwiędła i nie tamowała kroków, i przebiegł na przełaj, znacznie skracając sobie drogę. Był już tuż-tuż, jeszcze chwila, a ją dopadnie...

– Proszę, niech mnie pan nie bije! – Zwróciła ku niemu twarz wykrzywioną lękiem. – Oddam panu ten aparat...

– Dobrze – stwierdził krótko, mrukliwie, lecz i tak odniosła wrażenie, że gdzieś już słyszała ten głos.

Złapał jej rękę w żelazny uścisk i pociągnął w stronę lasu. Szła bezwolna, nie próbując się wyrywać. Wiedziała, co ją czeka, wiedziała też, że nie ma szans się obronić. Był zbyt silny.

Na skraju lasu przystanął i kazał jej usiąść pod drzewem, sam zaś wziął aparat, wyjął z niego kartę i złamał w palcach. Szczątki schował do kieszeni i pochylił się nad Klaudyną. Przymknęła powieki.

– Nie zgwałcę cię, jeśli tego się boisz. Nie podniecasz mnie. Nie jesteś nią. – Niespodziewanym ruchem podciągnął jej rękaw kurtki, pozostawiając na nim brudne ślady palców. – Spokojnie. Nie szarp się, wcale nie będzie bolało. To tylko zastrzyk. Zaraz zaśniesz, a kiedy się obudzisz, po mnie nie będzie już ani śladu. Rozumiesz?

Skinęła głową. Później poczuła ukłucie w zgięciu łokcia, a po chwili świat wokół niej zawirował. Zasnęła, lecz nie był to zwykły sen.



# Rozdział 1

## Nóż w sercu

16 lutego 2020, Bystrzyca Wielka

– Cholerny rzęch!

Marek Krzyżanowski trzasnął drzwiami leciwego pojazdu tak mocno, że aż echo poniosło, a u sąsiadów przebudzony ze snu pies zaniósł się ochrypłym jazgotem. Mężczyzna pogroził mu pięścią, lecz kundel niespecjalnie się tym przejął, podobnie jak samochód, który w żaden sposób nie zareagował na wyzwiska zaserwowane mu przez właściciela po kolejnej bezowocnej próbie uruchomienia. Silnik nie zaskoczył, pies nadal czekał, a człowiek spoglądał bezradnie na bezużyteczne auto, nie wiedząc, co mógłby jeszcze zrobić.

Przez głowę przeleciała mu myśl, by poprosić żonę, by użyczyła mu swojego samochodu, zaraz jednak zrezygnował z tego pomysłu. Żona, a właściwie już była żona, i tak zrobiła dla niego więcej, niż mógłby oczekiwać, i duma nie pozwalała mu na zwrócenie się do niej z kolejną prośbą. Żaden mający bodaj odrobinę honoru mężczyzna nie powinien okazywać, że nie umie poradzić sobie sam, a już na pewno nie wtedy, gdy wina za rozpad małżeństwa leży po jego stronie.

Mężczyzna ruszył wolno w stronę przystanku autobusowego, po chwili jednak uświadomił sobie, że w tym tempie nie ma najmniejszych szans na dotarcie tam na czas. Czym prędzej przyspieszył kroku i skręcił w boczną drogę wiodącą w stronę lasu. Mniej więcej w jej połowie znajdowała się przecinająca

łąkę ścieżka, wydeptana butami młodzieży z uporem używającej tego skrótów mimo sprzeciwów właściciela gruntu.

Dojście do niej nie zajęło mu dużo czasu. Ominął częściowo zamarznąłą kałużę, lecz nagle się zatrzymał. Do zaaferowanego problemami z samochodem Krzyżanowskiego dopiero teraz dotarła informacja przekazana przez oczy, toteż czym prędzej się odwrócił i ponownie spojrzął w tamtym kierunku. Nie, wzrok go nie mylił. Czerwona plama na skraju lasu, ostro kontrastująca z bielą zalegającego tam śniegu, nie mogła być niczym innym, jak kurtką okrywającą ciało człowieka.

Marek nie wahał się ani sekundy. Zawrócił i szybko poszedł w tamtą stronę. Praca pracą, ale tam leżał ktoś, kto z pewnością potrzebował pomocy. Nikt przecież nie będzie dobrowolnie wylegiwać się na śniegu w zimie, w dodatku o szóstej rano. Co prawda jak na tę porę roku było wyjątkowo ciepło, nadal jednak w nocy temperatura spadała poniżej zera.

Po przejściu jakichś piętnastu metrów mógł już stwierdzić, że leżący ma na sobie niebieskie spodnie, a po kilku następnych dostrzegł długie jasne włosy rozsypane wokół głowy. Jego wzrok zarejestrował również częściowo schowaną pod ciałem bordową torebkę i wystającą spod niej rękawiczkę, ale Krzyżanowski nie poświęcił tej informacji żadnej myśli. Wystarczyło mu to, co zobaczył wcześniej. Wiedział już, kto leży na śniegu.

Ostatnie metry przebiegł, chociaż w głębi duszy był przekonany, że pośpiech nie ma żadnego sensu. Na kurtce dostrzegł cienką warstwę białego puchu, a dobrze wiedział, że przez ponad godzinę nie spadł ani jeden śnieżny płatek. Mogło to oznaczać tylko jedno – Klaudyna Poloczek nie żyje.

Zatrzymał się w odległości półtora metra od dziewczyny i spojrzął uważnie. Leżała na boku z twarzą wbity w śnieg, lecz gdy kucnął, dostrzegł biało szeroko otwartego oka.



Żrenica była dla niego niewidoczna, prawdopodobnie w chwili upadku dziewczyna patrzyła przed siebie, nie miało to jednak większego znaczenia. Żywy człowiek nie wgapia się tak długo nawet w najbardziej interesujący obiekt.

Mężczyzna wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił na komisariat. Jakiś czas trwało, nim dyżurny po zadaniu wielu pytań polecił mu pozostać na miejscu i poczekać na przyjazd radiowozu. Marek ani myślał się dostosować do pierwszego nakazu. Miałby stać nad ciałem jak żywy pomnik? Nie ma mowy!

Ruszył w prawo, gdzie w odległości około pięciu metrów leżało zwalone przez wichurę drzewo. Oczyszczył ze zlodowaciałego śniegu fragment pnia i usiadł, naciągnąwszy uprzednio kurtkę tak, by prócz pośladków zakryła także fragment ud, osłaniając je przed dotykiem zimnego drewna.

Wyjął z kieszeni pudełko papierosów, zapalił, po czym ponownie wyjął telefon i zadzwonił do zakładu pracy, by donieść szefowi, że raczej nie powinni dzisiaj się go spodziewać. Z oglądanych często seriali kryminalnych wiedział, że trochę potrwa, nim policja pozwoli mu odejść. Wcale zresztą mu na tym nie zależało. Wolałby zostać tutaj nawet do wieczora, gdyby to gwarantowało uzyskanie informacji, w jaki sposób Klaudyna zmarła i czy przypadkiem nie było to morderstwo.

Marek Krzyżanowski nie był złym człowiekiem, co nie oznaczało, że nie ma żadnych wad. Nie grzeszył punktualnością, lubił upierać się przy swoim zdaniu nawet wtedy, gdy nie miał racji, w trakcie trwania małżeństwa kilkakrotnie zdarzyły mu się skoki w bok, no i był ponad miarę ciekawski. Dlatego postanowił zrobić wszystko, by się dowiedzieć, dlaczego Klaudyna Poloczek znalazła śmierć na skraju lasu.

\*

Policjanci pojawili się pół godziny później. Znał ich wszystkich, toteż śmiało podszedł do szczupłego, niewysokiego mężczyzny.

– Panie komendancie – odezwał się cicho – to Klaudyna. Córka tej Poloczkowej, co sprząta w gminie...

Wysoki, przystojny sierżant przerwał mu szarpnięciem za ramię.

– Co powiedziałaś? To Klaudyna? O kurwa!

Zrobił ruch, jakby miał zamiar złapać się za głowę. Jego wzburzenie było tak wyraźne, że stało się oczywiste, iż denatka nie jest dla niego obcą osobą.

– Coś cię z nią łączyło? – zapytał go komendant. – Przecież to smarkula. Była w ogóle pełnoletnia? Gabriel! Słuchasz mnie?

– Przepraszam. – Funkcjonariusz potrząsnął głową jak człowiek pragnący wydobyć się z otępienia wywołanego koszmarnym snem. – Nie mogę uwierzyć, że to ona.

– Pytałem, co cię z nią łączyło – powtórzył przełożony już ostrzej. – Czekam na odpowiedź.

– Z nią nic – oparł przygnębiony sierżant. – Jestem zaręczony z jej siostrą.

Wyminął komendanta i zrobił kilka kroków w stronę leżącej dziewczyny, nie podszedł jednak całkiem blisko. Zatrzymał się w pewnym oddaleniu i stamtąd przyglądał się miejscu zbrodni. Nazwał je w ten sposób, gdyż był pewien, że Klaudyna nie zmarła śmiercią naturalną. Miała dopiero osiemnaście lat i cieszyła się doskonałym zdrowiem.

– Może to korona? – doszedł go głos posterunkowego Zielińskiego.

– Idiota – mruknął pod nosem, zastanawiając się, po co nadkomisarz Skorek trzyma na komisariacie tego głąba. Korona! Też coś. Wczoraj dziewczyna była całkiem zdrowa

i nagle tak się rozchorowała, że w ciągu kilku godzin zmarła?  
I poszła umrzeć do lasu, żeby nie robić bliskim kłopotu?

– Tokarz! Chodź tutaj.

Niechętnie usłuchał wezwania aspiranta Klonowicza, od pewnego czasu rządzącego się tak, jakby to on, a nie nadkomisarz Skorek był komendantem komisariatu. Klonowicz stał w towarzystwie Skorka i aspiranta sztabowego Ścieszki i zawzięcie z nimi dyskutował.

– Słucham?

– Doszliśmy do wniosku, że jesteś z denatką zbyt mocno związany emocjonalnie. Wracaj na komisariat – polecił komendant. – Bez dyskusji – dodał, gdy sierżant zaczął protestować. – Idź powiadomić rodzinę. Znasz ich, więc będzie ci łatwiej.

Tokarz przełknął soczystą kurwę, odwrócił się i jeszcze raz popatrzył na martwą dziewczynę. Potem przesunął wzrok na leżącą obok ciała torebkę i wystającą spod niej czarną rękawiczkę i wolno ruszył w stronę radiowozu.

– Będzie ci łatwiej – powtórzył cicho. – Akurat!

15 kwietnia 2020, Strzygom

Nadkomisarz Szymon Ogiński zdziwionym spojrzeniem ogarnął leżące na kuchennym stole noże. Było ich mnóstwo, różnego rodzaju, kształtu i wielkości, a Medard Ratier właśnie wziął do ręki jeden z nich i uważnie przyglądał się ostrzu.

– Cześć, Ratio. Szykujesz się na front?

Chłopak uniósł głowę, a zobaczywszy gościa, wykrzywił twarz w grymasie udawanego gniewu.

– Siema, Ogi. Nie słyszałeś o takim wynalazku jak dzwonek? Tylko burak wchodzi bez zaproszenia.

Odłożył nóż, zacisnął prawą dłoń w pięść i wziął zamach, po czym opuścił ją łagodnie i podstawił do żółwika.

Po przywitaniu Ogiński przysunął sobie krzesło, usiadł i spytał z nieskrywanym zaciekawieniem:

– Po co ci te wszystkie noże? Jeżeli masz zamiar wypowiedzieć strzygomianom wojnę, lepszy byłby nebelwerfer.

Ratio zmarszczył brwi w zastanowieniu, lecz prawie natychmiast się rozpozodził.

– Nebelwerfer? Z tego, co pamiętam, to taki moździerz z drugiej wojny światowej. A nie lepsza byłaby maczuga? Chłopie, gdzieś ci uciekło osiemdziesiąt lat. Poza tym mieszkańcy Strzygomia to twardy ludek, na nich trzeba prawdziwej wunderwaffe czy jakiejś supermocy. Chociaż i tak uważam, że takiej Mirabelki nie pokonałoby nawet wystrzelenie z oczu strumieni ognia.

Wstał i zakrzętnął się przy ekspresie, cały czas przemawiając do policjanta w swój zwykły, nieco kpiący sposób. Polubił nadkomisarza, choć pół roku temu nie uwierzyłby, gdyby ktoś mu powiedział, że zaprzyjaźni się z jeszcze jakimś policjantem. Dotychczas jedynie Diona zyskała sobie jego zaufanie, przyjaźń i bezwarunkową lojalność, ale też nikt w całym życiu nie zrobił dla niego tyle, co ona.

Postawił przed Szymonem kubek kawy, usiadł i ponownie wziął do ręki wielki nóż. Obejrzał ostrze pod światło, skrzywił się i sięgnął po osełkę. W pomieszczeniu rozległ się rytmiczny, zgrzytliwy odgłos.

Ogiński popatrzył z wyrzutem i zatkał uszy rękami.

– Musisz teraz? Zęby mi drętwieją od tego bruszenia. Diona jeszcze nie wróciła?

Medard westchnął demonstracyjnie i odłożył osełkę.

– Dzisiaj będzie trochę później. Garrett prosił ją, żeby została po pracy, mają omawiać jakąś strategię. Czyżbyś się stęsknił?

Bo dawno cię tu nie widziałem.

Zerknął ciekawie na policjanta. Szymon przesunął kubek na skraj stołu i oparł łokieć prawej ręki na blacie. Lewą wybrał jeden ze średniej wielkości noży, zważył go w dłoni i nagle bez ostrzeżenia wziął zamach, a gdy kompletnie zaskoczony Ratio się odwrócił, zobaczył tylko lekko drgającą rękojeść. Nieruchome ostrze tkwiło w samym środku serca wytłoczonego na zwisającej z relingu desce do krojenia.

– Zgadłeś – przyznał Ogiński. – Byłem na szkoleniu w Szczytnie i cholernie się stęskniłem. Ale jeżeli jej o tym powiesz, znowu rzucę nożem. Tylko wtedy celem nie będzie deska.

Ratier popatrzył na niego z niedowierzaniem, potem parsknął śmiechem.

– Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz. Inna sprawa, że kurewsko pięknie to zrobiłeś. Szacun! Gdzie się nauczyłeś tak miotać? Słyszałem o jednym gostku, który też tak umiał, ale on robił poza prawem. Miał ksywę Kojot.

Szymon wykazał umiarkowane zaciekawienie.

– Tak? Jakoś mi się nie obilo o uszy.

– Bo pewnie ktoś go wyłączył albo siedzi w pierdłu. Albo poszedł na złodziejską emeryturę. Teraz już jest stary, ma chyba ze trzydzieści pięć... – Ratio urwał i spojrzał na gościa ze skruchą. – Chodziło mi o to, że jest za stary do tej roboty, nie ogólnie.

Dobijający do trzydziestu pięciu lat nadkomisarz prychnął, rozbawiony nieudolną próbą zamaskowania niezręczności.

– Dyplomatą to ty nie masz szans zostać. Ale nie przejmuj się, wcale nie czuję się zraniony do głębi. O której Diona wróci? Bo nie wiem, czy poczekać.

– A czekaj sobie – zezwolił łaskawie Ratier, który prędzej dałby sobie odciąć rękę, niż przyznał, że rozmowa z policjantem sprawia mu przyjemność. – Jakoś to zniosę.

Ogiński dopił kawę, przepłukał kubek i postawił na ociekacz. Potem podniósł pokrywkę jednego ze stojących na piecu garnków i głęboko wciągnął nosem powietrze. Intensywny aromat rosółu natychmiast podrażnił mu kubki smakowe, a w pustym żołądku głośno zaburczało.

– Mogę odrobinę? – spytał niemal błagalnie.

Ratio skinął głową, zaraz jednak zaprzeczył temu gestowi, odpowiadając burkliwie:

– Trzeba było nazreć się w domu. Nie prowadzę jadłodajni jak Mirabelka.

– Nie mogłem, bo przyjechałem tu prosto z drogi – odpowiedział Szymon i z żalem odłożył talerz, który zdążył już wziąć do ręki. – Zresztą w domu nie mam nawet chleba. Nie byłem tam od ponad tygodnia.

– Żona nie mogła zrobić zakupów?

– Jaka żona? – zdumiał się policjant. – Nigdy nie byłem nawet zaręczony, a co dopiero żonaty. Zgłupiałeś, Medard?

Chłopak wyraźnie się zmieszał; umknął wzrokiem w bok i zabębnił palcami po stole, co w jego przypadku oznaczało konsternację lub zażenowanie. Lub jedno i drugie równocześnie. Ogiński przyjrzał mu się z namysłem, usiłując zrozumieć jego dziwaczne zachowanie. Nagle go olśniło.

– Chodzi ci o Dionę, prawda? Sprawdzasz mnie, bo nie chcesz, żeby wpakowała się na minę. A to oznacza, że ona też... Dzięki, chłopaku.

Ratio przestał wpatrywać się w swoje palce i zerknął niepewnie na nadkomisarza. Na widok jego zadowolonej miny odpowiedział uśmiechem.

– Nie wiem na pewno, czy ona... Ale jakoś często o tobie mówi, a kiedy dzwonisz, ma taką minę jak pijak na widok flaszki.

– Piękne porównanie, takie subtelne.

Jak zwykle w rozmowie z Ratiem Szymon przybrał lekko ironiczny ton, lecz podchodząc do stołu, położył na chwilę rękę na ramieniu podopiecznego Diony, okazując w ten sposób sympatię. Chłopak znów na niego spojrzał, wstał i podał mu talerz.

– Trzymaj. Tę zupę trzeba najpierw podgrzać. Tylko zboczeniec je zimny rosół. Ile to już trwa? Od twojego przyjazdu do Jasienia czy dłużej?

Ogiński nie miał problemu z rozszyfrowaniem odpowiedzi, choć Ratier nie zrobił żadnego odstępów między stwierdzeniem a pytaniami. Gdyby te ostatnie zadał ktoś inny, policjant bez zastanowienia powiedziałby mu w dosadnych słowach, co myśli o podobnym wścibstwie. Medarda natomiast traktował jak młodszego brata Dionizy, uznał więc, że chłopak zasługuje na szczerść.

– Od końca lipca. Wpadłem tu kiedyś późnym wieczorem, żeby się pokajać, a ona miała na sobie pełno zielonych królików. Wobec takiego widoku każdy facet byłby bezradny.

Ratio wspomniał ulubioną pizamę Diony, z zielonymi króliczkami na jadowicie żółtym tle, i nie zdołał zachować powagi. Zaraz jednak się opanował.

– Od lipca?! Człowieku, przecież jest połowa kwietnia. Dziewięć miesięcy się zastanawiasz, jak zagadać?

Szymon dopiero teraz uprzytomnił sobie, że rzeczywiście minęły już trzy kwartały. Westchnął.

– To nie takie proste. Przedtem powinienem jej opowiedzieć o sobie, a nie mam odwagi – powiedział szczerze. – Nie tylko ty masz ciemne plamy na życiorysie.

W oczach chłopaka błysnęła ciekawość, lecz Ratier o nic nie zapytał. Przeniósł garnek z gorącym rosółem na stół, podał miskę z makaronem, a gdy Ogiński zaczął jeść, rzucił pozornie bez związku:

– Diona nie jest bez wad.

– Nikt nie jest – usłyszał w odpowiedzi. – I co z tego?

– Jest cholernie uparta – ciągnął Ratio, jakby tamte słowa nie padły. – Jest też niecierpliwa i kieruje się impulsami. Łatwo ją wkurzyć, a wtedy potrafi zbluzgać od ostatnich. Ale nie umie pielęgnować urazy i ma dużo zrozumienia dla ludzkich błędów.

Szymon jadł w milczeniu; żadne słowa nie były tu potrzebne. Zresztą oceniał dziewczynę podobnie i jego przeszłość wcale nie była głównym powodem powściągliwości. Jednak o drugiej przyczynie nie zamierzał nikomu mówić. To mógł wyznać tylko Dionizie.

Uprzątnął po posiłku, zaparzył dwie herbaty i popatrzył na zgromadzony na rogu stołu arsenał. Potem wziął na ręce domagającego się pieszczot kocurka i wtulił twarz w lśniące, miękkie futerko.

– Po cholere ci te noże? – wrócił do początku rozmowy. – Planujesz zostać seryjnym mordercą?

– Mniej więcej – odparł Ratio z tajemniczą miną. – Wymyśliłem do gry postać, która miota nożami, ale brakuje mi wiedzy praktycznej. Na przykład nie wiem, czy do tego celu potrzebny jest jakiś specjalny egzemplarz, czy można rzucić każdym.

Podłożył się idealnie, a Ogiński nie zwykł marnować okazji.

– Rzucić możesz nawet nożem piłką. Zakazu nie ma. Chyba że chcesz go w coś wbić.

– Ogi! Wiesz, o co mi chodziło.

– Dobra, nie spinaj się tak. Rzucić do celu możesz wszystkim, co jest ostre na tyle, że się wbije. Może to być duży gwóźdź, śledź od namiotu czy nawet pilnik ze szpicem. – Szymon ponownie spojrzął na róg stołu. – Każdy z nich się nada. Kształt czy ciężar ma znaczenie o tyle, że przy stałej odległości musisz użyć różnej siły. Mogę cię nauczyć, ale to nie



dzisiaj. Po ciemku gówny z tego wyjdzie, a nie chcemy Dionie zdemolować kuchni.

– Lepiej zróbcie Dionie kawy – rozległ się od drzwi głos gospodyni.

Zaafelowani omawianym tematem nie zauważyli jej powrotu. Szymon wstał, żeby się przywitać, a potem wzruszył ramionami na widok grymasu politowania, jakim Ratio przyjął ich konwencjonalny uścisk dłoni. Bardziej zmartwił go cień zawodu w oczach dziewczyny, ale chwilowo nie mógł nic na to poradzić.

– Przyjechałem tu prosto ze szkolenia – powiedział, jakby to mogło usprawiedliwić jego powściągliwość. – Mam pilną sprawę, a nie chciałem omawiać jej przez telefon, bo najpierw jechałem z innym policjantami, a od Żywca była na drodze taka mgła, że wolałem się nie rozpraszać.

– Okej, rozumiem. – Ton Diony stał się oficjalny. – Co to za sprawa?

– Robota dla detektywa. Niestety nie u nas, tylko w Bystrzycy Wielkiej.

Remańska skrzywiła się lekko.

– Niby niedaleko, ale z godzinę trzeba jechać, a ja teraz nie dostanę urlopu. Co trzeba zrobić?

Ogiński sięgnął do kieszeni koszuli i wydobył złożoną na czworo kartkę zapisaną gęsto drobnym pismem.

– W lutym znaleziono tam zwłoki jednej z mieszkanek. Klaudyna Poloczek, uczennica liceum, lat osiemnaście. Przedawkowała kompot.

Diona odebrała od Ratiera kubek z kawą, lecz nie upiła ani łyka. Odstawiła naczynie i odchyliła plecy na oparcie krzesła.

– Dalej biorą to świństwo? Myślałam, że teraz modniejsza jest amfa.

– Może i modniejsza, ale droższa, a ludzie mają coraz mniej pieniędzy. – Szymon niespodziewanie zaklął i zwarł dłonie

w pięści. – Możecie mnie nazwać idiotą, bo ja naprawdę wierzyłem w dobrą zmianę. A potem usiłowałem usprawiedliwiać każde ich działanie, dorabiałem wyższą ideologię, tłumaczyłem sobie racją stanu... Dopiero pandemia otworzyła mi oczy i zobaczyłem, że ojczyzna znaczy dla nich tyle, ile mogą się dzięki niej nachapać.

– Spoko – mruknął Ratier. – Przekonania polityczne są jak dupa. Każdy ma swoją i nikomu nic do tego.

– Wiem, że im wierzyłeś – dorzuciła Diona i pogłaskała kota łaszącego się do jej nóg. – Ratio dobrze powiedział. To był twój wybór. Powiedz lepiej, co z tą dziewczyną. Chodzi o poszukanie dilera? W takim razie mogę poddać się już teraz, bo nie wierzę w powodzenie.

– Tyle to i ja wiem – burknął Ogiński. – Chodzi o zupełnie coś innego.

Z opowieści Szymona wynikało, że Klaudyna Poloczek niczym szczególnym się nie wyróżniała. Przeciętnej urody i inteligencji, była raczej lubiana przez rówieśników, choć nie należała do żadnej paczki. Według rodziców nie miała chłopaka, nie była też zamieszana w żadną uczniowską aferę mogącą być przyczyną celowego przedawkowania.

– Rozumiem – mruknęła Dioniza po wysłuchaniu tej krótkiej charakterystyki. – Ale może zacznij od początku. Kto chce zlecić tę robotę? Rodzice?

– Rodzice nie mają zbyt wielu pieniędzy. Płatnikami będą siostra i jej narzeczony. To policjant. Sierżant Gabriel Tokarz służy w tamtejszym komisariacie i w razie czego dyskretnie pomoże.

– W takim razie nie rozumiem. Dlaczego sam się tym nie zajmie?

Nadkomisarz już otwierał usta, lecz Ratier nie dopuścił go do głosu. Wylał zimną kawę i kategorycznym tonem oznajmił, że jeśli Diona natychmiast nie zabierze się do jedzenia, on

przestanie zajmować się przyrządzaniem posiłków. Na takie dictum dziewczyna nie znalazła kontrargumentu, tym bardziej że coraz bardziej ssało ją w żołądku.

Po posiłku zaproponowała, by przenieśli się do pokoju, lecz żaden z mężczyzn nie wyraził ochoty na zmianę lokalizacji. Ratio wyjaśnił, że jest zajęty robieniem świeżej kawy, a Szymon wskazał na swoje ramię, gdzie umościł się czarny kot noszący imię Uszek – miano to zawdzięczał białym koniuszkom uszu.

Diona także lubiła przesiadywać w kuchni, toteż nie zamierzała się z nimi wyklócać. Rozsiadła się wygodnie i poprosiła Szymona, by kontynuował. Ten pogłaskał kota i podjął opowieść.

– W torebce Poloczek ujawniono list pożegnalny, w którym dziewczyna informuje, że nie chce żyć, bo jej ukochany znalazł sobie inną dziewczynę. W dodatku dawka zaaplikowanego narkotyku była tak wielka, że praktycznie można wykluczyć pomyłkę. Te przesłanki sprawiły, że zgon zakwalifikowano jako samobójstwo.

– On się z tym nie zgadza? Ten Tokarz?

– No właśnie. Naraził się nawet komendantowi, bo upierał się przy zabójstwie i chciał, żeby śledztwo było kontynuowane.

Remańska sięgnęła po kubek, upiła kilka łyków i zapatrzyła się niewidzącym wzrokiem w jakiś punkt pomiędzy Ogińskim a boczną ścianą, sprawiając wrażenie kogoś, kto przebywa w alternatywnej rzeczywistości. Naraz drgnęła i spojrzała całkiem przytomnie.

– Jak na razie nie widzę żadnych uchybień. Ale jeśli twój kolega nie zgadza się z ustaleniami, coś musi być na rzeczy. Jednak chłopak? Zawód miłosny? Może kłopoty w szkole? – rozmyślała głośno. – Rodzice niekoniecznie musieli wiedzieć o wszystkim, ale koleżanki już tak, więc raczej nie o to chodzi.

Hm, jedyne, co mi przychodzi na myśl, to jakiś problem z listem pożegnalnym.

Nadkomisarz uniósł kciuk w wyrazie uznania.

– Trafiałaś. Naprawdę jesteś dobra – pochwalił i opowiedział o tym, co zaniepokoiło sierżanta.

List nie był napisany odręcznie, tylko wydrukowany, a jak Tokarz dobrze wiedział, Poloczkowie mieli wtedy zepsuta drukarkę. Musiałyby wydrukować to w szkole lub u kogoś znajomego, ale bezpośrednio przed śmiercią nie odwiedzała nikogo oprócz najbliższej koleżanki. Angela Mirska jednak stanowczo zaprzeczyła, by Klaudyna prosiła ją o udostępnienie sprzętu, z kolei w szkole akurat nie mieli zajęć wymagających uruchomienia drukarki. Z tego wniosek, że napisała list wcześniej.

Diona pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Czyli co? Tak z nim chodziła i czekała sposobnej chwili? Nieprawdopodobne. Jeśli faktycznie chłopak ją zdradził, to powinna była zabić się od razu, a nie czekać na Bóg wie co. Podpis też był wydrukowany?

– Też. Zero ręcznego pisma, a ona podobno nie zaliczała się do tych, co wszystko robią przy użyciu komputera. W dodatku podpisała go „Klaudia”, a nikt z rodziny ani sąsiadów tak jej nie nazywał. Dla nich zawsze była Klaudyną.

– Skąd w takim razie ta Klaudia?

– Tak ją nazywali w ogólniaku. Może jeszcze jacyś znajomi z Żywca, ale rodzina niestety nie ma pojęcia, kto by to mógł być i czy w ogóle istnieli jacyś pozaszkolni znajomi.

Dziewczyna wzięła do ręki łyżeczkę po kawie i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, rysowała nią po czole jakieś znaki. Pozostał po nich brązowy ślad.

– Nie sądzę, żeby to się mogło udać – powiedziała nagle i ze zdumieniem popatrzyła na trzymany w dłoni przedmiot. Odłożyła łyżeczkę i dokończyła: – Niby jak miałabym obejść

zakaz przemieszczania się? Przecież tamtejsi policjanci od razu mnie przyuwają i na pewno nie będą zadowoleni, że podaję w wątpliwość ich ustalenia. Nie mam na zbyciu trzydziestu tysięcy. Chyba że twój kolega da mi forszę na mandat.

Policjant usiłował jej przerwać, lecz nie dopuściła go do głosu. Za to teraz, gdy zakończyła swą przemowę, mógł zwrócić jej uwagę na ewidentny błąd w założeniach.

– Diona, czy ty nie oglądasz żadnych wiadomości?

– Nie oglądam – przyznała z uśmiechem. – W dodatku nie czytam i nie słucham. Nie mam zdrowia do tych bredni.

– Błąd – wytknął jej Ratio. – Przez to nie jesteś na bieżąco. Od poniedziałku zakaz przemieszczania się przestanie obowiązywać.

Ogiński z zadowoleniem zauważył w jej oczach znajomy błysk, świadczący o zainteresowaniu, i zyskał pewność, że Gabriel Tokarz dostanie odpowiedź pozytywną. Diona połknęła haczyk.



## Rozdział 2

### Zaproszenie czy wezwanie?

19–21 maja 2020, Bystrzyca Wielka

Robert Gredtke z ciekawością przyglądał się zabudowaniom wioski, wielkością oraz liczebnością mieszkańców znacznie przewyższającej odwiedzonego nie tak dawno temu Jasień, który miał status miasta. Wieś nosiła nazwę Bystrzyca Wielka, co zainteresowało go o tyle, że chociaż dokładnie prześledził googlowską mapę, powiększając ją przy tym do granic możliwości, nie znalazł Bystrzycy Małej. Dopiero kilka dni później dowiedział się, że okoliczna ludność nazywa tak osadę liczącą sobie pięć domów, wchodzącą w skład innej miejscowości.

Przejechał wolno główną drogą i zatrzymał się przed gospodą noszącą wdzięczną nazwę „Pod Muchomorkiem”. Miał zamiar się tu stołować i pomyślał, że dobrze by było, żeby to miano nie pozostawało w związku z serwowanymi potrawami.

Lokal miał całkiem przyjemne wnętrze, stojący za barem młody człowiek był sympatyczny, kelnerka uprzejma, a pieczeń została przyrządzona doskonale. Po skończonym posiłku Robert zamówił colę, choć miał wielką ochotę na piwo. Na razie jednak nie mógł sobie na to pozwolić, znalazł za to pretekst do zagajenia rozmowy i wykorzystał go skwapliwie, gdy dziewczyna postawiła przed nim szklankę z ciemnym płynem i wydającymi syczące dźwięki kostkami lodu.

– Dziękuję. Co prawda wolałbym piwo, ale muszę poszukać noclegu. Jest tu może jakiś hotel?

Dziewczyna uważnie przyjrzała się gościowi. Nie gustowała w starszych panach, ale musiała przyznać, że ten mężczyzna miał w sobie coś ujmującego. Młodzieńczy błysk w niebieskoszarych oczach i brązowe włosy nierozjaśnione ani jedną srebrną nitką kontrastowały z twarzą, na której czas wyrył wokół ust głębokie bruzdy.

– Hotel to chyba najbliżej w Jeleśni – odpowiedziała, a gdy dostrzegła cień zawodu na dyskretnie obserwowanym obliczu, dodała niepewnie: – Nie jestem stąd i nie mogę panu pomóc. Ale może Rafał...?

Przywołany gestem młody człowiek opuścił swoje stanowisko za barem i z uwagą wysłuchał Gredtkego. Nie potrzebował czasu do namysłu.

– W Pewli jest ośrodek SPA...

Robert nie wiedział, czy się roześmiać, czy oburzyć.

– Naprawdę wziął mnie pan za amatora zabiegów odmładzających? Wolałbym coś bardziej zwyczajnego, najlepiej w Bystrzycy.

Barman podał jednemu z klientów puszkę mirindy, skasował należność i odpowiedział po namyśle:

– Jeśli panu zależy, żeby tutaj, to Trzciankowie wynajmują pokoje. Tylko że tam nie ma takich wygód jak w hotelu.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto nie może się obejść bez wygód? – spytał z rozbawieniem Gredtke.

– Mogę zadzwonić i zapytać, czy mają wolny pokój. Ale myślę, że tak, bo przez tego sakramenckiego wirusa dużo osób odwołało rezerwacje.

Robert podziękował za informację i poprosił o adres Trzcianków. Tak czy owak, musiał się stąd ruszyć, niezależnie od tego, czy znajdzie nocleg, czy nie. Uregulował zaskakująco niski rachunek, schował do kieszeni kartkę ze wskazówkami



i wyszedł z lokalu. Barman adresu mu nie podał, kelnerka także nie, a on wcale się temu nie dziwił. Zapytany o któregoś z mieszkańców Świercznicy też miałby podobny problem, co oni. Wiedział dokładnie, gdzie kto mieszka, ale nie pamiętał nawet nazw ulic, o numerach nie wspominając. W małej miejscowości, gdzie wszyscy się znają, adresy nie są nikomu potrzebne.

Dom Trzcianków znajdował się przy jednej z bocznych dróg, co bardzo go ucieszyło. Główna ulica stanowiła trasę wiodącą w stronę Suchej Beskidzkiej i panował na niej dość spory ruch. Gredtke od dawna miewał problemy z zasypianiem, w dodatku, ponieważ mieszkał na peryferiach Świercznicy, przywykł do niczym niezmaconej ciszy i wiedział, że ruch uliczny utrudniłby mu nocny wypoczynek.

Zaparkował na podjeździe przed okazałym budynkiem z licznymi balkonami, pchnął furtkę i wszedł na posesję. Widocznie był obserwowany, gdyż drzwi uchyliły się zaraz po tym, gdy nacisnął przycisk dzwonka. W progu stanęła jasnowłosa kobieta z grubym warkoczem upiętym wokół głowy.

– Dzień dobry. Czy macie państwo wolny pokój?

Przedtem tylko zdawkowo wyginała wargi, teraz jej twarz rozjaśniła się prawdziwym, pełnym radości uśmiechem.

– Oczywiście, że tak. Mam pełno wolnych pokoi, do wyboru, do koloru. Może pan sam zdecydować, który panu odpowiada.

Uznał, że do jego celów najlepiej nadawałoby się pomieszczenie znajdujące się na drugim piętrze, z oknem wychodzącym na wioskę. Gdy przedstawił gospodyni swoje życzenie, kobieta zaprowadziła go do narożnego apartamentu, skąd miał widok na trzy strony świata. Bez wahania zaakceptował cenę, mimo że zwykły pokój był znacznie tańszy. Po obejrzeniu swojego nowego lokum zszedł na dół i dopełnił

obowiązku meldunkowego, po czym podjechał do sklepu i zrobił zakupy. Wprawdzie pani Trzcianka proponowała mu wyżywienie, uznał jednak, że dostosowywanie rozkładu dnia do pór serwowania posiłków zbytnio by go ograniczało.

Po powrocie zrobił sobie kawę i wyszedł z nią na balkon. Zapalił papierosa, wyjął z kieszeni telefon i zgodnie z umową zadzwonił do Diony.

– Chyba miałem dobre wejście, bo barman z karczmy dał mi namiary na pensjonat. A tutaj gospodyni tak się ucieszyła na mój widok, że nawet nie zapytała, jak długo zamierzam zostać.

– Mężatka? – spytała rozweselona Dioniza. – Wiesz, Robert, ty całkiem nieźle się prezentujesz. Lepiej uważaj, bo może cię molestować.

– Faceta pod sześćdziesiątkę? – zgorszył się Gredtke. – W takim razie powinienem szybko się ogolić i wziąć prysznic, bo gotowa się rozmyślić.

Diona bardzo poważnym tonem przypomniawszy mu, że sama uznała go za wartego grzechu, po czym przeszła do spraw służbowych. Tak go rozśmieszyła pierwszą częścią wypowiedzi, że ciągle jeszcze drgały mu wargi, gdy odpowiadał na zadane pytanie.

– Wioska jak wioska, taki Jodłowiec, tylko znacznie mniejszy. Całkiem przyjemna dla oka, a w karczmie „Pod Muchomorkiem” bardzo dobrze karmią. I tanio. Za obiad i colę zapłaciłem tylko dwie dychy.

– Pewnie nie miałeś okazji, by zapytać o tę dziewczynę?

– Nawet nie próbowałem – odparł z lekkim zdziwieniem. – Dobrze wiesz, że najpierw trzeba rozeznaczyć się w sytuacji, zorientować się, kto może coś wiedzieć, kto lubi plotkować i tym podobne. Przecież sama też tak robisz.

– No tak. – Usłyszał w jej głosie zmieszanie. – To raczej ty mógłbyś mnie pouczać, nie ja ciebie. Sorry, ale muszę

kończyć, przyszedł kursant i nie może się doczekać, żeby władować w kulochwyt cały magazynek.

Określenie wydało mu się dziwaczne. Za jego czasów mówiło się „dziurawić tarczę”, „rozstrzelać kółko” czy bardziej hardkorowo „rozjechać punkt”.

– Czemu w kulochwyt?

Dziewczyna zachichotała złośliwie.

– Bo po półrocznym szkoleniu facet nadal nie umie trafić w tarczę. Nie mieści się nawet poza linią, tylko wszystkie pociski idą w piździec. Ale się uparł, że musi być jak Billy the Kid, więc się z nim męczy. Jego forsa, jego problem. To narka. Do jutra.

– Do jutra – odpowiedział i sięgnął po kubek.

Po wypaleniu jeszcze jednego papierosa wyciągnął się w saloniku na sofie i rozmyślał o zleceniu. W rozmowie z Remańską zleceniodawcy w osobach sierżanta Gabriela Tokarza i Izabeli Poloczek zasugerowali, by podjęła śledztwo dopiero w maju. Według zapowiedzi premiera Morawieckiego czwartego maja miało nastąpić odmrożenie działalności hoteli, a wówczas mogłaby wynająć pokój w jakimś pensjonacie. Dioniza przyznała im rację i stanęło na tym, że w środę szóstego maja pojawi się w Bystrzycy. Niestety nie zdołała dotrzymać tego terminu.

Właściciel strzelnicy, gdzie pracowała na etacie, niedawno został po raz drugi ojcem. Starsze dziecko miało dopiero półtora roku, zatem postanowił wziąć dwa tygodnie urlopu, by opiekować się rodziną. Poprosił więc Dionę, by podczas jego nieobecności miała na wszystko oko, a ona nie mogła mu odmówić. Tak wiele razy szedł jej na rękę, gdy praca prywatnego detektywa kolidowała z obowiązkami głównego instruktora strzelectwa, że dziewczyna nawet się nie zająknęła o nowym śledztwie. Zamiast tego zadzwoniła do ojczyma, będącego drugim wspólnikiem agencji detektywistycznej. Pech

chciał, że Grzegorz Imielski dwa dni wcześniej przyjął inne zlecenie, wprawdzie niezbyt czasochłonne, ale wymagające jego obecności w Bielsku-Białej. Tym samym pozostał tylko trzeci wspólnik.

Po przejściu na emeryturę Robert Gredtke nie bardzo mógł się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Przez pierwsze miesiące jakoś sobie radził. Opieka nad umierającą żoną zajmowała mu czas i myśli i jedynym, co go obchodziło, było zapewnienie Julicie jak najlepszych warunków oraz środków uśmierzających ból. Dopiero po jej śmierci uświadomił sobie, że otacza go pustka, której nie umie niczym wypełnić.

Propozycja Dionizy, by dołączył do zespołu detektywów, mile go zaskoczyła. Przystał bez wahania na spotkanie z Imielskim, pewny, że Remańska i jej ojczym proponują mu pracę na etacie, tymczasem okazało się, że był w błędzie. Nie spodziewał się propozycji zostania wspólnikiem i najzwyczajniej w świecie zaniemówił. A potem się zgodził.

Docenił fakt, że oboje lojalnie go uprzedzili, iż sytuacja finansowa spółki nie wygląda najlepiej i może się zdarzyć, że włożone w firmę pieniądze przepadną. Machnął wtedy ręką i odpowiedział zupełnie szczerze, iż nie zamierza się tym zamartwiać.

– Mam pięćdziesiąt siedem lat – powiedział wówczas. – Nigdy nie żyliśmy rozrzutnie, a jako naczelnik wydziału kryminalnego dobrze zarabiałem. Trzy lata temu zmarła mi żona, córki też już nie ma... – Urwał i przełknął ślinę, by pokonać spazm ściskający mu gardło zawsze wtedy, gdy mówił o Reginie. – Na co mam wydawać? Do grobu pieniędzy nie wezmę, a nie chcę dostarczać spadkobiercom powodów do walki o schedę. Postanowiłem wszystko przełajdaczyć, tylko jakoś opornie mi to idzie.

W ten sposób biuro agencji mieszczące się w domu Diony wreszcie zostało wyposażone jak należy, a nowy wspólnik

wziął na siebie dyżurowanie pod nieobecność Remańskiej.

Gredtke dość długo dyskutował z Dionizą o nowym zadaniu. On też miał niedokończone zlecenie, którego nie mógł odłożyć na później, toteż najpierw postanowili dojeżdżać na zmianę do Bystrzycy. Potem jednak doszli do wniosku, że działanie z doskoku nie ma większego sensu; znacznie bardziej efektywny będzie pobyt na miejscu. Możliwe, że udałoby się nawiązać z kimś przyjazne stosunki, na przykład podczas wypadu do karczmy na piwo. A tego nie dało się pogodzić z jazdą samochodem.

Wobec tego Dioniza zadzwoniła do Izabeli Poloczek i przedstawiła problem, a efektem rozmowy było rozpoczęcie śledztwa dopiero dziewiętnastego maja, co Robert docenił już na miejscu, siedząc nad kuflem tyskiego. Wcześniej nie mógłby napić się piwa w lokalu, gdyż działalność gastronomiczna została uwolniona dopiero na dzień przed jego przyjazdem do Bystrzycy.

Gredtke porzucił rozmyślenia i spojrzał na zegarek, potem wstał i sięgnął po kurtkę. Pora wprowadzić zamiary w czyn.

\*

Po trzech dniach przebywania w Bystrzycy Robert wiedział niewiele więcej niż w chwili przyjazdu. Mieszkańcy rozmawiali z nim bardziej niż chętnie, zafascynowani pierwszym w życiu kontaktem z detektywem, niestety wszyscy powtarzali to, co słyszał już od gospodyni. Gdy w czwartek wieczorem zadzwonił do Remańskiej, w jego głosie brzmiała rezygnacja.

– Chyba straciłem umiejętność wyciągania z ludzi różnych tajemnic i grzeszków. Jestem już za stary do tej roboty.

– Stary to jest koń – zareplikowała. – O co pytałeś?

– O Klaudynę. Czy się z kimś spotykała, kto był jej najlepszą przyjaciółką i tym podobne. W odpowiedzi usłyszałem same

pochwały. Dobra, uczynna, grzeczna, pilna, poukładana... Na litość boską, ta dziewczyna miała osiemnaście lat, a oni mówią o niej jak o starej babie albo o jakiejś świętej. Nie wierzę, że nigdy z nikim się nie pokłóciła, nie strzeliła focha ani że nikogo nie wkurwiła.

– O zmarłych dobrze albo wcale – odparła po krótkim namyśle. – I do tego zasada, że co dzieje się w wiosce, zostaje w wiosce. Znam to doskonale ze swoich śledztw.

– Za to uzyskałem trochę informacji o sposobie popełnienia samobójstwa.

– Czyżby święta Klaudia ćpała? – ożywiła się Diona.

– Na pewno nie. Przecież patolog to wykluczył – przypomniał jej opinię sądowo-medyczną, streszczoną przez sierżanta Tokarza. – Ale pewna kobieta, nawiasem mówiąc, wyglądająca tak, jakby dawno temu wstała z grobu...

– Jak wyglądała?!

– A jak byś określiła osobę w spódnicy ze zwisającym w formie trenu zakładem, całej ubabranej ziemią? Tak samo ubabraną miała bluzkę, dodatkowo pękniętą na szwie. Dodaj do tego ubłocone buty i paznokcie z czarnymi obwódkami...

Dioniza nie pozwoliła mu dokończyć opisu.

– Okej, przestań! Zwizualizowałam w myślach jej obraz, a akurat jem kolację. Powiedz lepiej, co z tą kobietą.

– Wyobraź sobie, ona twierdzi, że za śmiercią Klaudii stoi niejaki ksiądz Kieliszek.

– Piękne nazwisko, takie pożyteczne. Wytłumaczyła, dlaczego ksiądz miałby zabijać nastolatkę, w dodatku za pomocą kompotu?

– Niczego nie wytłumaczyła. – W głosie Gredtkego brzmiała rezygnacja. – Kiedy zadałem jej to pytanie, spojrzała tak jakoś przeze mnie i powiedziała, że też jestem grzesznikiem. I że jeśli się nie pokajam, ksiądz Kieliszek przyjdzie i po mnie. Potem zniknęła...

Celowo zawiesił głos w oczekiwaniu na reakcję. Nie zawiódł się.

– Robert, czy ty jesteś trzeźwy?

Chyba jeszcze nigdy nie słyszał, by rezolutna dziewczyna mówiła z taką niepewnością i obawą. Dusząc śmiech, odczekał kilkanaście sekund, by podgrzać atmosferę, nim podjął przerwana wypowiedź.

– Niestety jestem trzeźwy jak niemowlę. Kobieta zniknęła wśród wiernych zmierzających na mszę, a nie mogłem przecież biegać za nią po kościele. Pytałem o to panią Karolinę, a ona stwierdziła krótko, że stara Helka to wariatka i nikt normalny nie bierze jej słów na poważnie.

Diona milczała kilka chwil.

– Rozumiem, że stara Helka to ta kobieta zombie. A kim jest pani Karolina?

– Karolina Trzcianka to moja gospodyni. Wiek: około trzydzieści, trzydzieści pięć lat, matka dziesięcioletnich bliźniaczek noszących imiona Maja i Kaja. Mąż Dominik jest instalatorem wod-kan-gaz i całymi dniami przebywa poza domem. Jak na razie widziałem go dosłownie przez moment. Całkiem sympatyczny gość i chyba dobry fachowiec, skoro jest tak rozchwytywany. Żona też sympatyczna, Niestety ma jedną wadę. Nie znosi plotek, więc dla mnie jest całkowicie bezużyteczna.

– A rodzice Klaudyny? – dopytywała Remańska.

– Też nic nie wiedzą. – W głosie Roberta brzmiało zniechęcenie. – Widać, że bardzo chcą pomóc, ale nie mają pojęcia, komu mogła się narazić. Natomiast stanowczo wykluczają samobójstwo.

– Może powinieneś pogadać z tamtejszymi policjantami? – zaproponowała.

Powiedziała to bez przekonania, gdyż doskonale pamiętała niezbyt pochlebną opinię sierżanta Tokarza o kolegach.

Gredtke też ją pamiętał i nie odniósł się do pomysłu Diony zbyt entuzjastycznie.

– Nie wiem, czy coś na tym zyskam. Gabriel Tokarz mówił, że nie są przyjaźnie nastawieni do obcych. Wątpię, czy zechcą ze mną rozmawiać. Ale mogę się mylić. Spróbuję. Tylko nie rób sobie wielkich nadziei.

Nazajutrz przekonał się, że błędem było określenie Karoliny Trzcianki osobą stroniącą od plotek. Pomylił się też, gdy twierdził, że policjanci z Bystrzycy nie zechcą z nim rozmawiać. Siedział akurat w „Muchomorku” i w oczekiwaniu na posiłek rozmyślał o nauczycielce Klaudii, z którą umówił się na jutro, gdy podszedł do niego policjant w stopniu starszego posterunkowego. Położył dłonie na poręczy dosuniętego krzesła, pochylił się lekko i rzekł półgłosem:

- Komendant chce z panem rozmawiać.
- W porządku.

W tej samej chwili kelnerka przyniosła zamówione danie. Gredtke skinął lekko głową, nabrał potrawy na widelec, włożył do ust i zaczął w skupieniu przeżuwać. Funkcjonariusz przyjrzał mu się z niedowierzaniem, potem szurnął gwałtownie krzesłem, klapnął na nie z rozmachem i ponownie się odezwał:

- Powiedziałem, że komendant chce z panem rozmawiać.

Robert uniósł głowę znad talerza i przyjrzał mu się z umiarkowanym zaciekawieniem.

– Słyszałem dobrze za pierwszym razem. Przyjąłem do wiadomości. Coś jeszcze?

Jego niezmałony spokój zbił posterunkowego z tropu.

- Proszę pana, komendant kazał, żeby zaraz...

– Zaraz to raczej niemożliwe. Nie widzi pan, że jem obiad? Poza tym wypadałoby najpierw się przywitać. Siadanie bez pozwolenia przy cudzym stoliku też nie świadczy o grzeczności.



– Nie będzie mnie pan pouczał! – oburzył się policjant. – Proszę pójść ze mną. Mam rozkaz...

– Ale ja nie mam rozkazu. – Gredtke nawet na niego nie spojrzał. – Nie potrzebuję eskorty. Sam trafię. Może pan przekazać komendantowi, że będę za dwie godziny. Jestem umówiony.

Po wypowiedzeniu tych słów schylił głowę i całą uwagę poświęcił zawartości talerza. Zastanawiał się jednocześnie nad powodami tego kuriozalnego wezwania. Gdyby był o coś podejrzewany, posterunkowy raczej nie przyszedłby sam, no i z pewnością by nie odpuścił. Tymczasem młody policjant najwyraźniej doszedł do wniosku, że nic nie wskóra, gdyż podniósł się z krzesła i odszedł bez słowa. Jeżeli zaś komendant chciał z nim tylko pogawędzić, wówczas zaproszenie nie miałoby formy nakazu. W dodatku Robert nie mógł znaleźć żadnego powodu, dla którego policjant z Bystrzycy Wielkiej miałby zapragnąć rozmowy z nieznanym mu człowiekiem.

Po posiłku Gredtke przystanął przed karczmą, wypalił papierosa i dopiero wtedy skierował się na wschód, gdzie niemal u wylotu w stronę Suchej Beskidzkiej mieszkała najlepsza koleżanka Klaudii. Miał nadzieję, że o tej porze zdalne nauczanie już się skończyło i dziewczyna będzie mogła z nim porozmawiać.

– Dzień dobry. Nazywam się Robert Gredtke – przedstawił się, gdy w drzwiach stanęła młoda dziewczyna. – Chciałbym porozmawiać z panią Angelą Mirską.

– Dzień dobry. To ja. Pan w jakiej sprawie?

Przyglądała mu się nieufnie, gdy podawał powody swojej wizyty. Wyglądała na bardzo przestraszoną i nie zanosilo się, by wpuściła go do domu. Prędzej mógł się spodziewać, że zatrzaśnie mu drzwi przed nosem.

– Pani Angelo, naprawdę nie musi się pani mnie bać. Jestem licencjonowanym detektywem, a przedtem byłem policjantem. Proszę spojrzeć na dokumenty.

Wyjął z kieszeni licencję detektywa i legitymację emeryta policyjnego i oba te dokumenty wręczył dziewczynie. Oglądała je najpierw z taką samą nieufnością, z jaką wcześniej spoglądała na niego, później z ciekawością.

– Nie wiedziałam, że policjanci mają inne legitymacje niż zwykli emeryci – powiedziała wolno i znów zerknęła podejrzliwie na intruza.

Robert sięgnął do głęboko schowanych pokładów cierpliwości po nową porcję tego deficytowego towaru.

– Proponuję, żeby sprawdziła pani w googlach, czy ta legitymacja wygląda jak należy. Może też pani zadzwonić do komisariatu w Jodłowcu i o mnie zapytać. Dzięki temu zyska pani pewność, że jestem tym, za kogo się podaję.

Spojrzała na niego uważnie spod zmarszczonych brwi i nagle odsunęła się, robiąc mu przejście.

– Niech pan wejdzie. – Oddała mu dokumenty. – Napije się pan kawy? A może herbaty albo coli?

– Kawa byłaby idealna.

Zaprowadziła go do salonu, sama zaś poszła do kuchni. Pod jej nieobecność Gredtke rozejrzał się po gustownie i bardzo dostatnio urządzonej pomieszczeniu, mocno kontrastującym z dziennym pokojem Poloczków. Tu wszystko błyszczało nowością, tam meble nosiły ślady długoletniego użytkowania, przy czym wyglądały na wyrób masowy, czego nie można było powiedzieć o wyposażeniu salonu Mirskich. To, co widział, z pewnością zostało wykonane na specjalne zamówienie.

A jednak u Poloczków czuł się dużo lepiej, bardziej swojsko. Tutaj wyszukana elegancja zdusiła wszelką indywidualność, zabiła przytulność. Wystrój byłby odpowiedni dla pokoju reprezentacyjnego w zakładzie pracy czy instytucji, lecz

w domu mieszkalnym był dla Roberta całkiem nie do przyjęcia.

Wróciła Angela z tacą zastawioną filiżankami, cukiernicą i miską z kruchymi ciastkami. Ustawiła to wszystko na stoliku okolicznościowym i usiadła na brzeжку fotela, wykręcając nerwowo palce.

– Niech się pani nie denerwuje – powiedział cicho.

Chciał ją uspokoić, lecz próba przyniosła efekt odwrotny do zamierzonego. Dziewczyna drgnęła tak mocno, że omal nie spadła z fotela.

– Wcale się nie denerwuję – odpowiedziała równie cicho.

Pod koniec wypowiedzi głos jej się załamał, w oczach rozbłyły łzy.

– Mogę mówić do pani po imieniu? – spytał, a gdy skinęła głową, ujął jej lodowatą dłoń. – Angelo, nie jestem twoim wrogiem. Chcę się tylko dowiedzieć, o której Klaudyna Poloczek od ciebie wyszła. Bo tamten wieczór spędziłyście razem, prawda? Tak powiedziała jej matka.

– To prawda. Klaudia była u mnie od piątej po południu. Uczyłyśmy się, gadałyśmy o tym, że głupio tak siedzieć cały czas w domu. Wyszła zaraz po dziewiątej.

Gdy zaczęła mówić, głos jeszcze jej drżał, lecz spokój i przyjazne spojrzenie mężczyzny zrobiły swoje i dziewczyna w końcu przestała być tak potwornie spięta. Gredtke postanowił to wykorzystać i szybko zadał następne pytanie.

– Byłyście w domu same?

Angela przytaknęła, po czym dodała:

– Mama wyjechała tydzień wcześniej do taty i wróciła dopiero ostatniego lutego. A Mariusz nie mógł przyjść po Klaudię, bo pracował do późna.

Gredtke poczuł znajomy dreszcz i zwiększył tempo zadawania pytań, nie dając dziewczynie nawet ułamka sekundy na zastanowienie.

– Kim jest Mariusz?

– Mariusz Klaja, chłopak Klaudii. Chodziliśmy razem do podstawówki, ale on jest starszy.

– Gdzie mieszka?

– Tutaj, w Bystrzycy. Naprzeciwko sklepu, w takim małym drewnianym domku.

– Czemu mówisz o niej „Klaudia”? Przecież miała na imię Klaudyna.

Po twarzy Angeli po raz pierwszy przemknął uśmiech.

– Dziewczyny w ogólniaku stwierdziły, że imię Klaudyna jest za długie, i zaczęły nazywać ją Klaudią. Mnie się spodobało, chociaż ona na początku się burzyła.

Mężczyzna pozwolił jej chwilę odpocząć; sam też napił się kawy, rozmyślając nad następnym pytaniem. Zauważył na komodzie popielniczkę, zapytał więc, czy może zapalić, a po uzyskaniu pozwolenia zaciągnął się z lubością.

– Czy Klaudyna brała narkotyki?

Pytanie wywołało niespodziewaną reakcję. Angela poderwała się z miejsca i stanęła przed mężczyzną, piorunując go wzrokiem.

– Pan jest taki sam jak oni! – Pochyliła się i zacisnęła dłonie w pięści, jakby zamierzała go zaatakować. – Najpierw upierali się przy teorii, że Klaudia była narkomanką i na pewno przedawkowała. A kiedy jakieś badania podczas sekcji to wykluczyły, uczepili się pomysłu, że kupiła narkotyki, żeby się zabić. Że pewnie była nieszczęśliwie zakochana i tym podobne brednie. Chore, pojebane skurwysyny! Żeby ich szlag trafił! – wykrzyknęła mściwie i rozplakała się z bezsilnej złości.

Robert objął ją delikatnie i nakłonił do ponownego zajęcia miejsca w fotelu.

– Angelo, usiądź i wysłuchaj mnie w spokoju. Ja wcale nie twierdziłem, że Klaudia ćpała, pomysł z samobójstwem też do

mnie nie trafia. Kto ci powiedział o wynikach toksykologii? Któryś z policjantów?

Dziewczyna wydeła usta w pogardliwym grymasie.

– Nie, oni wcale ze mną nie rozmawiali. To Gabriel... Gabriel podczas nocnego dyżuru przejrzał teczkę z aktami.

Gredtke był pewien, że się przesłyszał. Musiało tak być. Bo to przecież niemożliwe, żeby tak zlekceważyć ważne źródło informacji.

– Naprawdę nikt z tamtych policjantów z tobą nie rozmawiał? Nie byłaś przesłuchiwana jako świadek?

Angela energicznie pokręciła głową.

– Nikt mnie nie wezwał, dlatego w końcu sama tam poszłam. Na komisariat. Wkurzyło mnie, że robią z Klaudii narkomankę. Ale ten głupi Klonowicz w ogóle nie chciał ze mną rozmawiać. Powiedział, że nie ma czasu wysłuchiwać rozhisteryzowanej gówniary i że mam nie zawracać mu dupy, bo inaczej pogada z moją matką. On... – Urwała i znów zaczęła wykręcać palce. Wreszcie podniosła na Roberta udręczone, pełne obrzydzenia spojrzenie. – On z nią sypia – wykrztusiła jakby z trudem. – Dlatego myśli, że może mnie pouczać i mówić mi, co mam robić. Nie cierpię tego faceta!

Tym razem biegnący wzdłuż kręgosłupa dreszcz był silniejszy. Wywołało go podejrzenie czegoś znacznie gorszego niż wtrącanie się obcego człowieka w relacje pomiędzy matką a córką. Na samą myśl o tym Gredtke zacisnął dłonie w pięści.

– Czy on cię molestuje? – zapytał wprost.

Odczuł niewypowiedzianą ulgę, gdy Angela zdecydowanie zaprzeczyła. Potem wytłumaczyła, skąd bierze się jej niechęć.

– On jest żonaty. Ale mama też jest mężatką, więc niby nic takiego się nie dzieje. Tylko że tata... tata wie o wszystkim i to akceptuje.

Gredtke nie zdołał ukryć zdziwienia.

– Jak to akceptuje? Jesteś pewna? Żaden normalny facet...

– Według kryteriów pewnej grupy ludzi tata nie zalicza się do normalnych facetów. Jest gejem.

To rzeczywiście zmieniało postać rzeczy, jak uznał Robert. Pewnie pod presją rodziny ożenił się i spłodził dziecko lub uznał za swoje dziecko innego mężczyzny, a przy pierwszej okazji wyjechał do kraju, gdzie tacy jak on mogą spokojnie żyć bez obaw, że jakiś nawiedzony kołtun pobije ich na ulicy.

– Rozumiem – mruknął. – Dla niego na pewno tak jest lepiej.

– Oczywiście, że lepiej – ożywiła się. – Tata ma fajnego partnera. Żyją spokojnie i nikt się ich nie czepia, a tutaj byłoby to nie do pomyślenia. Ale miałam mówić o tym Klonowiczu. Niby nic mi nie zrobił, ale nie mogę go znieść. Jest tak obrzydliwie przyjazny, że chce mi się rzygać. A kiedy mama nie słyszy, kpi z taty i nazywa go spermojadem.

Zegar w hallu wybił szesnastą i Robert z niechęcią podniósł się z fotela. Wolałby porozmawiać jeszcze z tą dziewczyną, ale skoro obiecał posterunkowemu, że przyjdzie za dwie godziny, musiał dotrzymać słowa.

– Muszę lecieć, jestem umówiony. Dziękuję za rozmowę.

Był już przy drzwiach, gdy niespodziewanie przytrzymała go za rękę.

– Chciałam panu powiedzieć...

– Co takiego? – spytał z lekkim zniecierpliwieniem.

Natychmiast się zorientował, że popełnił błąd, lecz było już za późno. Angela prawidłowo odczytała ton jego głosu i wątpliwość porozumienia została zerwana. Dziewczyna cofnęła się o krok, na jej twarzy znów pojawił się wyraz przygnębienia.

– Chciałam tylko podziękować, że zajmuje się pan Klaudią.

Gdy szedł mokrą od deszczu drogą, cały czas dźwięczały mu w uszach ostatnie słowa Angeli. I zastanawiał się, skąd wzięło mu się przeświadczenie, że nie to zamierzała mu powiedzieć.



## Rozdział 3

### Zadziwiająca dyscyplina

22 maja 2020, Bystrzyca Wielka

Pomiędzy budynkami urzędu gminy i ośrodka zdrowia wstawiono plombę, w której mieścił się komisariat. Była to jedna z tych małych jednostek, która chyba tylko cudem ustrzegła się przed likwidacją.

Robert pchnął drzwi i wszedł do poczekalni. Najpierw rozejrzał się uważnie i stwierdził, że osoba odpowiedzialna za sprzątanie pod jego kierownictwem nie utrzymałaby się zbyt długo na stanowisku. W pomieszczeniu było brudno. Na krzesłach chyba dawno nikt nie siedział – zauważył na nich cienką warstwę kurzu. Na parapecie było go jeszcze więcej, a na podłodze widniały zaschnięte ślady ubłoconych butów.

Od poniedziałku nie spadła w okolicy nawet kropla deszczu, a i wcześniej też chyba nie było opadów, skoro po przyjeździe Gredtke nie odnotował żadnej kałuży. W takim razie ślady przyozdabiały podłogę od co najmniej tygodnia, co nie wystawiało komendantowi najlepszego świadectwa.

– Pan w jakiej sprawie? – zainteresował się dyżurny, spoglądając na niego zza przeszklonego okienka.

– Robert Gredtke do komendanta.

Nie dodał nic więcej, ale to wystarczyło. Przy drzwiach prowadzących do pomieszczeń służbowych rozległ się brzęczyk oznajmiający o zwolnieniu blokady, jednocześnie dyżurny poinstruował gościa:



– Pójdzie pan korytarzem w prawo. Ostatnie drzwi po lewej.

Gredtke podziękował, ruszył we wskazanym kierunku i wkrótce znalazł się przed drzwiami, na których tabliczka informacyjna krzyczała dużymi literami: „Nadkomisarz mgr Waldemar Skorek”. Pod nimi widniały mniejsze, układające się w napis „Komendant Komisariatu Policji w Bystrzycy Wielkiej”. Robert skrzywił się lekko. *Przerost formy nad treścią, skonkludował w myślach. Chyba jednak się nie dogadamy.*

Sięgnął do klamki, lecz nim zdążył jej dotknąć, drzwi się otworzyły i w progu stanął mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna z gwiazdkami aspiranta na pagonach. Niby wyglądał całkiem zwyczajnie, a jednak miał w wyrazie twarzy coś, co natychmiast nastawiło Roberta negatywnie. Czyżby to właśnie był ów nielubiany przez Angelę kochanek jej matki? Nie zdążył zastanowić się nad tą kwestią, gdyż aspirant spojrzał na niego nieprzyjaźnie i odezwał się z pretensją w głosie:

– Czekamy na pana.

Robert podciągnął lewy rękaw kurtki i demonstracyjnie spojrzał na zegarek.

– Przekazałem posterunkowemu, że przyjdę za dwie godziny, a minęła dopiero godzina i pięćdziesiąt sześć minut. Czyli jestem przed czasem.

Aspirant wykrzywił wargi w nieprzyjemnym grymasie, lecz nie odpowiedział, tylko gestem zaprosił go do środka. Gredtke wszedł i mrużąc oczy przed słońcem padającym mu prosto na twarz, popatrzył na wprost, gdzie za ogromnym biurkiem siedział niewysoki, szczupły mężczyzna z dystynkcjami nadkomisarza.

– Dzień dobry, panie komendancie – przywitał się Robert bez podania ręki. Takie gesty ostatnio nie były popularne.

– Dzień dobry. Dziękuję za przybycie. Proszę, niech pan usiądzie.

Mile zaskoczony Gredtke przestawił stojące przy drzwiach krzesło w pobliże biurka, nie chcąc przekrzykiwać się przez cały pokój. Usiadł, założył nogę na nogę i z ukosa zerknął na aspiranta, który stanął z boku z mocno niezadowoloną miną.

– Nie bardzo wiem, czemu zawdzięczam to zaproszenie – zagaił, przenosząc wzrok na nadkomisarza. – Mógłby mnie pan oświecić?

Komendant zignorował pytanie, zadał za to swoje:

– Pan nazywa się Robert Gredtke i przyjechał do nas ze Świercznicy. Jaki jest cel pana wizyty?

– Turystyczny – odparł z uśmiechem. – Nigdy przedtem tu nie byłem, a okolica piękna. Nic tylko spacerować.

W duchu zaś pomyślał, że Karolina Trzcianka z pewnością doniosła im również, po co przyjechał do Bystrzycy, skoro nie zawahała się przekazać jego danych osobowych. Nikt inny nie mógł tego zrobić z tej prostej przyczyny, że tylko ona je poznała. Wszystkim innym prócz Angeli Mirskiej przedstawiał się wyłącznie imieniem, a ona z oczywistych względów nie mogła być brana pod uwagę.

Dlatego właśnie skłamał, mówiąc o przyczynie swojego przyjazdu. Chciał mieć pewność, że policjanci znają tę prawdziwą, podejrzewał bowiem, że właśnie ona jest powodem wezwania go na rozmowę. Bo tak właśnie traktował słowa starszego posterunkowego. Mógł sobie nazywać je zaproszeniem, mógł je wykpiwać, ale w rzeczywistości nie były niczym innym jak wezwaniem, po prostu przekazanym ustnie.

– To ciekawe. Tylko że jakoś panu nie wierzę.

Komendant postukał długopisem w blat biurka i spojrzał w róg pokoju. Robert automatycznie także zerknął w tamtym kierunku i zobaczył jeszcze jednego policjanta. Przedtem w ogóle go nie zauważył.

Najstarszy z obecnych w pokoju funkcjonariuszy, o poważnej, niemal ascetycznej twarzy i czujnie

spoglądających oczach, nosił dystynkcje aspiranta sztabowego. *Komisariatowa wierchuszka*, zdążył skonstatować Gredtke, nim tamten oderwał się od ściany i podszedł bliżej. Popatrzył na Roberta bez sympatii, ale i bez wrogości.

– Widzi pan, doniesiono nam...

– Dosyć tego pierdolenia! – przerwał mu aspirant. – Cackasz się z nim, jakby był jakimś VIP-em. Zaraz go tu ładnie poproszę...

– Spokojnie, Sławek – mitygował go komendant, lecz to jeszcze bardziej zirytowało podwładnego.

– Zamknij się! – wrzasnął. – Nie widzicie, że on coś kręci? Nie będzie byle chujek węszył na moim terenie.

– Interesująca u was dyscyplina – zauważył Gredtke tonem świadczącym o lekkim rozbawieniu.

Aspirant gwałtownie obrócił się ku niemu i powtórzył:

– Zamknij się! – Z hurgotem przyciągnął krzesło, ustawił je tak, by móc patrzeć gościowi w twarz, i klapnął na nie z rozmachem. – Chuj ci do naszej dyscypliny – warknął. – Nie twój zasrany interes.

Gredtkego zastanowiła agresja funkcjonariusza, jego zdaniem niczym nieuzasadniona. Nie miał jednak czasu wgryzać się w tę kwestię.

– Niby racja – odezwał się pojednawczo. – Nie mój interes. Ale gdyby mój podwładny tak się do mnie odnosił, wyjechałbym go z wydziału bez względu na to, czy jest aspirantem, czy nawet komisarzem.

Komendant, od chwili wybuchu aspiranta siedzący ze schyloną głową, na słowa Roberta uniósł ją i przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

– Pan jest policjantem?

Gredtke rzucił okiem na Klonowicza i jego uwagi nie uszło nagłe usztywnienie ramion i rozbiegane spojrzenie. W

przeszłości zbyt często oglądał podobne sceny, by nie wiedzieć, że tak objawia się strach.

– Tego pani Trzcianka wam nie powiedziała? – rzucił z lekką kpina. Z miny nadkomisarza wywnioskował, że trafił, typując gospodynię na informatora. – Podinspektor Robert Gredtke, ostatnio naczelnik wydziału kryminalnego. – Pozwolił sobie na minutkę cieszenia wzroku nagłą paniką w oczach bystrzyckich policjantów, nim dodał: – Ale to już przeszłość, teraz jestem zwykłym emerytem.

Na ich twarzach pojawił się wyraz ulgi, lecz pełne odprężenie nie nastąpiło. Dobrze wiedział dlaczego. Nie mieli pojęcia, czy zachował dawne znajomości i koneksje.

– Można wiedzieć, gdzie pan służył?

– Oczywiście, przecież to żadna tajemnica. – Uśmiechnął się do podenerwowanego nadkomisarza. – W powiatowej w Żywcu.

Komendant skinął głową, aspirant natomiast mruknął pod nosem coś, czego Robert nie dosłyszał, przysięgłby jednak, że były to słowa „o kurwa”. Z trudem zachował powagę. Co prawda komisariat w Bystrzycy Wielkiej nie podlegał pod żywiecką komendę, ale z racji bliskiego sąsiedztwa z pewnością często dochodziło do wspólnych akcji. Nic więc dziwnego, że policjanci poczuli się mało komfortowo. Gredtke właśnie na to liczył.

Zobaczył jednak w oczach aspiranta błysk nienawiści i pojął, że jeszcze chwila, a tamten nie zapanuje nad sobą. W tym stanie emocjonalnym mógł się posunąć nawet do rękoczynów, a Robert nie zamierzał dać się pobić. Wprawdzie był pewien, że umiałby stawić skuteczny opór, ale wówczas mogliby go oskarżyć o naruszenie nietykalności cielesnej i dołożyć do tego kilka innych paragrafów. Dla chcącego nic trudnego, zwłaszcza że w prokuraturze czy sądzie Robert miałby przeciwko sobie zeznania trzech policjantów. Zdecydował się

więc na wariant pośredni i przybrał minę człowieka dążącego do zgody, a reakcja funkcjonariuszy dowiodła, że fortel się udał.

– Przepraszam za swoje zachowanie – odezwał się aspirant w odpowiedzi na aż nadto czytelne znaki dawane mu przez nadkomisarza. – To nerwy. Mamy ostatnio prawdziwą epidemię różnych przestępstw, a ludzi do roboty brakuje.

– Epidemię – powtórzył Gredtke wolno. – Czytałem, że ze względu na zakaz przemieszczania się liczba przestępstw znacznie zmalała. Tak twierdził komendant główny. Widocznie u was bandziory są wyjątkowo zawzięte. Nieważne – mruknął i dodał pojednawczo: – Nic się nie stało. Każdemu czasem mogą puścić nerwy. Nie obraziłem się, aspirancie... Przepraszam, zapomniałem nazwiska...

W zakłopotaniu potarł dłonią szczękę i zerknął wymownie na obu stojących nad nim mężczyzn. Policjant, który swojego nazwiska wcale nie wymienił, nie miał innego wyjścia, jak zrobić to teraz.

– Aspirant Sławomir Klonowicz. A to jest aspirant sztabowy Jan Ścieszka.

Popatrzył niespokojnie na Roberta, lecz ten tylko skinął głową i zwrócił się do komendanta:

– Jesteśmy tu sami swoi – stwierdził. – Może zamiast kluczyć, powiedzcie mi wprost, po co mnie tu ściągnęliście.

Policjanci wymienili porozumiewawcze spojrzenia, przy czym i tym razem aspirant zdawał się osobą decyzyjną.

– Dobra – odpowiedział odrobinę zbyt głośno. – Kawa na ławę, jaja na stół. Nie podoba mi się to, że łązi pan po wsi i wypytuje o Klaudynę Poloczek. To było samobójstwo. Rozumie pan? Sa-mo-bój-stwo – wyskandował, rozdzielając sylaby. – Po zapoznaniu się z naszymi ustaleniami prokurator nie miał żadnych wątpliwości. A pan sobie przyjeżdża nie wiadomo skąd i po co, macha licencją prywatnego detektywa

i zdaje pytania. Przez to ludzie zaczynają podważać nasze kompetencje. Już zaczęło się gadanie, że Klonowicz spierdolił sprawę. Nie życzę sobie, żeby ktoś kwestionował moje ustalenia. Radzę panu jak policjant policjantowi: niech pan stąd wyjedzie i nigdy nie wraca.

Gredtke przenosił wzrok z jednego rozmówcy na drugiego, wreszcie zatrzymał się na komendancie.

– Czy to jest również pana zdanie jako szefa tej jednostki?

Ostatnie słowa wymówił z jawną kpiną. Nadkomisarz poczerwieniał, spuścił wzrok i znowu zaczął stukać długopisem w blat, lecz gdy się odezwał, w jego głosie nie było najmniejszego wahania.

– Pana obecność w Bystrzycy jest niepożądana – wyrecytował jak wyuczoną lekcję. – Proszę dla pańskiego dobra, żeby powstrzymał się pan od wypytywania ludzi o tę dziewczynę. Mam też nadzieję, że dziś, najdalej jutro pan stąd wyjedzie. W przeciwnym razie będziemy musieli pana zatrzymać.

Gredtke miał ochotę zapytać, pod jakim zarzutem, lecz ugryzł się w język. „Dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie”, wspomniał słowa radzieckiego prokuratora Andrieja Wyszyńskiego i tylko skinął głową.

– To wszystko czy mają panowie jeszcze jakieś życzenia?

– Wszystko – odezwał się aspirant. – W pana dobrze pojętym interesie jest poważne potraktowanie tych słów. Nasza izba dla osób zatrzymanych nie jest zbyt komfortowa.

– Rozumiem. – Robert wstał z krzesła i ruszył ku drzwiom. – W takim razie nie mówię „do widzenia”.

Wracając do domu, obmyślał plan dalszych działań. Nie zamierzał dać się zastraszyć, nie tacy mu grozili i nigdy się nie ugiął. Tylko czy miało to sens? Czy upieraniem się przy swoim nie utrudni Dionie śledztwa?

Obejrzał się dyskretnie raz i drugi i przekonał się, że dalszy pobyt w Bystrzycy byłby tylko stratą czasu. Krok w krok podążał za nim ten sam starszy posterunkowy, który przyszedł do karczmy. Wcale się nie kryjąc, odprowadził go pod sam pensjonat, a gdy Gredtke po jakimś czasie dyskretnie wyjrzał przez okno, zobaczył go siedzącego na murku ogrodzenia sąsiedniej posesji.

– Pora wracać do swojej piaskownicy – stwierdził i zaczął się pakować.

23 maja 2020, Strzygom

– Rano już go tam nie było, ale gdy około dziesiątej wyszedłem z domu, zauważyłem, że łązi za mną inny policjant – opowiadał Gredtke po przyjeździe do Strzygomia. – Nawet się skórkowaniec specjalnie z tym nie krył. Albo był zwyczajną lebiegą. Głupi gnojek.

Dioniza postawiła przed nim kubek z kawą, wzięła na ręce kota i przysiadła na oparciu fotela.

– Jesteś na nich wściekły i dlatego...

Robert przerwał jej niezbyt grzecznie.

– Oczywiście, że jestem wściekły. Też byś była na moim miejscu. Tylko co to ma wspólnego z tym, że posłali za mną smugę?

Zaklął dosadnie. Przeczekała ten wybuch złości i nawet udało jej się nie roześmiać.

– Z tym nic – przyznała pogodnie, gdy się uspokoił. – Ale gdyby nie to, że złość przysłoniła ci rozsądek, przyznałbyś, że to nie była wina tego policjanta. Dostał rozkaz, więc musiał go wykonać. To po pierwsze. A po drugie, w jaki sposób miał nie dać się zauważyć na ulicy odgradzonej płotami od wszystkich

posesji? Musiałyby nad tobą frunąć, bo innej możliwości nie widzę.

Gredtke łypnął na nią nieprzyjaznym wzrokiem, otworzył usta, po czym niespodziewanie się roześmiał. Diona popatrzyła na niego ze zdziwieniem, co rozbawiło go jeszcze bardziej i dość długo trwało, nim się uspokoił.

– Przepraszam – wykrztusił wreszcie. – Masz rację, a ja jestem zarozumiałym idiotą. – Remańska uniosła brwi w zdumieniu, czym prędzej więc pospieszył z wyjaśnieniem: – Na naczelnikowskim stołku szybko się zapomina o realiach pracy w terenie. Nie pomyślałem, że w miejscowości o zwartej zabudowie śledzenie kogoś tak, by samemu nie być widzianym, jest praktycznie niemożliwe. Dodaj do tego urażoną dumę, że ktoś ośmielił się za mną chodzić, i będziesz miała obraz całości.

– Rozumiem cię aż za dobrze – westchnęła. – Nie tęsknię za służbą, ale są chwile, gdy oddałabym duszę diabłu w zamian za legitymację policyjną.

Skinął głową i zajął się kawą, która zdążyła już przestygnąć i uzyskała temperaturę pozwalającą na konsumpcję bez obawy poparzenia warg. W tym czasie Diona analizowała w myślach uzyskane właśnie informacje. Co jakiś czas potrząsała lub kręciła głową, co sprawiało wrażenie, jakby z kimś zawzięcie dyskutowała.

Naraz Gredtke przerwał milczenie.

– Porażka na całej linii. – Widocznie jego myśli także krążyły wokół tego tematu. – Zmarnowałem tylko czas i pieniądze.

Diona zsunęła się z poręczy na siedzisko fotela, przyłgnęła plecami do oparcia i wyciągnęła przed siebie nogi. Było to prawdopodobnie sygnałem dla siedzącego dotąd na parapecie kocurka, który natychmiast przeszedł po nich jak po moście. Ulokował się na brzuchu dziewczyny i zamruczał głośno z zadowolenia.



– Cicho, Uszku, przeskadasz mi myśleć – skarciła go, jednocześnie pieszcząc dłonią. – Robert, niczego nie zmarnowałeś – zwróciła się do współnika. – Dzięki tobie zyskaliśmy pewność, że coś z tym samobójstwem jest nie tak.

– W tej kwestii masz rację. Gdyby sprawa była czysta, nie robiliby tego całego cyrku. Mieliby głęboko w dupie, czy ktoś się nią interesuje.

– No właśnie. Coś tam musi być nie teges i pewnie dlatego odstawili sierżanta Tokarza na boczny tor. Udało ci się z nim porozmawiać?

Pokiwała tylko głową, gdy zaprzeczył i wyjaśnił, że sierżant został objęty kwarantanną ze względu na podejrzenie zarażenia.

– Trudno – skwitowała krótko. W następnej chwili coś sobie uzmysłowiła. – Dzwoniłeś na jego numer prywatny czy służbowy?

Gredtke nie potrzebował czasu do namysłu.

– Na służbowy. Wolałem zostawić prywatny w spokoju. Licho nie śpi.

Dioniza uśmiechnęła się z aprobatą.

– No właśnie. Podsumujmy, co udało nam się ustalić.

24 maja 2020, Strzygom

W niedzielę do domu Hardego, jak mieszkańcy Strzygomia nadal nazywali dom Diony, wpadł z wizytą Szymon Ogiński. Okazało się, że był umówiony z Ratierem, który koniecznie chciał się nauczyć rzucać nożem do celu. Po kawie zostawili wyraźnie posmutniałą dziewczynę w domu i poszli do ogrodu, gdzie policjant oparł o drzewo kawał grubego styropianu. Potem stanął mniej więcej dwa metry od celu, kciukiem i palcem wskazującym chwycił ostrze skierowane do przodu

i wyciągnął przed siebie rękę tak, że przyjęła pozycję równoległą w stosunku do ziemi.

– Popatrz, Medard. Musisz go złapać dokładnie tak, rękojeścią do góry, ostrzem w dół. Teraz wezmę zamach zza głowy. Nóż powinien wyskoczyć z dłoni sam z siebie.

Jego ruchy były tak błyskawiczne, że zanim Ratio dobrze się przyjrzał, nóż przeciął powietrze i wbił się w styropian aż po rękojeść.

– Pokaż to jeszcze raz – poprosił chłopak. – Nie zwróciłem uwagi...

– Patrzeniem się nie nauczysz. Trzymaj! Teraz pozycja. Jesteś leworęczny?

– Tak. Czemu pytasz?

– Bo przybrałeś taką pozycję jak ja, czyli zrobiłeś wykrok lewą nogą. To dobrze. Gdybyś był praworęczny, do przodu musiałyby iść prawa noga. Złap nóż, usztywnij rękę i nadgarstek. Pamiętaj, żeby nie wykonywać nim żadnych ruchów. Ma być usztywniony do końca. No, teraz dawaj!

Rzut technicznie był niezły, ale nóż upadł w trawę tuż przed tarczą.

– W ostatniej fazie niepotrzebnie go lekko przytrzymałeś – zwrócił uwagę instruktor. – Poza tym wszystko było dobrze.

Ratio patrzył na niego z zazdrością.

– Twój chyba się bardziej kręcił.

Szymon zaprzeczył.

– Niemożliwe. Ma trzydzieści centymetrów długości i jest dobrze wyważony, więc na tym dystansie wykonał jeden pełny obrót. Spróbuj jeszcze raz, ale pamiętaj, że pracuje ręka, nie nadgarstek.

Tym razem poszło dużo lepiej. Ratier tak się zapalił, że nie zauważył krwi skapującej z opuszki palca wskazującego. Dopiero Ogiński zwrócił mu na to uwagę.

– Dosyć na dziś – zarządził. – Mokre palce nie mają dobrego chwytu, a zaplastrowane jeszcze gorzej. Potrenujesz sobie jutro.

Ratio posłuchał, lecz widać było, że nie robi tego zbyt chętnie. Przysiedli na ławie i Szymon zaczął mu tłumaczyć zależność pomiędzy odległością od celu i długością noża a liczbą obrotów.

– Skąd to wiesz?

Policjant lekko się zmieszał.

– Podobno tak wynika z jakiegoś prawa fizyki i można dość łatwo to wyliczyć. Ale jakoś nigdy nie było mi z fizyką po drodze, więc doszedłem do tego metodą prób i błędów. – Zapatrzył się gdzieś przed siebie. – To było w czasach, gdy szwendałem się po ulicach, zamiast wkuwać regułki i pisać wypracowania.

Chłopak przyjął to do wiadomości krótkim skinieniem głowy.

– Diona już wie, że nie zawsze byłeś praworządny? – spytał po chwili.

– Jeszcze nie – przyznał z pewnym oporem Ogiński. – Ale musi się domyślać, bo nieraz wchodzę do was bez użycia klucza, poza tym widziała mój tatuaż. – Ratio nie odpowiedział, więc po odczekaniu jeszcze kilku chwil ponaglił go pytaniem: – Medard? Jak uważasz? Domyśliła się?

Ratier zerknął niepewnie na nadkomisarza.

– Pewnie tak, ale... – Urwał, szukając właściwych słów. – Myślę, że ona czeka, aż sam o tym opowiesz. Inaczej uzna, że jej nie ufasz, a wtedy...

– Wtedy co? – ponaglił go Szymon, nie mogąc doczekać się puenty.

– Diona ma zasady – powiedział Ratio pozornie bez związku. – Na przykład uważa, że bez obopólnego zaufania nie może być mowy o udanym małżeństwie... – Znowu urwał i popatrzył podejrzliwie na policjanta, upodabniając się tym do ojca

rozmawiającego z kandydatem na zięcia. Szymon spojrzał na niego kpiąco, lecz docenił troskę.

– Zależy ci na niej – stwierdził poważnie.

– Pewnie, że zależy! – wybuchnął nagle Ratier. – I wkurwia mnie, że płaczesz się koło niej i nic!

Szymon udał, że nie zrozumiał.

– A co ma być?

– Przestań jej mieszać w głowie. Zaproś ją wreszcie na randkę albo się od niej odpiardol – rzucił twardo chłopak. – Patrząc już nie mogę, jak się męczy, bo nie wie, czy ją chcesz.

– Medard! – Głos Ogińskiego zabrzmiał groźnie. Mężczyzna uniósł dłoń i klepnął Ratiera w ramię. – Dobry z ciebie kumpel. Dzięki.

Wyjął z kieszeni pudełko papierosów i podsunął towarzyszowi. Palili w milczeniu, nie czując potrzeby przełamywania ciszy mówieniem o niczym. Ratio pierwszy je przerwał, zadając pytanie ze sztucznie obojętną miną.

– Czemu udawałeś? Od początku widziałem, że ci się podoba, a ty nic. Też wierzyłeś w te brednie Marcina, że ona i ja...?

– Ratio, nie bądź idiotą – prychnął Szymon. – Nawet głupi by zauważył, że Diona traktuje cię jak młodszego brata. A czasem nawet jak syna.

– Więc czemu?

– Mógłbyś się ode mnie odjechać? Nie masz innych problemów?

Ratier wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Nie mam – oświadczył beczelnie i ponowił pytanie: – Czemu zakochany facet nie próbuje nawet dziewczyny pocałować i udaje, że ona go nie kręci? Musisz najpierw ściąć trzy głowy czy jak?

Ogiński westchnął, wstał i ruszył w stronę domu.

– Chodź lepiej na kawę, zamiast pieprzyć o miłości jak panienka z romansu! – zawołał przez ramię.

Przez jego surowy ton przebijały się nutki rozbawienia i Ratio stłumił uśmiech. Nie żałował swojego wścibstwa. Dzięki niemu wiedział już to, co chciał wiedzieć, i pozbył się obaw o Dionę. Domyślał się też powodów wstrzemięźliwości policjanta.

– Chciałeś jej dać czas na oswojenie się, ale popełniłeś błąd – rzucił w przestrzeń, gdy weszli do pokoju.

Szymon przystanął, by na niego spojrzeć, lecz Medard minął go z obojętną miną i poszedł do kuchni. Zastał tam Dionę, która wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w ścianę. Musiał chwycić ją za rękę, by zwróciła na niego uwagę.

– Mówiłeś coś? Zamyśliłam się.

– W życiu bym nie zgadł – odparował. – Robię kawę. Chcesz?

– Chcę. Gdzie Szymon?

– W salonie, bawi się z Uszkiem. Idź do niego, przyniosę wam kawę.

– A ty? – Wyraźnie się spłoszyła. – Nie będziesz pił?

Nie odpowiedział. Usiadł obok niej i chwycił ją za rękę.

– Co się dzieje? Dionka, wiesz, że możesz mi powiedzieć. Lubię Szymona, ale jak nie chcesz, żeby tu był, to...

– Ja też go lubię. Bardziej niż lubię i to właśnie jest problem, bo on mnie lubi tak zwyczajnie. Bez bardziej. Ale nie tym się martwię. Nie jestem usychającą z miłości kretynką, jeśli tego się boisz. Medard, wydaje mi się, że nie poradzę sobie z najnowszą sprawą.

Ratier zaklął głośno. Takiej Diony jeszcze nie widział i sądził naiwnie, że nigdy nie zobaczy. W bursztynowych oczach nie płonął zwykły blask, zwieszona ramiona świadczyły o braku wiary we własne możliwości.

– Kurwa mać! – powtórzył i pociągnął ją za rękę. – Wstawaj. Chodźmy to przegadać z Szymonem.

W drzwiach salonu zderzyli się z Ogińskim, który zaskoczył ich oboje. Nie zważając na obecność Ratiera, złapał Dionę w objęcia, mocno przytulił i pocałował w czubek głowy. Ratio uśmiechnął się, gdy zauważył, że nie tylko nie próbowała się uwolnić, lecz jakoś tak miękko położyła Szymonowi głowę na ramieniu. Jakiś czas stali bez ruchu, wreszcie policjant odsunął ją lekko.

– Medard stwierdził, że jestem debilem, bo jeszcze nie zaprosiłem cię na randkę – powiedział i uśmiechnął się do chłopaka. – Wobec tego niniejszym uroczyście zapraszam. Przyjadę po ciebie w środę po południu. Co ty na to?

Diona dopiero teraz wyswobodziła się z uścisku opasujących ją ramion i wolno pokręciła głową.

– To niemożliwe – odpowiedziała krótko, wyminęła go i poszła w stronę schodów.



## Rozdział 4

### Odłożona randka

24 maja 2020, Strzygom

Mężczyźni stali w milczeniu, spoglądając na siebie ze zdumieniem. Pierwszy oprzytomniał Ogiński. Zaklął paskudnie i zwarł dłonie w pięści.

– Wiesz, o czym teraz marzę? – spytał i natychmiast sam na to pytanie odpowiedział: – By jebnąć ci tak, żeby cię nawet satelita nie znalazł. Też mi doradca, niech to szlag! „Zaproś ją na randkę” – przedrzeźniał. – „Powinna wiedzieć, że ci zależy!” I co? I gówno!

Wyglądało na to, że Ratio nie ma nic na swoją obronę. Nawet nie próbował odeprzeć słownego ataku, przeciwnie, pochylił głowę pod gradem oskarżeń i uparcie milczał. Dopiero gdy Szymon wreszcie wyrzucił z siebie całą frustrację i zakończył uderzeniem w blat stołu, chłopak podniósł na niego wzrok.

– Nie rozumiem – powiedział cicho. – Jestem pewien, że się nie omyliłem, zresztą przed chwilą sama to przyznała.

Podrapał się po czole widelcem w nadziei, że dzięki temu uda mu się znaleźć wytłumaczenie zachowania Remańskiej. Ogiński zdążył się już całkiem uspokoić i teraz obserwował go z kpiącym uśmiechem.

– Naśladujesz Dionę? Myślisz, że od tego doznasz objawienia? Prędzej oczy sobie wydlubiesz albo zrobisz lobotomię.



Ratier popatrzył przez niego na przestrzał, ale chyba usłyszał wypowiedź, bo naraz wrzucił widelec do zlewu i szarpnął nadkomisarza za ramię.

– Chyba wiem, o co jej chodzi. Zanim tu przyszedłeś, powiedziała, że się boi tej nowej sprawy. Że chyba sobie nie poradzi. Mieliśmy właśnie iść z tobą o tym pogadać.

– Czyj to był pomysł? Jej czy twój?

– Mój.

Nadkomisarz pokiwał głową. Diona była ambitna, przedsiębiorcza i samodzielna. Pewnie uznała propozycję Medarda za uwłaczającą jej jako fachowcowi, a tu naraz pojawił się ten, którego chłopak zaczął traktować jak wszechwiedzącego i wszechmocnego, chociaż do niedawna to ona dzierżyła wszystkie tytuły. Zatem do głosu doszła zapewne także zwykła ludzka zazdrość. Nic więc dziwnego, że nie chciała się umówić z człowiekiem, który odebrał jej uwagę Ratia.

– Sorki, chłopaku – odezwał się pojednawczo do zgnębnego Medarda. – To nie była twoja wina. Nie to miejsce, nie ten czas i pewnie nie ten facet – mruknął do siebie. – Lepiej będzie, jak już sobie pójdę.

Ratier nie próbował go zatrzymać. Obserwował z ponurą miną, jak w przedpokoju Szymon sznuruje but, i myślał o tym, że niepotrzebnie się wtrącił. *Chciałem dobrze, a wyszło jak zawsze. A im bardziej się chce, tym bardziej się wszystko spieszy.*

Rozmyślenia przerwał mu soczysty klaps. Aż podskoczył, nie tyle z bólu, ile z zaskoczenia.

– Przesuń się, chcę przejść – usłyszał za sobą głos przyjaciółki. – A ty dokąd idziesz? Chyba się nie obraziłeś?

Obaj popatrzyli na nią, nie wiedząc, jak zareagować. Diona nie wyglądała na podenerwowaną czy oburzoną, w jej głosie także nie było gniewu.

Ogiński zastygł ze sznurówką w dłoni. Potem wolno uniósł głowę.

– Kiedy gospodyni nagle znika bez słowa, należy uznać to za koniec wizyty – oznajmił dość sztywno.

– Szymon, nie wygłupiaj się. Wiesz, jaka czasem jestem zakręcona. Nie pomyślałam, jak to możesz odebrać.

Chwyciła go za ramię, zmuszając, by wstał i poszedł za nią. Prezentował się komicznie z jedną stopą w skarpetce, a drugą w adidasie, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi. Znow weszli do kuchni. Diona i Szymon usiedli, Ratio natomiast zakrzętała się przy ekspresie, uświadomiwszy sobie, że w końcu tej kawy nie wypili.

Celowo celebrował napełnianie zasobnika, by przedłużyć czynność zaparzania. Bał się, że każą mu wyjść, a bardzo chciał się dowiedzieć, czy dojdą do porozumienia. Czujnie nadstawił ucha, by nic mu nie umknęło z przemowy Dionizy, która właśnie przechyliła głowę w stronę Ogińskiego.

– Zorientowałam się, że koniec końców nie zadzwoniłam do Garretta, a on ma przecież malutkie dziecko. Nie wypada kontaktować się z nim po dwudziestej.

– Mogłaś powiedzieć, że idziesz zadzwonić – wytknął Szymon. – Wiesz, jak odebrałem twoje zniknięcie?

Popatrzyła na policjanta ze skruchą.

– Mogę sobie wyobrazić. Ale to było bardzo ważne...

– Coś nie tak w pracy? – zaniepokoił się, a Ratio odetchnął z ulgą. Troska w głosie nadkomisarza świadczyła o tym, że kryzys został zażegnany.

– Nie chodzi o pracę – odpowiedziała Diona. – To znaczy tak... – Zaplątała się we własne słowa. – Nie w tym sensie. Musiałam z nim pilnie pogadać, bo potrzebuję bezpłatnego urlopu. Ratio! – Obejrzała się na chłopaka. – Właśnie to miałam na myśli, gdy mówiłam, że sobie nie poradzę z tą

sprawą. Nie poradzę sobie, jeżdżąc do Bystrzycy po pracy. Garrett obiecał, że to przemyśli i odpowie jutro.

– Teraz jasne – mruknął niemal bezgłośnie Medard.

Najchętniej wtopiłby się w ścianę, żeby stać się niewidocznym dla tamtych dwojga. Ściana jednak nie chciała współpracować, a Ogiński wykazał się nieprzyjemną podzielnością uwagi, gdyż mimo że wpatrywał się w Dionę tak, jakby cały świat wokół nich przestał istnieć, nie zapomniął o jej młodym przyjacielu.

– Ratio, czy tę kawę musisz dopiero zebrać z brazylijskiego drzewa?

– Chyba krzaka – burknął Medard, zły, że jego plan się nie powiódł.

– Z tego, co wiem, kawowiec dorasta do sześciu metrów, więc chyba jednak drzewo – sprzeciwił się nadkomisarz. – Zrób ją wreszcie i siadaj z nami, bo jak będziesz tak nadstawiał uszu, to zrobią ci się wielkie jak u słonia.

Jego słowa podziały na chłopaka jak dopalacz i po chwili na stole znalazły się kubki wypełnione ciemnym, parującym płynem, a zadowolony Ratier sadowił się na krześle. Zerkał przy tym z obawą na Dionę, lecz dziewczyna nie zwracała na niego uwagi, pochłonięta wyjaśnianiem Szymonowi powodów swojej odmowy.

– Nie mogę umówić się z tobą na randkę. Nie teraz. Albo będę codziennie jeździć do tej pieprzonej Bystrzycy, albo zostanę tam na miejscu. Jeśli to drugie, to trzeba będzie się spręzać, bo nie mogę sobie pozwolić na długi urlop. Nawet Garrett może w końcu mieć dość pracownicy, która ciągle bierze wolne.

Ogiński nie wydawał się przejęty odmową. Upił kilka łyków, odstawił kubek i zapalił papierosa. Potem się uśmiechnął.

– Trudno. Czekałem tyle czasu, to mogę poczekać jeszcze trochę.

– Czemu nie zaprosiłeś mnie wcześniej?

Zaciekawiona dziewczyna niecierpliwie nadstawiła ucha, lecz on tylko uśmiechnął się ponownie.

– O tym powiem ci dopiero na randce. Wiem, że nie znosisz niepewności, więc mam gwarancję, że zrobisz wszystko, żeby jak najszybciej znaleźć czas.

Potem stwierdził, że musi już iść, i szybkim krokiem przemaszerował w jednym bucie do przedpokoju. Tam włożył drugi, zabrał kurtkę z wieszaka i podszedł do drzwi. Nagle zawrócił, przyciągnął Dionę do siebie i pocałował. Po chwili zwolnił uścisk i wyszedł bez słowa.

Oniemiała dziewczyna dość długo stała jak wmurowana, nim wreszcie oprzytomniała. Przekręciła klucz w zamku i ruszyła w stronę kuchni. Zobaczywszy szeroki uśmiech na twarzy Ratia, zmarszczyła groźnie brwi, lecz już w następnej chwili podeszła do niego i przyjacielsko kuksnęła go w zębra.

– Zgłodniałam z tego wszystkiego. Znajdą się jakieś resztki z obiadu?

27 maja 2020, Bystrzyca Wielka

W drodze do Bystrzycy Dioniza błogosławiła w myślach szefa, który znów poszedł jej na rękę. Podobna sytuacja zdarzyła się już kilkakrotnie, toteż dziewczyna doszła do wniosku, że taki przełożony jak Patryk Gartowski zdarza się raz na milion. Albo i rzadziej. Nie pomyślała, że na takie, a nie inne zachowanie właściciela największy wpływ miała ona sama.

Remańska była najlepszym instruktorem strzelectwa, z jakim przyszło mu kiedykolwiek pracować. Ciągłe samodoskonalenie zawodowe sprawiło, że jako fachowiec nie miała praktycznie żadnej konkurencji, przy tym wykazywała prawdziwy talent do przekazywania wiedzy. W zależności od

sytuacji mobilizowała kursantów czy to żartem, czy pochwałą, a najbardziej odpornym na wiedzę wjeżdżała na ambicję. Dlatego Gartowski, mając do wyboru umożliwić jej wykonywanie obowiązków prywatnego detektywa albo poszukać na jej miejsce innego instruktora, bez namysłu wybrał pierwsze rozwiązanie.

Po niespełna godzinie Diona dojechała do celu podróży. Pierwotnie miała zamiar wejść na kawę do karczmy „Pod Muchomorkiem”, tak bardzo zachwalanej przez Gredtkego, i zapytać o miejsce noclegowe, lecz ostatecznie zrezygnowała. Pomna doświadczeń Roberta nie miała zamiaru zatrzymać się u Karoliny Trzcianki. Musiała znaleźć coś innego.

Gredtke nie zdążył porozmawiać z nauczycielką, która podobno mogła rzucić jakieś światło na motyw zabójstwa. Emerytowany policjant był całkowicie pewien, że do śmierci Klaudyny Poloczek ktoś się przyczynił, a jego pewność udzieliła się Remańskiej. Dlatego poprosiła go, by skontaktował się z nauczycielką i umówił im spotkanie.

Robert jak zwykle podszedł poważnie do wyznaczonego mu zadania, a o efektach jego działań Diona mogła się przekonać pół godziny temu, gdy telefon oznajmił o nadejściu SMS-a. Dziewczyna zwolniła i zjechała na pobocze, po czym odczytała wiadomość. Okazało się, że nauczycielka jest w domu i czeka tam na detektywkę. Gredtke nie zapomniał również o podaniu adresu.

Wobec takiego obrotu sprawy Diona postanowiła najpierw rozmówić się z kobietą, a dopiero potem poszukać noclegu. Może nauczycielka poda jej namiary na inny pensjonat? Niechby nawet był droższy, byleby obsługa nie interesowała się zbyt długo przebywającymi tam gośćmi.

\*

Agnieszka Krzyżanowska miała piękne, długie włosy w kolorze gorzkiej czekolady i ujmujący sposób bycia. Bez wahania zaprosiła Dionę do domu i bez pytania włączyła ekspres. Na widok uniesionych w zdumieniu brwi gościa uśmiechnęła się, przez co jej przeciętna, niczym niewyróżniająca się twarz nabrała niepokojącego uroku.

– Pan podinspektor Gredtke powiedział mi, że dla pani dzień bez kawy jest dniem straconym.

Diona zdumiała się ponownie.

– Robert powiedział pani, że był policjantem? – spytała z niedowierzaniem.

– Nie rozmawiałam z nim na prywatne tematy. Po prostu zobaczyłam go, gdy wychodził od Karoliny, i go rozpoznałam, ale nie byłam całkiem pewna. Zyskałam pewność dopiero wtedy, gdy do mnie zadzwonił i się przedstawił.

Remańska poczuła ukłucie żalu i rozczarowania. Uważała Gredtkego za przyjaciela i miała do niego całkowite zaufanie, ale widocznie w drugą stronę to nie działało. Dlatego nie uznał za stosowne wspomnieć, że spotkał tu znajomą.

– Nie mówił, że znaliście się wcześniej.

W jej głosie pojawiła się nutka urazy, na co Krzyżanowska zareagowała smutnym uśmiechem.

– Nie sądzę, żeby mnie pamiętał. To była służbowa znajomość.

Zaskoczona Dioniza uniosła brwi.

– Chciał zgłębić zagadnienia z dziedziny chemii czy fizyki?

Kobieta nie zareagowała na żart.

– Z pewnością od tamtego czasu miał do czynienia z wieloma osobami. – Popatrzyła na Dionę i dodała: – Rozmawiałam z nim kilka razy, gdy zginęli moi rodzice, Danuta i Wojciech Mazurkiewiczowie.

– Współczuję – wybąkała Dioniza. Nieprzygotowana na taki rozwój sytuacji, nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

Nauczycielka skinęła lekko głową.

– Już nie boli, tylko czasem przypomina o sobie w najmniej oczekiwanych momentach. Może zabrzmiało to bezdusznie, ale cierpienie z powodu śmierci bliskich z biegiem czasu upodabnia się do sporadycznego bólu wywołanego starym urazem. Od dawna go nie odczuwasz, więc o nim zapominasz, aż tu nagle jak nie walnie. Potem równie niespodziewanie mija i znowu masz spokój. Rodzice zginęli trzynaście lat temu. Mieszkaliśmy w Żywcu, a ja byłam wtedy jeszcze panną.

– Dlatego Robert pani nie rozpoznał – domyśliła się dziewczyna. – Zmyliła go zmiana nazwiska.

Zerknęła przy tym na dłoń Krzyżanowskiej. Na serdecznym palcu prawej ręki tkwił pierścionek z zielonym oczkiem w kształcie łyzy, i to było wszystko. Ani śladu obrączki. Wprawdzie to jeszcze o niczym nie świadczyło, ale pierwszą myślą Diony po wejściu do tego domu było, że jego gospodyni jest wolnego stanu, a Remańska już dawno nauczyła się ufać tego rodzaju odczuciom.

W następnej chwili doszła do wniosku, że gospodyni musiała wpuścić jej do głowy jakąś sondę, gdyż Agnieszka zauważyła z lekkim uśmiechem:

– Pewnie się pani zastanawia, gdzie jest mój mąż i czy aby nie zakopałam go w ogrodzie. Nie mylę się, prawda?

Tak zaskoczyła dziewczynę, że ta nie zdobyła się nawet na zaprzeczenie ruchem głowy. Zaraz jednak wzięła się w garść.

– Aż tak to nie. Zresztą własny ogród to nie najlepsze miejsce na tajemny pochówek. – Odwzajemniła uśmiech. – Po prostu odniosłam wrażenie, że w tym domu nie mieszka żaden mężczyzna.

Gospodyni przytaknęła, lecz zaraz dodała, że co prawda mężczyzna nie mieszka, ale chłopiec owszem.

– Mam jedenastoletniego syna. Właśnie ma zdalne lekcje.

Te słowa uprzytomniły Remańskiej, że swoją wizytą postawiła Krzyżanowską w niezręcznej sytuacji. Kobieta miała swoje obowiązki, być może właśnie teraz powinna omawiać z uczniami nowy temat.

– Przepraszam, nie pomyślałam o tym, że przeszkadzam w pracy. Może umówimy się na inny termin?

– W niczym pani nie przeszkodziła – żywo zaprotestowała Agnieszka. – Dzisiaj nie miałam wielu lekcji i skończyłam, zanim pani przyszła. Za to jutro i w piątek będę bardziej zajęta, więc wolę to załatwić dzisiaj.

– To świetnie! – Diona nie kryła zadowolenia. – W takim od razu przejdźmy do rzeczy. Robert mówił, że podobno ma pani jakieś informacje dotyczące Klaudyny. Na tyle ważne, że nie chciała pani zdradzić ich przez telefon.

Krzyżanowska zagryzła wargi i umknęła wzrokiem w bok. Nagle poderwała się z krzesła z nagłym okrzykiem.

– Boże święty! Co ze mnie za gospodyni?! Przecież nawet nie zaprosiłam pani do pokoju, tylko zatrzymuję w kuchni jak jaśnie pani pannę służącą.

Dioniza nawet nie drgnęła.

– Lubię siedzieć w kuchni. Dobrze mi tutaj, w domu kuchnia też jest moim ulubionym miejscem. Może mam w sobie geny służącej?

Wymieniły rozbawione spojrzenia i temat przenosin do pokoju umarł śmiercią naturalną. Agnieszka usiadła na powrót na swoim miejscu, lecz zamiast przejść do sedna, zaczęła się tłumaczyć:

– Od początku biję się z myślami, czy powinnam poruszać ten temat. Widzi pani, powierzono mi tę informację w zaufaniu i nie wiem, jak będę mogła później spojrzeć jej w oczy. A z drugiej strony jestem przekonana, że Klaudyna zginęła właśnie dlatego. Naprawdę nie wiem, co robić.



Remańska dokonała w myślach błyskawicznej analizy. Nauczycielka użyła zaimka „jej”. Konstrukcja zdania wprawdzie nieco kulała, ale nie trzeba było być tytanem intelektu, by się domyślić, że zaimek dotyczył osoby, która przekazała informację. Biorąc zaś pod uwagę zawód Agnieszki, można było założyć, że chodzi o jedną z uczennic.

Która z nich mogła wiedzieć coś, co nauczycielka powiązała ze śmiercią Klaudyny? Zapewne najlepsza koleżanka, niemal przyjaciółka. Dziewczyny spędzały z sobą dużo czasu, wracały razem ze szkoły, nieraz uczyły się do późna, a nic tak nie tworzy intymnej, odpowiedniej do zwierzeń atmosfery jak ciemność.

– Nauczyciel to nie ksiądz, nie obowiązuje go tajemnica spowiedzi – zauważyła trzeźwo. – W dodatku sama pani powiedziała o związku tej informacji ze śmiercią Poloczek. Być może dzięki niej winny zostanie ujęty i poniesie karę. – Spojrzała prosto w oczy nauczycielki. – Nie mogę pani zmusić do mówienia, ale gdybym to ja miała decydować, wybrałabym mniejsze zło.

Krzyżanowska westchnęła cicho, wzięła głęboki wdech jak przed skokiem do wody i podjęła decyzję.

– Mam wychowawstwo w klasie, do której chodziła Klaudyna Poloczek. Zaraz po przerwie noworocznej zauważyłam, że Klaudia zachowuje się inaczej niż poprzednio. Zawsze była przykładną uczennicą. Uważała na lekcjach, nie przeszkadzała, nie zdarzyło się, żeby odpysknęła któremuś z nauczycieli.

– Kujon i nudziara? – zaryzykowała Dioniza.

– Nie, wcale nie – żywo zaprzeczyła Krzyżanowska. – Pręcej skupiona na własnych celach. Kiedyś powiedziała, że ma zamiar ukończyć liceum z najwyższymi ocenami, i widziałam, że konsekwentnie realizowała swój plan. Rozrywki rówieśników uważała za głupie i nie brała w nich udziału.

– Musiało jej być niełatwo – znów wtrąciła Diona. – Outsiderzy nie są mile widziani w żadnej zbiorowości.

Nauczycielka zastanawiała się nad tym stwierdzeniem, popijając małymi łykami kawę. Wyglądała na zaskoczoną.

– A wie pani, tak rzeczywiście na ogół bywa, ale nie w przypadku Klaudii. Nie twierdzę, że była rozchwytywana, ale nie zauważyłam, żeby od niej stroniono. Może dlatego, że była uczynna aż do przesady. Dziewczyna chyba nie umiała powiedzieć „nie”. Na pewno zna pani takie osoby.

Remańska знаła. Teraz ze wstydem wspomniała szkolną koleżankę, od której odpisywała zadania domowe, a zdarzało się też, że prosiła ją o napisanie kartkówki, zwłaszcza ze znieawidzonej fizyki.

– Wspomniała pani o zmianie w zachowaniu – szybko zmieniła temat. – Na czym to polegało?

– Stała się jakaś taka ciągle podminowana. Przestała uważać na lekcjach, za to non stop szeptały z Angelą Mirską, a kiedy je rozdzieliłam, wysyłały sobie liściki. Zauważyłam też, że non stop obserwują chłopaków.

– To chyba normalne w tym wieku? Gdy nastolatka nie zerka na chłopców, to znaczy, że jest poważnie chora.

Detektywka powiedziała to żartem, lecz twarz Krzyżanowskiej pozostała poważna. Kobieta zmarszczyła brwi, zabębniła palcami po stole i poruszyła bezgłośnie wargami, jakby usiłowała ubrać myśli w słowa.

– Nie, chodziło o coś zupełnie innego. One patrzyły jakoś tak dziwnie, jakby chciały wytypować podejrzanego. – Uśmiechnęła się niepewnie. – Pewnie pani się wydaje, że naoglądałam się kryminałów i mi jedna faza wysiadła. Ale to naprawdę sprawiało takie wrażenie. Obie wyglądały na wystraszone, a naprawdę trzeba wiele, żeby Mirską wyprowadzić z równowagi. A przestraszyć? Nie sądziłam, że jest to możliwe.

Zrobiła przerwę na zaczerpnięcie powietrza, a Diona zaraz to wykorzystała. Postanowiła zagrać w otwarte karty.

– To Angela powierzyła pani jakąś tajemnicę, prawda?

– Domyśliła się pani. – Krzyżanowska nie wyglądała na zaskoczoną. – Ona też się zmieniła, właściwie jeszcze bardziej niż Klaudia. Stała się jakaś taka... – Nauczycielka szukała adekwatnego określenia. – Taka przepłoszona. Podejrzliwe spojrzenie, oczy pełne lęku i podskakiwanie, kiedy ktoś ją niepodziewanie zaczepił. Obserwowałam je przez dwa tygodnie i czekałam sposobnej chwili, żeby z nimi porozmawiać. Przecież jestem ich wychowawczynią, powinnam reagować.

– Rozmawiała pani z obiema?

– Tylko z Angelą – odpowiedziała nauczycielka z żalem. – Klaudia skrzyła nogę na wuefie i nie chodziła do szkoły. Wróciła dopiero po feriach. Dlatego nie...

Zamierzała mówić dalej, lecz Diona powstrzymała ją gestem uniesionej dłoni. Coś jej zgrzytnęło w tej wypowiedzi i chciała znaleźć przyczynę. *Klaudia, noga, wuef*, powtarzała w myślach poszczególne słowa. *Szkoła, ferie...*

– Mam! – wykrzyknęła i natychmiast spojrzała przepraszająco na gospodynię. – Sorry, nie chciałam się tak wydrzeć. Ale coś mi nie pasuje. Myślałam, że ferie były w styczniu, jakoś tak od połowy miesiąca.

– Bo były – odparła Agnieszka z uśmiechem. – W śląskim. A Bystrzyca należy do województwa małopolskiego. U nas ferie skończyły się dziewiątego lutego.

– Faktycznie to już inne województwo. Nie zwróciłam uwagi. Ale wróćmy do Angeli. Jak wytłumaczyła ich nietypowe zachowanie?

– Najpierw w ogóle nie chciała o tym rozmawiać, ale udało mi się ją przekonać. Wyznała, że mniej więcej od Nowego Roku ktoś ją stalkuje.

– Co robi?!

– Stalkuje – powtórzyła nauczycielka z lekkim niesmakiem. – Przysyłał zdjęcia, które zrobił jej w różnych miejscach i sytuacjach, co oznaczało, że za nią chodził. Że ją śledził. Chyba się wygłupiłam, bo kazałam jej zgłosić to policji, a przecież dobrze wiedziałam, że jej matka żyje z tym przystojnym policjantem, aspirantem Klonowiczem.

Z dalszych słów Krzyżanowskiej wynikało, że Angela zwierzyła się ze swojego problemu właśnie Klaudynie i że obie wymyśliły plan, jak pozbyć się stalkera. Niestety Mirska nic więcej nie chciała powiedzieć i do tematu już nie wróciły.

– Uważa pani, że Klaudia zginęła z powodu tego planu?

– Cały czas mam takie obrzydliwe wrażenie. Nie wierzę, że sama się zabiła, a pomysł z zażywaniem narkotyków jest tak idiotyczny, że nie chce mi się nawet nad nim zastanawiać. Czyli zostaje tylko zabójstwo, a innego motywu nie widzę.

Diona musiała przyznać jej rację. Rozmawiały jeszcze przez kilka minut, nim stwierdziła, że najwyższy czas poszukać jakiegoś noclegu. Krzyżanowska natychmiast zainteresowała się problemem, wyrażając przy tym zdziwienie, że Remańska nie chce zatrzymać się u Trzcianków.

– Gospodyni ma ciut za długi język – powiedziała oględnie Diona, a potem patrzyła zaskoczona na zwijającą się ze śmiechu Agnieszkę.

Po dość długim czasie kobieta uspokoiła się na tyle, by przerywając sobie co chwilę niekontrolowanym chichotem, wyjaśnić, że Karolina Trzcianka była bezpośrednią przyczyną rozwodu Krzyżanowskich. Agnieszka nakryła ich, gdy wróciła do domu po zapomniany zeszyt z notatkami.

– Miałam okazję zobaczyć, że język to ona naprawdę ma długi i bardzo zwiny. – Zadrgały jej usta. Diona spodziewała się następnego ataku śmiechu, lecz niespodziewanie w oczach Agnieszki zalśniły łzy. – Wiesz, co jest w tym najgorsze? – szepnęła, nie zauważywszy nawet, że porzuciła oficjalną

formę. – Że rozwalila nam małżeństwo, a potem kopnęła Marka w dupę i zaczęła sypiać z tym gliniarzem.

– Z tym aspirantem od Mirskiej? – spytała Remańska słabym głosem. Nie przypuszczała, że w takiej niepozornej wiosce kłębi się tyle namiętności.

– Z Klonowiczem? Nie, skądże. Ona mierzyła wyżej. Jest kochanką komendanta Skoraka. Wredna dziwka!

Diona zobaczyła drżące wargi i zrozumiała, że Agnieszce zbiera się na płacz, postanowiła więc czym prędzej się ewakuować. Podziękowała za pomoc i zamierzała wyjść, gdy gospodyni ją powstrzymała.

– Dokąd idziesz? Mówiłaś przecież, że szukasz noclegu.

Remańska natychmiast zmieniła plany.

– Dasz mi namiary?

– Nawet cię tam zaprowadzę.

Remańska zaprotestowała. Nie chciała zajmować kobiecie więcej czasu, niż było to konieczne. Ta jednak nie zamierzała jej posłuchać i ruszyła do wyjścia, zabierając po drodze z wieszaka nieduży pęk kluczy. Na zewnątrz nie skierowała się w stronę furtki, lecz w lewo, ku bocznej ścianie budynku. Znajdowały się tam dwa dość nisko umieszczone okna oddzielone od siebie drzwiami, do których schodziło się po trzech niewysokich schodkach. Agnieszka przekręciła klucz w zamku i gestem zaprosiła Dionę do środka.

Dziewczyna rozglądała się ciekawie po pomieszczeniu. Nie przywiązywała wielkiej wagi do wystroju wewnątrz wcale nie dlatego, że była niewrażliwa na piękno. Kierowała nią swoista hierarchia ważności, w której na samej górze znajdował się osobisty komfort. Nawet najpiękniejsze meble nie robiły na niej wrażenia, jeśli wśród nich nie było wygodnego fotela czy sofy.

Musiła jednak przyznać, że pokój został urządzony wyjątkowo gustownie. Nie był nadmiernie przeładowany

meblami, co zawsze drażniło ją w pensjonatach i tanich hotelikach, gdyż od razu można było się domyślić, że właściciele z chęci zysku wstawiali dodatkowe łóżko, robiąc z jedyńki dwójkę lub trójkę z dwójki. Natomiast to pomieszczenie było na tyle przestronne, że zmieściło się w nim stanowisko do przyrządzania posiłków, obudowane kuchennymi szafkami.

Diona zajrzała do łazienki i zwróciła się do gospodyni z uśmiechem zadowolenia:

– Gdyby zamiast prysznicza w łazience była wanna, nie wyprowadziłabym się stąd do końca życia. Obiady też mogę u ciebie wykupić?

– Niestety o wyżywienie będziesz musiała zatroszczyć się sama. Nie prowadzę usług gastronomicznych, zresztą żaden będący przy zdrowych zmysłach urzędnik nie wydałby mi zezwolenia. W ogóle nie umiem gotować.

– Witaj w klubie kulinarnych analfabetów. Na szczęście Gredtke rozpoznał teren i doniósł, że w waszej karczmie można zjeść smacznie i tanio. Z głodu nie umrę.

Wymieniły jeszcze kilka uwag, potem Agnieszka wróciła do swoich obowiązków, a Dioniza wyjęła swój „święty” notes i zapisała w nim świeżo pozyskane informacje.



## Rozdział 5

### Książd Kieliszek

28 maja 2020, Bystrzyca Wielka

Następny dzień Dioniza zaczęła od kawy, śląc przy tym dziękczynne słowa w stronę Gredtkego, gdyż to właśnie on jej podpowiedział, by przed wyjazdem zaopatrzyła się w niezbędne produkty. Nieduży sklep nie dysponował zbyt szerokim asortymentem towarów; przeważały w nim artykuły pierwszej potrzeby, i to raczej te z dolnej półki. Emerytowany policjant poznał już Dionę na tyle dobrze, by wiedzieć, że dziewczyna nie znosi lichoty i nie kupuje produktów kiepskiej jakości. W Bystrzycy jednak o takie nie było łatwo.

Agnieszka Krzyżanowska także zasłużyła na wdzięczność, pojawiła się bowiem późnym popołudniem z niedużym ekspresem pod pachą. Nauczycielce nie umknął błogi uśmiech, z jakim Diona przyjęła kawę podaną jej po przywitaniu, i domyśliła się, że zwykła plujka nie jest tym, co dziewczyna zwykła pijać na co dzień. Odszukała więc mały ekspres, kupiony kiedyś z rozpędu i traktowany jako awaryjny, i zaniosiła lokatorce.

Delektując się czarnym, gorącym płynem, Remańska stwierdziła, że do pełni szczęścia brakuje jej tylko Rattia. Przez pół roku wspólnego mieszkania tak się przyzwyczaiła do jego obecności, że teraz czuła się dziwnie opuszczona, choć przedtem samotność aż tak jej nie przeszkadzała.



Po kawie wyszła na papierosa, potem zrobiła przegląd lodówki, zastanawiając się, co by tu zjeść na śniadanie. Przypomniła sobie o upchniętym w którejś z szafek pojemniku z jajkami i zdecydowała się na jajecznicę. Tej potrawy nawet ona nie mogła zepsuć, choć tym razem niewiele brakowało. Zamyśliła się i całkiem zapomniała o stojącej na ogniu patelni.

Po cudem uratowanym posiłku znowu otworzyła notes i odszukała stronę, na której zapisała podany przez Agnieszkę adres Angeli. Już wczoraj postanowiła jak najszybciej odwiedzić tę dziewczynę. Stało się tak zaraz po tym, jak usłyszała, że kochankiem Weroniki Mirskiej jest aspirant Klonowicz, którego Gredtke nazwał szarą eminencją komisariatu. Obawiała się, że policjant, tak niechętnie nastawiony do obcych węszących na jego terenie, może wymusić na dziewczynie obietnicę milczenia.

Najpierw jednak chciała obejrzeć na własne oczy miejsce, gdzie znaleziono zwłoki Klaudyny Poloczek. Miejsce zbrodni. Diona bowiem nie wierzyła w oficjalną wersję. Zbyt wiele jej przeczyło.

Przeszła wolno przez wioskę, z przyzwyczajenia notując w myślach usytuowanie najważniejszych budynków. Wiedza o ich położeniu mogła się kiedyś przydać. Gdy mijała sklep spożywczy, wyszedł z niego przystojny, postawny mężczyzna w policyjnym mundurze. Diona dostrzegła dystynkcje aspiranta i domyśliła się, na kogo naprowadził ją los, toteż czym prędzej schroniła się za zaparkowanego na poboczu busa. Nie sądziła, by zajęty rozmową z jakimś cywilem policjant zwrócił na nią uwagę, ale na wszelki wypadek wołała zniknąć mu z pola widzenia. Im później Sławomir Klonowicz dowie się o jej pobycie w Bystrzycy, tym lepiej. Nie sądziła bowiem, by przyjął jej obecność z entuzjazmem.

Aspirant skręcił za róg sklepu. Dziewczyna odczekała jeszcze kilka minut, niepewna, czy nie zawróci. Zwłoka się opłaciła, gdyż z zaułka wyjechał radiowóz prowadzony przez Klonowicza, włączył się do ruchu i odjechał w stronę Jeleśni. Ucieszyła się, że wybrał kierunek przeciwny do tego, w którym ona zamierzała podążać. Zatem nie musiała się obawiać, że zechce niespodziewanie wpaść do Angeli, gdzie sama planowała później wstąpić. Nie chciała rozmawiać z aspirantem. Jeszcze nie.

Uruchomiła Google Maps, by znaleźć drogę prowadzącą w stronę lasu, i po chwili skręciła na pnącą się dość mocno w górę szutrówkę. Już wkrótce z zadowoleniem skonstatowała, że całkowicie odzyskała formę, choć po wypadku nie udało jej się wrócić do ćwiczeń. Najpierw stan zdrowia nie pozwalał na żaden większy wysiłek, a później pojawił się koronawirus i wszystko stanęło na głowie. Wprawdzie w marcu udało jej się zaliczyć kilka treningów krav magi, ale wkrótce potem nakaz „zostań w domu” rozwalił dokładnie jej plany. Pozostały tylko ćwiczenia we własnych czterech ścianach. Tu bardzo przydał się Ratio, który nie tylko pełnił funkcję worka treningowego, ale i kursanta, zapaławszy niespodziewanie gwałtownym afektem do tej sztuki samoobrony. Teraz miała okazję się przekonać, że godziny spędzone z nim w pokoju ćwiczeń nie poszły na marne.

Diona doszła do skrzyżowania opisanego przez Gabriela Tokarza i przystanęła, rozglądając się uważnie. Tu szutrówka się kończyła, przechodząc w dwie ścieżki biegnące pod kątem mniej więcej stu dwudziestu stopni. Dróżka w dół prowadziła do przystanku autobusowego w pobliżu domu Mirskich; tą szerszą, wiodącą w górę, można było dojść do lasu znajdującego się w odległości niespełna pięćdziesięciu metrów. Dziewczyna popatrzyła w tamtą stronę. Tak, dostrzeżenie

czerwonej kurtki z tej odległości nie powinno być trudne nawet przy kiepskim świetle.

Wkrótce stanęła przy zwałonym drzewie, na którym usiadł Marek Krzyżanowski w oczekiwaniu na przyjazd policji. Według jego opisu denatka leżała pod drzewem w odległości około pięciu metrów od pnia. Po lewej stronie, skoro on poszedł w prawo.

Zmierzyła wzrokiem odległość do wysokiego świerka, wysuniętego przed front towarzyszy. *To by się zgadzało*, pomyślała i podeszła do drzewa. Dopiero teraz zauważyła bezsens swojego działania. Od tamtego czasu minęły trzy miesiące i zmieniła się pora roku. Jak więc mogłaby znaleźć tutaj jakieś ślady? Zwłaszcza że policjanci z pewnością wszystkie zabezpieczyli, o ile w ogóle było co zabezpieczać.

Diona westchnęła cicho i zawróciła do skrzyżowania, po czym zaczęła schodzić wąską ścieżką wydeptaną w wysokiej trawie. Po drodze zadzwoniła do Krzyżanowskiej z prośbą, by podała jej numer byłego męża. Po kilku minutach Agnieszka oddzwoniła z informacją, że jej eks ma dzisiaj drugą zmianę, jest więc w domu i chętnie porozmawia z detektywką. Mieszkał niestety na drugim końcu wsi, lecz Remańska zmieniła plany bez większego żalu. Spacer rozochocił ją, czuła się sprawna jak dawniej, wręcz niepokonana, zatem cóż to dla niej te kilka kilometrów więcej?

Ledwo się tam dowłokła. Nim wspięła się do połowy wzgórza, gdzie stał dom rodziców Krzyżanowskiego, dyszała jak parowóz z czasów wojny secesyjnej, a jej łydki i uda ważyły chyba tonę. Przystanęła na schodkach ganku, chcąc choć trochę uspokoić oddech, lecz gospodyni musiała ją obserwować, gdyż drzwi się otworzyły i w progu stanęła niemłoda już kobieta o wąskich wargach i spoglądających chytrze bladoniebieskich oczach.

– Pani przyszła do Marcuszka, prawda? Proszę dalej. Niech pani nie ściąga bucików.

Przebiegający po plecach dreszcz wcale Remańskiej nie zaskoczył. Krzyżanowska jako żywo przypominała jej byłą teściową. Nie z wyglądu, gdyż Beata Kicek zawsze bardzo dbała, by prezentować się nieskazitelnie, tej kobiecie natomiast daleko było do elegancji. Za to w identyczny sposób zaciskała wargi, a jej oczy zdawały się oceniać zasobność portfela rozmówcy. Prócz tego Beata także z upodobaniem posługiwała się zdrobnieniami. Wszystko było malusie i słodzusie do porzygu, jak oceniła Diona już podczas pierwszego spotkania.

Intuicja podpowiadała jej wtedy, by wiać stamtąd, póki czas, ale zakochana dziewczyna zlekceważyła znaki ostrzegawcze. Miała się przekonać dopiero po ślubie, że ulubioną techniką teściowej jest obłaskawianie przeciwników za pomocą tych wszystkich słodkich, pieszczotliwych słówek, by zniecka wbić głęboko szpilę i jeszcze nią wiercić, by mocniej zabolalo. Oczywiście zaraz po ślubie główną przeciwniczką stała się synowa. Diona pomyślała, że jeśli Krzyżanowska pod tym względem również jest podobna do Beaty Kicek, a jej syn do Kamila, to rozwód Agnieszki i Marka był nieunikniony.

– Marcusku! Marcusku, przyszedł twój miły gość!

Przenikliwy głos świdrował w głowie tak mocno, że Dioniza miała ochotę zatkać sobie uszy. *Czemu ona tak wrzeszczy?* – zastanawiała się, stały bowiem już w progu pokoju, a jego mieszkaniac siedział fotelu nie dalej niż dwa metry od drzwi. Natychmiast znalazła wytłumaczenie zachowania kobiety i również wrzasnęła:

– Dzień dobry, panie Marku!

Krzyżanowska podskoczyła jak oparzona, teatralnym gestem przycisnęła rękę do obfitej piersi i spytała z wyrzutem:

– Rany boskie, ciszej! O mało zawału nie dostałam.

Diona popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Byłam pewna, że pan Marek ma problemy ze słuchem, dlatego tak głośno się przywitałam. Pani też krzyczała, więc myślałam...

Gospodyni przerwała jej prychnięciem.

– Też coś!

Wyminęła syna i rozsiadła się w zwolnionym przez niego fotelu. Gdy założyła ręce pod biustem, skojarzyła się dziewczynie z nastroszoną kwoką, oznajmiającą swoim wyglądem, że ona jest panią tego terytorium.

W przeciwieństwie do niskiej, pękatej matki Krzyżanowski był wysoki i szczuły, a z całkiem przeciętnej, lecz bardzo sympatycznej twarzy spoglądały szczerze szare oczy. Na ich dnie Diona zauważyła rozbawienie i natychmiast poczuła do niego sympatię. *Szkoda, że jego małżeństwo z Agnieszką się rozleciało*, pomyślała z pewnym żalem. Jej zdaniem pasowali do siebie wręcz idealnie.

– Proszę – wskazał Remańskiej drugi fotel. – Mamo, zrobisz nam kawę?

W bladoniebieskich oczach zamigotał chytry błysk i dziewczyna domyśliła się, że zaraz usłyszy jakąś wymówkę. Kobieta najwyraźniej postanowiła nie ruszać się z miejsca, by nie umknęło jej nawet jedno słowo.

– Ty zrób. Nogi mnie bolą.

Wargi Marka drgnęły, a i Dioniza z trudem zachowała powagę.

– Dziękuję za kawę, mam niewiele czasu. Może wyjdziemy przed dom? – odezwała się urzędowym tonem, przybierając oficjalną minę.

– Po co? – wyrwało się Krzyżanowskiej. – Mareczku, po co przed dom? – zwróciła się do syna. – O co tu chodzi?

Diona udała, że nie słyszy natarczywych pytań, i wstała.

– Muszę porozmawiać z panem na osobności, a przecież nie będę wypraszać pana matki z pokoju.

Wyszła, nie oglądając się, dziwnie pewna, że Marek za nią podąży. Słyszała podniesiony głos Krzyżanowskiej, wystrzeliwujący w zawrotnym tempie słowa będące prawdopodobnie oceną zachowania gościa, gdyż w pewnej chwili wyłowiła z chaosu dźwięków fragment wypowiedzi.

Dziewczyna stłumiła śmiech na myśl, że z „miłego gościa” została zdegradowana do „bezczelnej dziwki”, i to w dodatku w ciągu kilku zaledwie minut. *Wielka sława to żart*, zanuciła nie całkiem na temat i przysiadła na cembrowinie studni. W oczekiwaniu na mężczyznę wpatrywała się czeluść, usiłując wzrokiem sięgnąć dna, lecz woda wydawała się czarna, gęsta i nieprzejrzysta.

– Ostrożnie! – usłyszała za sobą. – Bo jeszcze wodnik panią porwie.

Krzyżanowski nie wyglądał na poirytowanego, z czego wywnioskowała, że oceniła go prawidłowo.

– Wodnik jak wodnik, ale mam nadzieję, że ksiądz Kieliszek nie pokarze mnie za grzechy – nawiązała do postaci, o której wspominał Gredtke.

Marek zerknął na nią ciekawie, lecz nie skomentował wypowiedzi. Ujął ją natomiast za rękę i poprowadził w głąb ogrodu do drewnianego stołu.

– Co u Agnieszki? Wszystko w porządku? – spytał z napięciem w głosie.

– Chyba tak – odparła machinalnie, zajęta układaniem w głowie pytań, które zamierzała mu zadać.

– Ma kogoś? Nie chcę wypytywać syna, bo to sprawy dorosłych. Wolę nie mieszać mu w głowie, i tak bardzo przeżywa nasze rozstanie.

Diona dopiero teraz pojęła, skąd ten dziwny ton. Krzyżanowskiemu nadal zależało na żonie. Czy powinna się

w to mieszać? Chyba nie. Niech sami rozwiązują swoje problemy. Tylko trochę żal...

– Z tego, co wiem, to nie ma nikogo – odpowiedziała, sama się zaskakując.

– To najlepsza wiadomość, jaką mogłem usłyszeć. Czy ona bardzo mnie nienawidzi?

Diona dobrze wiedziała, że nie powinna się wtrącać w ich sprawy, ale skoro powiedziało się A...

– Nic pan nie zyska, unikając jej. Moim zdaniem powinniście szczerze porozmawiać.

Mężczyzna obdarzył ją olśniewającym uśmiechem.

– Chyba tak zrobię. Dziękuję. O co chciała pani zapytać?

\*

Marek Krzyżanowski nie powiedział nic, czego by wcześniej nie wiedziała, toteż Diona wracała do domu z uczuciem lekkiego rozczarowania. Liczyła na to, że mężczyzna dostrzeże na miejscu zbrodni coś nietypowego albo może zauważył ślady stóp prowadzące w stronę lasu. Niestety nadzieje okazały się próżne. W chwili gdy znalazł się na miejscu zbrodni, wszystko wyglądało dokładnie jak, jak opisał to sierżant Tokarz, włącznie z torebką częściowo przygniecioną leżącym na śniegu ciałem.

Po skonstatowaniu, że nic więcej z niego nie wycisnie, Remańska zapytała wprost o księdza Kieliszka, który wedle słów kobiety zwanej starą Helką odpowiadał za śmierć Klaudyny Poloczek.

Mężczyzna zdziwił się niepomierne.

– Naprawdę interesuje panią ta historia? Przecież to brednie!

– Lubię słuchać takich opowieści – odpowiedziała całkiem szczerze. – Można wtedy odkryć, jakimi dziwnymi ścieżkami podąża czasami ludzki umysł. To intrygujące.

Krzyżanowski pokręcił głową.

– Dla mnie to strata czasu. Nigdy nie chciało mi się wysłuchać tych bajek do końca. Musiałaby pani porozmawiać z moją matką. Ona wierzy w te zabobony, chociaż nigdy by się do tego nie przyznała. Ale nie wiem, czy będzie chciała... – Zawahał się i dokończył niezbyt zręcznie: – O tym mówić.

Dioniza roześmiała się, rozbawiona tym dyplomatycznym unikiem.

– Chciał pan powiedzieć, czy będzie chciała ze mną rozmawiać. Zobaczymy. Najwyżej znowu nazwie mnie bezczelną dziwką. Słyszałam gorsze epitety.

Marek wyglądał na zszokowanego.

– Ale ona nie... Mama nigdy... – dukał nieporadnie, nim opanował się na tyle, by zwerbalizować swoją myśl.

Urwał, więc Diona zachęciła go gestem, by mówił dalej. Usłuchał niezbyt chętnie.

– Mama nie mówiła tego o pani, tylko o Karolinie Trzciance. To właścicielka pensjonatu i...

Znów urwał i zamilkł, więc Diona dokończyła zdanie za niego:

– I pańska była kochanka. Słyszałam, że to właśnie z jej powodu rozpadło się wasze małżeństwo.

Nieoczekiwanie Marek zaprotestował.

– Wcale nie przez nią, tylko przeze mnie. Do niczego mnie nie zmuszała, więc to tylko moja wina. Ale nie o tym chciała pani słuchać. Pójdę do mamy, zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Szła obok niego w milczeniu, rozmyślając o tym, że jednak dobrze go oceniła. Mężczyzna, który potrafi przyznać się do winy, zasługuje na szacunek. Kamil nie umiał.

Krzyżanowski zostawił Dionę przy studni, sam zaś poszedł rozmówić się z matką. Wcześniej uzgodnili, co może jej powiedzieć, by nie narazić misji na przedwczesną dekonspirację, przy czym Marek zaznaczył, że pomimo



licznych wad Krzyżanowskiej jedno trzeba zaliczyć jej na plus. Nie była plotkarą, toteż nie zachodziła obawa, że natychmiast rozniesie wszystko po całej wsi.

Mediacje okazały się owocne i wkrótce potem Remańska siedziała nad filiżanką wyśmienitej kawy w pokoju gospodyni. Już po kilku minutach rozmowy było jej wstyd, że tak niesprawiedliwie ją oceniła. Urszula Krzyżanowska okazała się krańcowo różna od Beaty Kicek choćby dlatego, że nie usiłowała zrzucić na synową winy za rozpad małżeństwa. Zdrobnieniami również nadmiernie nie szafowała.

– Nie wiedziałam, że przysłała panią Agnieszka – tłumaczyła się, wachlując gazetą rozgrzane rumieńcem policzki. – Byłam pewna, że nasłała panią ta pindzia Karolina, dlatego robiłam z siebie idiotkę. Ona nie może przeboleć, że Marek nadal kocha żonę.

– Podobno to Karolina z nim zerwała – zauważyła Remańska, wspomniawszy słowa Agnieszki.

– Tak twierdzi, ale to nieprawda. – Krzyżanowska nabrała powietrza w płuca, by wyrzucić z siebie litanie oskarżeń, gdy nagle się zreflektowała. – Ale nie o tym chciała pani rozmawiać. Podobno interesuje panią historia księdza Kieliszka. Dlaczego chce pani słuchać czegoś, co młodzi uważają za bujdę?

W jej wzroku znowu pojawiła się podejrzliwość, zatem Dioniza uznała, że najlepiej będzie powiedzieć prawdę.

– Znajomy wspominał, że spotkał pewną kobietę. Podobno mówią tu na nią stara Helka. Miała ona twierdzić, że Klaudyna Poloczek umarła dlatego, że grzeszyła. I że jej śmierć to kara wymierzona przez księdza Kieliszka.

Starsza kobieta w zamyśleniu bawiła się filiżanką, przesuwając ją po spodeczku.

– Nie – powiedziała w końcu. – To niemożliwe. Klaudyna była dobrą dziewczyną. Chodziła do kościoła, pomagała rodzicom,

szanowała starszych i nie latała za chłopakami. Nie zachowywała się wulgarnie i nie widywano jej pijanej. Helce musiało się coś pokiełbasić. Ale ona nigdy nie miała mocnej głowy, a te wszystkie nieszczęścia jeszcze bardziej jej rozregulowały śrubki.

– Nie rozumiem, czemu ksiądz miałby zabić Klaudynę – zauważyła Diona, analizująca każde słowo gospodyni. – Niezależnie od tego, czy grzeszyła, czy była niewinna i nieskalana, chyba nie na tym polega posługa kapłańska. Kim właściwie jest ksiądz Kieliszek? Potomkiem Tomása de Torquemady?

Na twarzy Urszuli Krzyżanowskiej pojawił się nikły uśmiech, który jednak zaraz wyparował.

– Ksiądz Kieliszek był hańbą naszej wsi – oświadczyła, a w jej głosie pojawiły się twarde nuty. – Powinno się wyrzucić go z pamięci, zapomnieć, że istniał, zamiast szczyć się nim jak jakimś świętym.

Diona słuchała uważnie opowieści o księdzu, który nosił zupełnie inne nazwisko, dziś już całkiem zapomniane.

W parafii pojawił się pod koniec dziewiętnastego wieku i jak to wówczas bywało, rządził twardą ręką przy jawnej aprobacie ekonomów działających w imieniu Habsburgów, będących właścicielami Żywiecczyny. Od siebie wymagał dużo mniej niż od parafian, toteż nikogo nie zdziwiło, gdy kilka lat później wdał się w romansową historię z córką gospodyni. Od tej pory wykazywał dużo więcej zrozumienia dla ludzkich słabości, niestety dziewczyna zaszła w ciążę i po pewnym czasie zmarła, usiłując spędzić płód. Ksiądz nie umiał sobie poradzić z cierpieniem i zaczął popijać.

Najpierw były to tylko niewzbudzające obaw incydenty, które jednak z biegiem czasu stawały się coraz częstsze, aż wreszcie kapłan prawie w ogóle nie trzeźwiał. Okolicznym chłopom bardzo taki stan odpowiadał, toteż ukrywali nałóg księdza

przed ekonomem i innymi przedstawicielami dworu. Dzięki temu żyło im się dużo dostatniej, gdyż całkiem zaprzestali wnoszenia stosownych opłat na Kościół, wmawiając ciągle pijanemu księdzu, że już dawno zapłacili, tylko że on te pieniądze przepił. To właśnie wtedy parafianie obdarzyli go przezwiskiem Kieliszek.

– Coś mi nie styka w tej legendzie – zauważyła Remańska, gdy gospodyni zrobiła przerwę, by zwilżyć wyschnięte gardło. – Przecież ksiądz wcale nie żył w zgodzie z boskimi przykazaniami. Dlaczego miałyby karać za to innych?

– Młoda, to i niecierpliwa – skomentowała Krzyżanowska. – Przecież nie dokończyłam opowiadania.

Zaprzestano przynoszenia darów na plebanię, a na tacę zamiast monet często trafiały bezwartościowe blaszki czy kawałki drewna. Ksiądz zaczął cierpieć biedę, przez co zadłużał się coraz bardziej u karczmarza. O jedzenie nie stał, ale pić musiał, brał więc wódkę na borg i nie przejmował się przyszłością. Pewnie jak każdy pijak tłumaczył sobie, że jakoś to będzie, karczmarz zaś poił go wódką z pozorną niefrasobliwością.

Legenda mówi, że oberżysta chciał namówić Kieliszka do sprzedania kościelnych wotów. Gdy propozycja dotarła do otumanionego alkoholem mózgu, ksiądz wpadł w szal i rzucił się na świętokradcę. Ponoć pobili się okrutnie, przy czym od dawna niedojadający Kieliszek był zdecydowanie słabszy. Karczmarz spuścił mu tęgie lanie i wyrzucił nieprzytomnego księdza za próg.

Pech chciał, że tej nocy spadł pierwszy śnieg. Oziębilo się tak bardzo, że gdyby nie jakiś spóźniony przechodzień, ksiądz zamarzyłby na śmierć. Otarł się zresztą o nią, gdyż zaziębił się tak bardzo, że ponad miesiąc przeleżał w pościeli w domu ekonomy. W końcu wyzdrowiał, lecz z łoża podniósł się jako całkiem inny człowiek.

– Niech zgadnę – przerwała Diona. – Kieliszek się nawrócił, o ile można użyć takiego sformułowania wobec księdza. Całkiem zarzucił picie i jak każdy neofita, nagle ogłosił spożywanie alkoholu jednym z najcięższych grzechów. Pewnie to samo mówił o stosunkach pozamałżeńskich, że o płodzeniu nieślubnych dzieci nie wspomnę.

Krzyżanowska aż podskoczyła ze zdumienia.

– Rzeczywiście tak było. Skąd pani to wiedziała?

Remańska uśmiechnęła się lekko.

– Nietrudno było zgadnąć. Tak to już z nami jest, że im więcej grzeszymy, z tym większą gorliwością tępiemy podobne grzechy u innych. Całkiem tak, jakbyśmy uważali, że poprzez pokutę zadaną innym zyskamy odpuszczenie naszych własnych przewin.

Pani Urszula przez jakiś czas siedziała w milczeniu, po czym skinęła głową.

– Chyba ma pani rację. W każdym razie ksiądz Kieliszek z pijaka zmienił się w jedyne sprawiedliwego. Chodził od chaty do chaty i wieszczył wiernym rychły koniec, z upodobaniem też wyczytywał z ambony nazwiska największych grzeszników, groził piekłem i wiecznym potępieniem. Wkrótce wszyscy go znienawidzili do tego stopnia, że gdy którejś nocy ktoś roztrzaskał mu głowę kamieniem, nikt go nie żałował.

Tu kobieta wdała się w rozwlekłe opowiadanie o późniejszych wydarzeniach, a coraz bardziej zmęczona dziewczyna z trudem skupiała uwagę na jej słowach. Mięśnie bolały ją tak bardzo, że zastanawiała się, czy dojdzie do domu Agnieszki.

Gdy tylko gospodyni skończyła opowieść, Diona poderwała się z fotela, podziękowała i ruszyła ku drzwiom, kołysząc się na boki jak kaczką.

Na podwórzu napatoczyła się na Marka zmierzającego w stronę samochodu.

– Mogę panią podzucić do Agnieszki – zaproponował. – Karoca nie jest zbyt wykwintna, ale zawsze lepiej źle jechać niż dobrze iść.

Pomyślała, że wsiadłaby nawet do taczki, żeby tylko nie musieć pokonywać tego dystansu pieszo, i z uśmiechem wdzięczności zajęła miejsce w zdezelowanym volkswagenie vento.



## Rozdział 6

### Stalker

29 maja 2020, Bystrzyca Wielka

Poprzedniego dnia Diona wróciła do domu tak zmęczona, że nie poszła nawet na obiad, a o wizycie u Mirskich w ogóle nie mogło być mowy. W piątek jej samopoczucie nie było dużo lepsze, lecz dziewczyna wiedziała, że musi rozchodzić zakwaszone mięśnie, toteż wyruszyła zaraz po szybkim śniadaniu.

Tym razem darowała sobie boczne ścieżki i dla wygody ruszyła poboczem głównej drogi. Szła niespiesznie, nie chcąc przeforsować obolałych nóg, i bacznie rozglądała się po okolicy. Po półgodzinie stanęła przed domem Mirskich. Zanim zadzwoniła, zastanawiała się, jak powinna się przedstawić matce Angeli i jaki podać powód wizyty. Prawda mogłaby tylko zaszkodzić śledztwu. Kobieta gotowa nie dopuścić detektywki do córki w obawie, że ściągnie na nią nieszczęście, lepiej więc będzie zataić swoją profesję.

Niepotrzebnie traciła czas na rozważania, okazało się bowiem, że Weroniki Mirskiej nie ma w domu.

– Mama pojechała z przyjaciółką do SPA w Szczawnicy i wróci dopiero za dwa tygodnie – oświadczyła śliczna dziewczyna z burzą rudych włosów i intensywnie niebieskimi oczami. – Czy to coś pilnego?

– Nie przyszłam do twojej mamy, tylko do ciebie – wyjaśniła Diona z przyjaznym uśmiechem. – Pani Krzyżanowska

powiedziała mi, gdzie mieszkasz.

– Pani Krzyżanowska? – powtórzyła dziewczyna. – Nie rozumiem. Ma do mnie jakąś sprawę? Przecież mogła zadzwonić albo się połączyć... – Urwała i popatrzyła bezradnie na gościa. Wreszcie ochłonęła na tyle, by przypomnieć sobie o dobrych manierach. – Niech pani wejdzie, nie będziemy rozmawiać przez próg.

Zaprowadziła Dionizę do salonu, gdzie szczupła, zgrabna kobieta z zapałem myła czyste okna. A przynajmniej za takie uznała je Remańska, niecierpiąca z całego serca tej żmudnej pracy. Z tego względu zabierała się do niej dopiero wtedy, gdy zaokienny krajobraz zdawał się przysłonięty tumanem mgły.

– Dzień dobry – przywitała się grzecznie.

Kobieta zareagowała z takim zdziwieniem, jakby nigdy nie słyszała tych powszechnie znanych słów. Zastygła w bezruchu, nie zważając na wodę skapującą ze ścierki na błyszczący parkiet. Dopiero po pewnym czasie odpowiedziała, nieśmiało wypowiadając formułkę powitania.

– Nie przyszedł do twojej mamy, tylko do ciebie – powtórzyła Diona, gdy już zajęła miejsce w fotelu naprzeciwko Angeli. – Pamiętasz Roberta Gredtkego? Rozmawiałś z nim w ubiegłym tygodniu. – Odnotowała leciutkie skinienie, więc powiedziała otwarcie: – Robert jest moim współnikiem.

Sięgnęła do kieszeni bojówek po licencję, lecz dziewczyna powstrzymała ją okrzykiem, w którym wyraźnie słychać było strach:

– Nie tutaj! – Obejrzała się na kobietę myjącą okno i dodała już normalnie: – Musimy najpierw wprowadzić te dane do komputera.

Remańska w lot zrozumiała i włączyła się do gry.

– Sorki, dawno tego nie robiłam i wszystko mi się pozajęczało. Chodźmy do tego kompa.



Po drodze dziewczyna wyjaśniła powody swojego zachowania.

– Pani Kasia jest w porządku, jej siostra też. Nie plotkują. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby opowiedziały o czymś, co tu widziały. Tylko że pani Kasia jest mamą Mariusza. On chodził z Klaudią, więc to chyba nie on, ale... A pan Klaja, mąż pani Kasi, czasem lubi wypić.

– Masz rację. Im mniej ludzi wie, że się interesuję tą sprawą, tym lepiej. Po co niepotrzebnie marnować element zaskoczenia?

Angela zaprowadziła ją do swojego pokoju, wyglądającego jak marzenie niejednej nastolatki. Mirska jednak wcale się nim nie cieszyła. Na pochwały Diony wzruszyła ramionami i odparła tonem pełnym goryczy:

– Co z tego, że jest piękny i że mama włożyła kupę hajsu w ten wystrój? To ona go urządziła i nawet nie zapytała, czego ja chcę.

– A czego chcesz?

– Żeby tu była! – wybuchnęła Angela. – Żebyśmy choć raz mogły porozmawiać jak matka z córką i żebyś mogła się jej zwierzyć z kłopotów.

*Jeszcze jeden dzieciak pozostawiony samemu sobie, cierpiący z powodu egoizmu matki,* pomyślała Diona i ścisnęło jej się serce. Zdawała sobie sprawę z tego, że sytuacja Mirskiej jest inna, o niebo lepsza niż losy jej młodego przyjaciela, ale czy można porównywać cierpienie? Licytować się, czyje jest większe? Każdy ma swój indywidualny próg wytrzymałości i to, co dla jednego jest jedynie lekkim dyskomfortem, innego może złamać, całkowicie pozbawić chęci życia.

– Jeśli chcesz, możesz się zwierzyć mnie. – Ujęła w rękę lodowatą dłoń dziewczyny. – Pani Krzyżanowska opowiedziała mi o tym, że ktoś cię śledzi. I o SMS-ach.

Angela aż pobladła z gniewu. Wyrwała rękę z uścisku Remańskiej, potem szybkimi krokami zaczęła przemierzać pokój. Chodziła tam i z powrotem, wreszcie z rozmachem klapnęła na sofę.

– Co za wredna, kłamliwa suka! – krzyknęła i zaczęła z wściekłością okładać pięściami ozdobną poduszkę. – Obiecała, że nikomu nie powie. Zaufałam jej, opowiedziałam wszystko jak ostatnia debilka, a ona... A pani druga taka!

Remańska pozwoliła jej wyrzucić z siebie gniew i rozżalenie. Wiedziała z doświadczenia, jak bardzo taki wybuch pomaga w odzyskaniu równowagi. Po kilku minutach dziewczyna uspokoiła się na tyle, że detektywka zaryzykowała przemówienie jej do rozsądku.

– Pani Agnieszka nie zdradziła mi twojego sekretu dla rozrywki. Martwi się o ciebie i doszła do wniosku, że może potrafię jakoś temu zaradzić.

– Niby jak? – burknęła Mirska już bez poprzedniej wrogości.

– Jeszcze nie wiem, musiałybyś opowiedzieć mi więcej o tym stalkerze. W każdym razie nie można tego tak zostawić. Angelo, nie powinnaś go lekceważyć, on nie przestanie. I w każdej chwili może posunąć się dalej.

– Już się posunął.

W pierwszej chwili Diona poczuła nagły chłód, potem oblała ją fala gorąca. A więc się spóźniła! Zaraz jednak odsunęła na bok emocje i zaczęła analizować dane. Czy to możliwe, że stalker zgwałcił dziewczynę, a następnie puścił ją wolno? Przecież wówczas z pewnością umiałyby go rozpoznać. Zasłonił czymś twarz? Na przykład tą cholerną maseczką, bez której nie wpuszczą cię do banku, choć jeszcze kilka miesięcy temu na widok zamaskowanego klienta strażnik natychmiast wszcząłby alarm? Owszem, napastnik mógłby być w maseczce, ale i tak nie miałby gwarancji, że Angela go nie zidentyfikuje po głosie czy jakiejś cesze właściwej tylko jemu.

– Nie zgwałcił cię, prawda? – postanowiła natychmiast się upewnić, bo chociaż Gredtke poruszał już temat wykorzystania, dziewczyna mogła skłamać, nie chcąc rozmawiać z mężczyzną o tak intymnych sprawach.

– Nie. Ale ciągle wysyła mi filmiki. – Mirska oblała się rumieńcem. – Takie świńskie. Ze sobą w roli głównej.

Diona domyśliła się, o jakiego rodzaju filmikach dziewczyna mówi. Bardziej zaintrygowała ją ostatnia część wypowiedzi. Zazwyczaj mężczyźni nagrywający akt masturbacji nie pokazują twarzy do kamery. Dlaczego prześladowca Mirskiej miałby ryzykować, że jego tożsamość przestanie być tajemnicą?

– Skąd wiesz, że to właśnie on jest na filmie?

– Bo w czasie nagrywania filmu ciągle do mnie dzwoni. Chce, żebym go słuchała, jak się onanizuje albo mówi, co chciałby ze mną robić.

Głos Angeli się załamał, dziewczyna wzdrygnęła się z odrazą. Remańska zastanawiała się, czy jest możliwe jednocześnie nagrywać taki film i rozmawiać. Nie miała najbledszego pojęcia, postanowiła więc to sprawdzić. Kilkakrotnie włączała nagrywanie, lecz za każdym razem, gdy dzieliła ekran, kamera samoistnie się wyłączała. Z kolei gdy najpierw uruchamiała połączenie, a później kamerę, z chwilą rozpoczęcia nagrania telefon się rozłączał.

Przyszło jej na myśl, że być może prześladowca miał model telefonu umożliwiający wykonywanie tych funkcji w jednym czasie, ona jednak, będąc na jego miejscu, posłużyłaby się dwoma urządzeniami. Raczej trudno jest rozmawiać i nagrywać jednocześnie, jeśli się chce, by w kadrze na pierwszym planie została ujęta część ciała znajdująca się dużo poniżej głowy.

– Angelo, nie odbieraj tego jako atak na siebie, ale dlaczego nie powiedziałaś matce o swoich kłopotach?

Mirska zachnęła się, w jej oczach błysnął gniew.

– A kiedy miałam to zrobić? – wybuchnęła. – Przecież jej ciągle nie ma w domu. A kiedy raz zaczęłam opowiadać, przerwała mi i powiedziała, że tylko głupie żarty i że mam jej nie zawracać głowy problemami ze swoim chłopakiem. Czyli w ogóle nie słuchała tego, co mówiłam.

– Podobno poprosiłaś o pomoc aspiranta Klonowicza. – Diona nawiązała do interesującej ją kwestii.

– Żałuję, że to zrobiłam. Znalazł sposób, żeby mi odpłacić za to, że go nie cierpię i wcale tego nie ukrywam. Zawołał takiego młodego gliniarza, podobno specjalistę od telefonów, i kazał mu obejrzyć te SMS-y i filmy.

Dziewczyna umilkła i wpatrzyła się tępo w ścianę.

– Co powiedział po obejrzeniu? – ponagliła ją Remańska.

– Śmiał się ze mnie! – W oczach Angeli znowu zalśniły łzy. – Ten niby specjalista. Rechotał jak kretyn i mówił, że powinnam się cieszyć. Nie wiedziałam, o co mu chodzi, a wtedy wyjaśnił...

Angela zaczerwieniła się i szybko sięgnęła po szklanekę z colą. Detektywka natychmiast pojęła powód tego manewru. Przeniosła się na sofę i mocno przytuliła dziewczynę, zauważając ze zdumieniem, że ostatnio stała się dziwnie wylewna w okazywaniu uczuć, w dodatku przychodziło jej to z zaskakującą łatwością. Ze sporą dozą autoironii skonstatowała, że to pewnie z racji podeszłego wieku zrobiła się taka miękka i ckliwa. Są ryczące czterdziestki, to może być także użalająca się nad wszystkimi trzydziestka.

– To nie ty powinnaś się wstydzić, tylko oni. Powiedz, czym zabłysnął ten żaloszny dupek przebrany za policjanta.

– Ten Zieliński powiedział, że powinnam być zadowolona, że ten facet się mną zainteresował, bo ma kutasa jak koń i tryska spermą niczym z karchera. I że jak się wreszcie do mnie dobierze, to będę mdlała z rozkoszy.

Przy ostatnich słowach zniżyła głos niemal do szeptu, potem ukryła zrumienioną buzię, przytulając się do ramienia Diony. Detektywka dała jej kilka chwil na uspokojenie, po czym delikatnie się odsunęła.

– Angela, popatrz na mnie – nakazała, a gdy dziewczyna nie usłuchała, powtórzyła ostro polecenie. – A teraz słuchaj. Nie ty jesteś winna, że jakiś niewyżyty debil cię prześladowuje. A to, co odstawili tamci gliniarze, to jakaś kpina. Za coś takiego powinni obaj wylecieć na zbity pysk. Domyślam się, że nie przyjęli zawiadomienia.

– Od początku mówili, że powinnam przyjść z mamą, bo jestem nieletnia. To fakt, że do osiemnastki brakuje mi dwóch miesięcy, ale to im jakoś nie przeszkodziło robić sobie ze mnie beki. Ja... ja stamtąd uciekłam, nawet telefonu nie zabrałam. – Mirska zagryzła wargi, po czym wyznała z determinacją: – Jeszcze nigdy nie byłam z żadnym chłopakiem. Mama śpi, z kim popadnie, i przez to ja mam jakąś barierę. Nie chcę być taka jak ona. A po tym, co on powiedział, chyba nigdy nie będę mogła...

Diona musiała użyć całej siły woli, by nie puścić wiązanki soczystych bluzgów. Nawet idiota by odgadł, że Angela tylko pozuje na wyzwoloną, pewną siebie dziewczynę. Pod cienką warstwą pozorów kryło się wrażliwe, podatne na zranienia dziecko. Tak, mentalnie osiemnastolatka ciągle jeszcze była dzieckiem czekającym na bodaj okrucz zainteresowania ze strony matki. I dopóki to dziecko będzie w niej dominować, nie będzie zdolna do miłości, a myśl o współżyciu z mężczyzną wywoła u niej niechęć.

Remańska miała ogromną ochotę spuścić solidne manto Klonowiczowi za jego bezrozumne zachowanie. Jak mógł pozwolić, żeby jego kolega potraktował Angelę tak podle? Weronice Mirskiej także by się przydało dobre lanie. Jedno jest pewne, tych dwoje dobrało się jak w korcu maku.

Naraz przyszło jej do głowy, że nie ma pojęcia, kiedy wizyta w komisariacie miała miejsce. Przed rozmową z nauczycielką czy po niej? Przed wizytą Gredtkego czy po jego wyjeździe? Zadając pytanie Angeli, nie wiedziała jeszcze, do czego może jej się przydać ta informacja, ale coś jej mówiło, że jest ważna.

Zanotowała w notesie, że Mirska rozmawiała z Klonowiczem na dwa dni przed śmiercią Klaudyny, i dopiero wtedy dotarło do niej, jak długo ta biedna dziewczyna zмага się sama z problemem mogącym załamać dorosłą osobę.

Nim się odezwała, musiała odchrząknąć, by pozbyć się dławienia w gardle.

– Kiedy dokładnie zaczęło się to prześladowanie?

– W sylwestra. Wtedy zadzwonił do mnie po raz pierwszy – padła natychmiastowa odpowiedź.

– Powiedz mi, jak to wyglądało. Od razu zaczął z grubej rury czy jakoś to stopniował? Pani Krzyżanowska mówiła, że robił ci zdjęcia. Od tego zaczął?

Angela energicznie pokręciła głową.

– Najpierw napisał, że chce się ze mną umówić... Dam pani przeczytać – zaproponowała. – Zanim poszłam na policję, zrobiłam screeny i wrzuciłam do laptopa, a filmy przesłałam na swoją pocztę. Spodziewałam się, że wyjdę stamtąd bez telefonu, bo przecież był dowodem rzeczowym, dlatego skopiowałam całą jego zawartość. Nie chciałam jej utracić, bo wie pani, jak to jest. Mówią, że życie przeciętnego nastolatka mieści się w jego telefonie.

Uśmiechnęła się, lecz w jej oczach nie było nawet cienia wesołości. Włączyła laptop i popatrzyła na Dionę.

– Trochę to potrwa, ostatnio coś go muli.

– Nie szkodzi, mam czas.

Remańska obserwowała kręcące się kółko oznaczające ładowanie się systemu i przypomniała jej się oglądana kiedyś na Facebooku tabela z alternatywną interpretacją znaków

drogowych. Najbardziej rozśmieszył ją znak nakazu jazdy po rondzie określony jako ładowanie znaku. Na jej ekranie w takich sytuacjach pojawiał się migający kursor, a tutaj miała okazję przekonać się, że twórca obrazka miał całkiem dobre skojarzenie.

System wreszcie się zgłosił i Angela wyszukała stosowny folder. Dioniza usiadła przy biurku, lecz zanim zaczęła przeglądać pliki, zapytała, czy dziewczyna odzyskała telefon. Negatywna odpowiedź wcale jej nie zdziwiła.

– Mam nadzieję, że zastrzegłaś kartę – powiedziała tylko.

– Nie musiałam. Zostało mi na niej tylko parę złotych do wykorzystania. Telefon też był już stary i miał pękniętą obudowę. Niech się tym nażrą, a potem zesrają na rzadko – rzuciła mściwie, a Dioniza odetchnęła z ulgą. Gniew zawsze jest lepszy od rozpacz.

– Dzięki temu masz spokój od tego zboka – skomentowała i już miała przyjrzeć się zawartości ekranu, kiedy usłyszała słowa, które ją zmroziły.

– Właśnie że nie. Kupiłam nowy telefon i zestaw startowy. Byłam pewna, że tamto wreszcie się skończyło, i nawet żałowałam, że wcześniej nie wpadłam na to, żeby zmienić numer. Ale po dwóch dniach on znowu wysłał SMS-a. Napisał, że mam się nie wysilać, bo on i tak mnie znajdzie.

Tym razem Diona nie zdołała się powstrzymać.

– Kurwa mać! W takim razie to musi być ktoś z twoich znajomych, bo inaczej tak szybko nie zdobyłby nowego numeru. Komu go podałaś?

Angela wpatrywała się w nią przerażonymi oczami.

– Nikomu – wyszeptała. – Tylko Klaudynie i... i mamie.

\*

Diona siedziała przed komputerem z kompletnym zamętem w głowie. W jej uszach ciągle dźwięczał pełen paniki głos nastolatki, nadal widziała wpatrzona w siebie oczy, w których z wolna rodziło się zrozumienie. Mimo to Remańska nie mogła uwierzyć, że Weronika Mirska celowo udostępniła stalkerowi nowy numer córki. Co innego obojętność wobec dziecka, a co innego świadome działanie na jego szkodę.

Tę właśnie prawdę detektywka usiłowała w ciągu ostatnich dwóch godzin przekazać Angeli, gdy wreszcie zdołała zebrać myśli i uformować je w miarę logiczny wniosek. Co jakiś czas przerywała przeglądanie plików i tłumaczyła cierpliwie po raz kolejny, że matka Angeli zapewne podała komuś ten numer bez żadnych złych intencji. Owszem, zawiniła, ale tylko brakiem zainteresowania córką, przez co nie miała pojęcia, jakie zagrożenie nad nią wisi. Podanie nowego numeru telefonu było naturalną konsekwencją tej niewiedzy. Nie widziała w tym nic złego, gdyż nie знаła prawdy.

Remańska uważnie przeczytała wszystkie wiadomości od stalkera i obejrzała filmy, które Angela przezornie przesłała na swoją pocztę e-mail. Nie ulegało wątpliwości, że sprawa jest poważna. Prześladowca ewoluował. Zaczął niewinnie, proponując spotkanie, a gdy Angela odpowiedziała, że nie jest zainteresowana, nie odpisał, toteż dziewczyna była pewna, że się zniechęcił. Tak się jednak nie stało. Po trzech dniach wysłał MMS-a, zawierającego zdjęcia Angeli, zrobione w różnych miejscach i okolicznościach, a kilka minut potem SMS-a o treści: „Jestem wszędzie tam, gdzie TY, bo Cię kocham. Umów się ze mną”.

– Odpowiedziałas na tę wiadomość? – spytała Diona.

Według słów Angeli dziewczyna natychmiast do niego zadzwoniła, lecz nieznajomy nie odebrał, ponownie więc odpowiedziała wiadomością tekstową: „Pogięło cię? Odwal się ode mnie”.



Stalker oczywiście nie odpuścił. Przez następne dwa tygodnie bombardował ją SMS-ami i wysyłał zdjęcia, lecz dziewczyna już na to nie zareagowała. Jak powiedziała Remańskiej, doszła do wniosku, że jej odpowiedzi tylko go nakręcają, i miała nadzieję, że zniechęci go milczeniem. Niestety znowu się omyliła. Wyglądało na to, że tylko go rozjuszyła swoim milczeniem, gdyż pod koniec stycznia posunął się o krok dalej. Teraz wysyłał jej filmiki, na których się onanizował przed kamerą.

Diona obejrzała je uważnie, niektóre po kilka razy, musiała jednak przyznać, że mężczyzna był sprytny. Tak ustawił kamerę, że nie objęła niczego oprócz fragmentu jego ciała i kawałka białej ściany, zatem dla celów identyfikacji zboczeńca filmy były zupełnie bezwartościowe.

Po otrzymaniu pierwszego filmu Angela napisała SMS-a, w którym zagroziła, że zgłosi sprawę na policję. Ale na stalkerze nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Nie dość, że nie przestał jej nękać, to jeszcze początkiem lutego posunął się dalej. Skorzystał z tego, że Weronika wyjechała na dłużej, i teraz niemal dzień w dzień, czy raczej noc w noc, pojawiał się pod oknami dziewczyny, co łatwo było określić po widocznych fragmentach ogrodu Mirskich.

– Wtedy wymyśliłam sposób, jak go zmusić, żeby przestał – wyznała zgnębiona nastolatka. – Nie pomyślałam, że to niebezpieczne. Nie słuchałam Klaudii, chociaż mi mówiła, że się boi... To on ją zabił! Przeze mnie!

Minęło dobre pół godziny, zanim uspokoiła się na tyle, że mogła opowiedzieć, na czym polegał jej plan.

Diona doszła do wniosku, że wymyślony przez Angelę sposób na pozbycie się natręta wcale nie był taki zły. Właściwie byłby naprawdę dobry, pod warunkiem, że Klaudyna zrobiłaby wszystko zgodnie z założeniami. Groźba upublicznienia wizerunku stalkera stojącego przed domem Mirskiej

z opuszczonymi do kostek spodniami i penisem w garści z pewnością skłoniłaby go do zaprzestania prześladowań. Tylko że z nieznanых przyczyn po zrobieniu zdjęć Poloczek poszła w stronę domu, zamiast zawrócić do Angeli, i tym sposobem sama wystawiła się na atak.

– Czy mówiłaś o tym policji po śmierci Klaudyny?

Mina nastolatki w zasadzie wystarczyłaby Remańskiej za odpowiedź, lecz dziewczyna po kilku chwilach milczenia i miotania pełnych wściekłości spojrzeń odezwała się cicho, z rezygnacją:

– W ogóle z nimi nie rozmawiałam. Byłam pewna, że policjanci sami do mnie przyjdą. Wiem, że chodzili po innych domach i pytali o Klaudię. Po dwóch tygodniach wreszcie do mnie dotarło, że nikt się już nie pojawi, więc poszłam na komisariat. Tylko że oni nie chcieli ze mną rozmawiać.

– Kto konkretnie? – chciała wiedzieć Diona.

Mirska wzdrygnęła się i zagryzła wargi.

– Klonowicz. Powiedziałam, że wiem, kto zabił Klaudię. Chciałam opowiedzieć o naszym planie, ale on mi przerwał i zwyczajnie mnie wyśmiał. Mówił, że nie mają czasu na wysłuchiwanie bredzeń histeryczki, i kazał temu swojemu przydupasowi mnie wyprowadzić. Odgrażał się, że powie mamie, żeby mnie zaprowadziła do psychiatry, bo chyba mam poważne odchyły. Przestraszyłam się, że zrobią ze mnie wariatkę i zamkną w psychiatryku, dlatego nikomu więcej już o tym nie wspomniałam.

Angela mówiła z obojętnością człowieka, który wie, że dobił do ściany, i jest mu już wszystko jedno. Wyglądała, jakby w ciągu tych kilku godzin postarzała się o co najmniej pięć lat. Proste przedtem plecy pochyliły się jak u starej kobiety, ramiona obwisły, a wygięte żałośnie ku dołowi kąciki ust ostrzegały, że dziewczyna zaraz wybuchnie niepohamowanym płaczem.

Diona pogłaskała ją po zmierzwionych włosach.

– Nie będę cię już dłużej męczyć. Jeszcze tylko ostatnie pytanie. Czy Klonowicz ostatecznie oddał ci komórkę?

– Nie oddał. Powiedział, że zrobił to, kiedy wychodziłam wtedy z komisariatu. Bezczelnie mi wmawiał, że włożyłam ją do torebki, i nawet zawołał tego posterunkowego, który to potwierdził. I obaj patrzyli na mnie z taką litością, jak na chorą psychicznie. A może naprawdę zacynam tracić rozum?

Diona przełknęła soczyste przekleństwo, ujęła ją pod brodę i zmusiła do podniesienia wzroku.

– Nawet tak nie myśl! – rzuciła ostro. – Nie wiem jeszcze, co oni kombinują, ale widać wyraźnie, że coś tam jest nie w porządku. Nie kontaktuj się więcej z policją, bo możesz tylko pogorszyć sprawę. A co do tego cholernego stalkera... Wytrzymaj jeszcze trochę. Porozmawiam z twoim ojcem i spróbuję go namówić, żeby zabrał cię na jakiś czas do siebie. Daj mi numer telefonu. Jego i swój.

Angela podyktowała jej ciąg cyfr. Na moment odzyskała energię, lecz zaraz znów oklapła.

– Mama się nie zgodzi – oznajmiła smutnym głosem. – Ciągle powtarza, jaka jest tolerancyjna, ale w głębi duszy nienawidzi Ethana. Nie może przeboleć, że z nim przegrała. A Klonowicz jeszcze ją podburza.

– Nie martw się na zapas – pocieszała ją Diona. – Jakoś to załatwię. Aha, jeszcze jedno. Nagrywałam naszą rozmowę, żeby niczego nie przegapić. Celowo cię nie uprzedziłam, żebyś mówiła szczerze.

W oczach dziewczyny błysnęła przekora.

– Co pani robi, jeżeli powiem, że się nie zgadzam?

Diona wzruszyła ramionami i podała jej telefon.

– Mam całkiem niezłą pamięć, jakoś sobie poradzę. Skasuj.

Angela wyszukała właściwe nagranie, wysłuchała fragmentu i oddała komórkę właścicielce.

– Da mi pani znać, co tata postanowił?

– Oczywiście. Ale myślę, że sam do ciebie zadzwoni. Na pewno się ucieszy, że będzie mógł jakiś czas pobyć z tobą.

Trochę się zdziwiła, że dziewczyna wcale nie wyglądała na przekonaną. Przecież wypowiadała się o ojcu z takim entuzjazmem, a teraz zachowuje się tak, jakby oczekiwała odrzucenia. Remańska pomyślała, że już wkrótce dowie się, o co w tym wszystkim chodzi, i rzuciła Angeli kilka słów otuchy, okraszając je uśmiechem.

– Dasz radę, dziewczyno – zakończyła krótką przemowę. – Bo kto, jak nie ty? Chyba nie chcesz dać satysfakcji temu dupkowi i pokazać, że się go boisz? – Dostrzegła w oczach dziewczyny przekorny błysk i dorzuciła z nieskrywaną złościwością: – A aspirantowi Klonowiczowi możesz powiedzieć, że sam powinien się zamknąć w psychiatryku, bo ma ewidentny syndrom wyparcia. Tak bardzo chce, by widziano w nim idealnego policjanta, że nie przyjmuje do wiadomości istnienia żadnych problemów. Ale pociesz go, że to podobno można wyleczyć.

Śmiech Angeli oznajmił jej, że może spokojnie wrócić do domu. Kryzys został zażegnany.



## Rozdział 7

### Niespodziewany gość

29 maja 2020, Bystrzyca Wielka

Rozmowa z Tomaszem Mirskim nie przebiegła tak gładko, jak Dioniza sobie wyobrażała. Musiała powtórzyć swoją przemowę, gdyż mężczyzna nie umiał pojąć jej słów, później zaś uznał je za kawał lub prowokację. Dopiero gdy powołała się na kilka osób pełniących w policji kierownicze stanowiska, a także posłała mu zdjęcie swojej licencji, dotarło do niego, że nie jest to jakiś głupi żart. Wtedy z kolei podał w wątpliwość rzetelność informacji. Poirytowana detektywka w akcie desperacji wysłała mu kilka screenów wiadomości oraz jeden z filmików otrzymanych przez Angelę. Pomyślała przy tym, że pomysł Mirskiej, by przesłała na swoją pocztę cały ten brud, był naprawdę genialny.

Mirski oddzwonił już po kilku minutach. Był wyraźnie zbulwersowany.

– Na litość boską! Kto mógł to wysłać?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Dopiero dzisiaj dostałam te materiały.

– Materiały?! – Mężczyzna aż się zachnął. – Dla pani to materiały? Przecież ten zboczeniec może w każdej chwili zgwałcić Angelkę.

– Dlatego zadzwoniłam do pana – przypomniała mu. – Mogę zaraz jutro odwiedzić ją do Żywca i wsadzić do busa jadącego do Belgii, potrzebuję tylko pana zgody.

– Miałaby jechać sama taki kawał drogi? Czy pani zwariowała? Przecież to jeszcze dziecko. Musi pani ją przywieźć.

Tomasz Mirski od początku wywarł na Remańskiej nieciekawe wrażenie. Na podstawie słów Angeli stworzyła sobie w myślach obraz ciepłego, empatycznego mężczyzny, tymczasem okazał się arogancki i egocentryczny. Dodatkowo jego pełen wyższości ton nie pozostawiał cienia wątpliwości, że dla Mirskiego prywatny detektyw znaczy mniej więcej tyle co pyłek na rękawie. Znosiła to wyłącznie ze względu na Angelę, ale teraz wszystko się w niej zagotowało. Musi? Niedoczekanie!

– Nie, panie Mirski. Angela nie jest już dzieckiem, a ja nie jestem niańką. I niczego nie muszę. Mogę. Zauważa pan różnicę?

– Niech pani będzie – burknął, co wzięła za gburowate przeprosiny, zaraz jednak sprowadził ją na ziemię krótkim pytaniem: – Ile?

– Nie wiem, na jaką kwotę wycenia pan życie córki. Dla mnie jest bezcenne, dlatego dobrze panu radzę: zamiast gadać brednie, proszę porozumieć się z żoną i uzgodnić z nią kwestię wyjazdu dziewczyny. Podtrzymuję swoją propozycję, że mogę zawieźć ją do Żywca...

Mirski przerwał jej poirytowanym syknieniem.

– Moja córka nie będzie się tłukła starym bussem jak jakaś gastarbeiterka!

Oświadczył to tonem tak pompatycznym, że Dionę aż korciło, by spytać, kiedy został koronowany na króla Belgii. Na wszelki wypadek ugryzła się w język, nie chcąc zaognić sytuacji, i spytała neutralnym tonem:

– Co w takim razie pan proponuje?

Nie odpowiedział od razu. W tle rozległ się drugi głos, potem usłyszała zniecierpliwionego Mirskiego, mówiącego coś w kompletnie niezrozumiałym języku. *Podobny całkiem do*

niczego, czyli musi to być niderlandzki, doszła do wniosku Remańska. Teraz jej uszu ponownie dobiegł obcy głos, wreszcie w słuchawce zatrzeszczało i naraz ojciec Angeli zwrócił się znów do niej:

– Jest tam pani? – Potwierdziła, a mężczyzna przeszedł do sedna. – Pani Remańska, mój partner zwrócił mi uwagę na pewne pilne zobowiązania. W tej sytuacji jest wykluczone, żeby córka tutaj przyjechała. Musicie ten problem rozwiązać same. Płacę żonie wystarczająco dużo, żeby zapewniła córce ochronę, a pani też raczej nie pracuje za darmo.

Diona zacisnęła palce na telefonie tak mocno, że aż pobieleły jej knykie.

– Panie Mirski, przypominam, że nie pan mi płaci. – Jej głos był lodowaty. – Pańska żona też nie. Zadzwoiłam do pana wyłącznie dlatego, że żal mi Angeli. Myślałam, że przynajmniej na ojca może liczyć, ale widzę, że się pomyliłam. Żegnaj.

Z wściekłością rzuciła telefon na stół i sięgnęła po papierosy, lecz w tej samej chwili komórka się przesunęła pod wpływem wibracji, a po sekundzie rozległ się soundtrack czołówki kultowego serialu *07 zgłoś się*. Remańska złapała aparat i przyłożyła do ucha.

– Sam jej to powiedz, gnoju! Niech się dowie, jakiego ma ojca. A teraz spierdalaj!

Rozłączyła się, zabrała papierosy i wybiegła przed dom, lekceważąc nieprzestający dzwonić telefon. Wciągała łapczywie w płuca wielkie hausty dymu, a gdy zakręciło jej się w głowie, przeraziła się, że nadal odczuwa skutki jesiennego wypadku. Wypisała się wtedy ze szpitala na własne żądanie, lekceważąc ostrzeżenia neurologa, wskutek czego jej rekonwalescencja trwała znacznie dłużej, niż powinna.

Jednak od ponad trzech miesięcy czuła się bardzo dobrze, a dolegliwości całkowicie ustąpiły. Skąd więc te nagłe zawroty? Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że przejęta



sytuacją Angeli całkiem zapomniała o obiedzie. Zerknęła na zegarek. Osiemnasta? W takim razie nic dziwnego, że nawykły do regularnie serwowanych przez Ratię posiłków organizm dopominał się o swoje prawa, zwłaszcza że wczoraj także nie jadła obiadu.

Diona doszła do wniosku, że na wizytę „Pod Muchomorkiem” jest już za późno, pewnie zostały im tylko jakieś nędzne resztki. Na szczęście przywiozła z sobą spory zapach pierogów, gdyż jej młody współlokator stwierdził, że nigdy nie wiadomo, czy się nie przydadzą, a gdyby nie, to zawsze może zjeść je na kolację.

Wróciła do pokoju i z nienawiścią popatrzyła na stół, gdzie komórka znowu zanosila się śpiewem. *Jeśli nie przestanie wydzwaniać, to znenawidzę to cholerne „na na na na na”*, jęknęła w duchu i wzięła do ręki aparat, by wyciszyć sygnał. Rzut oka na wyświetlacz... i Diona jęknęła ponownie. Na ekranie widniało imię Szymon. Omal nie upuściła aparatu.

– Cześć, Szymon – rzuciła szybko, powściągając idiotyczną chęć wytłumaczenia się, dlaczego nie odbierała.

– Cześć – dobiegł ją dźwięczny, wyraźnie rozbawiony głos Ogińskiego. – Teraz zdecydowanie lepiej. Nie lubię, jak dziewczyna każe mi spierdalać, poza tym ja naprawdę nie mam żadnej córki.

Dioniza w pierwszej chwili zaniemówiła, w następnej parsknęła śmiechem.

– Sorki, nie popatrzyłam na wyświetlacz. Byłam pewna, że to taki jeden gnój, który ma gdzieś bezpieczeństwo własnego dziecka. Opowiem ci przy okazji.

– Okej. Gdzie się zatrzymałaś? Tam gdzie Robert?

– Nie, nawet tam nie zajrzałam. Znalazłam sobie idealną miejscówkę u tej nauczycielki, która chciała rozmawiać z Gredtkem. Na wszelki wypadek udajemy, że jestem jej kuzynką.

Rzeczywiście taką wersję uzgodniła z Agnieszką, zanim jeszcze zadzwoniła do Mirskiego. Na Angeli również wymogła, by dziewczyna nikomu nie zdradziła, kim naprawdę jest gość Krzyżanowskiej. Nie chciała, by policjanci zbyt szybko poznali jej prawdziwą rolę, bo wówczas prawdopodobnie potraktują ją jak Gredtkego. Skoro Robertowi nie pomógł nawet fakt, że jeszcze trzy lata temu był ich kolegą po fachu, to ona tym bardziej nie może liczyć na względy czy choćby zwykłą uprzejmość.

– Halo?! – Głos Ogińskiego wyrwał ją z zamyślenia. – Jesteś tam? Pytałem, gdzie mieszka ta nauczycielka.

Nie całkiem jeszcze przytomna Diona machinalnie podała mu adres i dopiero wtedy zastanowiła ją jego prośba.

– Po co ci adres Krzyżanowskiej?

Ale mężczyzna nie odpowiedział. Rzucił tylko krótkie „na razie” i się rozłączył, a ona stała jeszcze dość długo z telefonem przy uchu, nim go odsunęła i ciężko klapnęła na sofę. Nagle znów poczuła takie zmęczenie, jakby cały dzień zajmowała się ciężką pracą fizyczną. Z westchnieniem wyłożyła obolałe nogi na oparcie fotela i wstukała numer Weroniki Mirskiej. Kobieta dość długo nie odbierała i Diona już chciała zrezygnować, gdy usłyszała jakieś trzaski, a potem dźwięczne „halo”.

Dziewczyna się przedstawiła, następnie krótko i zwięźle opowiedziała o rozmowie z Angelą. Mirska co rusz przerywała jej okrzykami niedowierzania, rozpraszając Dionę. Po kolejnym wrzasku Remańska nie wytrzymała i także wrzasnęła:

– Niech się pani uspokoi! Zebrać myśli nie można przez te krzyki.

Weronika nie pozostała jej dłużna.

– Proszę mnie nie pouczać. Kim pani w ogóle jest i jakim prawem wtrąca się w nie swoje sprawy?

– Takim prawem, że najwyraźniej jestem jedyną osobą, której zależy na bezpieczeństwie Angeli – odparła Diona lodowatym tonem. – Biedna dziewczyna. To smutne, że rodzice mają w dupie jej bezpieczeństwo.

– Kobieto, przestań bredzić! Na miejscu jest mój przyjaciel. Angie wie, że może w każdej chwili zwrócić się do niego o pomoc.

Detektywka wzniosła oczy do nieba.

– Rany boskie! Czy pani zdaje sobie sprawę...

Urwała i zaklęła wyjątkowo paskudnie, właśnie bowiem odkryła, że przemawia do głuchego telefonu. Weronika Mirska po prostu się rozłączyła. Diona posłała w sufit jeszcze jedną barwną wiązanekę i wstała z sofy. *Kawa. Tylko kawa może mnie przywrócić do normalności*, powtarzała sobie w myślach. *Kawa, inaczej zwariuję.*

Właśnie włączała ekspres, gdy ktoś zapukał do drzwi. Pewna, że to Agnieszka, nawet nie odwróciła głowy, tylko krzyknęła:

– Otwarte! Włącz. Zdażyłaś akurat na kawę!

Spodziewała się, że Krzyżanowska zasypie ją od progu gradem słów, lecz usłyszała tylko ciche skrzypnięcie zawiasów i czyjeś kroki. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że mogła już komuś się narazić i ów ktoś postanowił wpaść z nie całkiem przyjacielską wizytą. *Ty durna, bezmyślna debilko*, skarciła się w duchu i napięła mięśnie, szykując się do odparcia ataku. Jednocześnie usiłowała zerknąć przez ramię na przybysza.

Najpierw zobaczyła męski tors w czarnej koszulce z jakimś napisem. Dopiero po sekundzie, która wydała jej się wiecznością, zauważyła na lewym ramieniu wystający spod krótkiego rękawa fragment dobrze znanego tatuażu. Rozluźniła napięte mięśnie i wolno wypuściła powietrze z płuc.

– Co tu robisz?

Miała nadzieję, że zdołała powściągnąć radość i jej głos zabrzmiał całkiem normalnie. Nie chciała, by mężczyzna odkrył, jakie emocje nią miotają.

Ogiński posłał jej nieco krzywy uśmiech.

– Nie mogłaś iść na randkę, więc pomyślałem, że może randka przysłaby do ciebie? Nie przewidziałem tylko, że będę mieć konkurencję w osobie płci pięknej.

Dioniza uniosła pytająco brwi.

– O kim mówisz?

– O tej jakiejś, która miała zdążyć na kawę.

– No tak – stwierdziła krótko.

Opowiedziała mu o sympatycznej gospodyni, doglądając jednocześnie ekspresu. Potem przeszli do pokoju i usiedli na sofie dość daleko od siebie, dziwnie skrepowani, chociaż nie pierwszy raz znajdowali się sam na sam z dala od innych ludzi.

– Jak sprawa? – spytał Szymon, przerywając kłopotliwe milczenie. – Jest w tym coś podejrzanego czy to tylko wymysły Gabriela?

– Tu jest aż gęsto od podejrzeń – odparła i głośno siorbnęła kawę. – Naprawdę chcesz o tym słuchać? Nie szkoda ci wolnego?

– Możemy robić coś innego.

– Na przykład co?

Aż się skrzywiła na dźwięk własnego głosu, który wyraźnie drżał, Szymon jednak jakby tego nie zauważył.

Przesunął się na sofie i teraz siedział tak blisko, że udem dotykał jej uda. Diona odniosła wrażenie, że atmosfera w pokoju nagle zgęstniała.

– Na przykład możemy się bez opamiętania całować. Tak się chyba robi na randkach?

Spojrzał na nią z kpiącym błyskiem w oczach i dziewczyna nagle poczuła, że całe wcześniejsze podenerwowanie zniknęło.

– Nie mam pojęcia. Ostatni raz byłam na randce z siedem lat temu.

– Hm, to niedobrze – odparł ze śmiertelną powagą. – Ja byłem przed czterema laty, ale ponoć dałem plamę jako randkowicz, bo odwołano mnie do pracy. To co robimy? Może trzeba by do kogoś zadzwonić i się dowiedzieć, jak to jest z tymi randkami?

Pomysł tak ją rozśmieszył, że zachichotała. Niespodziewanie Szymon pochylił się nad nią i stłumił jej śmiech pocałunkiem. Tak ją zaskoczył, że w pierwszej chwili zeszywniała, lecz już w następnej wtuliła się miękko w obejmujące ją ramiona. Ogiński całował ją tak długo, że gdy oderwał wargi od jej ust, z trudem złapała oddech.

– Uznałeś, że pierwszy pomysł jest najlepszy?

– Nie tylko pierwszy, ale i jedyny. Doszedłem do wniosku, że trzeba go wypróbować, zanim zaczniemy dzwonić po znajomych z prośbą o pomoc. Miałem rację, prawda?

Diona delikatnie wysunęła się z uścisku.

– To ja może jednak opowiem ci coś więcej o sprawie Poloczek.

Unik był tak czytelny, że policjant nie mógł go nie zauważyć, nie dał jednak nic po sobie poznać. Wziął do ręki kubek i skinął głową.

– Niech będzie, ty tu rządzisz.

Ku jego zaskoczeniu dziewczyna wstała, przeszła do aneksu kuchennego i schyliła się, by wyjąć z lodówki sporej wielkości pojemnik.

– Muszę najpierw coś zjeść – wyjaśniła, nie patrząc na gościa. – Dochodzi dziewiętnasta, a ja od wczoraj jestem na suchym prowiancie. To mi źle robi na rozum.

Ogiński w kilku krokach znalazł się przy niej i bez pytania otworzył pojemnik. Na widok zawartości zaświeciły mu się oczy.

– Pewnie od Mirabelki – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Jakie?

– Ruskie. Moje ulubione. Tym razem nie od Mirabelki. Ratio zrobił.

– Ten chłopak jest genialny – ocenił z głębokim przekonaniem. – Dasz trochę? Wiesz, głodnego nakarmić i tak dalej. Co z tą Poloczek?

Nie miała zamiaru psuć sobie humoru przy posiłku, odczekała więc z relacją, dopóki nie zjedli.

\*

Świat za oknami już poszarzał. W pokoju również zrobiło się ciemniej, rzędy liter zaczęły rozmazywać się przed oczami. Angela wstała z cichym westchnieniem i włączyła stojącą lampę z zielonym kloszem, pozwalając, by otuliła ciepłym światłem ulubiony fotel i podręczny stolik z blatem zastawionym miską z kruchymi ciastkami, butelką sprite'a, talerzykiem z niedojedzoną kolacją oraz różnymi przedmiotami, których obecność dawała gwarancję, że dziewczyna nie będzie musiała odrywać się od czytania.

Angela jeszcze raz obrzuciła stolik uważnym spojrzeniem i poszła do kuchni, skąd wróciła z dwoma bananami. Położyła je obok nadgryzionej kromki i podeszła do okna, pyszniącego się pięknymi ciemnozielonymi zasłonami z grubej, nieprzepuszczającej światła tkaniny. Zasunęła je szczelnie, sprawdzając, czy obie części na pewno ściśle się stykają, a na jej usta wypląnął nieco złośliwy uśmiech.

– Teraz możesz tam sobie stać do usranej śmierci – oznajmiła głośno.

Jej głowa bez woli właścicielki zwróciła się lekko w lewo, w stronę największej kępy cisów. Tam właśnie miał zwyczaj

chować się człowiek od tyłu miesiący niedający Angeli spokoju. Ale od dzisiaj koniec z tym.

Wróciła na fotel, lecz nie od razu wzięła książkę do ręki. Najpierw długo siedziała wpatrzona w fałdy zasłony, ciesząc się z własnego pomysłu.

Weronika Mirska cierpiała na bardzo rzadki przypadek fobii. A przynajmniej za taki uważała go jej córka, która nigdy nie słyszała, by jeszcze ktoś oprócz matki odczuwał lęk, gdy przebywał w pomieszczeniu z zasłoniętymi oknami. Wskutek tej fobii w całym domu nie znajdowało się ani jedno pomieszczenie, gdzie okna przesłaniałoby coś więcej niż tylko lekka jak mgiełka, przejrzysta firanka.

Gdy Angela odkryła, że pod jej oknem czai się prześladowający ją mężczyzna, niemal błagała matkę, by zamontować żaluzje lub rolety. Na próżno jednak argumentowała, że Weronika nie przebywa w jej pokoju, więc nie powinno jej to przeszkadzać. Kobieta nie ugięła się ani przed logicznymi argumentami, ani przed płaczem i krzykiem. Twierdziła, że sama świadomość istnienia rolet nie pozwoli jej swobodnie oddychać, a córka, zamiast wymyślać jakieś brednie, by zwrócić na siebie uwagę, powinna wykazać choć trochę zrozumienia dla cudzej choroby. To doprawdy straszne, gdy dziecko nie ma w sobie nawet odrobiny empatii.

Dopiero po rozmowie z detektyw Remańską Angela wpadła na pomysł, że mogłaby zawiesić w oknach zasłony. Matka rzadko bywała w domu, a jeszcze rzadziej zaglądała do pokoju córki, dziewczyna miała zatem pewność, że zdąży usunąć dowód niesubordynacji, zanim Weronika się zorientuje.

Angela odszukała w komodzie gruby zwój materiału i pobiegła z nim do pani Kasi. Sympatyczniejsza z sióstr Klaja akurat skończyła prasowanie.

– Pani Kasiu! – zawołała dziewczyna od progu. – Czy taki materiał nadaje się na zasłony?

Kobieta pomacała rożek tkaniny.

– Oczywiście, że tak. Od początku mówiłam twojej mamie, że jest za delikatny na obiciówkę i szybko się zmechaci. Dobrze, że mnie posłuchała i kazała obić fotele flauszem. Ale dziecinko, przecież wiesz, że twoja mama...

– Nie chcę, żeby mi chłopaki zaglądały do okna. Będę je ściągać, kiedy mama przyjedzie. Pokaże mi pani, jak to uszyć?

Katarzyna Klaja przytaknęła, lecz story uszyła sama. Stwierdziła, że szkoda takiego pięknego, w dodatku bardzo drogiego materiału do nauki. Angela może poeksperymentować na starych ścierkach, za to zasłona musi wyglądać perfekcyjnie, jest wszak wizytówką domu. Tym samym już późnym popołudniem na karniszach zawisły pięknie wykończone story, dodając ciepła zbyt surowo urządzonego pomieszczeniu.

Dziewczyna wreszcie oderwała wzrok od zasłon, jeszcze raz uśmiechnęła się na myśl o własnym sprycie i wzięła do ręki książkę, lecz jakoś nie mogła skupić się na lekturze. Myśli wciąż uciekały do prześladowcy. Czy teraz, kiedy nie będzie mógł jej podglądać, wreszcie da jej spokój? Miała nadzieję, że przerzuci swoje zainteresowanie na inną dziewczynę. Najlepiej na taką, która ma kochającego ojca lub starszego brata czy nawet dwóch. Taką, która nie jest sama na świecie, ma kogoś, kto będzie ją chronić.

Angela nikogo takiego nie miała. Tylko ta Remańska przejęła się jej losem, ale była osobą obcą i niewiele mogła pomóc. Co z tego, że zadzwoniła do mamy? Jedynym skutkiem było, że matka się wściekła i wyskoczyła z pretensjami, że dziewczyna swoimi fanaberiami zepsuła jej pobyt w SPA, po czym jak zwykle zrzuciła odpowiedzialność na męża. A tata? W ogóle nie zareagował na zagrożenie, nie zdobył się nawet na to, by porozmawiać z własną córką. Przysłał tylko SMS-a o treści:



„Jeżeli koniecznie musisz, to przyjeźdź, ale nie licz na moje towarzystwo, bo będę zajęty. Pa”.

– Pa-sra – mamrotała pod nosem, wycierając łzy wierzchem dłoni. Wśród zgromadzonych na stole niezbędników jak na złość nie było chusteczek. – Mam gdzieś twoje „pa”. Niepotrzebnie podałam ci nowy numer.

Z przyzwyczajenia popatrzyła na komórkę i dopiero teraz uświadomiła sobie, że jej prześladowca dzisiaj nie zadzwonił i nie wysłał wiadomości. Czyżby zasłony w oknach rzeczywiście go zniechęciły? Wzięła telefon do ręki, by się upewnić, i w tej samej chwili zawibrował jej w dłoni, a na wyświetlaczu pojawił się napis „Klon”. Tak ochrzciła Klonowicza, twierdząc, że jest tak samo ludzki jak klony z *Gwiezdných wojen*. Jej zdaniem do człowieka upodobniała go tylko zewnętrzna powłoka.

– Halo? – odezwała się, gdy po długim wahaniu dotknęła ikony połączenia.

– Cześć, Angelo.

– Kto mówi?

– Nie udawaj, że nie poznajesz – warknął. – Co ty, do cholery, wyprawiasz? Co to za baba, z którą gadałaś?

Angela z trudem zdobyła się na obojętny ton.

– To była kuzynka pani Krzyżanowskiej. Przyniosła mi notatki i przy okazji pomogła z komputerem, bo wczoraj cały dzień go muliło. Czemu pan o nią pyta?

– Dzwoniła do mnie twoja mama. Podobno nagadałaś tej babie jakichś bredni, że niby ktoś cię prześladowuje i podgląda? To już przestało być śmieszne!

– To nie jest śmieszne już od pięciu miesięcy! – wrzasnęła, porażona niedyskrecją matki, choć właściwie nie powinno jej to dziwić.

– Przestań wreszcie zmyślać! – Klonowicz też krzyczał. – Naprawdę chcesz wylądować w psychiatryku? Namów jakiegoś

chłopaka, żeby ci zrobił dobrze, to przestaną ci się zwidywać faceci pod oknem. Idiotka!

Nigdy dotąd Angela nie odezwała się niegrzecznie do kochanka matki. Zdarzało się, że balansowała na granicy, lecz ostatecznie nie zdobyła się na jej przekroczenie. Aż do dziś.

– Ty podły chamie, gównu cię obchodzi, co ja robię! Odpierdol się ode mnie raz na zawsze. Nie masz prawa mi rozkazywać!

– To się jeszcze zobaczy. Sama nie wiesz, co mówisz.

Klonowicz już nie krzyczał, a pobłażliwy ton, którym zwykł się do niej zwracać, podziałał na nią jak płachta na byka. Naraz coś w niej pękło i nagle wszelkie bariery przestały istnieć.

– Daruj sobie te uwagi. Może rozkazujesz mojej mamie, ale ja nie muszę cię słuchać. I nie muszę znosić tego kretyna, który się onanizuje pod moim oknem. Jutro pojedę do prokuratora i złożę zawiadomienie o stalkingu.

Z wściekłością rozłączyła rozmowę i poszła do łazienki, by przygotować sobie relaksującą kąpiel. Wszystko w niej aż buzowało i miała nadzieję, że gorąca, pachnąca sosnowymi szyszkami woda pomoże jej się wyciszyć.

Kilkakrotnie spuszczała wodę i jej dolewała, nie pozwalając, by zbyt ostygła, a z każdą spędzoną w wannie minutą wracał spokój. Po blisko godzinie, gdy ciało pomarszczyło jej się jak u staruszki, poczuła wreszcie, że gniew i żal minęły. Matka już się nie zmieni, ojciec też nie, pozostaje więc liczyć na siebie. Pomysł z prokuraturą jest świetny, jak dobrze, że przyszedł jej do głowy.

Wstała i właśnie sięgała po ręcznik, gdy wyczuła, że nie jest już w łazience sama.



## Rozdział 8

### Biała pigułka

29 maja 2020, Bystrzyca Wielka

Nadkomisarz był uważnym słuchaczem. Nie przerywał pytaniami, nie wtrącał komentarzy i tylko raz czy dwa poprosił o wyjaśnienie jakiejś kwestii.

– Przynajmniej teraz wiesz, dlaczego dziewczyny postanowiły same rozprawić się z tym zbokiem – odezwał się, gdy Diona zamilkła. – Wiedziały, że Angela nie ma co liczyć na rodziców.

– Na policję też nie liczyły, bo pewnie oceniły całą obsadę komisariatu na podstawie zachowania Klonowicza i starszego posterunkowego Zielińskiego – dodała Dioniza. – Ale fakt, że ci gliniarze są szowinistycznymi dupkami, niezbyt pomoże mi w śledztwie.

Ogiński przytaknął i podjął następną kwestię.

– Z pewnością popełniono błąd, kwalifikując śmierć tej dziewczyny jako samobójstwo. Pomijam już fakt, że pisząc list do rodziców, nie podpisała się jako Klaudia, bo nigdy tak do niej się nie zwracali. Ale jej zachowanie nie wskazuje na żadne samobójcze skłonności. Też uważam, że dopadł ją ten stalker. Tylko dlaczego poszła w stronę domu, zamiast wrócić do Mirskich? Przecież tam byłaby bezpieczna.

Remańskiej również nie dawało to spokoju. Wytypowała trzy możliwe wyjaśnienia i teraz przedstawiła je Szymonowi.

– Możliwe, że podeszła do niego w tak niefortunnie wybranym miejscu, że później nie mogła wrócić do Mirskiej.

Jeśli musiałyby przebiec tuż obok, pewnie wołała nie ryzykować, że gość ją złapie.

Policjant zastanowił się nad tym wariantem i przyznał, że nie należy go wykluczać. Możliwe, że przy planowaniu akcji dziewczyny nie pomyślały o zabezpieczeniu Klaudynie odwrotu. W końcu były zwykłymi uczennicami, nie strategami, którzy zjedli zęby na opracowywaniu kampanii wojennych.

Druga opcja wydała mu się tak samo prawdopodobna. Rzeczywiście Klaudyna mogła spanikować, jeśli wystający przed oknem przyjaciółki mężczyzna ruszył w jej stronę, zamiast zgodnie z ich przewidywaniami rzucić się do ucieczki. Człowiek ogarnięty przerażeniem podświadomie szuka schronienia tam, gdzie zawsze czuł się bezpiecznie, a gdzie byłaby bezpieczniejsza niż we własnym domu?

– Mówiłaś o trzech możliwościach – przypomniał. – Jaka jest trzecia?

Diona zawahała się na moment, a gdy się odezwała, w jej głosie nie było zwykłej pewności siebie.

– Pewnie uznasz to za głupie, ale doszłam do wniosku, że się znali. Klaudyna i ten zboczeniec – sprecyzowała.

– Teraz to chyba cię poniosło – stwierdził z pewnym zaskoczeniem. Po jego minie poznała, że właśnie straciła u niego sporo punktów. – Uważasz, że Poloczek wiedziała, kto prześladowuje przyjaciółkę? Może jeszcze mu ją wystawiła?! W takim razie dlaczego miałby zabijać kogoś, kto mu pomagał?

Słuchała spokojnie, pozwalając mu dokończyć wywód, tylko na ustach błąkał jej się lekki uśmiech.

– Nie masz zbyt wielkiego wyobrażenia o moim intelekcie – odezwała się, gdy zamilkł. – I dorabiasz do moich słów zadziwiającą interpretację. Szymon, w którym miejscu powiedziałam, że Poloczek znała tożsamość stalkera?

– No jak? Mówiłaś, że się znali – wytknął.

– Ale to nie jest tożsame ze stwierdzeniem, że wiedziała, jakie ten zboczeniec ma personalia! – Uniosła głos, poirytowana niedomyślnością policjanta. – Ja też znam wiele osób i umiałabym rozpoznać je na okazaniu, ale choćbyś mnie kroił, nie podam ich nazwisk, bo albo nie pamiętam, albo nigdy ich nie słyszałam.

– Źle cię zrozumiałem.

– Miałam na myśli, że Klaudyna musiała go zobaczyć przy robieniu zdjęcia – wyjaśniła Diona z uśmiechem. – Zaczaiła się, podeszła bliżej, no i rozpoznała, kiedy oświetlił go flesz. Albo i nie. Ważniejsze, że on rozpoznał ją. Zaczął prosić, żeby nikomu nie mówiła, obiecywał, że to się nie powtórzy. Był przestraszony, zawstydzony i wykazywał skruchę, mógł też bredzić o wielkiej miłości do Angeli. Młode dziewczyny kupują takie teksty.

– A starsze nie? Szkoda. – Ogiński odwzajemnił uśmiech, potem spoważniał. – Wychodzi na to, że ciągle muszę cię przeproszać. Sorry, nie brałem pod uwagę takiego scenariusza, a jest możliwy. Co było dalej?

Dioniza skrzywiła się, jakby przedstawiana właśnie hipoteza wywoływała w niej niesmak.

– Jeśli znała go jako faceta niestwarzającego zagrożenia, mogła mu zaufać, kiedy zaproponował, że odprowadzi ją do domu i po drodze opowie, dlaczego robi to, co robi. A kiedy doszli do rozwidlenia dróg, zmusił ją, żeby poszła w stronę lasu, i tam zrobił jej zastrzyk. Resztę załatwiła za niego polska heroina.

– W jaki sposób ją zmusił? – chciał wiedzieć Szymon. – Sterroryzował bronią? Groził najbliższym?

– Nie mam pojęcia – przyznała. – Ale niezależnie od tego, która wersja jest prawdziwa, jakoś musiał ją namówić. Nie zaciągnął tam Klaudyny siłą, bo na jej ciele nie stwierdzono żadnych obrażeń.

– Czyli użył jakiegoś narzędzia perswazji – zgodził się nadkomisarz. – Nie sądzę, by miał broń. W końcu to żaden kiler, tylko zwykły zbok. Prędeż zagroził, że skrzywdzi rodzinę lub coś w tym stylu. Jak wygląda topografia? – spytał po namyśle. – Możesz to rozrysować? Chciałbym się zorientować, kto gdzie stał.

Diona skinęła głową i sięgnęła po notatnik.

– Położenie budynku względem drogi z zaznaczeniem okna Angeli i odległość od domu do bocznej drogi? – upewniła się.

Mężczyzna potwierdził, więc dziewczyna pochyliła się nad czystą stronicą i zaczęła szkicować, zazdrośnie zasłaniając powstający rysunek lewą ręką. Ogiński przyglądał jej się z uśmiechem. Potem podszedł do ekspresu i włączył urządzenie, założywszy, że skoro on ma ochotę na jeszcze jedną kawę, ona z pewnością też. W pierwszej chwili chciał urozmaicić sobie czas oczekiwania papierosem, lecz po krótkim namyśle zrezygnował. Przyjemniej będzie zapalić w towarzystwie.

– Mam to – zawołała po chwili. – Szymon, zobacz. Posesja Mirskich znajduje się na rogu ulicy głównej i bocznej. Najpierw jest ogród, potem budynek i znowu ogród. Dom jest odgradzony od drogi kępami cisów. Na prawo od wejścia są dwa okna pokoju Angeli, a tu, za tą kępą, zaczynał się nasz onanista.

– Może twój, ja go nie chcę – sprzeciwił się policjant, czym wywołał uśmiech na twarzy detektywki.

– Ja też za niego podziękuję – oznajmiła ze sztuczną powagą.  
– Onanista na nic mi się nie przyda. Wolę pracę zespołową. Ale musisz przyznać, że znalazł sobie całkiem niezłą miejscówkę. Dokładnie naprzeciwko domu Mirskich znajduje się nieogrodzona działka, na której rośnie mnóstwo wybujałych tui, a pomiędzy nimi krzaki jałowca, ostrokrzewu i bukszpanu. To znaczy, z bukszpanów zostały tylko suche

badyle, bo zeżarła je ćma. Nieważne, i tak gąszcz tam cholerny, zasłania wszystko i nie ma szans, żeby można było coś zobaczyć z sąsiedniej posesji.

Ogiński przyglądał się uważnie szkicowi, starając się powściągnąć rozbawienie. W końcu nie wytrzymał.

– Ten rysunek jest jedyny w swoim rodzaju. Nie chcę cię martwić, ale van Goghiem to ty nie jesteś.

Diona spojrzała krytycznie na własne dzieło i parsknęła śmiechem. Rysunek rzeczywiście wyglądał żałośnie. Podejrzewała, że niejeden pięciolatek umiałby lepiej przenieść na papier oglądany niedawno widok.

– Ciesz się, że nie było tam zwierząt.

– Nie było? Jesteś pewna? To co tu robi ta kobra?

Nadkomisarz dotknął palcem miejsca na skraju tujowego gąszczu, gdzie zza wielkiego krzaka wychylała się podłużna głowa osadzona na bardzo długiej szyi, ozdobiona szerokim kapturem.

– To Klaudyna. Trochę mi nie wyszła.

– Trochę!?! A ten kaptur skąd się wziął?

– To włosy – wyjaśniła dziewczyna. – Ciesz się, że nie nosi dredów, bo pewnie upodobniłabym ją do łosia. Idziesz zapalić?

Usiedli na ławce przed domem i omawiali rysunek. Wynikało z niego, że schowana po drugiej stronie drogi Klaudyna była niewidoczna dla prześladowcy. Jednak błysk flesza musiał ją zdradzić, podejrzewali także, że zakradła się bliżej, żeby zdjęcie było wyraźniejsze. Prócz tego chciała przecież uwiecznić jego twarz, nie plecy, musiała zatem przejść przez drogę i także stanąć przy płocie.

– Dwie idiotki – pieklił się Szymon. – Po cholere wymyśliły kryjówkę po drugiej stronie drogi? Byłoby wygodniej i bezpieczniej, gdyby Klaudyna zaczęła się w ogrodzie. Miałyby tego zboczeńca na wprost, w dodatku nie musiałyby nigdzie uciekać. Trzy kroki i już byłaby na progu.



– Nic z tego – zaproponowała Diona. – W ogródku przed domem rosną tylko róże.

– I co z tego?

– Bardzo dużo. Kobieta zajmująca się ogrodem przycina te róże i okrywa przed mrozem, a nie zapominaj, że mówimy o połowie lutego. Pod względem roślinności to miejsce musi przypominać w zimie islandzki krajobraz.

– W takim razie cofam te idiotki – sumitował się Ogiński. Nie wyglądał przy tym na kogoś, komu przyznanie się do błędu sprawia niemal fizyczny ból, co Diona odnotowała z prawdziwą radością. – Niepotrzebnie powiedziałaś o Islandii. Cholernie tu zimno, w dodatku ciemno jak w grobie. Wracamy?

Istotnie zmrok zapadł już zupełny, a w powietrzu wyczuwało się nocny chłód, wzmagany jeszcze silnym wiatrem. Siedzenie przed domem nie sprawiało teraz żadnej przyjemności, toteż szybko wypalili i weszli do domu.

– Zgłodniałam. – Dioniza pochyliła się nad lodówką i wyjęła kilka zawiniątek. – Co wolisz? Kanapki z wędliną od Nowosielskiego czy grzane parówki z musztardą? Za ich jakość nie ręczę, bo kupiłam je w tutejszym sklepie.

Wcale jej nie zdziwiło, że Ogiński wybrał kanapki. Od kiedy strzygowski hodowca tuczników, Jacek Nowosielski, rozszerzył działalność o produkcję wędlin, niemal wszyscy mieszkańcy gminy Jodłowiec kupowali jego wyroby. Kosztowały wprawdzie więcej niż te z marketu, ale jakością przebijały wszystkie inne. Do głosu doszły też patriotyzm lokalny oraz zwykła ludzka przyzwoitość. Wszyscy wiedzieli, że Nowosielski nie przyjmie pomocy materialnej, kupowali więc u niego, dla nikogo bowiem nie było tajemnicą, że Jacek każdy grosz wydaje na rehabilitację niepełnosprawnej córki.

Szymon zdjął kurtkę, by pozostać w koszulce z krótkimi rękawami, i zabrał się do przygotowywania kanapek, Diona zaś robiła w tym czasie herbatę. Co jakiś czas zerkała na

tatuaż, spod którego przebijały litery CHWDP. W dalszym ciągu nie wiedziała, jak zapytać o jego pochodzenie, by nie wyjść na wścibską plotkarę.

– Przydałoby się coś na górę. Masz pomidory albo ogórki?

Ogórkami nie dysponowała, za to w szafce znalazł we wskazanym miejscu trzy pomidory na gałązce, a w pojemniku na dolnej półce lodówki czerwieniły się rzodkiewki. Opłukał warzywa nad zlewem i sięgnął po nóż.

– Zostaw! Nie podżeraj, bo dostaniesz parchów na języku.

Na poparcie swoich słów pacnął Dionę wolną ręką po dłoni sięgającej po plaster błyszczącego kropelkami wody pomidora.

– Głodna jestem – jęknęła żałośnie, lecz Ogiński nie okazał nawet cienia litości i przezornie odsunął jarzyny poza zasięg jej rąk.

– Podobno bez jedzenia można przeżyć czterdzieści dni, więc tak od razu nie umrzesz – zauważył, jej zdaniem bezwzględnie i okrutnie. – Nie jęcz, tylko powiedz, czy dotarłaś do kobiety, która wróżyła Robertowi śmierć za grzechy.

– Do starej Helki? Nie miałam jeszcze z nią przyjemności, ale o księdzu udało mi się co nieco dowiedzieć.

Przekazała mu informacje pozyskane od teściowej Agnieszki, wtrącając od czasu do czasu własne uwagi. Ogiński wyglądał na zasłuchanego i tak często spoglądał na Dionę, że zaczęła się martwić o całość jego palców. Kiedy jednak wyraziła głośno swoje obawy, zbył tę troskę machnięciem ręki.

– Nigdy nie słyszałaś o dzieleniu ekranu?

– I niby twoja uwaga jest podzielna jak ekran? – Diona prychnęła i wzniosła oczy do nieba. – Zarozumialec. Podzielna uwaga? Akurat! Chrzanisz się z krojeniem, jakbyś tworzył kurpiowskie wycinanki...

Nie pozwolił jej dokończyć.

– Już pokroiłem. Nałóż to na kromki, a ja tu trochę ogarnę.

Uprzątnięcie blatu nie zajęło zbyt wiele czasu i wkrótce zasiedli do posiłku. Po zaspokojeniu pierwszego głodu Remańska wróciła do opowiadania.

– Z tego Kieliszka był kawał chytrego gnoja. Niby zawrócił ze złej drogi, ale to mu nie przeszkodziło wymuszać na wiernych, by to oni zapłacili za jego przeszłe grzechy.

– To znaczy? – spytał Szymon nieco niewyraźnie, walcząc jednocześnie z wielkim kęsem kanapki.

– Sukinsyn wymyślił sobie sprytny sposób na to, jak spłacić długi u karczmarza. Wprowadził tak drakońskie zasady, że niemal wszystko uznawał za grzech. A jak ogólnie wiadomo, grzesznicy umierają straszliwą śmiercią i nie mają co liczyć na zbawienie. Ale można kupić sobie odpust.

Ogiński odłożył niedojedzoną kromkę i ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Faktycznie spryciarz. Jak znam życie, od tamtej pory wszystkie nagłe śmierci tłumaczył tym, że jakiś Józef czy Władek poskapił grosza, by zbawić duszę, i spadła na niego kara boska. Ale co Gredtke ma z tym wspólnego?

– Gredtke? Zupełnie nic. – Diona sięgnęła po nadgryzioną kromkę. – Krzyżanowska mówiła, że we wsi żyje kilka dewotek, które twierdzą, że Kieliszek nawet po śmierci pilnuje, czy wszyscy w okolicy żyją wedle przykazań Bożych. Ostrzegają młodych przed grzechem rozpusty i straszą wszelkimi plagami. Stąd ta uwaga Helki. Rozumiesz? Babska uznały, że Klaudyna zgrzeszyła, więc ksiądz ją ukarał.

– Rozumiem, że cierpią na ostry syndrom niedorzęcnia i zwyczajnie zazdroszczą młodym życia erotycznego, które dla nich jest niedostępne – roześmiał się Szymon. – Ty też zgrzeszyłaś. Ukradłaś mi kromkę.

Czym prędzej władowała sobie chleb do ust i przeżuła szybko, jakby w obawie, że mężczyzna odbierze go siłą. Potem posłała mu zniewalający uśmiech.

– Myślałam, że nie będziesz tego jadł. Możesz zrobić sobie nową. Idziemy palić?

Mężczyzna popatrzył na zegarek i skrzywił się lekko.

– Na mnie już pora – powiedział z wyraźnym żalem. – Pierwsza randka powinna się skończyć o przyzwoitej porze.

Przyciągnął Dionę do siebie i mocno pocałował, potem wypuścił ją z objęć i sięgnął po kurtkę. Dziewczyna obserwowała go spod zmrużonych powiek.

– Kiedy się zobaczymy?

– Jutro. Przyjadę zaraz po dyżurze. – Pochylił się i delikatnie musnął wargami jej usta. – Muszę ci o czymś powiedzieć. Miałem to zrobić dzisiaj, ale zabrakło czasu.

Wyszedł, nim zdążyła się odezwać.

\*

Angela błyskawicznie odwróciła się w stronę drzwi i zmartwiała. Choć bardzo chciała uznać je za bezpodstawne, podświadome poczucie zagrożenia miało swoje uzasadnienie. W progu łazienki rzeczywiście ktoś stał. W dodatku był to ktoś dobrze jej znany.

– Co tu robisz?

Nie zdawała sobie sprawy, że powieliła idiotyczne zachowanie bohaterki horrorów, choć tyle razy bezlitośnie je wykpiwała. Sięgnęła po ręcznik, by zakryć nagość, lecz intruz na to nie pozwolił. Schwycił róg tkaniny i pociągnął, a szarpnięcie pozbawiło Angelę równowagi. Poleciała do przodu, uderzając przy tym boleśnie łydkami w obudowę wanny, i zamachała rozpaczliwie rękami, by czegoś się złapać.

Skwitował jej wysiłki głośnym śmiechem, potem doskoczył i ujął ją za ramię, zapobiegając upadkowi. Wyszła z wanny i gwałtownie odskoczyła w bok, by się wyrwać, lecz

nieproszony gość był na to przygotowany i próba spełzała na niczym.

– Pytałaś, co tu robię. To chyba oczywiste. Pilnuję tego, co moje.

– Wynoś się!

Z całej siły kopnęła go bosą stopą w łydkę tak, jak to robili bohaterowie filmów akcji. W następnej chwili zawyła z bólu, napastnik natomiast nawet nie drgnął.

– To nic nie da.

Z twarzy nawet na moment nie zniknął mu uśmiech. Tkwił tam jak przyklejony i przerażał Angelę nie mniej niż ton głosu intruza, pozornie łagodny, a w gruncie rzeczy straszny, pełen jakiejś desperackiej determinacji.

– Puść mnie, bo będę krzyczeć!

– To wrzeszcz – odpowiedział z obojętną miną. – Mam na to wyjebane. I tak nikt cię nie usłyszy.

Angela z trudem powstrzymała rodzący się w gardle szloch. Nie chciała dawać mu satysfakcji, niech myśli, że jeszcze została w niej wola walki. Niestety zdawała sobie sprawę z tego, że napastnik ma rację. Dom stał w oddaleniu od innych i choćby wypluła płuca, jej krzyk będzie daremny. Na ucieczkę nie miała żadnych szans, był zbyt silny. Może powinna jakoś go zagadać? Ale jak?

Postanowiła na razie wykonywać bez sprzeciwu jego polecenia i czekać stosownej chwili. *Stosownej do czego?* – przemknęło jej przez myśl, lecz nie chciała się teraz nad tym zastanawiać. Czas pokaże.

Intruz pociągnął ją w stronę kuchni. Przed oczami stanął jej zawieszony nad blatem reling z przytwierdzoną magnesami kolekcją noży, poszła więc posłusznie, upatrując w tym swojej szansy. Gdy zbliżyli się do lodówki, kazał jej wyjąć jakiś napój. Kiwnęła głową, choć dobrze wiedziała, że niczego takiego tam nie ma, gdyż niedawno dopiła resztkę sprite'a. Wymacała obłą

puszkę gulaszu angielskiego i zacisnęła na niej dłoń, potem odwróciła się błyskawicznie, jednocześnie wyprowadzając zamach zza pleców.

Napastnik był szybki. Tak szybki, że nie zdążyła wyhamować impetu, gdy nagle uskoczył w bok, i byłaby poleciała na ścianę, gdyby jej nie złapał. Puszka wypadła jej z ręki, lecz Angela nie rezygnowała. Tym razem zadała cios kolanem i trafiła. Co prawda uderzyła zbyt słabo, by wyeliminować stalkera z gry, ale wystarczająco mocno, by bezwiednie wypuścił jej ramię i powędrował rękami do krocza.

Dziewczyna doskoczyła do relingu, schwyciła pierwszy lepszy nóż, lecz nie zaatakowała przeciwnika. Wiedziała doskonale, że musiałaby zbliżyć się do niego co najmniej na długość ramienia, a on miał dłuższe ręce. Popędziła więc w stronę drzwi w złudnej nadziei, że zdąży wybiec z domu i wezwać pomoc, ale nie zdołała nawet przekroczyć progu, gdy znów ją dopadł, złapał wpół i przeniósł na środek kuchni.

– Nie denerwuj się – mamrotał pod nosem.

Pewna, że mówi do niej, aż zatrzęsała się ze złości.

– Mam się nie denerwować?! – wrzasnęła. – Nienormalny jesteś?!

Nie zważała już, że może go rozjuszyć. Po ostatniej desperackiej próbie wyrwania się z jego rąk straciła nadzieję, że uda jej się uciec. Wiedziała, co ją czeka. Nie znaczyło to jednak, że nie mogła choć trochę uprzykrzyć mu życia.

Intruz zignorował jej okrzyk i znowu powiedział niewyraźnie:

– Opanuj się. Panuj nad sobą, inaczej popełnisz błąd. Nie szalej, nie wściekaj się, bo to głupie i niebezpieczne. – Nagle zwrócił w stronę Angeli błyszczące szaleństwem oczy. – Słyszysz, idiotko?! Nie będę cię bić, ale lepiej mnie nie prowokuj, bo mogę zapomnieć, czego mnie uczył.

– Kto cię uczył? – spytała szybko.

Napastnik roześmiał się chrapliwie.

– Zapomnij! Dosyć tego pierdolenia. Nalej sobie wody i popij tabletkę.

Podsunał jej otwartą dłoń, na której leżała biała pigułka. Na ten widok Angela cofnęła się o krok i plecami dotknęła ściany. Dalej nie mogła już się przesunąć.

– Połknij to! – ryknął jej nad uchem. – Włóż do gęby i popij albo tak ci jebnę, że ci głowa dupą wyjdzie!

Widziała, że wbrew temu, co przed chwilą mamrotał, jednak przestawał nad sobą panować. Może powinna go rozzłościć, sprowokować, by ją pobił? Wtedy policja nie mogłaby zamieść sprawy pod dywan, jak w przypadku śmierci Klaudii. Angela przeczuwała, że nie przeżyje tej nocy, i bardzo chciała pozostawić śledczym jakąś wskazówkę. Gdy jednak popatrzyła w gorejące szaleństwem oczy, resztką odwagi gdzieś uleciała.

– Jestem cholernym tchórzem – szepnęła i połknęła pigułkę.

\*

– Chryste, co za bajzel!

Wiedział, że widok nie będzie piękny, ale nie spodziewał się takiego bałaganu i przez jakiś czas stał bez ruchu, nie wiedząc, co powinien zrobić. Wreszcie otrząsnął się z marazmu i przeszedł do działania. Przede wszystkim własne bezpieczeństwo, dopiero potem reszta. Nie był aż takim altruistą, by cierpieć za nie swoje winy.

Posykiwał z bólu, gdy nitryl boleśnie urazał zraniony niedawno palec, ale w końcu udało mu się naciągnąć rękawiczki. Kilka razy splótł palce i zatarł dłonie, by materiał dobrze przylgnął do ciała, potem dokładnie je obejrzał w poszukiwaniu ewentualnego uszkodzenia. Przeszedł do działania dopiero wtedy, gdy zyskał całkowitą pewność, że wszystko jest w porządku.

Nie spieszył się. Czasu miał aż nadto, tak samo jak pewności, że nikt go tu nie nakryje. Podszedł do łóżka i dość długo przyglądał się leżącej, przyświecając sobie małą ledową latarką. Mimo że dziewczyna była naga, na jej widok nie poczuł podniecenia, tylko ogromny niesmak.

– Co za ohyda – mruknął na widok zaschniętego nasienia na jej szeroko rozwartych udach. – Brudna dziwka. Tfu! Jak można się tak zeszmacić?

Przemagając odrazę, pochylił się i dotknął jej szyi, by sprawdzić puls. Bił wolno, ale regularnie.

– To dobrze – powiedział w zamyśleniu i dodał w myślach: – *W ten sposób wykażę, że czas naprawdę jest pojęciem względnym.*

Podniósł poduszkę i wsunął nieprzytomnej pod głowę, potem przeskanował wzrokiem jej ciało. Nie znalazł żadnych obrażeń, więc obrócił ją na brzuch, a gdy zobaczył plamę krwi na prześcieradle, po jego twarzy przewiął się smutny uśmiech. *Więc jednak była dziewicą, pomyślał z żalem. Ale już nie jest!* Wzrok mu stwardniał, uśmiech zniknął, zastąpiony pełnym pogardy grymasem. *Sama jest sobie winna. Gdyby się nie skurwiła...*

Odsunął od siebie nieprzyjemne myśli i znowu dokładnie przyjrzał się ciału dziewczyny. Gdy zyskał pewność, że nie została pobita lub okaleczona, odetchnął z wyraźną ulgą. Wcale nie było tak źle.

Poprawił prześcieradło, strzepnął skłębioną w nogach łóżka kołdrę i przykrył leżącą. Od razu poczuł się lepiej, gdy nie musiał patrzeć na jej bezwstydną nagość. Teraz praca szła mu znacznie szybciej. Ustawił przewrócony fotel, pozbierał z podłogi rozkruszone ciastka i rozdeptanego banana, przetarł stolik zwilżoną chusteczką higieniczną i poszedł do kuchni. Wsypał śmieci i na wszelki wypadek wymył dokładnie stojącą w zlewie szklankę. Wiedział dobrze, że diabeł tkwi



w szczegółach. Nie zauważył jednak, że jedna z rękawiczek pękła, odsłaniając ranę, która pod wpływem kontaktu z gorącą wodą znów zaczęła krwawić.

Zajrzał jeszcze do łazienki z zamiarem wypuszczenia wody z wanny, lecz wstrzymał się w ostatniej chwili. Nie, nie będzie tego ruszać. Dziewczyna wzięła kąpiel przed seksem i tak się spieszyła do łóżka, że zapomniała posprzątać. Logiczne i prawdopodobne? Jak najbardziej.

Zawrócił do pokoju, usiadł w fotelu i pograżył się w półśnie, czujny na każdą zmianę oddechu dziewczyny. Po dwóch godzinach poruszyła się, a jego uszu dobiegł cichy jęk. Zatem to już koniec.

Wydobył z kieszeni strzykawkę, założył igłę i przewiązał ramię śpiącej paskiem od szlafroka, znów urażając zraniony palec. Posykując z bólu, powoli wkłuł się w żyłę i nacisnął tłoczek, wprowadzając do krwiobiegu całą zawartość strzykawki. Wyprostował zgarbione plecy, jeszcze raz oświetlił latarką twarz dziewczyny i ruszył ku drzwiom.



## Rozdział 9

### Policjant i Diona

30 maja 2020, Bystrzyca Wielka

Poprzedniego wieczoru Dioniza nie doczekała się wiadomości od Angeli, choć dziewczyna obiecała, że po rozmowie z rodzicami poinformuje detektywkę o ustaleniach. Przy porannej kawie Remańska sprawdziła pocztę, a gdy przekonała się, że Mirska nadal nie wysłała żadnej wiadomości, postanowiła po śniadaniu pofatygować się do niej osobiście. Czuła się odpowiedzialna za bezpieczeństwo nastolatki, dlatego musiała się dowiedzieć, czy jej lekceważący zagrożenie rodzice wreszcie przejrżeli na oczy.

Dom wyglądał na opuszczony. Takie wrażenie odniosła Diona, co było o tyle dziwne, że nic się w nim nie zmieniło, wczoraj prezentował się dokładnie tak samo. A jednak Remańska wcale nie poczuła zaskoczenia, gdy nikt nie zareagował na dzwonek. Dla spokoju sumienia zadzwoniła jeszcze kilka razy, potem pchnęła furtkę i weszła na posesję.

Drzwi okazały się zamknięte na klucz, co nieco ją uspokoiło, ale nie zamierzała poprzestać na ich sprawdzeniu. Dla zyskania pewności obeszła cały budynek, przyglądając się bacznie wszystkim oknom, nim wreszcie odetchnęła z ulgą. Żadne nie było nawet odrobinę uchylone.

Zmierzała właśnie w stronę furtki, gdy przy krawężniku zatrzymał się radiowóz. Wsiadł z niego widziany przy sklepie

aspirant, oparł się o maskę i spoglądał w kierunku nadchodzącej detektywki. Niewątpliwie na nią czekał.

– Co pani tu robi? – spytał, gdy zamknęła za sobą furtkę. – Dokumenty proszę.

Diona zerknęła na imiennik przyczepiony do mundurowej bluzy.

– S. Klonowicz – odczytała głośno. – „S” to Stefan? A może Stanisław? – udała zaciekawienie, choć dobrze wiedziała, z kim ma do czynienia. – Dzień dobry, panie aspirancie. – Położyła nacisk na dwa pierwsze słowa. – Dioniza Remańska. Przyszłam odwiedzić Angelę Mirską, ale pocałowałam klamkę.

Wyjęła z kieszeni bojówek etui na dokumenty i podała policjantowi dowód osobisty. Studiował go tak długo, jakby uczył się na pamięć jej danych osobowych, a ona skorzystała z okazji, by lepiej mu się przyjrzeć. Rzeczywiście był niesamowicie pociągający. Wysoki, postawny, o niemal idealnych rysach twarzy, z której spoglądały intensywnie niebieskie oczy okolone długimi jak u dziewczyny rzęsami.

W tej właśnie chwili te podziwiane przez nią oczy podniosły się znad dokumentu i przyjrzały się bardzo uważnie jego właścicielce.

– Gdzie pani mieszka?

– W Strzygomiu.

Klonowicz w zamyśleniu postukał dokumentem o otwartą dłoń.

– Strzygom... To chyba w powiecie żywieckim? Gmina Jodłowiec, prawda? Pani tu na wczasach? – Nie czekając na odpowiedź, dorzucił: – Za daleko to pani nie wyjechała.

Oskarżycielski ton od razu doprowadził Dionę do wrzenia.

– Przepraszam, ale czy jest jakiś przepis zakazujący bliskich wyjazdów na wypoczynek? Przyjechałam na kilka dni do kuzynki. Nie wiedziałam, że to nielegalne.

Aspirant zignorował jej uwagi, powrócił natomiast do poprzedniego tematu:

– Czy zawsze pani wchodzi na cudzą posesję pod nieobecność właścicieli?

– Czasami się zdarza – odpowiedziała spokojnie. – Najczęściej wtedy, gdy obawiam się o bezpieczeństwo mieszkających tam ludzi.

– I pani miałaby ich ochronić? Ciekawe, w jaki sposób. Machając rękami?

Uznała za zastanawiające, że zainteresował się akurat jej przydatnością w chronieniu innych, choć większość ludzi spytałaby natychmiast, kto i co zagraża mieszkańcom. Fakt, że całkowicie pominął tę kwestię, świadczył, że temat nie był mu obcy. Gdyby w ogóle miała jakiegokolwiek wątpliwości co do zwierzeń Angeli, teraz musiałyby się rozwiać. Dziewczyna mówiła prawdę.

– Pokonałabym ich urokiem osobistym – odpowiedziała z lekkim roztargnieniem, zajęta rozważaniami. Natychmiast zauważyła skrzywienie ust świadczące o braku poczucia humoru i czym prędzej dodała, by nie zaognić sytuacji: – A mówiąc poważnie, to po prostu zadzwoniłabym pod sto dwanaście.

Aspirant spojrział na nią przeciągle i postukał kantem dokumentu w otwartą dłoń. Nie zamierzał odpuścić.

– Rozumiem. A nie pomyślała pani, że Mirska mogła zwyczajnie wyjść na zakupy czy do koleżanki? Skąd od razu obawy o jej bezpieczeństwo?

Remańska zastanawiała się gorączkowo, czy powinna powiedzieć prawdę. Może lepiej ją zataić i wymyślić coś na poczekaniu? Podejrzewała jednak, że Weronika Mirska mogła przekazać kochankowi treść rozmowy, skoro bez żadnych oporów informowała go o sprawach dotyczących jej własnej córki. Jeśli rzeczywiście zdradziła policjantowi, o czym

rozmawiały, Klonowicz natychmiast nabierze podejrzeń. A wówczas wystarczy mu wykonać kilka telefonów, by zorientować się w prawdziwej roli Diony.

Wzięła głęboki oddech i zaproponowała:

– Wsiądźmy może do radiowozu. To będzie dość długie opowiadanie.

Aspirant uniósł brwi, lecz nie skomentował wypowiedzi i tylko gestem zaprosił, by zajęła miejsce w samochodzie. Równowocześnie z trzaśnięciem drzwiami zaczęła mówić. Starła się trzymać prawdy tam, gdzie było to możliwe, gdyż doświadczenie nauczyło ją, że tak jest najbezpieczniej i najłatwiej. Im mniej kłamstw, które ciągle trzeba pamiętać, tym mniejsze prawdopodobieństwo zapomnienia lub pomieszania wymyślonych historyjek.

Klonowicz jej nie przerywał, z jego twarzy również nie mogła wyczytać, jak przyjmuje opowieść, w której obsadzono go w roli czarnego charakteru. Nie chciała go sprowokować ani rozżłościć, a jedynie sprawdzić, czy posunie się do gróźb. Wówczas sprawa byłaby jasna. Prócz tego naprawdę martwiła się o Angelę i miała nadzieję, że aspirant się orientuje, gdzie dziewczyna przebywa i czy jest bezpieczna. Bądź co bądź sypiał z jej matką i chyba chwilami wcielał się w rolę ojca.

– Weszłam na posesję Mirskich, bo się o nią martwię. Zaznaczam, że furтка nie była zamknięta na klucz, więc o żadnym włamaniu czy zniszczeniu mienia nie może być mowy – podkreśliła, żeby nie wpadł na pomysł zatrzymania jej pod byle pretekstem.

Po twarzy Klonowicza przebiegł cień uśmiechu. Zniknął jednak tak szybko, że nie była pewna, czy jej się nie przywidziało.

– Tak się zastanawiam, dlaczego młoda i ładna kobieta już na drugi dzień po przyjeździe na wypoczynek angażuje się

w sprawy obcej nastolatki. Powinna pani leżeć w hamaku z drinkiem w ręce albo poderwać jakiegoś przystojniaka.

– Czyżby pan się oferował? – zażartowała.

– Jestem żonaty – odparł sztywno i jakby ze zgorzaniem.

– Okej, przecież nie mówiłam poważnie. Nie musi pan jeszcze szykować dla mnie stosu. Zawsze odbiera pan cudze wypowiedzi tak literalnie? – Nie zareagował, więc kontynuowała: – Powód mojego zainteresowania Mirską jest tak prosty, że aż banalny. Otóż, jak panu zapewne wiadomo, moja kuzynka jest nauczycielką. W czwartek na zdalnej lekcji omawiała nową partię materiału i Angela zgłosiła jej, że ma problem ze zrozumieniem tematu. Agnieszka obiecała podesłać jej notatki, a gdy wychodziłam, prosiła, żebym załatwiła to za nią.

– Nie mogła sama się pofatygować? – Aspirant zmarszczył brwi. – Przecież szkoły są zamknięte, więc ma wolne.

– Wolne? – oburzyła się Remańska w imieniu rzekomej kuzynki. – Przecież prowadzi lekcje on-line, w dodatku musi się do nich dokładnie przygotowywać, bo dla niej nauka przez komunikator też jest nowością. Musi również pomagać synowi, gdyż chłopak jest wyjątkowo niekompatybilny z komputerem.

Klonowicz skwitował wyjaśnienia nieznacznym skinieniem i w zamyśleniu zapatrzył się w szybę, o którą od kilku minut uderzały drobne krople deszczu. Po pewnym czasie przeniósł uważne spojrzenie na Dionizę.

– Będę z panią szczery. Traktuję Angelę jak córkę, dlatego ciężko mi o tym mówić. Niestety dziewczyna ma poważne problemy. Psychiczne – wyznał ze smutkiem, a gdy się zachnęła, poprosił: – Niech mi pani pozwoli dokończyć. Ja pozwoliłem, chociaż po pierwszych słowach pani opowieść nie zapowiadała się na wiarygodną.

Ze słów policjanta wynikało, że po tym, jak tuż przed świętami Angelę rzucił chłopak, zaczęło się z nią dzieć coś

niedobrego. Twierdziła, że ktoś ją śledzi, ale nie miała nic na poparcie swoich słów. Prawdopodobnie dlatego, że nikt nie uwierzył w istnienie tajemniczego wielbiciela, dziewczyna posunęła się dalej i wymyśliła, iż teraz stalker czai się pod jej oknem i przesyła MMS-y z aktami masturbacji.

Wyjaśnienie aspiranta było logiczne, a głos brzmiał tak szczerze, że Remańska zawahała się w swoim przeświadczeniu. Pewności jednak dalej nie miała.

– Przysyłał jej zdjęcia i SMS-y – zauważyła.

Policjant skwitował jej słowa lekceważącym półuśmiechem.

– Nie słyszała pani o selfie? Zakup drugiego telefonu również nie jest problemem dla kogoś, kto dostaje tak wysokie kieszonkowe.

– A filmiki z onanizującym się facetem? Pokazała mi kilka, więc wiem, że istniały. A może pan uważa, że sama je nagrała?

Klonowicz roześmiał się niewesoło.

– Nigdy nie dostała pani takiego filmu od jakiegoś świra? Poza tym na Chomiku pełno jest tego typu arcydzieł.

Znowu miał rację. Na portalu Chomikuj.pl można było znaleźć niemal wszystko, nie było tam chyba tylko pornografii dziecięcej.

– Musiał być pan tak okrutny, kiedy przyszła zgłosić stalking?

– Poprosiła mnie o to jej matka. Myślała, że dzięki temu dziewczyna przerzuci zainteresowanie na coś innego, niestety Angela okazała się odporna na wszelkie argumenty. – Aspirant skrzywił się i dorzucił z niewesołym uśmiechem: – Ostrzegałem Weronikę, że to nic nie da, ale nie posłuchała, a potem ja wyszedłem przed Angelą na tego złego.

Diona użyła ostatniego argumentu.

– Jeżeli Angela jest chora, dlaczego wmawiał jej pan, że oddał telefon? I czemu ją pan wyśmiał, kiedy po śmierci



Klaudyny Poloczek przyszła na komisariat? Przecież to mogło pogorszyć sprawę.

Głos aspiranta stwardniał.

– Niczego jej nie wmawiałem. Angela rzeczywiście zabrała z sobą ten telefon. I nie wyśmiewałem się z niej, tylko spokojnie wyjaśniłem, że jej koleżanka naprawdę popełniła samobójstwo i ten fakt nie budzi żadnych wątpliwości. Nie rozumie pani, że patologiczne kłamanie jest jednym z objawów choroby?

Czyżby naprawdę pozwoliła, by nastolatka wyprowadziła ją w pole? Nie było żadnego stalkera-onanisty i zasadzki przed domem, a co za tym idzie, śmierć Klaudyny nie miała żadnego związku z historią opowiedzianą przez Angelę?

Nim zdążyła się nad tym głębiej zastanowić, ktoś zastukał w szybę od strony kierowcy. Remańska zobaczyła mężczyznę dobrze po czterdziestce, ubranego w policyjny mundur. Na pagonach miał cztery gwiazdki na szaszłyku, domyśliła się więc, że spogląda na aspiranta sztabowego Jana Ścieszkę.

– Masz coś ciekawego? – spytał, gdy Klonowicz opuścił szybę.

Wysłuchał relacji ze spotkania z Dionizą, a gdy dowiedział się o jej obawach o bezpieczeństwo Angeli w związku ze śmiercią Poloczek, wykrzywił ascetyczną twarz w pogardliwym grymasie.

– Teraz dziewczęta w ogóle się nie szanują. Puszczają się bez opamiętania, a potem jest płacz. Dostała to, na co zasłużyła.

Zasalutował niedbale i odszedł, a Diona potarła skronie, jakby chciała się upewnić, że czaszka jest cała. Od rewelacji Klonowicza i bezdusznej opinii Ścieszki na temat Klaudyny rozboleła ją głowa, toteż detektywka marzyła jedynie o powrocie do domu, gdzie będzie mogła zażyć tabletkę ketonalu i wcisnąć twarz w poduszkę.

Obserwujący ją policjant prawidłowo odczytał ten gest.

– Boli panią głowa – stwierdził i zapuścił silnik. – Odwiozę panią do Krzyżanowskiej. Czy to migrena?

– Na szczęście nie. – Z trudem zdobyła się na uśmiech. – Wie pan, gdzie obecnie przebywa Angela?

– Pojechała do ojca. W Belgii psychiatria jest na wyższym poziomie niż w Polsce. – Aspirant wyglądał na poirytowanego.

– Oczywiście ten dupek próbował się wymigać i Weronika musiała go zaszantażować, żeby się zgodził to załatwić.

– Czy to bezpieczne, żeby w tym stanie podróżowała sama?

– Na nic innego nie chciała się zgodzić. Zresztą zachowuje się całkiem zwyczajnie, jeśli nie liczyć tego drobnego defektu. Już nie musi się pani o nią martwić.

Postąpiła zgodnie z radą policjanta i nie spytała o nic więcej. Zresztą ból stał się tak dotkliwy, że nie miała siły rozmawiać i ostatecznie metry przebyli w kompletnym milczeniu. Klonowicz zatrzymał się tuż przed furką i podał jej dowód osobisty, o którym zupełnie zapomniała. Podziękowała i wysiadła z radiowozu, potem powlokła się do wynajętego pokoju, całkowicie wyczerpana z sił.

Obudziła się późnym popołudniem. Ból głowy ustąpił, pozostawiając po sobie ośpienie i sztywność karku. Diona zrobiła po kilka skłonów, przysiadów i pompek, po czym uznała, że na dziś to wystarczy. Teraz pora coś zjeść, ale najpierw kawa i papieros.

Z kubkiem w ręce wyszła przed dom. Deszcz musiał ustać już dość dawno temu, usiadła więc na ławce, gdzie tylko na środku pozostały resztki wilgoci. Pociągnęła solidny łyk, zapaliła papierosa i popatrzyła na wyświetlacz komórki, by sprawdzić wiadomości. Ze zdumieniem zobaczyła cyferkę pięć przy ikonie przedstawiającej zieloną słuchawkę. Pięć nieodebranych rozmów? W takim razie musiała zasnąć naprawdę bardzo głęboko. Po chwili wiedziała już, że wszystkie połączenia przyszły z tego samego numeru. Chciała

oddzwonić, lecz właśnie wtedy telefon zawibrował jej w dłoni. Odebrała, nim zdążył włączyć sygnał dźwiękowy.

– Cześć. Dzwoniłeś do mnie.

– Dzwoniłem – potwierdził Ogiński. – Pięć razy. Teraz jest szósty. Zaczynam się zastanawiać, czy nie uaktywnił mi się tryb telefonicznego zboczeńca.

Rozśmieszył Dionę tak, że parsknęła w mikrofon.

– Do zboczeńca jeszcze dużo ci brakuje. Nie było żadnego dyszenia, rozebranych zdjęć też mi nie wysłałeś.

– Nie chciałem, żebyś oszalała z pożądania – odciął się natychmiast. – Nie teraz, gdy jesteś daleko ode mnie – dodał ciszej.

– Można temu łatwo zaradzić – stwierdziła równie cicho. Serce biło jej tak mocno, że niemal zagłuszyło słowa. – Mówiłeś, że przyjedziesz po dyżurze.

– Właśnie dlatego dzwoniłem, że nie przyjadę. Nie mogę. Mam trupa, w dodatku kilkudniowego.

Poczuła dotkliwy zawód, choć mogła przewidzieć, że prędzej czy później ta chwila nastąpi. I nadeszła, zanim jeszcze między Dioną a Szymonem coś się zaczęło. Może to i lepiej, że już teraz przypomniawsza o konsekwencjach związania się z policjantem? Gdyby zdarzyło się to dużo później, zaskoczenie byłoby znacznie większe.

– Nie wiedziałam, że masz takie preferencje – rzuciła lekko. – Trudno, z trupem nie wygram.

– Diona! Byłem pewien, że kto jak kto, ale ty nie będziesz miała o to pretensji. Przecież służyłaś w policji, powinnaś wiedzieć, jak to jest.

Rozżalenie w głosie Szymona było wręcz namacalne i natychmiast ją zirytowało. Co on sobie o niej myśli? Uważa ją za idiotkę, która się obraża, bo policjant nie zechciał z powodu randki porzucić czynności?

Zaraz potem przyszło opamiętanie. Ogiński nadal pozostawał w stanie wolnym; jak sam powiedział, ostatni raz był na randce cztery lata temu. Mogła więc śmiało założyć, że jego byłe partnerki nie potrafiły się pogodzić z faktem, że policjant jest na służbie nawet wtedy, gdy ma wolne.

Wzięła głęboki wdech i odpowiedziała spokojnie:

– Źle mnie zrozumiałeś. Wiem, co to służba, i nie mam do ciebie pretensji o odwołaną randkę. Co nie znaczy, że jestem z tego zadowolona. Wolałabym, żebyśmy mogli się spotkać, więc zachwytów nie oczekuj. Teraz jasne?

– Jak stuwatówka. – Radość w jego głosie znów przyspieszyła bicie serca i Dioniza zaczęła się zastanawiać, czy nie cierpi na tachykardię. – A może ty byś przyjechała? Jutro niedziela, wiele nie zwojujesz.

O tym nie pomyślała, a Szymon miał rację. W niedzielę codzienny rytm zawsze ulegał zakłóceniu. Msza, niedzielny obiad, goście lub wizyta u rodziny... Zdecydowanie nie był to dobry dzień do rozmów o zbrodni.

– Przyjadę jeszcze dziś – obiecała. – Tu faktycznie na nic się nie przydam, poza tym stęskniłam się za Ratiem i Uszkiem.

– Tylko za nimi?

– Nie, oczywiście, że nie – zapewniła z powagą. – Za Mirabelką też tęsknię.

30–31 maja 2020, Strzygom

Ratio powitał Dionę z taką radością, jakby nie wiedzieli się z miesiąca, a nie niespełna tydzień. Natychmiast pognął do kuchni, by przygotować coś smacznego na kolację, Remańska natomiast pobiegła do łazienki, by wreszcie zanurzyć się w wannie. Uprzedziła wcześniej, że pozostanie tam, dopóki Ratio nie wezwie jej na posiłek.

Wyszła stamtąd już w piżamie, otulona szlafrokiem, choć pora była jeszcze dość wczesna. Jak stwierdziła, na te kilka godzin nie opłacało się wkładać dziennych ubrań. Przy stole początkowo całą uwagę poświęciła pochłanianiu zawartości talerza, pod koniec jednak mocno zwolniła tempo i między jednym a drugim kęsem zdawała przyjacielowi relację z pobytu w Bystrzycy Wielkiej.

– A co u ciebie? – spytała przy kawie. – Co z grą?

Młody mężczyzna się rozpromienił.

– Skończyłem – wyznał nie bez dumy. – Rozesłałem wersję beta i czekam na wyniki testów. Chcesz spróbować?

Diona poczuła się tak dumna z jego sukcesu, jakby młodszy od niej o blisko dziewięć lat Ratio był jej synem. Uściskała go serdecznie.

– Wiedziałam, że ci się uda. Pewnie, że chcę spróbować. – Zmarszczyła brwi w zastanowieniu. – Teraz musisz znaleźć nabywcę. Pomogłabym ci, ale kompletnie się na tym nie znam. Dla jakiej grupy wiekowej jest ta gra?

Ratio wyprostował się sztywno na krześle, przybrał skupioną minę i odpowiedział oficjalnym tonem.

– *Trakt królewski* to gra strategiczna o charakterze edukacyjnym, dedykowana dla dzieci w przedziale wiekowym...

– Medard! – Diona trzepnęła go w kark. – Przestań używać tego marketingowego bełkotu, bo cię rozszarpię. Dedykowany dla! – powtórzyła z obrzydzeniem. – Czy ci ludzie nie znają polskiego?

Ratiera rozbawiło jej zaciętrzewienie i innym razem chętnie by się trochę podroczył, lecz chęć natychmiastowego pochwalenia się przeważała.

– W trakcie rozmów zastrzegłem, że nie życzę sobie tego typu haseł reklamowych, bo dla mnie to antyreklama. Wymogłem

taki zapis w umowie i chyba im bardzo zależy na grze, bo zgodzili się na moje warunki.

– Jacy oni? – dociekała Dioniza, zaintrygowana słowami Ratia.

– Przedstawiciele firmy, która zaproponowała niezły hajs za mój *Trakt*. Nie czekali nawet na wyniki testów.

Sztucznie obojętny ton Ratiera nie zmylił Remańskiej. Skoczyła na niego tak nagle, że wytrąciła mu z ręki kubek, na szczęście już pusty, objęła mocno chłopaka i pocałowała w oba policzki. Odwzajemnił uścisk, a gdy wreszcie usiadła na swoim miejscu, ze zdumieniem zauważył w jej oczach łzy. Zmieszał się i nawet trochę przeraził, gdyż Dioniza nie należała do kobiet płaczących z byle powodu.

– Wzruszyłam się – wyjaśniła i wytarła mokre policzki. – Czemu się tak dziwisz? Zawsze wiedziałam, że możesz wiele osiągnąć, ale nie byłam pewna, co z twoją wolą walki. Czy się nie załamiesz w razie niepowodzenia i nie wybierzesz łatwiejszych rozwiązań? Byłoby całkiem normalne, że po tym, co przeszedłeś jako dzieciak, nie masz ochoty znowu kopać się z życiem, w dodatku bez gwarancji na wygraną.

Resztę wieczoru spędzili na testowaniu gry, która wciągnęła Dionę do tego stopnia, że zapomniała o całym świecie. Dlatego dzwonek tak ją zaskoczył, że wpatrzyła się w Ratia wielkimi oczami.

– Co to było?

– Dionka, oprzytomniej! – zawołał ze śmiechem. – Ktoś dzwoni. Trochę późno, nie wydaje ci się?

Spojrzała na zegarek i zdumiała się, ujrzawszy, że minęła już północ. Nie sądziła, że grali aż tak długo.

– Ktoś dzwoni – powtórzyła bezmyślnie. Naraz klepnęła się w czoło. – To Szymon. Miał tu przyjechać po służbie. Wpuścisz go?

– Czemu ja? – sprzeciwił się Medard. – Do mnie to on raczej nie przyszedł.

– Ratio, pliss! Muszę się trochę ogarnąć i...

– Za późno – rozległ się od strony przedpokoju głos Ogińskiego. – Już cię zobaczyłem taką rozmemlaną.

Po chwili znalazł się w pokoju. Rzucił niedbale skórzaną kurtkę na oparcie fotela i gestem bardzo zmęczonego człowieka przeciągnął dłonią po twarzy, gdzie na zawsze gładko ogolonych policzkach pojawił się już zarost.

– Cześć, Ratio. Nakarmisz głodnego?

Przywitał się z chłopakiem mocnym uściskiem dłoni i zwrócił się do Diony. Zlekceważył jej wyciągniętą do powitania rękę, objął dziewczynę i zaczął całować tak, jakby zaraz świat miał się skończyć.

Ratio chrząknął głośno, lecz nie przyniosło to spodziewanego rezultatu. Zakaszał, również bez efektu.

– Ej, Ogi! – wydarł się na całe gardło. – Mam grzać to żarcie czy od razu idziecie do sypialni?

Jakimś cudem pytanie przedostało się do ich świadomości i Szymon wypuścił Dionizę z objęć. Wyglądał na zmieszanego.

– Grzej. Jestem głodny jak diabli – powiedział głośno, po czym dodał ciszej, by dziewczyna nie usłyszała: – Tego właśnie się bałem. Że nie będę umiał przestać.

– Wiem – mruknął Medard. – Przejmujesz się, jakbyś miał szesnaście lat i szedł na pierwszą randkę. Oboje jesteście dorośli. A może się mylę? – spytał złośliwie i zapalił gaz pod garnkiem z roladami.

Po posiłku Ogiński poczuł się tak potwornie zmęczony i senny, że oczy same mu się zamykały.

– Przepraszam – zwrócił się do Diony. – Niepotrzebnie cię tu ściągnąłem. Ale nie myślałem, że tak długo to wszystko potrwa. Lepiej będzie, jak pojedę do domu.

– Zwariowałaś? – nie posiadała się z oburzenia. – Chcesz skończyć w rowie albo na najbliższym drzewie? Prześpisz się tutaj. Bez dyskusji – ostrzegła, gdy zaprotestował. – Chyba że się mnie boisz. Mogę przysiąc, że nie będę nastawać na twoją cześć.

Uśmiechnął się, lecz jeszcze nie złożył broni.

– Jestem spocony i śmierdzą trupem.

Diona tylko prychnęła w odpowiedzi, natomiast Ratio wbił w niego doskonale niewinne spojrzenie i poinformował konfidencjonalnym szeptem:

– Mamy łazienkę.

Szymon skapitulował. Wcale nie miał ochoty opuszczać domu, pierwszego, w którym czuł się u siebie. Nie chciał rozstawać się z Dioną, miał też na tyle rozsądku, by wiedzieć, że jazda w takim stanie byłaby proszeniem się o nieszczęście. Bez sprzeciwu poszedł za Medardem do łazienki.

– Lepiej wejdź pod prysznic – doradził chłopak. – W wannie pewnie byś się utopił. Nie zamykaj się, przyniosę ci koszulkę i bokserki.

Po zasunięciu ścianek kabiny Ogiński przymknął oczy, pozwalając, by strumienie wody zmywały z niego zmęczenie i odór rozkładającego się ciała, który jak zwykle w podobnych przypadkach wniknął w ubranie, skórę i włosy. Gdy wyszedł spod prysznic, przekonał się, że Ratio dotrzymał słowa. Na szafce leżała schludnie złożona czarna koszulka, tuż obok zamknięte fabrycznie opakowanie zawierające bokserki ze wzorkiem w szkocką kratę. Przyjrzał się nieufnie pożyczonej garderobie, lecz gdy się ubrał, zobaczył, że wszystko pasuje na niego jak ulał.

Diona czekała na niego w drzwiach pokoju. Musnął jej wargi na dobranoc, wsunął się pod kołdrę i przymknął powieki, zbyt zmęczony, by chociaż podziękować za gościnę. Już odpływał, gdy poczuł obok siebie kwiatowy zapach jej włosów, a chwilę



później dziewczyna przytuliła się i szepnęła ledwie dosłyszalnie:

– Dobranoc.

– Nie tak to sobie wyobrażałem – odpowiedział sennym głosem. – Przepraszam.

– Nie masz za co przeproszać. Śpij.

Skinął głową i w tej samej sekundzie zasnął.



## Rozdział 10

### Dwie prawdy

31 maja – 1 czerwca, Strzygom

Szymon przysiągł sobie już nigdy nie robić żadnych planów. Choć jeszcze w piątek zapowiadał się tak pięknie, weekend okazał się kompletnie nieudany. Zamiast spędzić go z Dioną, w sobotę od popołudnia aż do północy nadkomisarz zajmował się sprawą bestialsko zamordowanej mieszkanki Kalet.

Najpierw osobiście nadzorował oględziny, gdyż jedyny funkcjonariusz z dostatecznym doświadczeniem w tego typu czynnościach akurat przebywał na urlopie. Zresztą stało się tak na wyraźne polecenie Ogińskiego, który niespodziewanie odkrył, że starszy aspirant Dariusz Lipski ma ponad pięćdziesiąt dni do wykorzystania. Chcąc nie chcąc, musiał się przez jakiś czas bez niego obejść.

Po oględzinach długo naradzał się z prokuratorem, później zaś musiał wysłuchać relacji funkcjonariuszy oddelegowanych do rozpytania sąsiadów. Z ich słów wynikało jasno, że jedyną osobą, która miała solidny motyw, był kochanek zamordowanej kobiety. W dodatku sąsiedzi widzieli go w środę późnym wieczorem w pobliżu domu partnerki, choć zgodnie ze wcześniejszymi zapowiedziami powinien w tym czasie znajdować się za kierownicą autokaru zmierzającego w stronę Santiago de Compostela.

Ponieważ według opinii lekarza dokonującego wstępnych oględzin zgon nastąpił na dwie-trzy doby przed ujawnieniem

zwłok, mężczyzna doskonale mieścił się w zakreślonych ramach czasowych. Gdy jednak policjanci udali się pod wskazany adres, okazało się, że podejrzany zniknął, choć jego samochód nadal stał przed domem. Nadkomisarz polecił, by funkcjonariusze zwrócili na auto szczególną uwagę i nie spuszczaali domu z oka, i wreszcie mógł pojechać do Diony.

Spędził z nią resztę nocy, lecz nie w taki sposób, jak tego pragnął. Spoglądał teraz z czułością na śpiącą dziewczynę i nie mógł przeboleć, że dał się pokonać zmęczeniu. Pochylił się i dotknął delikatnie wargami jej warg. Otworzyła oczy i obdarzyła go promiennym uśmiechem.

– Diona...

Przeraźliwy dźwięk telefonicznego dzwonka skutecznie zburzył nastrój. Szymon wyskoczył z łóżka i wygrzebał komórkę z kieszeni spodni.

– Co jest? – spytał z niepokojem w przewidywaniu nowych problemów, gdyż dyżurny nie zwykł zwracać mu głowy byle bzdetem.

– Panie komendancie, mamy go! – wykrzyczał tamten. – Tego podejrzanego o zabójstwo. Sąsiedzi zauważyli tego faceta, jak przemykał się do auta...

– Okej – przerwał mu i odsunął nieco komórkę od ucha w obawie o całość bębenków. – Nie drzyj się tak, bo ogłuchnę. Zadzwonij lepiej do prokuratora, może będzie chciał sam go przesłuchać.

– Na razie nikt go nie przesłucha – odparł dyżurny grobowym głosem. – Gość ma pękniętą czaszkę, złamany nos i szczękę, wyłamana ze stawu rękę...

– Co się stało? – przerwał mu Ogiński. – Kto to zrobił?

– Sąsiedzi. Chcieli wymierzyć mu sprawiedliwość. Gdyby nie nasz patrol...

Szymon nie pozwolił mu dokończyć.

– Już tam jadę.

I oto siedział w samochodzie, jadąc na spotkanie ze zwolennikami samosądów, zamiast spędzić weekend z Dioną w ramionach.

– Nigdy więcej nie planuj weekendu – powtórzył przestrozę i dodał gazu.

\*

Po wyjściu Ogińskiego Diona powlokła się do łazienki. W trakcie porannych ablucji przemyśliwała nad rozkładem zajęć. W pierwszym impulsie chciała zaraz wracać do Bystrzycy, lecz w miarę upływu czasu pomysł wydawał się coraz mniej atrakcyjny i gdy wreszcie zeszła do kuchni, nie miała już żadnych wątpliwości. Zostanie w domu i spędzi niedzielę z Ratiem, zamiast kisić się samotnie w wynajętym pokoju. Będą świętować sukces chłopaka, któremu dobrze zrobi oderwanie się od pracy.

Podciągnęła opadające spodnie od dresu i sięgnęła po filiżankę, lecz Medard ją uprzedził i pierwszy złapał naczynie.

– Siedź grzecznie i czekaj, zamiast pchać się do wodopoju – pouczył i schylił się do szuflady zamrażarki. – Co szanowna pani życzy sobie na śniadanie? Mogą być frankfurterki czy wolisz coś bardziej wymyślnego?

– Mogą być – zgodziła się łaskawie. – Do tego jajka na bekonie, twarożek na słodko, duszone cynaderki i grzanki z dżemem brzoskwiniowym.

Ratio popatrzył na nią ze zgrozą.

– Wiem, że spokojnie poradziłabyś takiej porcji, a-ale... – Zająknął się, urwał, po czym dokończył z rzadką u niego niepewnością: – Nie mam cynaderek. Mogą być żołądki drobiowe?

Dioniza z najwyższym wysiłkiem zachowała powagę i przybrała minę wyrażającą niechętną aprobatę.

– Trudno. Zrób te żołądki.

Medard ponownie otworzył dolne drzwi lodówki i zaczął przegrzebywać zawartość. W pewnej chwili odwrócił się przez ramię i zerknął na dziewczynę.

– Jesteś pewna, że się po tym wszystkim nie porzygasz?

Chciała zaprzeczyć, lecz nie była w stanie dłużej tłumić rozbawienia i wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Szkoda, że nie mogłeś zobaczyć swojej miny – wystękała między kolejnymi paroksyzmami niekontrolowanego chichotu.

– Najwyższy stopień obrzydzenia.

– Twarożek na słodko i cynaderki. – Ratio aż się wstrząsnął.

– Potworna kombinacja.

Remańska znowu zachichotała.

– Nie myślałam, że dasz się wkręcić. Czytałam ostatnio opis takiego śniadania i przyznam, że z lekka mnie naciągnęło, gdy sobie wyobraziłam, że jem to wszystko. Chciałam sprawdzić, jaka będzie twoja reakcja.

Po śniadaniu usadowili się wygodnie w fotelach i pograżyli w pogawędce. Tak zeszło im aż do czasu, gdy Ratio zarządził przygotowania do obiadu. Diona pomagała mu dzielnie, choć bez większego zapału. Dzięki dokładnemu instruktazowi udało jej się niczego nie zepsuć, obyło się też bez zranień, choć Medard całkiem poważnie się zastanawiał, czy może jej powierzyć tak niebezpieczne narzędzie jak nożyk do obierania kartofli.

Skorzystał przy tym z okazji do pochwalenia się świeżo nabytymi umiejętnościami w rzucaniu nożem, a później, gdy zebrał już od Dionizy należne mu pochwały, napuszył się jak paw i obiecał, że wkrótce zostanie mistrzem nożowników.

– *Knife master* – mruknęła w zadumie i nie mogąc pojąć celowości jego działania, spytała: – Po co ci to? Bo chyba nie do gry?

– A ty po co doskonalisz się w strzelaniu? – odpowiedział pytaniem, po czym dodał: – Chciałbym umieć rzucać tak jak Ogi. Gość jest tak dobry, że mógłby występować w cyrku. Nie wiem, czy ktoś mógłby mu dorównać, chyba tylko...

Ale Diona nie była zainteresowana konkurencją Ogińskiego w tej dziedzinie, myśli jej bowiem pobiegły w stronę Bystrzycy Wielkiej i rozmowy z aspirantem Klonowiczem. Analizowała ją słowo po słowie, by wyłapać słabe punkty, jednak mimo najszczęśliwszych chęci nie umiała ich znaleźć.

Zachowanie policjanta także nie budziło żadnych podejrzeń, może tylko z jednym wyjątkiem. Dlaczego tak się usztywnił, gdy udała, że chce go poderwać? I to pompatyczne stwierdzenie, że jest żonaty, podczas gdy wszyscy wiedzą o intymnej więzi łączącej go z Weroniką Mirską! Czemu ta demonstracja miała służyć?

Remańska machinalnie głaskała wtulonego w nią kota, usiłując pojąć, o co chodzi w całej tej intrydze. Poznała dwie całkowicie ze sobą sprzeczne wersje tych samych wydarzeń i obie wydawały się prawdziwe. Jeśli więc Klonowicz mówił prawdę, kłamać musiała Angela, o czym zresztą wspomniał, tłumacząc jej stan chorobą psychiczną. Diona byłaby skłonna się z nim zgodzić, gdyby nie jej umiejętność rozpoznawania nieszczerości. Tymczasem Angela Mirska nie wywarła na niej wrażenia osoby skłonnej do konfabulacji, a jej relacja była spójna i logiczna, bez żadnej sprzeczności czy luki.

– Nie mogą istnieć dwie różne prawdy – mruknęła z niezadowoleniem i aż podskoczyła, gdy usłyszała głos Ratia. Całkiem zapomniała o jego obecności.

– Mogą istnieć – stwierdził stanowczo. – Sam to przerabiałem ze swoją matką. Zapomniałaś, Dionka?

Po obiedzie Medard zajął się doskonaleniem gry, a Diona zadzwoniła do Izabeli Poloczek, by umówić się na rozmowę. Zmartwiła się, gdy usłyszała, że w poniedziałek rano siostra

Klaudyny wyjeżdża wraz z narzeczonym na tygodniowe wczasy. Przez moment korciło ją, by natychmiast wrócić do Bystrzycy, zaraz jednak uzmysłowiła sobie, że pomysł nie jest zbyt mądry. Zajęta pakowaniem i podekscytowana wyjazdem dziewczyna z pewnością nie byłaby zachwycona odwiedzinami i pewnie zrobiłaby wszystko, by jak najprędzej pozbyć się kłopotliwego gościa. Wobec tego poprosiła Izabelę, by uprzedziła rodziców o poniedziałkowej wizycie, i pożegnała się, życząc młodym ludziom udanego wypoczynku.

Do słów Ratia wróciła dopiero w nocy, gdy ułożyła się na spoczynek. Ponownie przywołała w pamięci rozmowy z Angielą i Klonowiczem i już wiedziała, gdzie w jej wcześniejszym rozumowaniu tkwił błąd. Usiadła na łóżku i nie zapalając światła, sięgnęła po papierosa, choć na ogół unikała palenia w sypialni. *Ale to jest wyjątkowa sytuacja*, usprawiedliwiła się w myślach. I rzeczywiście była, gdyż wobec najnowszego odkrycia wszystkie dotychczasowe koncepcje mogła wyrzucić na śmietnik. Musiała zacząć od początku.

Weekend był deszczowy i tak ponury, że planując w niedzielny wieczór rozkład następnego dnia, detektywka nie spodziewała się rychłej zmiany pogody. Było jej to bardzo na rękę. Nikt nie snuje się dobrowolnie po drogach w trakcie ulewy, mogła więc śmiało oczekiwać, że jej wyprawa do domu Poloczków pozostanie niezauważona.

Diona doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że we wszystkich chyba małych miejscowościach obcy poddawani są stałej inwigilacji. Nie wynikało to bynajmniej z niechęci do przyjezdnych. W społecznościach, gdzie wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich, pojawienie się nieznanego osoby stanowiło urozmaicenie nudnej i przewidywalnej codzienności. Jednym słowem: było atrakcją, w dodatku całkiem darmową.



1 czerwca 2020, Bystrzyca Wielka

Poniedziałek powitał ją niemiłą niespodzianką w postaci słońca świecącego prosto w twarz. Nie tego oczekiwała, toteż od razu wpadła w złość, której nie zdołał przegonić nawet Ratio, choć zazwyczaj jego celne, ironiczne riposty skutecznie ją rozbierały, likwidując zły humor. Po kolejnym niezbyt uprzejmym warknięciu doszła do wniosku, że dla dobra ich obojga powinna jak najszybciej opuścić dom, inaczej zrobi lub powie coś, czego później będzie żałować. W ciągu kilku minut spakowała się i cmoknąwszy zaskoczonego chłopaka w policzek, pobiegła do samochodu.

Subaru nie pamiętał już o jesiennej kraksie. Wyremontowany za niemal bezcen przez zaprzyjaźnionych mechaników sprawnie łykał kilometry. Ruch na drodze nie był wielki. Jazda nie wymagała wielkiego skupienia, toteż Diona wykorzystała czas podróży na ułożenie nowego planu działania.

Ponieważ w Bystrzycy Wielkiej w kwestii zainteresowania nieznajomymi z pewnością działało się podobnie jak w innych małych miejscowościach, dziewczyna doszła do wniosku, że najlepiej będzie odwiedzić rodziców Klaudyny Poloczek dopiero po zapadnięciu zmroku. Wolą nie zwracać na siebie uwagi. Nie miała pojęcia, komu może zaufać przynajmniej na tyle, by mieć pewność, że nie doniesie policji o jej poczynaniach, policja zaś, w świetle wydarzeń związanych z zabójstwem Klaudyny Poloczek, pod względem zaufania znajdowała się na ostatnim miejscu.

Odczekała do dwudziestej. Dłużej nie dało się już zwlekać, nie wiedziała przecież, o której Poloczku udają się na spoczynek. Żałowała, że nie zapytała o to Izabeli, a nie chciała zawracać dziewczynie głowy telefonami. Musiała zaryzykować, że jednak ktoś ją zauważy, choć przydomowe ogródki były

wyludnione, podobnie jak droga, na której nie dostrzegła ani jednego przechodnia.

Szła niespiesznie, chcąc sprawiać wrażenie letniczki zażywającej wieczornej przechadzki, w duchu zaś miotała inwektywy pod adresem kretyna, który wymyślił, że spaceruje służyć zdrowiu. Nie znosiła snucia się w żółtym tempie bez określonego z góry kierunku i bez konkretnego powodu. Dla niej było to ewidentne marnowanie czasu i nie umiała pojąć, jak to możliwe, że tylu ludzi dobrowolnie oddaje się tak idiotycznemu zajęciu. Potem pomyślała, że dla wielu innych takim samym idiotyzmem jest z pewnością dziurawienie tarcz lub sparring na macie, i usta wygięły jej się w uśmiechu.

– Pieprzona urawniłowka – mruknęła, podsumowując zwięźle swoje krótkotrwałe na szczęście pragnienie, by cała ludzkość dostosowała się do jej gustu. Przypomniała sobie szkolną koleżankę, uważającą się za bardzo tolerancyjną, podczas gdy owa tolerancja zawsze kończyła się z chwilą, gdy ktoś ośmielił się mieć inne zdanie. Na samą myśl, że mogłaby się do niej upodobnić, Dioniza wzdrygnęła się i bezwiednie przyspieszyła kroku.

Na miejscu okazało się, iż niepotrzebnie wyszła tak wcześnie, gdyż Poloczkowie nie mieli zwyczaju kłaść się przed dwudziestą trzecią. Diona skwitowała tę informację wzruszeniem ramion.

– Trudno. Prędzej czy później i tak się wyda, po co tak naprawdę tu przyjechałam. Nie da się w nieskończoność tego ukrywać.

Upiła łyk herbaty i z radością skonstatowała, że napar jest mocny i wyśmienitego gatunku. Jej sympatia do gospodarzy jeszcze wzrosła. Mogła zrozumieć, że nie wszyscy lubią mocną herbatę, ale nie potrafiła pojąć, dlaczego w większości oczekują, że goście podzielają ich gust i z przyjemnością wypiją coś, co herbatę przypomina tylko z nazwy. Gdy

stawiano przed nią szklanę napoju o barwie słomy i zapachu zaparzonego siana, rzadko kiedy potrafiła się zmusić do bodaj umoczenia warg.

– Wyśmienita – oceniła.

Zadowolony z pochwały Janusz Poloczek napuszył się dumnie, jakby to on osobiście zebrał herbaciane listki.

– Słyszałaś? – zwrócił się do żony. – A mówiłaś, że nie ma sensu marnować dobrej herbaty, bo na pewno jej nie doceni.

Twarz gospodyni pokryła się rumieńcem zażenowania.

– Janusz! – syknęła cicho, lecz z takim naciskiem, że zabrzmiało to jak okrzyk. – Co ty bredzisz? Wszystko ci się pomieszało. Wcale nie mówiłam o pani Remańskiej, tylko o sąsiadce – brnęła z wysiłkiem, unikając spojrzenia na gościa.

Próba ratowania sytuacji spełzła na niczym, Poloczek bowiem ani myślał zrezygnować z kłopotliwej szczerości.

– Jeszcze nie mam sklerozy! – oburzył się i dodał: – Powiedziałaś, że wystarczy jej minutka, bo i tak nie odróżni smaku.

Twarz Doroty Poloczek poczerwieniała jeszcze bardziej; kobieta sprawiała teraz wrażenie, jakby tylko sekundy dzieliły ją od pęknięcia ze złości. Do tragedii jednak nie doszło, gdyż w tym momencie Dioniza przegrała bezapelacyjnie walkę o zachowanie powagi i wybuchnęła głośnym śmiechem. Gospodarze zgodnym ruchem zwrócili się w jej stronę, a na twarzy kobiety odmalowała się ulga.

– Pani się nie gniewa? – spytała niepewnie.

Remańska nie była w stanie wydusić z siebie słowa i tylko zaprzeczyła ruchem głowy. Dopiero po dość długim czasie uspokoiła się na tyle, że mogła zwerbalizować odpowiedź, choć i teraz wargi jej drżały od tłumionego śmiechu.

– Absolutnie się nie gniewam. Przysięgam! – Uroczystym gestem przyłożyła prawą dłoń do piersi i pochyliła głowę

gestem podpatrzonym na filmach historycznych. – Jesteście cudowni! – zawołała z właściwą sobie spontanicznością. – Tacy normalni, bez silenia się na te wszystkie ę-ą i udawanie jaśnie państwa.

Popatrzyli na nią ze zrozumieniem, a Dorota Poloczek spytała domyślnie:

– Pewnie rozmawiała pani z naszą księżną.

– Weroniką Mirską – uzupełnił wypowiedź jej mąż. – Nazywamy ją księżną panią, bo zachowuje się tak, jakby wychowała się w pałacu Buckingham, a nie w starej chacie w pobliżu Stryszawy.

– Na szczęście rozmawiałam z nią tylko telefonicznie – odparła Diona. – Na szczęście dla niej, bo nie wiem, czy umiałabym się opanować. Biedna Angela!

– Ma pani dzieci? – zainteresowała się gospodyni.

– Nie, dlatego nie mam pojęcia, czy sprawdziłabym się jako matka. Pewnie nie zdobyłabym tytułu mamuśki roku, ale to nie oznacza, że nie wiem, jak matka nie powinna traktować dziecka. Na pewno nie byłabym dla własnej córki taką wredną, zimną suką jak ta cholerna Weronika.

– Suki są bardzo troskliwymi matkami – zaprotestował mężczyzna. – Proszę ich nie obrażać. A Mirska to bardzo dziwna kobieta. Gdy tu zamieszkali, w ciągu miesiąca zraziła do siebie wszystkich sąsiadów. Chwilami miałem wrażenie, że robi to celowo, żeby nikt nie próbował się z nią zaprzyjaźnić.

– Nie ma lekkiego życia. – Poloczkowa niespodziewanie wzięła Mirską w obronę. – Z takim mężem...

Janusz Poloczek zaśmiał się ironicznie, a jego mina świadczyła wyraźnie, że nie zgadza się z ani jednym słowem żony. Pociągnął solidny łyk herbaty, wolno odstawił kubek i przechylił się przez poręcz fotela ku Dionie.

– Moja żona ma taką nietypową cechę – oznajmił konfidencyjnym szeptem. – Zawsze usiłuje każdego

tłumaczyć. Wszędzie doszukuje się okoliczności łagodzących i czasem myślę, że usprawiedliwiłaby nawet mordercę.

Gdy wypowiedział ostatnie słowa, jego żona wydała z siebie okrzyk zgrozy. W następnej chwili przycisnęła dłoń do ust i z oczami pełnymi łez wybiegła z pokoju. Poloczek spojrzał skonsternowany na Remańską i bezradnie opuścił ramiona.

– Niech pan do niej idzie – poradziła Dioniza. – Poczekam. Nigdzie mi się nie spieszy, a pan musi od razu to wyjaśnić, inaczej żona zamknie się w sobie.

Nie musiała mu dwa razy powtarzać. Jeszcze nie skończyła mówić, a już był w progę. Uszu Remańskiej dobiegł głośny płacz, czyjeś stłumione słowa, potem szczerknięcie zamykanych drzwi. Nastąpiła cisza.

Detektywka dopiła herbatę i wstała, by przyjrzeć się stojącym na komodzie zdjęciom. Część z nich przedstawiała rodzinę Poloczków w komplecie, na innych uwiecznione były tylko córki. Nikt tu nie usiłował postawić zmarłej ołtarzyka, co nieraz widywała w innych domach i co zawsze przyprawiało ją o dreszcze. Na zdjęciach Klaudyny nie było nawet czarnej aksamitki, a jednak Diona miała pewność, że ból po stracie córki jest nie mniejszy niż w domach, gdzie ostentacyjnie się z nim obnoszono.

Na jednej z fotografii Klaudyna stała w towarzystwie nieco wyższego od niej chłopaka o bardzo jasnych włosach i kontrastujących z nimi ciemnych oczach. W jego twarzy było coś znajomego, również blond włosy kłócące się z kolorem oczu wywołały w pamięci Diony jakieś drgnienie. Już-już miała uchwycić tę myśl, gdy w korytarzu rozległy się kroki gospodarzy, a po chwili oboje Poloczkowie pojawili się w pokoju. Gospodyni podeszła do Remańskiej i również spojrzała na zdjęcia.

– Tylko to nam po niej zostało – powiedziała cicho. – Tych kilka fotografii i wspomnienia. Nawet Angela przestała nas

odwiedzać. Obwinia się o śmierć Klaudyny. Mały głuptas! Przecież nie mogła przewidzieć tego, co się stało.

Diona mogłaby rzucić więcej światła na tę sprawę, lecz zachowała milczenie. Po rozmowie z Klonowiczem nie była pewna, czy relacja Angeli nie jest konfabulacją, poza tym Mirska zwierzyła jej się w zaufaniu. Skinęła zatem tylko głową i wzięła do ręki intrygujące ją zdjęcie.

– Mam wrażenie, że skądś znam tego chłopaka. Kto to jest?

– Mariusz Klaja. Przyjaźnił się z Klaudyną od dzieciństwa. – Pani Poloczek westchnęła ciężko. – Wydawało mi się, że znam swoje dzieci, a jednak... Dopiero niedawno się dowiedziałam, że od pewnego czasu to już nie była przyjaźń, tylko coś więcej. Czego jeszcze o niej nie wiedziałam?

Popatrzyła na Dionę z takim natężeniem, jakby oczekiwała od niej konkretnej odpowiedzi. Remańska ujęła ją za łokieć i podprowadziła do fotela. Zdecydowała, że zdradzi pograżonej w bólu matce część rozmowy z przyjaciółką córki. Bez poruszania spraw dotyczących wyłącznie Mirskiej, jedynie tyle, by choć trochę uspokoić wyrzuty sumienia nieszczęśliwej kobiety.

– Pani Doroto, rozmawiałam ostatnio z Angelą i mogę panią zapewnić, że Klaudyna na pewno nie zrobiła nic złego ani też nie miała żadnego powodu, by targnąć się na swoje życie. Dodatkowo badanie toksykologiczne wykluczyło narkomanię, więc nie powinna pani obwiniać się o śmierć córki.

– Ale umarła z przedawkowania, jak więc mogli to wykluczyć? – upierała się Poloczek, a mąż do niej dołączył:

– Skąd wiadomo, że już wcześniej nie brała tego świństwa?

– Stąd, że zażywanie narkotyków nie pozostaje bez szkody dla organizmu – tłumaczyła cierpliwie Remańska. – Zwłaszcza takiego narkotyku jak polska heroina. Poza tym kompot silnie uzależnia, więc gdyby Klaudyna brała już wcześniej, musiałyby mieć na ciele liczne ślady po wkłuciach,

a znaleziono tylko jeden. – Wzięła głęboki wdech i wreszcie powiedziała to, czego była całkiem pewna: – Wasza córka nie popełniła samobójstwa ani nie umarła wskutek nieumyślnego przedawkowania. Ktoś celowo pozbawił ją życia.





# Rozdział 11

## Nieudana misja

2 czerwca 2020, Bystrzyca Wielka

Starszy posterunkowy Oktawiusz Zieliński po raz pierwszy od czasu podjęcia pracy w policji nie mógł doczekać się chwili, gdy zacznie służbę. Uwielbiał znajdować się w centrum uwagi, a wiedział doskonale, że gdy opowie o tym, co zobaczył wczoraj wieczorem, zapewni sobie zainteresowanie całego komisariatu. No, z tym całym to może trochę przesadził, nie będzie przecież opowiadał w obecności posterunkowych czy sierżantów. Ale najważniejsi na pewno będą mu wdzięczni i podziękują za czujność.

Właściwie powinien był od razu wczoraj zadzwonić do Klonowicza, ale niezbyt mu się uśmiechało mówienie o tak ważnej sprawie przez telefon. Straciłby w ten sposób możliwość napawania się widokiem min komendanta i jego niepisanych zastępców. Z drugiej strony obawiał się ich gniewu, dlatego stanął na poboczu i bił się z myślami, a wtedy w sukurs przyszedł mu lokalny awanturnik. Po wytoczeniu się z baru „Pod Muchomorkiem” mężczyzna wpadł na zaparkowany przez lokalem samochód i uznawszy zderzenie za atak ze strony pojazdu, wydał z siebie bojowy okrzyk i dał odpór wrogowi, kopiąc i bijąc pięściami w karoserię.

Zieliński jakiś czas przyglądał się bezmyślnie dewastacji, nim dotarło do niego nie tylko to, że powinien interweniować, ale również że rzeczona interwencja będzie stanowić wspaniałe

alibi. Wsiadł więc z radiowozu i spacyfikował pijaczka, po czym zawlókł go na komisariat, gdzie skrupulatnie wypełnił dokumenty związane z zatrzymaniem, wyjątkowo nie złożąc na zniechęconą papierologię. Dzięki niej nikt nie będzie mógł mu zarzucić, że natychmiast nie doniósł o tym, co zobaczył.

Pchnął drzwi komisariatu i wszedł do środka, ze wszystkich sił starając się ukryć triumfalny uśmiech, przez co przebiegający się w szatni koledzy popatrzyli na niego ze zdumieniem i ciekawością.

– Cześć, Oktaw! – zawołał jeden z nich. – Co masz taką minę, jakbyś chciał nas wszystkich wymordować?

Starszy posterunkowy mimowolnie zerknął do lustra i aż się zachłysnął, gdy zobaczył twarz o groźnie zmarszczonych brwiach i wykrzywionych w straszliwym grymasie wargach. Pomyślał, że chyba nieco przesadził z kamuflowaniem zadowolenia, i czym prędzej zmienił minę na bardziej przyjazną.

– Nic się nie stało – burknął. – Spać mi się chce, i tyle. Wczoraj miałem drugą zmianę, a kiedy wróciłem do domu, matka zagoniła mnie do roboty. Zachciało jej się po nocy meble przestawiać. – Popukał się palcem w czoło. – Mówiłem, że muszę się wyspać, bo dzisiaj mam pierwszą, ale ona tak ma, że jak się na coś uprze...

Jeszcze przez jakiś czas rozwodził się nad uporem nieświadomej tego szkalowania rodzicielki, po czym zgrabnie zmienił temat. Po wyjściu z szatni zabrał z biurka notatkę z wczorajszego zatrzymania, udając, że musi coś uzgodnić, i ruszył do gabinetu komendanta. Wiedział, że zastanie tam tych, których zamierzał zaskoczyć.

W pokoju istotnie siedziało trzech mężczyzn. Zieliński przywitał się, następnie położył przed Klonowiczem notatkę i krótko streścił okoliczności zatrzymania. Aspirant skinął

głową, co w tym konkretnym przypadku oznaczało nie tylko przyjęcie do wiadomości, ale i polecenie odmaszerowania. Nie lubił, gdy ktoś przeszkadzał mu w porannej celebracji picia kawy, ale tym razem Oktawiusz udał, że nie zrozumiał odprawy.

– Ta dziewczyna, co tu niedawno przyjechała...

Celowo zawiesił głos, by przyciągnąć uwagę obecnych. Aspirant sztabowy Ścieszka przyjrzał mu się podejrzliwie, jakby wietrzył jakiś podstęp.

– Jaka dziewczyna?

Trzy pary oczu znowu skierowały się w stronę starszego posterunkowego, który przybrał poważny wyraz twarzy.

– Ta kuzynka Krzyżanowskiej. Ona jest jakaś dziwna. Po jaką cholere odwiedza obcych ludzi?

Ręka Klonowicza drgnęła, kilka kropel kawy przelało się przez brzeg kubka i spłynęło wprost na spodnie. Aspirant zdawał się tego nie zauważać. Wolno odstawił naczynie i jakby w zakłopotaniu potarł gładko wygolony podbródek. Jego towarzysze nie byli aż tak opanowani. Ścieszka zaklął półgłosem, a komendant Skorek zdradzał wyraźne objawy podenerwowania, gdy zadawał kolejne pytanie.

– O czym ty mówisz? Jaka dziewczyna i kogo odwiedza?

– Przyjechała tu w ubiegłym tygodniu, podobno na wypoczynek. Mieszka u Agnieszki Krzyżanowskiej. To jej kuzynka.

– Skąd to wiesz?

Oktawiusz z wysiłkiem powściągnął triumfalny uśmiech. Zdawał sobie sprawę, że swoją odpowiedzią wepchnie starszego stopniem policjanta na minę, ale nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia. To będzie jego mała zemsta za wielokrotne poniżanie, za kpiny i brak zrozumienia. Wreszcie mógł się odpłacić.

– Od aspiranta Klonowicza. – Zwrócił na komendanta doskonale niewinne spojrzenie. – Mówił, że z nią rozmawiał.

Skorek natychmiast się nabzdyczył.

– Przeginasz, Sławek! Powinieneś mi o wszystkim meldować. Muszę wiedzieć, co się dzieje na moim terenie. Jestem komendantem...

– Naprawdę?

Klonowicz nie dodał nic więcej, lecz to jedno aż kapiące od ironii słowo wystarczyło, by nadkomisarz oklapł jak przebita gwoździem piłka.

– Co z tą dziewczyną? – spytał pojednawczo. – Wiesz, co to za jedna?

Aspirant szybko zreferował okoliczności swojego spotkania z Dionizją Remańską, podkreślając przy tym, że nie widział żadnego powodu do niepokoju.

– Sprawdziłem ją na wszelki wypadek. Jest instruktorką na strzelnicy. Żadnych podejrzanych znajomości. Odwiedziła Mirską na prośbę kuzynki i przejęła się gadaniem małolaty. Wyjaśniłem jej, w czym rzecz, i po sprawie.

– Niby racja – przyznał komendant. – Ale zanim zdecydujemy, czy może nam zaszkodzić, posłuchajmy najpierw Oktawa. O co chodzi z tym odwiedzaniem obcych?

Zieliński tylko czekał na chwilę, gdy znów znajdzie się w centrum zainteresowania, toteż bez namysłu wypalił:

– Wczoraj po ósmej wieczorem odwiedziła Poloczków.

Reakcja wyższych szarż przerosła jego najśmielsze oczekiwania. Pomyślał, że równie dobrze mógłby cisnąć na środek pokoju odbezpieczony granat, kto wie zresztą, czy wówczas nie zachowałiby więcej opanowania.

Komendant najpierw zbladł, potem poczerwieniał. Chciał coś powiedzieć, lecz zakrztusił się śliną i zaczął straszliwie kaszleć, nikt jednak nie ruszył mu na pomoc. Oktawiuszowi nawet to na myśl nie przyszło, tak był ucieszony wywołanym

zamieszaniem, Klonowicz natomiast poderwał się z miejsca, ale zamiast rzucić się na ratunek Skorkowi, rozpoczął szybki marsz donikąd na dystansie od okna do drzwi i z powrotem. Mruczał przy tym coś pod nosem tak cicho, że nie sposób było stwierdzić, czy przeklina, czy się modli. Jeden Ścieszka zachował spokój, a z jego kamiennej, ascetycznej twarzy nie dało się odczytać, jakie uczucia się w nim kłębią.

Nadkomisarz Skorek wreszcie pozbył się śliny z tchawicy. Wytarł chusteczką załzawione oczy, potem potężnie w nią dmuchnął i pokasłując jeszcze od czasu do czasu, zmierzył wzrokiem Zielińskiego, jakby chciał go przeświecić pod kątem prawdomówności.

– Jesteś pewien, że to była ta obca dziewczyna?

– Przecież nie jestem ślepy! – obruszył się zapytany, lecz gdy napotkał gniewne spojrzenie Klonowicza, natychmiast spuścił z tonu. – Przepraszam. – Z trudnością przepchnął przez gardło znieawidzone słowo. – Jestem całkowicie pewien, panie komendancie. To bardzo piękna dziewczyna – dorzucił dla uwiarygodnienia swojej wypowiedzi. – I chodzi tak, jakby płynęła w powietrzu.

– Za pasztetem byś nie patrzył – skomentował Klonowicz.

Obaj ze Skorkiem wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Uważaj, bo dla dupy głowę stracisz – zarechotał komendant.

Ścieszka i tym razem nie odezwał się nawet słowem, spoglądał za to na Zielińskiego tak ironicznie, że ten poczerwieniał jak złapany na gorącym uczynku.

– Stałem na podjeździe u Fijaka, bo byłem ciekawy, kiedy stamtąd wyjdzie – powiedział szybko.

Chciał tymi słowami odwrócić uwagę Ścieszki, gdyż nagle poczuł, że nie może znieść spokojnie tego kpiącego i wszechwiedzącego zarazem spojrzenia. Czyżby tamten czegoś się domyślał?

Klonowicza zirytowała powolność relacji.

– I co dalej? Cykasz te informacje, jakbyś czekał, aż ci za nie zapłacimy. No?! Długo tam była?

– Długo – odparł Oktawiusz prędko, nie chcąc go irytować. – Wyszła dopiero za piętnaście dziesiąta.

Skorek z wściekłością uderzył pięścią w biurko.

– Kurwa jej mać jebana! Po co ona tam poszła? Najpierw Mirska, teraz Poloczkowie. Jeśli coś zwęszyła...

Klonowicz nie dał mu dokończyć.

– Zamknij ryj, debilu! – wrzasnął i zwrócił się do Zielińskiego: – A ty wypierdalaj! No, na co czekasz? Już cię tu nie ma!

Oktawiusz nie odważył się sprzeciwić. Wyszedł, lecz drzwi pozostawił niedomknięte.

– Mam tego dość! – usłyszał pełne oburzenia słowa komendanta. – Ani myślę iść do pierdła za twoje kombinacje.

– Wolisz za swoje?

Zieliński rozpoznał głos Klonowicza i przysunął się bliżej, by nic mu nie umknęło z nieprzeznaczonej dla jego uszu rozmowy. Niespodziewanie ktoś pchnął drzwi tak mocno, że zatrzęsnęły się z hukiem, który niemal go ogłuszył.

– Co za debil – mamrotał, przepełniony urazą, że manewr się nie udał. – O mało mi tymi drzwiami w głowę nie przypierdolił – dorzucił z bezsensowną pretensją.

Miał zamiar jeszcze trochę poużalać się nad sobą, lecz dyżurny skutecznie mu to uniemożliwił, wydając polecenie natychmiastowego wyjazdu na interwencję. Oktawiusz spojrzał na niego wzrokiem zranionej sarny, lecz nie odważył się sprzeciwić. Noga za nogą poczłapał do wyjścia, usiłując zrozumieć, jak to się mogło stać, że zamiast święcić triumf, na własne życzenie zafundował sobie porażkę.

Przysiągł sobie, że od tej chwili nie przekaże już Klonowiczowi żadnej informacji. Przecież nie musiał mu nic

mówić, to była tylko jego dobra wola, której tamten nie tylko nie docenił, ale jeszcze publicznie go upokorzył. A więc koniec z tym. Niech sobie pan aspirant sam załatwia brudne sprawy. A Zielińskiemu i tak musi dalej pomagać, czy mu się to podoba, czy nie. Od tego jest.

3 czerwca 2020, Jodłowiec

Nadkomisarz Ogiński z nieskrywanym rozbawieniem przyglądał się starszemu posterunkowemu Zielińskiemu. Młody mężczyzna siedział sztywno wyprostowany, a jego nadęta mina oznajmiała całemu światu: „Nie próbuj mi podskakiwać, bo pożałujesz. Chyba nie wiesz, z kim masz do czynienia”.

Ogiński udał, że sprawdza coś w teczce leżącej na biurku, i spytał głosem, w którym próżno byłoby szukać bodaj cienia zainteresowania:

– O co wam w końcu chodzi, posterunkowy? Bo nic nie zrozumiałem z tego bełkotu.

Oktawiusz Zieliński spojrział na niego z urazą.

– Proszę pana, przecież mówiłem wyraźnie. – Nieznacznie podniósł głos. – Wysłał mnie tutaj komendant komisariatu w Bystrzycy Wielkiej. Potrzebuję informacji na temat niejakiego Roberta Gredtke. Obecny status zawodowy, kontakty, opinia sąsiadów... Wie pan przecież, o co chodzi.

– Jak już, to Roberta Gredtkego – odpowiedział Ogiński. – W języku polskim nazwiska się odmienia. To po pierwsze. A po drugie... – Zawiesił głos i dość długo wpatrywał się w nabzdyczoną twarz starszego posterunkowego. – Po drugie, być może u was w komisariacie panują bardziej swobodne stosunki. Nie moja sprawa, więc ani myślę to oceniać. Ale tutaj jesteś pierwszy raz, a zachowujesz się, jakbyś był moim

kumplem. Nie życzę sobie żadnych „proszę pana” albo „wie pan”. Właściwa forma brzmi „panie komendancie”, lub „panie nadkomisarzu”. Zrozumiano?

Gdyby to było możliwe, Zieliński zabiłby go wzrokiem. Nie miał jednak takich umiejętności, więc tylko odpowiedział: „Tak jest, panie nadkomisarzu”, i nadał się jeszcze bardziej. Na dźwięk wrogiego tonu Szymon wykrzywił wargi w ironicznym uśmiechu i zażądał podania telefonu do komendanta komisariatu w Bystrzycy Wielkiej, na co starszy posterunkowy znów się oburzył.

– Nie wierzy mi pan?!

– Ależ wierzę.

Nadkomisarz nie dodał nic więcej i Zieliński wreszcie zrozumiał, że arogancją nic tutaj nie zyska. Posłusznie wyrecytował zbitek cyfr.

Już po kilku minutach rozmowy Ogiński zorientował się, że nadkomisarz Skorek nie ma pojęcia o misji swojego podwładnego. Jego zaskoczenie było zbyt wielkie, by mógł udawać. Zaczął się nieporadnie tłumaczyć, lecz Szymon przerwał mu w pół słowa:

– Panie komendancie, przecież nic się nie stało. Widocznie coś źle zrozumiałem. Zaraz to wyjaśnię. Proszę się nie rozłączać, dobrze?

Odsunął telefon od ucha i spojrzał na Oktawiusza Zielińskiego. Starszy posterunkowy miał bardzo niewyraźną minę.

– Przepraszam, panie nadkomisarzu – odezwał się, uprzedzając Ogińskiego. – Skierował mnie tutaj aspirant Klonowicz, ale byłem pewny, że uzgodnił to z komendantem. Dlatego powiedziałem...

Szymon uciszył go gestem i podniósł komórkę do ucha.

– Wszystko się wyjaśniło. Słyszał pan? No właśnie. Drobiazg. Mógłbym porozmawiać z aspirantem Klonowiczem? W takim



razie niech do mnie zadzwoni, kiedy zakończy czynności. Poważnie? Nie szkodzi. Do widzenia.

Rozłączył rozmowę i westchnął z udawanym współczuciem. Nie żałował młodego funkcjonariusza, który jego zdaniem nie powinien był zaliczyć testów. Nie z takim podejściem do służby.

– Masz natychmiast wracać do Bystrzycy. To polecenie komendanta Skorka.

Funkcjonariusz aż poczerwieniał z irytacji.

– To niemożliwe! Przecież Klonowicz mi kazał...

– Możesz sam zadzwonić do komendanta Skorka i powiedzieć mu, co myślisz o jego rozkazie.

– Nie o to chodzi. – Zieliński wyraźnie się spłoszył. – Tylko że Klonowiczowi bardzo zależało na tych informacjach. Dlatego nie rozumiem, czemu mam wracać bez nich.

– Policjant nie jest od rozumienia, tylko od wykonywania rozkazów – odparł Szymon, nie dając po sobie poznać, że tę akurat zasadę uważa za wyjątkowo idiotyczną. – Komendant Skorek powiedział, że aspirant jedynie wspomniał o konieczności zebrania tych informacji, ale wcale cię tu nie wysłał. Nazwał cię nadgorliwcem i kazał wracać. – Popatrzył przyjaźnie na młodego mężczyznę. – Źle zaczęliśmy, ale teraz ci współczuję. To średnia przyjemność, kiedy szef robi z podwładnego idiotę.

Policzki Zielińskiego przybrały kolor purpury.

– Klonowicz powiedział wyraźnie, że mam tu przyjechać i dowiedzieć się wszystkiego o tym Gredtkem. Jaja sobie robią czy co?

Nadkomisarz postanowił zagrać atutową kartą. Przeciwnicy nie mieli pojęcia, że on doskonale orientuje się w sytuacji i wie, dlaczego tak nagle zainteresowali się Gredtkem. Zgodnie z planem teatralnie przewrócił oczami.

– Może źle go zrozumiałaś? Po co by mu to było? Gredtke to przecież tylko zwyczajny starszy gość. Fakt, że upierdliwy jak cholera, ale niegroźny dla otoczenia.

Plan się powiódł. Zieliński wziął udawaną wylewność za dobrą monetę i w jego oczach zapalił się chytry błysk, zaraz też postanowił pociągnąć komendanta za język.

– Wiem, że ten Gredtke był u nas na komisariacie i chyba pokłócił się z aspirantem Klonowiczem. Zdaje się, że jest prywatnym detektywem...?

Ogiński odchylił się do tyłu wraz z oparciem krzesła, przybierając pozę człowieka szykującego się do pogawędki.

– To prawda. W Bielsku-Białej działa agencja detektywistyczna, jej właścicielem jest emerytowany policjant. Pewnie Gredtke go ubłagał, żeby dał mu pracę, ale jak znam życie, ten facet już dawno pożałował tego kroku. Gredtke to nieudacznik. Tyle lat był naczelnikiem, że zapomniał o prawdziwej robocie, jedyne, co umie, to rozkazywać.

Posterunkowy wyraźnie się odprężył. Oznaki podenerwowania ustąpiły; teraz uśmiechał się z zadowoleniem.

– W takim razie wu... aspirant Klonowicz może spać spokojnie. Bał się, że gość ma mocne plecy i może narobić nam gnoju. Wie pan, jak to jest.

– Wiem doskonale – uspokoił go nadkomisarz. – Teraz jest w modzie dojechać policji. Cokolwiek by się stało, zawsze jest to nasza wina.

Udał, że nie zauważył lapsusu, a jednocześnie zastanawiał się, co mogło oznaczać to niedokończone słowo.

Zieliński zamarkował wstawanie z krzesła i natychmiast z powrotem na nie opadł. Nie miał zdolności aktorskich. Wszystko wypadło tak sztucznie, że Szymon miał ochotę wznieść oczy do nieba. Tymczasem młody mężczyzna zrobił skruszoną minę.

– Pomyślałem, że jak już tu jestem, to przy okazji zapytam o jedną z mieszkańek tej gminy. Nazywa się Dioniza Remańska i od niedawna mieszka we wsi Strzygom. Wie pan o niej coś ciekawego?

– Dioniza Remańska? Oczywiście, że coś tam wiem, ale czy to takie ciekawe? – Ogiński przywołał na twarz wyraz rozbawienia. – Chyba jednak nie. Remańska to nasza lokalna Calamity Jane.

– Kto taki?!

Nadkomisarz najpierw udał zdziwienie, potem pokiwał głową.

– Nie pomyślałem, że młodziak z ciebie, pewnie nigdy nie oglądałeś westernów. Calamity Jane była na dzikim Zachodzie żeńskim odpowiednikiem rewolwerowca. Nazywamy tak Remańską, bo jest instruktorką strzelectwa i ma cholernie celne oko. Dlaczego się nią interesujesz?

– Tak prewencyjnie – oparł Zieliński. – Od ponad tygodnia przebywa w Bystrzycy u swojej kuzynki.

– To chyba nic złego?

– No nie, ale przecież u nas nie ma żadnych atrakcji, a Remańska jest jeszcze dość młoda. Bez sensu przyjeżdżać na wczasy do wiochy, gdzie nie ma co robić. Ile można łązić po wsi i gadać z ludźmi?

*Brawo, Dionka*, pochwalił Ogiński w myślach. Dziewczyna musiała mieć wielką siłę perswazji, jeśli przez tyle dni żaden z jej rozmówców nie doniósł policji, co ją interesowało. Możliwe zresztą, że obsada komisariatu nie cieszyła się sympatią mieszkańców. Szymon usiłował przypomnieć sobie, czy sierżant Tokarz mówił coś na ten temat, lecz nie mógł się skupić, gdyż cały czas czuł na sobie wzrok Oktawiusza Zielińskiego. Posterunkowy czekał na jakąś reakcję na swoje słowa i wypadałoby w końcu mu odpowiedzieć.

– Nie znam Remańskiej na tyle dobrze, żeby mi się zwierzała, ale tak myślę, że ja na jej miejscu też bym wybrał takie miejsce. Ona cały dzień użera się z kursantami, a sam wiesz, jacy są ludzie. Uważają, że mają same prawa i żadnych obowiązków. No i ten ciągły huk. Tego nie wytłumią nawet najlepsze słuchawki. Nie dziwię się, że uciekła tam, gdzie jest cisza i nikt jej głowy nie zawraca.

Zieliński wyglądał na uspokojonego, mimo to nadal z uporem drażył temat.

– Ciekawe, czy Remańska zna się z Gredtkem – rzucił dość obojętnie. Szymon wzruszył ramionami.

– Widziałem kiedyś, jak rozmawiali. Nie wyglądali na zaprzyjaźnionych. Gredtke to burak, a ona nie jest z tych, co pozwalają sobie srać na głowę. A co, myślałeś, że są parą? – zapytał z kpina.

Celowo zakończył tak wypowiedź, doszedł bowiem do wniosku, że nie powinien zaprzeczać zbyt gwałtownie. To zawsze wzbudza podejrzenia. Musiał wypaść przekonująco, gdyż posterunkowy sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego. Po wypowiedzeniu kilku frazesów podziękował za poświęcony mu czas i opuścił komisariat.

Po jego wyjściu nadkomisarz zastanawiał się, ile zajmie Klonowiczowi odkrycie, że zostali wymanewrowani. Chciał, by nastąpiło to jak najpóźniej, ale nie miał złudzeń. Wszystko wskazywało na to, że w bystrzyckim komisariacie dzieje się coś podejrzanego, i z całą pewnością właśnie Klonowicz grał główną rolę w tej aferze. Tym samym musiał być sprytny i inteligentny, prawdopodobnie więc nie upłynie zbyt wiele czasu, nim zorientuje się w sytuacji. Oby nie stało się to zbyt prędko.

Na wszelki wypadek postanowił zadzwonić do Diony i poinformować o wizycie bystrzyckiego szpiega. Nie wiedział, czy był na tyle przekonujący, by tamci uwierzyli

w opowiedzianą Zielińskiemu bajeczkę. Jeśli nie, powinien uprzedzić dziewczynę, że w każdej chwili może się spodziewać kontrakcji.

*Ciekawe, czym zwróciła na siebie ich uwagę?* – pomyślał i poczuł żal do losu, który zesłał na niego tyle obowiązków, że nie wystarczyło już czasu na telefon do dziewczyny, która gotowa sobie pomyśleć, że te kilka pocałunków nic dla niego nie znaczyło.



## Rozdział 12

### Zwiastun burzy

4 czerwca 2020, Bystrzyca Wielka

Sławomir Klonowicz przemierzał wielkimi krokami gabinet komendanta. Aż gotował się ze złości. Wiedział, że największą winę za fiasko misji zleconej Zielińskiemu ponosi on sam, lecz to wcale nie umniejszało jego frustracji.

Przystanął przed biurkiem, pochylił się ku siedzącemu w skórzanym fotelu mężczyźnie. Jakiś czas trwał tak bez ruchu, sycąc wzrok widokiem strachu w jego oczach, potem wyrwał mu z ręki długopis i jednym ruchem przełamał go na pół.

– Tak trudno się było domyślić, po co go tam posłałem?!

– Powinieneś był mi powiedzieć – bronił się tamten. – Jestem komendantem i...

Klonowicz przerwał mu uderzeniem pięści w blat biurka.

– Jesteś, kurwa, jednym wielkim nieporozumieniem, a nie komendantem. Co za debil umieścił cię na tym stanowisku? Pewnie taki sam leszcz jak ty.

– A co miałem zrobić? – bronił się Skorek. – Zaskoczył mnie tym telefonem. Miałem mu powiedzieć, że ty rządysz komisariatem?

– Ty naprawdę jesteś jebnięty – stwierdził aspirant z głębokim przekonaniem. – Nie mogłeś go spuścić na drzewo? Wystarczyło powiedzieć, że nie masz czasu. Ale nie! Pan

nadkomisarz Skorek tak trząśł gaciami, że wolał odwołać młodego.

Aspirant pieklił się jeszcze przez kilka minut, a gdy wreszcie opuścił gabinet, Mirosław Skorek sięgnął do kieszeni, drżącymi rękami wydobył blister i wycisnął na dłoń pigułkę. Połknął ją bez popijania, potem czekał na chwilę, gdy lek zacznie działać i serce wróci do normalnego rytmu, a dłonie przestaną drżeć niczym alkoholikowi przed wypiciem pierwszego kieliszka.

Nie powiedział Klonowiczowi o nieprzyjemnym przeczuciu, które go ogarnęło w trakcie rozmowy z nadkomisarzem Ogińskim. Było jak zapowiedź klęski, jak zwiastun burzy łamiącej drzewa i zmiatającej dachy z domów. Ale aspirant nie zasługiwał na to, by go ostrzec.

*Jeżeli w najbliższym czasie nic się nie zmieni, zabiję tego skurwysyna,* wygrażał w myślach, choć dobrze wiedział, że nie zrobi nic, by zmienić układ zawarty z Klonowiczem. Usta Skorka wygięły się w bolesnym grymasie. Układ? Nie mógł go zerwać ani nawet renegecjować, gdyż aspirant miał w ręce wszystkie atuty i nie wahał się nimi wymachiwać. W takim razie to nie układ, tylko zwyczajny szantaż. W dodatku wymagania Klonowicza ciągle rosły, a gdy Skorek usiłował protestować, aspirant patrzył znacząco i wymawiał tylko jedno słowo. To wystarczało do stłumienia buntu.

– Luiza – wyszeptał nadkomisarz. – Nawet nie wiesz, ile mnie to kosztuje.

\*

Sławomir Klonowicz schronił się w toalecie, by uciec przed zaciekawionymi spojrzeniami policjantów z dziennej zmiany. Musieli słyszeć jego podniesiony głos i teraz pewnie zastanawiali się, co było przyczyną konfliktu. Aspirant



zaprezentował im kamienne oblicze, choć w głębi czuł narastający lęk. Za dużo tego wszystkiego. Klaudia, Gredtke, Angela i jeszcze ta Remańska wtrącająca się do nie swoich spraw.

Klonowicz zaklął bezgłośnie. Gdy wysyłał Zielińskiego do Jodłowca, miał nadzieję, że zdobyte przez posterunkowego informacje o dwojgu ciekawskich obcych rozwieją jego podejrzenia, przyniosą uspokojenie. Nie przewidział, że tamtejszy komendant zechce sprawdzić u źródła legalność działania funkcjonariusza.

– Mogłem mu dać ten pierdolony papier – mruknął pod nosem.

Nie potrafił odżałować, że sam przyczynił się do niepowodzenia misji Zielińskiego. Tak dalece przywykł do sprawowania władzy absolutnej, że nawet przez myśl mu nie przeszło, iż jego panowanie nie sięga poza granice gminy.

Może powinien wysłać go tam ponownie? Nie, to zbyt niebezpieczne. Za pierwszym razem nikt by się specjalnie nie wczytywał w przedstawiony dokument, ale teraz komendant z pewnością chciałby się dowiedzieć, co takiego interesującego było w Robercie Gredtkem, że aż w pośpiechu zapomniano wyposażyć posterunkowego w stosowne upoważnienie, i sprawdzono by wszystko bardzo dokładnie. Chcąc nie chcąc, musiał odpuścić.

Dochodziła czternasta, gdy skrzypnęły drzwi i do pokoju wszedł nieuchwytny od wczoraj Oktawiusz Zieliński.

– Jestem – oznajmił, czym natychmiast wzbudził irytację aspiranta.

– Widzę – burknął Klonowicz i zamknął teczkę. – Ślepy nie jestem. Zrób sobie kawy i powiedz, co było aż tak ważnego, że nie znalazłeś nawet pięciu minut, żeby opowiedzieć o wizycie w Jodłowcu?

Starszy posterunkowy zatrzymał się w pół drogi do szafki z czajnikiem i popatrzył z urazą na starszego policjanta.

– Musisz się ciągle dopierdalać?

– Bo miałeś wczoraj przyjechać prosto do mnie.

Aspirant mówił w miarę spokojnie, choć jego złość na Zielińskiego jeszcze się wzmogła, zwłaszcza gdy tamten zareagował wzruszeniem ramion.

– Nie kazałeś – odpowiedział Oktawiusz i odwrócił się tyłem, by nalać wody do czajnika. – Skąd miałem wiedzieć, że chcesz ze mną gadać? Nie jestem duchem świętym, żeby czytać w myślach.

Klonowicz z trudem się powstrzymał przed puszczeniem soczystej wiązanki. Zdawał sobie sprawę z tego, że tutaj także może winić wyłącznie siebie. Znał przecież Oktawa jak nikt inny i wiedział, że samodzielne myślenie nie jest jego najmocniejszą stroną. Za to pychy miał w nadmiarze, a obie te cechy zebrane razem sprawiały, że nigdy nie można było mieć pewności, jak młody człowiek się zachowa.

– Okej, niech ci będzie – rzucił pojednawczo, zaraz jednak dorzucił złośliwie, nie mogąc się opanować: – Mój błąd. Zapomniałem, że bez wyraźnego rozkazu nawet wysrać się nie umiesz.

– Przestań mnie wreszcie gnoić! – wrzasnął Zieliński. – Jak trzeba coś załatwić, to jestem dobry, a zaraz potem głupi? To trzeba było samemu jechać do tego jebanego Jodłowca! Ja tam nie miałem żadnego interesu.

– Miałeś, w dodatku bardzo ważny – skontrował aspirant ze złością. – Interes służby. Mówi ci to coś?

Starszy posterunkowy skierował na niego doskonale bezmyślne spojrzenie i odpowiedział bez przekonania:

– No raczej.

Klonowicz westchnął głośno, policzył w myślach do dziesięciu i postanowił zmienić taktykę. Oktawiusz był, jaki

był, i wściekanie się niczego tu nie zmieni. Szkoda tracić energię na z góry przegraną walkę, od krzyku czy ironicznych uwag chłopakowi rozumu nie przybędzie. Jedyne, co można zrobić, to czuwać, by przez swoją głupotę nie narobił jeszcze większych szkód i nie pociągnął przy tym innych na dno.

Przełknął pytanie, dlaczego Zieliński również dzisiaj nie znalazł od rana nawet chwili na rozmowę. Wiedział dobrze, co usłyszy; starszy posterunkowy już nie raz tłumaczył w ten sposób spóźnienie czy nieobecność. Zawsze w takich sytuacjach okazywało się, że musiał podjąć pilną interwencję lub inne niecierpiące zwłoki czynności, a brak śladów po swoim działaniu wyjaśniał błędną oceną sytuacji.

Drażnienie tematu nie miało sensu, toteż aspirant westchnął jeszcze raz i odezwał się pojednawczym tonem:

– Zrób sobie wreszcie tej kawy, a potem pogadamy. Mógłbyś docenić, że w trakcie służby możesz sobie posiedzieć wygodnie w fotelu i popijać kawusię. Założę się, że w Jodłowcu te biurokratyczne dupki nawet mineralnej ci nie dały.

Starszy posterunkowy ponownie włączył czajnik, nasypał kawy do kubka i przysiadł na blacie stołu w oczekiwaniu na wrzątek.

– Nie było tak źle. Dostałem kawę z ekspresu. – Popatrzył na Klonowicza z satysfakcją. – Sam komendant mi ją zrobił.

Aspirant wydał usta z pogardą.

– Też się jest czym chwalić. Myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty, jak słuchanie o jakimś wsioku? – Zaraz jednak zaprzeczył sam sobie, pytając o człowieka, którego przed chwilą uznał za niewartego zainteresowania. – Kto to w ogóle jest?

Zanim Oktawiusz odpowiedział, zalał kawę wrzątkiem, zabrał kubek i rozsiadł się w fotelu przeniesionym tutaj z gabinetu komendanta.

– Nadkomisarz Szymon Ogiński. – Przerwał, siorbnął głośno i kontynuował: – Około trzydziestu pięciu lat, nawet sympatyczny, tylko kurewsko pryncepalny.

– „Pryncepalny” – przedrzeźniał Klonowicz ze złością, która znów zaczęła go dławić. – Dobrze, że nie prince polo. Prynypialny, ty debilu! Chryste, że też Aśka musiała urodzić takiego imbecyla!

Młody policjant zacisnął dłonie w pięści.

– Uważaj, wujek – syknął. – Nie masz prawa mnie obrażać. Nikomu od dupy nie odpadłem, żebyś mnie ciągle gnoił.

– Przepraszam jaśnie pana – rzucił aspirant ironicznie. – Książątko się, kurwa, znalazło! Gdyby nie ja, zapierdalałbyś przy kopaniu rowów, żeby mieć co do gęby włożyć. To dzięki mnie masz robotę i własne mieszkanie, gdzie możesz ruchać różne kurewki bez strachu, że ktoś cię na tym przyłapie.

– Nie robisz tego z dobrego serca – odciął się Oktawiusz. – Mama trochę mi o tobie opowiedziała...

Nie dokończył, przestraszony widokiem twarzy wuja, drgającej w paroksyzmach wściekłości.

– Nigdy więcej o tym nie wspominaj – ostrzegł aspirant. – Rozumiesz? Nigdy! Bo zajebię jak psa. A teraz gadaj wreszcie, co stało się w Jodłowcu. Sprawa jest czysta czy się skapowali, że to ściema?

Zieliński zaczął opowiadać o swoich odwiedzinach w jodłowieckim komisariacie, a Klonowicz musiał się powstrzymać, by go nie uderzyć. Ze słów starszego posterunkowego wynikało bowiem jasno, że początkowo przyjęto go tam całkiem przyjaźnie. Prawdopodobnie otrzymałby wszystkie potrzebne mu informacje bez żadnych pytań, gdyby nie jego aroganckie zachowanie, chęć pokazania tamtym, że jest kimś lepszym. Nic więc dziwnego, że odesłano go do komendanta.

– Zażądał kwitów i sprawa się ryła – opowiadał Zieliński. – Gdybyś o tym pomyślał, nie musiałbym udawać debila.

– Wcale nie musiałeś udawać – wtrącił Klonowicz, lecz siostrzeniec nie zrozumiał ukrytego sensu tych słów.

– Właśnie że musiałem – sprzeciwił się Oktawiusz z uśmiechem wyższości. – Dzięki temu nadkomisarz Ogiński zaczął mi współczuć i powiedział mi wszystko, co chciałem wiedzieć o Gredtku.

Tym razem aspirant nie tracił czasu na poprawianie błędu. Zbyt go interesowało, czego Zieliński dowiedział się od komendanta. Informacja o bielskim biurze detektywistycznym go uspokoiła – lokalizacja była zbyt odległa, by zachodziło podejrzenie, że Gredtke przyjechał do Bystrzycy w sprawach służbowych. W dodatku miał opinię nieudacznika, więc pewnie zlecają mu co najwyżej śledzenie niewiernego męża.

– O Remańską też pytałeś?

Tu wieści także były zadowalające i rozwiały wcześniejsze podejrzenia. Skoro ona i Agnieszka Krzyżanowska naprawdę są kuzynkami, to wszystko jest w porządku. W przeciwieństwie do siostrzeńca Klonowicz znał realia życia codziennego. Właściciel strzelnicy zapewne płacił instruktorce niewiele ponad najniższą pensję, nic więc dziwnego, że przyjechała tu na wczasy. Urlop spędzany u rodziny zawsze wypadnie taniej.

Z kolei do Mirskiej pewnie zadzwoniła dlatego, że podpuściła ją ta uparta Angela. O ile powód jej wizyty u Poloczków okaże się równie banalny, nie trzeba się obawiać wpadki. Dziewucha pobędzie tu jeszcze kilka dni i wyjedzie.

– To wszystko – oznajmił Zieliński, zachwycony pomrukami uznania.

Na wszelki wypadek aspirant zadał mu jeszcze kilka pytań, by się upewnić, że chłopak nie pominął czegoś ważnego, gdyż Oktawiusz miał wybitny talent do puszczania w niepamięć

wszystkiego, co nie dotyczyło go osobiście. Z odpowiedzi wywnioskował, że tym razem Zieliński przedstawił mu wierną relację rozmowy z komendantem jodłowieckiego komisariatu, i wreszcie poczuł się usatysfakcjonowany.

– Okej. Możesz iść do domu.

Zieliński wstał, lecz nie wyszedł od razu.

– Co myślisz, wujek? Dobrze to załatwiłem, prawda?

Klonowicz popatrzył na domagającego się pochwał siostrzeńca i skinął głową.

– Muszę przyznać, że się spisałeś. Masz tu nagrodę.

Podał Oktawiuszowi kilka banknotów i ruchem głowy wskazał drzwi, a gdy tamten wyszedł, zamyślił się głęboko nad komendantem Ogińskim. Był całkiem pewien, że skądś zna to nazwisko. Tylko skąd?

\*

Diona uniosła głowę znad tabletu i wpatrzyła się w obsypaną czerwonym kwieciem kępę róż. Nie widziała ich piękna, pochłonięta planowaniem dalszych kroków. Wczorajsza rozmowa z Szymonem potwierdziła jej podejrzenie, że poniedziałkowa wyprawa do rodziców Klaudyny nie pozostała niezauważona.

Akurat od nich wychodziła, gdy dostrzegła zaparkowany naprzeciwko radiowóz z młodym policjantem za kierownicą i od razu rozpoznała tak pojazd, jak kierowcę. Mijał ją dokładnie w chwili, gdy blisko dwie godziny temu skręciła do bramy Poloczków, lecz wówczas uznała to wyłącznie za niefortunny zbieg okoliczności.

Ponowne natknięcie się na ten sam radiowóz, w dodatku stojący na cudzym podjeździe, skąd można było obserwować rodzinny dom Klaudyny, świadczyło, że jednak znalazła się na celowniku bystrzyckiej policji. Postanowiła więc na wszelki

wypadek spędzić następne dwa dni na zajęciach właściwych osobie, która rzeczywiście przyjechała na wypoczynek, i zdusić tym samym w zarodku wszelkie podejrzenia.

Tym razem aura okazała się sprzymierzeńcem. Słoneczne dni sprzyjały wylegiwaniu się w ogrodzie, co podczas deszczu nie byłoby możliwe. Diona ustawiła więc leżak w takim miejscu, by widać ją było z ulicy, nie siliła się jednak na ostentację, by nikt się nie domyślił, że wystawia ciało na promienie słoneczne w innym celu niż z chęci uzyskania pięknej opalenizny. O tym, jak bardzo irytuje ją owo bezproduktywne zajęcie, nieprzynoszące nic prócz straty czasu, na szczęście nikt nie wiedział.

Po rozmowie z Ogińskim Remańska przedłużyła labę jeszcze o czwartek, by utwierdzić policjantów w przekonaniu, że nie stanowi żadnego zagrożenia dla ich machinacji. Zresztą i tak nie mogła ruszyć z miejsca aż do powrotu sierżanta Tokarza. Poloczkowie powiedzieli już wszystko, a Angela nie odbierała telefonu. Jej rodzice również, co akurat niespecjalnie Dionę martwiło, gdyż wiedziała, że nie mają nic istotnego do przekazania. Zwłaszcza ojciec, nieuczestniczący aktywnie w wychowaniu córki. Planowaną rozmowę z Mariuszem Klają mogła odbyć nie wcześniej jak w niedzielę, chłopak bowiem najał się do pracy na budowie i codziennie wracał do domu dopiero późnym wieczorem.

Detektywka zerknęła na zegarek i zdecydowała, że dosyć już tego wylegiwania się. Zabrała tablet i poszła do domu, a wkrótce potem zmierzała do sklepu, by uzupełnić zaczynającą świecić pustkami lodówkę.

W nagrzanym wnętrzu zamiast klimatyzacji pracował na najwyższych obrotach duży stojący wentylator. Po rżeniu i zgrzytach można było śmiało założyć, że najlepsze lata ma już za sobą i dawno powinien był przejść na spoczynek. Skoro

jednak odmówiono mu praw emerytalnych, mełł z wysiłkiem gorące powietrze, nikogo i niczego właściwie nie chłodząc.

Diona wolno chodziła między regałami i od czasu do czasu wkładała do koszyka jakiś produkt. Nikt nie zwracał na nią uwagi; już dawno przestała stanowić tu atrakcję.

Nagle tuż obok stanęła ładna kobieta z jasnymi włosami upiętymi w koronę z warkocza.

– Dzień dobry – odezwała się, okraszając słowa przyjaznym uśmiechem. – Pani jest pewnie tą kuzynką Agi Krzyżanowskiej, prawda?

– Dosyć daleką, ale faktycznie jesteście spokrewnione – odparła Remańska.

Domyśliła się tożsamości nieznajomej i ciekawiło ją, czy przypuszczenie jest słuszne. Odwzajemniła uśmiech i wyciągnęła rękę na powitanie.

– Dioniza Remańska.

Kobieta w koronie uścisnęła podaną dłoń.

– Karolina Trzcianka. Bardzo mi miło. Pani u nas na dłużej?

Detektywka wrzuciła do koszyka paczkę bielskich krówek i ruszyła w stronę kasy. Po kilku krokach przystanęła i zerknęła na idącą obok kobietę.

– Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem. Miałam zamiar zostać tylko do niedzieli, ale nie bardzo chce mi się wracać. Taki tu spokój, nikt dupy nie zawraca...

Urwała i ze zmieszana miną przycisnęła dłoń do ust. Trzcianka prawidłowo odczytała ten gest i wybuchnęła perlistym śmiechem.

– Niech się pani nie przejmuj! – zawołała, chwytając Dionę za rękę. – Sama lubię czasem bluznać, więc byle dupa mi niestraszna. Może poszłybyśmy do „Muchomorka” na kawę? – zaproponowała znienacka.

– Bardzo chętnie – odparła ucieszona Remańska. – Zresztą i tak miałam zamiar tam pójść na obiad. Nie po to ma się



urlop, żeby stać przy garach.

Nie dodała, że niewiele by z tego stania wynikało; taka informacja z pewnością nie była Trzciance potrzebna. I rzeczywiście, kobieta pominęła milczeniem tę część wypowiedzi, zatrzymała się natomiast na poprzedniej.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem. Pani jest przecież kuzynką Agi... Nie wiedziałam, że z niej taka sknera. Żeby krewnej nie zaprosić do stołu, to się normalnie w głowie nie mieści!

Diona wyłożyła zakupy na taśmę, poprosiła jeszcze o karton czerwonych rothmansów i przytknęła kartę do czytnika. Nie umknęło jej uwagi wytężone spojrzenie Karoliny, biegnące w ślad za dłonią, i domyśliła się powodów. Postanowiła ułatwić jej życie i celowo położyła kartę na ladzie, udając pochłoniętą pakowaniem zakupów. Gdy już była pewna, że tamta odczytała imię i nazwisko, podniosła kartę z okrzykiem przestraszenia.

– O Boże, o mało jej nie zapomniałam. Dobrze, że mój facet tego nie widział, dopiero byłoby gadanie. Jest taki dokładny i uważny, że aż się niedobrze robi. I ciągle mnie poucza, że nie powinnam być taka roztrzepana.

Złapała reklamówki i skierowała się ku drzwiom.

– Faceci! – prychnęła Karolina i ponownie nawiązała do kwestii obiadów: – Nie rozumiem tej Agnieszki. Ubyłoby jej, jakby kuzynkę ugościła?

Diona obdarzyła ją jednym ze swojej bogatej kolekcji uśmiechów przeznaczonych na takie właśnie okazje. Ten konkretny znamionował lekkie zaambarasowanie.

– To nie tak. Aga jest bardzo gościnna i chciała, żebym stołowała się u niej, ale ja wolę być na własnym wikcie. Nie mam zwyczaju jeść o stałych porach i często w ogóle zapominam o posiłku.

Przy ostatnich słowach spojrzała w górę w słusznym podejrzeniu, że teraz trafi ją grom z jasnego nieba w ramach kary za bezczelne łągarstwo.

Czuła na sobie wzrok Trzcianki i domyśliła się, że kobieta ocenia jej prawdomówność, toteż nie próbowała zmieniać tematu. Po prostu umilkła i przez jakiś czas szły w kompletnej ciszy. Karolina pierwsza ją przerwała.

– Mówmy sobie po imieniu – zaproponowała, a gdy Diona przyklasnęła propozycji, rzuciła następną: – Może chciałabyś się przenieść do mnie? Mam swój pensjonat. Miejsce rewelacyjne, właściwie już poza wioską. Ostatnio mieszkał u mnie facet od was i bardzo sobie chwalił. Sympatyczny gość. Pewnie go znasz. Nazywa się Robert Gredtke.

Remańska przywołała na twarz kolejny uśmiech, oznaczający konsternację.

– Gredtke? Coś mi to mówi, ale nie mogę skojarzyć... Mówisz, że od nas? Jak wygląda ten facet?

Trzcianka zastanawiała się przez chwilę.

– Po pięćdziesiątce, ciemnowłosa, z szarymi oczami. Wysoki, ale nie wielkolud. Przystojny. Podobno był policjantem...

– A, to już wiem! – ucieszyła się Diona. – Trzeba było od tego zacząć. Widziałam go kilka razy i nawet z nim kiedyś rozmawiałam. Ale on mieszka w Świercznicy, a na strzelnicę nie przychodzi, więc nie spotykam go na co dzień. Czemu o niego pytasz? – Skrzywiła się lekko. – Sympatyczny? – prychnęła pogardliwie. – Nie mów, że on ci się podoba! Przecież to zwykły buc.

W duchu przeprosiła Roberta i czekała na odpowiedź, ciekawa, co też Karolina wymyśli. Zawiodła się, kobieta bowiem nie wykazała się żadną inwencją.

– Tak tylko... – bąknęła. – Po prostu myślałam, że to twój znajomy, bo mieszka w tej samej gminie. Mnie się wydawał całkiem fajny. Dobrze wychowany, uprzejmy...

– I nudny do zrzygania – weszła jej w słowo Diona. – Wystarczyło mi kilka minut, żeby się przekonać, że rozmowa z nim to strata czasu.

Weszły do karczmy i ulokowały się pod oknem. Po chwili, nie mogąc doczekać się na kelnerkę próbującą porozumieć się w kulawej angielszczyźnie z siedzącą trzy stoliki dalej parą, Remańska podeszła do baru i zamówiła dwa espresso. Młody barman o przyjaznym uśmiechu i przenikliwych oczach skasował żadaną kwotę.

– Przyniosę kawę do stolika – obiecał.

Diona wróciła więc na miejsce, zastanawiając się gorączkowo, o czym mogłaby rozmawiać z Trzcianką. Nie chciała jej o nic wypytywać, by nie budzić dopiero co uśpionych podejrzeń, zresztą nie wierzyła, by kobieta miała coś istotnego do powiedzenia. Była tylko policyjnym uchem, przekąźnikiem działającym wyłącznie w jedną stronę.

– Zaraz będzie kawa – oznajmiła i usiadła na krześle dającym możliwość obserwowania całej sali.

Karolina z aprobatą kiwnęła głową.

– Milutki ten Rafałek.

– Kto? – zaciekawiała się Diona. Dotychczas nie napotkała w Bystrzycy nikogo noszącego to imię.

– Barman. Nazywa się Rafał Dzieżko – wyjaśniła Trzcianka. – Ma taki zniewalający uśmiech, że człowiekowi przychodzą do głowy różne myśli.

Zmrużone oczy i wygięte ironicznie kąciki ust zaprzeczały sensowi słów i Remańska natychmiast dyskretnie przyjrzała się młodemu człowiekowi, który właśnie stawiał na tacy drugą filiżankę.

– Coś z nim nie tak? Mnie wydaje się całkiem zwyczajny i szczerze mówiąc, nie wywarł specjalnego wrażenia.

Karolina pochyliła się ku niej i powiedziała półgłosem:

– Widocznie wyczuwasz, że dziewczyny nie mają z niego żadnego pożytku. Wieść gminna mówi, że to gej.

– Tak? – Remańska nie wykazała cienia zainteresowania. – Całkiem możliwe, ale mnie to ani grzeje, ani ziębi. Jak mówiłam, dla mnie on jest całkiem przeciętny, więc jego preferencje latają mi koło pióra.

– Ale... – zaczęła Trzcianka, lecz Diona uciszyła ją syknięciem, gdyż obgadywany przez nie młody mężczyzna właśnie nadciągał z tacą.

Później nie wróciły już do tego tematu i detektywka odetchnęła z ulgą. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ludzie tak się ekscytują na wieść, że ktoś jest homoseksualistą, a już nienawiść do kochających inaczej była dla niej czymś nie do przyjęcia. *Idioci! Myślałby kto, że zaraz dostaną nakaz zmiany orientacji*, pomyślała z pogardą o homofobach i ponownie zaczęła się przysłuchiwać paplaninie swojej towarzyszki, nudząc się przy tym straszliwie. Nie mogła doczekać się chwili, kiedy Karolina wreszcie sobie pójdzie.

Długo wyczekiwany moment w końcu nastąpił. Trzcianka dopiła kawę, energicznie odstawiła filiżankę i uśmiechnęła się przepraszająco.

– Muszę już lecieć. – Wygrzebała z torebki wizytownik i położyła na stoliku kremowy kartonik. – Wpadnij do mnie na ploty, jak będziesz się nudzić. Tu masz namiary. Dzięki za kawę. Cześć.

Diona wykrzywiła wargi w kolejnej imitacji uśmiechu. Od własnej słodyczy zaczynały już ją boleć zęby.

– Dzięki za zaproszenie. Kochana jesteś. W takim razie do zobaczenia.

Gdy za tamtą zamknęły się drzwi, odetchnęła głęboko i sięgnęła po kartę, by sprawdzić menu lokalu. Żołądek potwierdził słusność jej działania głośnym burczeniem i dziewczyna się uśmiechnęła, wreszcie zupełnie szczerze.



## Rozdział 13

### Znalezisko sióstr Klaja

5 czerwca 2020, Bystrzyca Wielka

Katarzyna Klaja kichnęła głośno w chusteczkę i energicznie wytarła nos. Popatrzyła przy tym ze złością na siostrę, od kilku dni doprowadzając ją do szału. Iwona najwyraźniej wzięła za punkt honoru wpędzić ją do grobu swoim bezustannym jęczeniem.

– To nie jest zwykłe przeziębienie – znów wróciła do wałkowanego od trzech dni tematu. – Przecież już prawie lato, to niby gdzie się przeziębiłaś? Mówię ci, Kaśka, że to na pewno korona.

– To po co wyciągnęłaś mnie z domu? Żebym wszystkich zaraziła?

Iwona popatrzyła na siostrę z urazą.

– Przecież nie dam rady sama wszystkiego zrobić.

Katarzyna straciła cierpliwość i odsunęła ją od drzwi, zaczęła bowiem przypuszczać, że Iwona trwale zespoliła swoją rękę z klamką.

– To w końcu się na coś zdecyduj, bo nie wiem, czy mam umierać na covid, czy zapierdalać przy sprzątanii!

Zignorowała obrażoną minę siostry, otworzyła drzwi i weszła do środka. Dom wyglądał na opuszczony, co ją zdziwiło, gdyż Angela nie uprzedziła, że ma zamiar gdzieś wyjechać, a w przeciwieństwie do swojej aroganckiej mamusi zawsze informowała siostry Klaja o planowanej nieobecności.

– O Jezu, co tu tak śmierdzi?! – wykrzyknęła Iwona, gdy tylko przekroczyła próg.

Katarzyna wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, co mogłoby śmierdzieć, i niespecjalnie ją to interesowało. Znała dobrze siostrzane skłonności do przesady, podejrzewała więc, że Iwona daje w ten sposób wyraz swojej dezaprobach dla zwyczaju Angeli do nadmiernego skrapiania się perfumami.

– Czego się czepiasz dziewczyny? – burknęła. – Widocznie teraz taka moda albo perfumy mocniej pachną niż dawniej.

Siostrze na moment odebrało ze zdziwienia mowę.

– Jakie perfumy? Zgłupiałaś do reszty? Śmierdzi tak, że wytrzymać nie można! Chyba Angelka mięsa nie schowała.

– Przynajmniej jeden pożytek z kataru – roześmiała się Katarzyna.

Podreptała za siostrą do kuchni, gdzie panował idealny porządek. Zdezorientowana Iwona otworzyła lodówkę, wciągnęła nosem powietrze i zamknęła ją z wyrazem zastanowienia na twarzy.

– Kaśka, naprawdę nic nie czujesz? Ja piernicę, przecież tu tak okropnie śmierdzi, jak wtedy w lesie, kiedy znalazłyśmy tę zdechłą sarnę.

Katarzyna zmarszczyła brwi. Dobrze pamiętała potworny odór bijący z wzdętego, rozkładającego się ciała. Na samo wspomnienie zrobiło jej się niedobrze i popatrzyła ze złością na siostrę.

– Kurde, Iwka, musiałaś mi o tym przypomnieć? Od razu zaczęło mnie naciągać. – Znowu zmarszczyła brwi. – Ciekawe, co ta Angelka nawywijała? I ciekawe, gdzie ją wcięło. Zawsze dzwoniła, żeby uprzedzić... O kurwa!

Rzuciła się do przedpokoju, lecz zatrzymał ją stalowy uścisk siostry.

– Tyle razy cię prosiłam, żebyś nie przeklinała. To grzech.

Na widok fanatycznego błysku w oczach Iwony Katarzyna poczuła mdłości. Nie miała nic przeciwko religii. Sama także wierzyła w Boga i uważała się za dobrą katoliczkę, choć ksiądz nieraz ją napominał, że zbyt rzadko pokazuje się w kościele. Ale co innego normalna wiara, a co innego te cholerne zabobony! Nie mogła pojąć, jakim sposobem inteligentni skądinąd ludzie dali się wkręcić w coś, co niczym się nie różniło od działalności potępianych przez nich sekt.

– Święta się znalazła! – prychnęła z pogardą. – Jak rozkładałaś nogi przed całą wioską, to jakoś nie mówiłaś o grzechu!

– Nigdy nie jest za późno na nawrócenie – oświadczyła Iwona z godnością. – Ksiądz Kieliszek też grzeszył, a jednak...

– Ksiądz Kieliszek był pojebanym skurwysynem, a ty idiotką, która wierzy, że dewocją utoruje sobie drogę do nieba. Puść mnie!

Katarzyna szarpnęła się, lecz siostra wzmocniła uścisk, patrząc na nią ze zgrozą.

– Błuźnisz, Kasiu, a Bóg słyszy wszystko – szepnęła lękliwie.  
– Będę się za ciebie modlić, żebyś przejrzała na oczy.

Katarzyna straciła cierpliwość. Fanatyzm siostry eskalował z dnia na dzień i ostatnio stał się całkiem nie do zniesienia. Doszukiwanie się we wszystkim grzechu, pouczanie, a nade wszystko traktowanie z wyższością tych, którzy nie podzielali jej poglądów, nawet świętego wyprowadziłyby z równowagi, a o kilkanaście minut młodsza z sióstr Klaja bynajmniej do świętych się nie zaliczała. Skoro nie pomogły prośby ani perswazja, postanowiła uciec się do rozwiązania siłowego. Niespodziewanie wbiła palce drugiej ręki w żebra Iwony, a ta wrzasnęła z bólu i zwolniła uścisk. Teraz wystarczyło jedynie zrobić krok naprzód.

– A módl się, możesz zacząć już teraz!



Pędem rzuciła się w stronę przedpokoju. Nie zwracała uwagi na deptającą jej po piętach siostrę, nie zwracała uwagi na jej połajanki. Przez głowę zdążyła przemknąć jej myśl, że większy pożytek byłby z modlitwy o to, by domysł okazał się błędny, a już stała przed drzwiami do pokoju Angeli. Nadal nic nie czuła, ale katar nie oddziaływał na słuch, który zawsze miała wyśmienity, i teraz także wychwytał dobiegające z pomieszczenia głośne brzęczenie.

Ostrożnie nacisnęła klamkę i zajrzała do środka. W końcu i ją, mimo zatkanego nosa, dopadł smród, choć nie w takim stopniu jak stojącą obok Iwonę, która nagle zaczęła się dławić. Zasłonięte stopy nie pozwalały promieniom słonecznym przeniknąć do wewnątrz, lecz przy łóżku paliła się lampka nocna i w jej świetle Katarzyna dostrzegła leżące pod kołdrą ciało i nieprzebraną ilość much oblepiających twarz. Co jakiś czas niektóre z nich wzbijały się w powietrze, jakby chciały innym ustąpić żerowiska.

Kobieta wolno cofnęła głowę, zamknęła drzwi i wyszła przed dom, gdzie zobaczyła siostrę wymiotującą obok krzaka herbacianych róż. Przysiadła na schodkach i wyciągnęła komórkę, by zadzwonić na policję.

\*

Policjanci stali opodal łóżka, na którym spoczywały zwłoki Angeli Mirskiej, i w milczeniu spoglądali na obrzmiałą twarz naznaczoną już śladami rozkładu. Klonowicz postąpił krok naprzód i potknął się o stopę Ścieszki, której ten nie zdążył cofnąć. Chcąc się uchronić przed upadkiem, aspirant uchwycił się ramienia Zielińskiego, lecz starszy posterunkowy, kompletnie na to nieprzygotowany, nie zdołał zachować równowagi. Razem polecili na łóżko, na szczęście nie

w stronę wezgłowa, lecz nóg, gdzie kołdra dokładnie zakrywała denatkę.

Jedynie Klonowiczowi udało się uniknąć bliższego kontaktu z łóżkiem, gdyż w ostatniej chwili wykonał nagły skręt ciałem, dzięki czemu wsparł się o pościel wyłącznie lewą dłonią. Gorzej przedstawiała się sprawa z Zielińskim. Kompletnie nieprzygotowany młody mężczyzna nie zdążył się zaasekurować i całym ciężarem zaległ bezwładnie w poprzek łóżka. Poderwał się z niego jak dźgnięty szpilką i z zaciśniętymi pięściami stanął naprzeciwko aspiranta. Nozdrza drgały mu od wściekłości, której nie umiał lub nie chciał poskromić.

– Ty...! Ty...! – Zabrakło mu inwencji, by znaleźć odpowiednią inwektywę. – Zrobiłeś to specjalnie! Wiesz, że brzydzę się trupów, i...

– Zamknij się, Oktaw – rzucił zimno Klonowicz. – Myślisz, że nie mam innego celu w życiu, jak robić ci na złość?

– Nie będziesz mi mówić, co mam robić!

– Będę! – wrzasnął aspirant. – A ty będziesz mnie słuchać, bo inaczej zrobię ci taki armagedon, że zapomnisz, jak się nazywasz.

Przekrzykiwali się wzajemnie, ślepi i głusi na wszystko inne prócz własnych racji. Otrzeźwił ich nagły huk, brzmiący w ich uszach jak wystrzał. To poirytowany technik z łomotem rzucił krzesłem o podłogę.

– Spokój! – ryknął wściekle. – A jak nie, to wypierdalać mi stąd. Mam robotę i muszę się skupić.

Udało mu się przebić przez opary gniewu i wzajemnych pretensji. Niedawni adwersarze wprawdzie nadal spoglądali na siebie spode łba, ale najgorsze minęło i nie sprawiali już wrażenia, że za chwilę skoczą sobie do gardeł.

Pierwszy oprzytomniał Klonowicz. Spojrzał na Zielińskiego i zdobył się na pojednawczy uśmiech.

– Oktaw, ja...

– To naprawdę było niechcący – wystąpił w jego obronie technik, spoglądając na starszego posterunkowego. – Widziałem, co się stało. Sławek zahaczył o stopę Jaśka, stracił równowagę i chciał się ciebie przytrzymać. Musisz mieć takie wielkie buciory? – zwrócił się do Ścieszki. – Czterdzieści pięć czy sześć?

– Siedem – odparł ponuro Ścieszka. – Nic śmiesznego – sarknął na widok ich min. – Wiecie, jak trudno kupić buty w takim rozmiarze? Sławek ma szczęście, że ich nie zniszczył, bo chyba bym go odstrzelił.

– W ogóle macie szczęście – stwierdził technik na widok samochodu parkującego pod domem. – Przyjechał Rozmus, a wiecie, jaki z niego szczegółarz. Gdyby wiedział, co tu zaszło, jak nic powiesiłby mnie za jaja.

– Powiesz mu? – zaniepokoił się Zieliński.

Technik uśmiechnął się porozumiewawczo i uspokoił go ruchem ręki.

– A po co? Przecież widziałem, jak było, a on przeżyje bez tej wiedzy. Po co ma sobie chłop niepotrzebnie ciśnienie podnosić? W razie czego pobiorę od was próbki dla eliminacji i po sprawie.

Podniesienie ciśnienia mogło prokuratorowi Rozmusowi istotnie zaszkodzić. Od razu zauważyli, że jest zły jak osa i tylko czeka na pretekst do rozładowania frustracji. Schodzili mu więc z drogi i bez szemrania wykonywali polecenia. Tak było do czasu, gdy niespodziewanie zarządził sekcję zwłok.

Sławomir Klonowicz aż zagotował się z wściekłości i sprzeciwił się, nie bacząc na konsekwencje.

– Przecież to bez sensu. Niepotrzebne marnowanie pieniędzy. Na ciele nie ma żadnych obrażeń. Opaska zaciśnięta na ramieniu, ślad po zastrzyku i strzykawka na łóżku to dla pana za mało?

– Słucham? – spytał Rozmus podejrzenie jedwabistym głosem.

– Od razu widać, że to złoty strzał – poparł Klonowicza Ścieszka, nie zwracając uwagi na rozpaczliwe znaki dawane mu przez technika. – Z tego, co słyszałem, Mirska przyjaźniła się z Poloczek. Pewnie nie umiała sobie poradzić z jej śmiercią.

– O tym właśnie chciałem powiedzieć. – Klonowicz podziękował mu wzrokiem. – Znam dobrze matkę Mirskiej, więc siłą rzeczy nieraz rozmawialiśmy o Angeli. Dziewczyna obwiniała się, że nie zatrzymała przyjaciółki na noc, choć widziała, że Poloczek jest w kiepskim stanie psychicznym. Sama zresztą była w nie lepszym. Opowiadała jakieś bajki, że niby ktoś do niej wydzwaniał i ją prześladował, ale to się nie potwierdziło.

– Faktycznie się okazało, że dziewczyna ma bujną wyobraźnię – znów odezwał się Ścieszka. – Sprawdziłem wrywkowo kilka numerów. Karty zostały zarejestrowane na trzech żywieckich meneli, którzy się przyznali, że dostali na piwo za kupienie kart na swoje nazwisko. Każdy z nich został o to poproszony przez młodą dziewczynę o kręconych rudych włosach, więc wniosek jest oczywisty.

Klonowicz pokiwał głową.

– Od razu podejrzewałem, że Mirska chciała znaleźć się w centrum uwagi, dlatego sama wysyłała do siebie zdjęcia i filmy. Na pewno ściągnęła je z Chomika albo z torrentów, tam jest pełno takiego syfu.

Rozmus był wprawdzie cholerykiem, ale nikt nie mógłby nazwać go bezmyślnym, głuchym na rozsądne argumenty kretynem. Teraz także mimo gniewu dostrzegł wagę informacji i zapragnął dowiedzieć się więcej.

– Skąd może pan wiedzieć, że nie jest to robota jakiegoś miejscowego frustrata, któremu testosteron rzucił się na mózg?

– Niech mi pan wierzy, znam mieszkańców Bystrzycy i gwarantuję, że u nas nie ma żadnych zбочeńców seksualnych.

Prokurator się zamyślił. Przed oczami stanęły mu ogniście rude, skręcone w sprężynki włosy zmarłej Angeli Mirskiej. Może rzeczywiście dobrowolnie udała się w tę ostatnią podróż? Westchnął i potrząsnął głową.

– Pewnie macie rację, ale... Niepokoją mnie ślady świadczące, że przed śmiercią odbyła stosunek seksualny. Chcę mieć pewność, że nie był to gwałt. Poza tym dobrze byłoby dotrzeć do jej partnera i dowiedzieć się, w jakim była stanie, gdy wychodził. Dziwne, że zabiła się zaraz po seksie.

– Podejrzewam, że była dziewicą – mruknął Klonowicz. – Może chciała przed śmiercią spróbować, jak to jest?

– Możliwe. Niemniej muszę mieć pewność, że nie została zgwałcona, a później zabita, by nie wydać sprawcy. Bez dyskusji! – Maciej Rozmus uniósł dłoń, powstrzymując aspiranta, który zamierzał dalej bronić swoich racji. – Jako bliski znajomy matki Angeli Mirskiej w ogóle nie powinien pan brać udziału w oględzinach. Jeżeli sekcja wykaze udział osób trzecich, śledztwo przejmie aspirant sztabowy Ścieszka. A być może zażądam, by przejęła je komenda powiatowa. A na razie wykonujcie czynności tak, jakby to było zabójstwo. Oczywiście bez pana, aspirancie – zaznaczył z naciskiem.

Klonowicz stłumił cisnące się na usta przekleństwo, skinął lekko głową i wyszedł przed dom. Po chwili odnalazł go tam Ścieszka.

– Daj mi fajkę – polecił.

Zdumiony aspirant bez słowa podsunął mu pudełko, a potem spoglądał na kolegę, który wyjął papierosa, zapalił i nieporadnie wypuścił kłęb dymu, krztusząc się przy tym kaszlem tak, że aż oczy zaszyły mu łzami.

– Ochujales? – nie wytrzymał Klonowicz. – Przecież ty nie palisz. Nawet nie umiesz się sztachnąć. Po co ci to?

– Musisz tak ciągle kłąć? – spytał tamten z wyrzutem. – Powiedziałem Rozmusowi, że idę na fajkę – wyjaśnił i znowu pociągnął. Tym razem zrobił to ostrożniej, przez co obyło się bez podrażnienia gardła nieprzywykłego do papierosowego dymu. – Nie przejmuj się, Sławek, że cię wyślizgał ze sprawy. Będę ci mówić na bieżąco, jakie są ustalenia. Gorzej, jeśli faktycznie odda sprawę powiatowym.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Nie chcę, żeby jakieś wymuskane dupki łąziły po wsi, wtykały wszędzie nos i robiły z nas niekompetentnych baranów.

– Też mi się to nie podoba – przyznał Ścieszka. – Jeżeli góra nas odsunie, da tym znak, że kiepscy z nas fachowcy, a wtedy ludzie przestaną nas szanować. Spróbuję to wytłumaczyć Rozmusowi.

Klonowicz uśmiechnął się niewesoło i wspomniał prokuratora, który prowadził krótkie śledztwo w sprawie śmierci Klaudyny Poloczek.

– Szkoda, że nie przyjechał Szczęsny. – Westchnął ciężko. – Miejmy nadzieję, że Rozmus da się przekonać.

Ścieszka podniósł papierosa do ust, lecz tylko się skrzywił i rzucił go na ziemię. Zdeptał starannie niedopałek i stwierdził:

– Szczęsny pochodzi z Pewli Małej, więc dobrze wie, jak wygląda życie w niedużych miejscowościach. A Rozmus mieszka w bloku w Suchej Beskidzkiej. Nie ma pojęcia, że wszyscy się znają i tylko czekają, żeby komuś powinęła się noga. Ale może niepotrzebnie się martwimy. Jestem pewien, że to było samobójstwo.

– Masz rację, nie ma sensu przejmować się na zapas. Idź już może, bo za chwilę pan prokurator się wkurwi i każe cię doprowadzić.

Aspirant zarechotał, ignorując pełne wyrzutu spojrzenie Ścieszki, i poszedł w stronę furtki. Nim znalazł się na drodze, dopadły go wyrzuty sumienia. Niepotrzebnie prowokował kolegę nietolerującego przeklinania. Nic by się nie stało, gdyby panował nad słownictwem, skoro Janka tak to drażni.

Odwrócił się i zobaczył Ścieszkę stojącego przed drzwiami.

– Jasiek! – zawołał i odczekał, aż tamten się odwróci. – Sorry. Wymsknęło mi się. Nie chciałem robić ci na złość.

Twarz kolegi rozjaśniła się w uśmiechu, podniósł więc rękę w geście pożegnania i ruszył w stronę jednego z radiowozów. Poczul się źle, że zdołał ugasić w zarodku ewentualny konflikt. Byłoby głupotą robić sobie wroga ze Ścieszki, zwłaszcza że nie miał w komisariacie wielu sprzymierzeńców.

Klonowicz nie łudził się co do Zielińskiego. Oktaw będzie go wspierał dopóty, dopóki nie stwierdzi, że zmiana frontu może mu się bardziej opłacać. Podobnie trzech innych, skuszonych możliwością podwyżki i przedterminowego awansu. Reszta natomiast natychmiast wypowiedziałaby mu posłuszeństwo, gdyby tylko komendant wydał im takie polecenie, sam Skorek zaś sprawiał ostatnio wrażenie człowieka niemającego już nic do stracenia, a desperaci zawsze byli cholernie niebezpieczni.

*Trzeba będzie pomyśleć poważniej o zabezpieczeniu sobie przyszłości,* stwierdził w myślach. W drodze do komisariatu rozważał różne opcje. Dojechał już na miejsce i właśnie miał wysiąść, gdy wreszcie dostrzegł wyjście z sytuacji. Było tak doskonałe, że aż się zdziwił, iż nie wpadł na nie wcześniej.

\*

Piątkowe przedpołudnie Dioniza poświęciła na analizę zebranych informacji. Skłoniła ją do tego głównie rozmowa z nadkomisarzem Ogińskim i jego opowieść o szpiegowskiej misji starszego posterunkowego Zielińskiego. Nie podobała jej

się nadmierna ciekawość bystrzyckich policjantów. Od kiedy to funkcjonariusze do tego stopnia interesują się gośćmi przebywającymi na ich terenie, że posuwają się aż do sprawdzania ich w jednostce policji? W dodatku mowa tu o przyjezdnych, którzy w trakcie swojego pobytu na wczasach w żaden sposób nie naruszyli prawa.

– Coś tam musi być nie tak – mruzczała pod nosem, a nalewający kawę ekspres odpowiadał jej jednostajnym buczeniem. – Oni się boją, że możemy coś odkryć. Ale co? Przecież, na miłość boską, chyba nie zabili kolektywnie tej nieszczęsnej Klaudyny!?

Wyszła z kawą przed dom, gdzie ulokowała się na stojącej pod ścianą ławce, gdzie tydzień temu siedziała z Szymonem.

Na wspomnienie Ogińskiego poczuła nagłą tęsknotę, by znowu zobaczyć wpatrzone w nią, płonące źle skrywaną namiętnością czarne oczy. Nikt nigdy tak na nią nie spoglądał, nawet były mąż w fazie najgorętszych zalotów nie dał jej znać samym tylko spojrzeniem, że jest dla niego najważniejsza na świecie.

Diona poczuła nagły wyrzut sumienia, gdy uświadomiła sobie, że sama także nie jest bez winy. Uczucie, które ofiarowała Kamilowi, było zaledwie cieniem tego, co przepełniało ją teraz. *A więc tak wygląda bezwarunkowa miłość*, pomyślała, wdzięczna losowi, że pozwolił jej tego doświadczyć.

Zapaliła papierosa i z trudem skierowała umysł na poprzedni tor.

– Czego oni się tak boją? – szepnęła. – Prokurator umorzył sprawę, więc pod względem formalnym raczej wszystko jest w porządku.

Żałowała, że nie zna żadnego przedstawiciela małopolskiej prokuratury. Mogłaby wówczas spróbować się dowiedzieć, jakim człowiekiem jest Wiktor Szczęsny, który sprawował



nadzór nad śledztwem. Może Szymon go zna? Albo Gredtke? A może tatek? Dwaj ostatni przez wiele lat służyli w policji, byli naczelnikami wydziałów, istniała zatem spora szansa, że mają znajomości także poza granicami województwa.

Pomysł wydał jej się świetny, lecz wykonanie nie przyniosło olśniewających efektów. Szymon niestety nie miał takich znajomości. Obiecał co prawda popytać wśród znajomych, ale zaznaczył od razu, by nie robiła sobie wielkich nadziei. Robert Gredtke również nie miał pomyslnych wieści. Za czasów swojej służby znał dwóch małopolskich prokuratorów, lecz nie dość, że żaden z nich nie pracował w Suchej Beskidzkiej, to jeszcze obaj przeszli już na emeryturę. Tym samym jako źródło informacji pozostał jej tylko ojczym, którego znała na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie przyjaźnił się z nikim z prokuratury.

– Tatek, wiem, że nie chodziłeś z nimi na wódkę i nie zwierzałeś się ze swoich problemów – powiedziała, gdy potwierdził jej przypuszczenie. – Ale to nie musi być bliska znajomość. Wystarczy, żebyś znał tego kogoś na tyle, by móc go poprosić o bezstronną opinię o koledze po fachu.

– Nawet gdybym znał, niewiele by to pomogło. Gliniarze i prokuratorzy współpracują ze sobą, co nie oznacza, że się przyjaźnią. Chodzenie razem na wódkę też nic by nie dało. Oni są jak lekarze, żaden nie wystąpi przeciwko drugiemu, choć prywatnie uważa go za skończonego idiotę.

– Rozumiem – rzekła Diona wolno. – Postępują w myśl zasady, że kurwa kurwie łba nie urwie. O to chodzi?

– Dionka! – oburzył się Grzegorz Imielski, lecz w jego głosie dał się słyszeć śmiech. – Masz szczęście, że matka cię nie słyszy. Wiesz, jak nienawidzi bluzgów.

– Oj, wiem – odparła rozbawiona Dioniza. Doskonale pamiętała latającą w powietrzu ścierkę, gdy czasami niebacznie wypsnęło jej się w towarzystwie matki jakies

nieparlamentarne słowo. – Zaczęłam całkiem poważnie się zastanawiać, czy przypadkiem mama także nie należy do kręgu wyznawczyń księdza Kieliszka.

– Kogo? Jakiego znowu księdza Kieliszka? Dziecko, z tobą na pewno wszystko w porządku?

– O ile w ogóle jest to możliwe, to tak – odparła dziewczyna, tłumiąc śmiech. – Tatak, nie mam teraz czasu, muszę pomyśleć, co dalej robić. Opowiem ci o tym Kieliszku, kiedy już wrócę do domu.

– Trudno. Niech ci będzie.

Diona wychwyciła w głosie ojczyma nutkę zawodu i przyrzekła sobie, że po zamknięciu sprawy odwiedzi rodziców i zostanie u nich kilka dni. Ostatnio rzeczywiście trochę ich zaniedbała.

Poinformowała Imielskiego o swoich planach, lecz zamiast wybuchu radości usłyszała jedynie mrukliwe „dobrze, dobrze”, świadczące o tym, że ojczym ma umysł zajęty rozważaniem jakiejś kwestii. Zaczekała więc na efekt owych rozmyślań, nie zrażając się brakiem reakcji mężczyzny.

Po niespełna minucie okazało się, że Imielski milczał na temat.

– Nadal przyjaźnisz się z Marcinem? – spytał naraz ostrożnie.

Pokazała mu język, choć nie mógł tego widzieć. Ojczym bardzo polubił Lipskiego i chętnie widziałby go w roli zięcia, dlatego przez kilka tygodni boczył się na pasierbicę, nie mogąc przeboleć, że dla niej Marcin nigdy nie będzie kimś więcej niż tylko przyjacielem. Dopiero po pewnym czasie przyznał, że taka kobieta jak ona potrzebuje kogoś, kto potrafiłby ją czasami okiełznać, a mężczyzna taki jak on – kogoś, dla kogo mógłby być tarczą i podporą. Zrozumienie tego nie przeszkadzało mu jednak od czasu do czasu pytać

o Lipskiego, a Diona podejrzewała, że nadal nie pogodził się z jej decyzją.

– Oczywiście, że tak. Dlaczego miałoby być inaczej? Przecież parą byliśmy tylko w twoim wyobrażeniu.

Umyślnie wbiła mu szpileczkę i najwyraźniej trafiła celnie, gdyż ojczym syknął jak pod wpływem nagłego ukłucia.

– Czy ja coś mówię? – rzucił szybko. – Lubię go, i tyle. Chyba mi wolno!

– Ja też go lubię – odpowiedziała spokojnie. – Nigdy nie mówiłam, że jest inaczej. Czemu o niego pytasz?

– Wiesz, w prokuraturze to on może nie ma znajomości, ale pracuje w komendzie powiatowej. Może ktoś stamtąd mógłby pomóc?

Dioniza aż podskoczyła na ławce.

– Tatek, ty to jesteś wielki! – oświadczyła z emfazą. – Jest bardzo prawdopodobne, że zna. A jeśli nie on, to któryś z jego kolegów. Możliwe nawet, że sam naczelnik. Cichostępski jest pod pięćdziesiątkę, w swojej karierze na pewno spotkał wielu policjantów i prokuratorów.

– No widzisz – zaczął Imielski, lecz pasierbica przerwała mu niecierpliwie:

– Muszę kończyć. Sorry, ale chcę od razu zadzwonić do Marcina i ożenić go z tematem. Dam potem znać, co załatwiłam. Wyściskaj ode mnie mamę. Narka.

Odpowiedzi ojczyma już nie usłyszała, zaraz bowiem po wypowiedzeniu ostatniego słowa nacisnęła ikonę czerwonej słuchawki, później zaś wyszukała w kontaktach numer Lipskiego. Czekaając na połączenie, niecierpliwie wybijała palcami na stole jakiś rytm.



## Rozdział 14

### Zmrożony ogień

5 czerwca 2020, Bystrzyca Wielka

Już w południe w Bystrzycy Wielkiej nie było chyba nikogo, kto nie wiedziałby o tym, że siostry Klaja znalazły Angelę Mirską leżącą bez życia we własnym łóżku. Dioniza chyba najdłużej ze wszystkich nie była tego świadoma. Nie zaliczała się do grona mieszkańców, więc nikt nie przybiegł, by ją o tym poinformować, sama zaś, zajęta śledztwem, w ogóle nie wychodziła poza obręb posesji. Dowiedziała się o wszystkim dopiero po południu, gdy Agnieszka wykonała już swoje obowiązki.

Krzyżanowska przysłała syna z zaproszeniem na kawę i ciasto, co nie było jakimś ewenementem, ponieważ obie kobiety od pierwszej chwili bardzo się polubiły i chętnie ze sobą rozmawiały.

– Wszystkich lokatorów tak dopieszczasz czy tylko ja jestem na specjalnych prawach? – spytała Remańska, moszcząc się wygodnie w fotelu. – Pycha! – pochwaliła sernik, omal się przy tym nie dławiąc, gdyż chwilę wcześniej włożyła do ust spory kawałek specjału. – Wyjdź za mnie. Będiesz mi piec.

– A co na to ten przystojniak, który odwiedził cię tydzień temu? Nie sądzę, żeby dobrowolnie ustąpił pola. – Krzyżanowska chytrze zmrużyła oczy. – Chyba że weźmie nas obie. W sumie nie miałabym nic...

– Nie ma mowy! – warknęła Diona, której poczucie humoru nagle gdzieś zniknęło. – Po moim trupie!

Nie spodziewała się takiej reakcji. Agnieszka nagle zbladła, a jej oczy wypełniły się łzami.

– O mój Boże – jęknęła. – Ja tu sobie żartuję, a biedna Angela...

Remańska poczuła jednocześnie zdumienie i niepokój.

– Angela? Co z nią? Stało się coś?

– Została zamordowana.

Krzyżanowska rozplakała się na dobre i Remańska musiała ją uspokajać, choć najchętniej wytrzeszaby z niej odpowiedź. Dość długo trwało, nim gospodyni opanowała się na tyle, by móc w miarę składnie przekazać swojemu gościowi więcej szczegółów. Dioniza słuchała uważnie, lecz nie zadawała żadnych pytań. Wiedziała, że od Agnieszki nie uzyska satysfakcjonujących odpowiedzi, a plotki jej nie interesowały. Potrzebowała rzetelnych informacji, a tych mogła dostarczyć jedynie policja lub prokuratura.

Diona całkiem straciła ochotę na rozmowę, nawet kawa przestała jej smakować. Pożegnała Krzyżanowską, która nie próbowała jej zatrzymać; widocznie również nie miała ochoty na pogaduszki o niczym. Wróciła do swojego pokoju i obojętnie popatrzyła na patelnię z rozmrożonymi gołąbkami. Rzadko się zdarzało, by traciła apetyt z powodu jakiegoś zdarzenia, ale śmierć Angeli to było więcej, aniżeli mogła znieść. Może gdyby nie poznała nastolatki i jej nie polubiła, przyjęłaby to inaczej? Spokojniej?

Schowała gołąbki do lodówki, zabrała papierosy i butelkę sprite'a, po czym wyszła przed dom, gdzie znów usiadła na tej samej ławce co wcześniej, usiłując zrozumieć, dlaczego rodzice nie zainteresowali się losem córki. I dlaczego aspirant Klonowicz twierdził, że Angela wyjechała. Skłamał celowo? Po

co? A może zrobił to nieświadomie, wprowadzony w błąd przez Weronikę Mirską?

Diona skupiła się, chcąc sobie przypomnieć treść swojej rozmowy najpierw z Tomaszem Mirskim, a potem z jego byłą żoną. Była całkiem pewna, że z ich słów nie wynikało, jakoby Angela miała pojechać do ojca, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Mogli przecież zmienić zdanie.

Lista pytań ciągle rosła, a każde następne wydawało się ważniejsze od poprzedniego. *Oby Gabriel Tokarz znowu nie został odsunięty od sprawy*, pomyślała Diona z lękiem. Sierżant był jej jedyną nadzieją na pozyskanie informacji, bez których będzie bezradna niczym dziecko we mgle.

\*

Ogiński przyjechał do Bystrzycy dopiero późnym wieczorem, kiedy Dioniza właściwie straciła już nadzieję na spotkanie. Zaraz po powitaniu zaczął się tłumaczyć ze spóźnienia, lecz powstrzymała go skutecznie, miękko wtulając się w jego ramiona, i pocałowała tak zachłannie, że wszelkie wyjaśnienia uleciały mu z głowy.

– Teraz możesz mówić – zezwoliła, gdy zdołali się od siebie oderwać. – Ale zanim zaczniesz się kajać, odpowiedz mi na jedno pytanie: byłeś w pracy?

Popatrzył na nią z oburzeniem.

– Naprawdę myślisz, że coś innego mogłoby mnie powstrzymać od przyjazdu do ciebie? Oczywiście, że byłem w pracy. Musiałem...

Powstrzymała go gestem dłoni.

– W takim razie nie musisz nic więcej wyjaśniać. Wiem, co to służba. Zajmij się lepiej podgrzaniem gołąbków, bo sama nie miałam odwagi.

Nie mógł uwierzyć w to, co słyszał.

– Podgrzanie cię przerosło?!

Nie wytrzymał i parsknął śmiechem, co Dioniza przyjęła wykrzywieniem warg, znamionującym oburzenie.

– Miło mi, że cię rozbawiłam – rzuciła gniewnie. – Te gołąbki są niebezpieczne, nie wiem, co Ratio do nich dodał.

– Chcesz powiedzieć, że cię zaatakowały?

Krztusił się, usiłując zapanować nad śmiechem, lecz gdy wyobraził sobie Dionę zmykającą w popłochu przed sunącymi za nią gołąbkami, przegrał bezapelacyjnie i padł bez sił na krzesło, śmiejąc się w głos.

– A żebyś wiedział! – wrzasnęła, posyłając mu spojrzenie pełne urazy. – Chciałam sobie po południu podgrzać jednego. Położyłam na patelni i włączyłam palnik. Właśnie kroiłam chleb, gdy od strony kuchenki nagle dobiegło mnie dziwne psykanie. Odwróciłam się, żeby sprawdzić, co się dzieje z tym gołąbkami, a ten nagle jak wystrzelił! Ogi, przestań, do jasnej cholery, bo cię rąbnę kubkiem! Dobrze ci się śmiać. To nie za tobą jedzenie latało po kuchni!

– Gołąbki mają to do siebie, że latają. – Tą niewinną uwagą naraził się na kolejną groźbę karalną, zmienił więc taktykę. – Siadaj, a ja spróbuję je poskromić.

Diona przezornie usiadła w kącie, nie dowierzając zdolnościom kulinarnym Szymona. Obserwowała go uważnie, gdy przeszukiwał zamrażalnik, i otworzyła szeroko oczy na widok sporego pojemnika wypełnionego jakąś pomarańczowo-czerwoną, gęstą ciecżą.

– Co to jest? – spytała nieufnie, jakby to nie ona kilka dni temu włożyła tam ów przedmiot. – Przecież to zupa – olśniło ją nagle. – Chcesz obiad z dwóch dań? Nie planowałam, ale właściwie czemu nie.

Ogiński obejrzał się przez ramię, na jego twarzy odmalowało się niedowierzenie.



- Nie zupa, tylko sos pomidorowy - wyjaśnił dziwnie brzmiącym głosem, sprawiającym wrażenie, jakby się dusił.

Rozmroził sos w kuchence mikrofalowej, po czym przelał go do garnka, który po włożeniu do niego gołąbków postawił na palniku. Na ten widok Dioniza głośno westchnęła.

- Sos... - mruknęła cicho, jakby do siebie. - Cholera jasna, dobrze mi się wydawało, że te gołąbki powinny być w czymś mokrym.

Szymon przegrał nierówną walkę z rozbawieniem i znowu ryknął śmiechem. Diona zrobiła obrażoną minę, lecz poczucie humoru zwyciężyło. Zaśmiewali się oboje, wreszcie mężczyzna przetarł dłonią załzawione oczy.

- Na patelni też można podgrzać, ale na wolnym ogniu, nie na full. Pewnie nie do końca się rozmroziły i kiedy im przygrzałaś, ryż gwałtownie napęczniał i rozerwał kapustę. Stąd ten ostrzał. Następnym razem na pewno sobie poradzisz.

Diona pokiwała głową, ale nie wyglądała na przekonaną.

- No nie wiem. Te wszystkie czynności przerastają moją zdolność pojmowania. Choćbym się nie wiem jak starała, i tak zawsze coś spieprzę.

W jej głosie pojawiło się przygnębienie. Ogiński szybko podszedł, usiadł naprzeciwko i popatrzył w pociemniałe od smutku oczy.

- Dionka, przecież to żadna tragedia, że niezbyt dobrze radzisz sobie w kuchni. - Zauważył, że poweselała, słysząc ten eufemizm, mówił więc dalej: - Nie musisz umieć wszystkiego. Jesteś doskonałą instruktorką, a wierz mi, nie wystarczy dobrze strzelać, żeby przekazać innym tę umiejętność. Sprawdzałaś się jako detektyw, w dodatku świetnie dajesz sobie radę z drobnymi naprawami.

Wzruszyła ramionami, ale oczy jej pojaśniały i zapłonęły blaskiem rozgrzanego bursztynu.

- Naprawdę tak uważasz czy to tylko takie gadanie?

– A jak myślisz? – odpowiedział pytaniem i zaraz dorzucił: – Przypomnij sobie, co powiedziałem, gdy wymieniałaś kontakt.

Kiedys zastał ją przy wymianie wywołującego zwarcie kontaktu i nie mógł wyjść z podziwu, jak sprawnie sobie z tym poradziła. Wyznał też, że nie tyka się żadnych prac związanych z elektrycznością, gdyż zwyczajnie boi się prądu, i że w ogóle wszelkie majsterkowanie nie jest jego najmocniejszą stroną.

Teraz wspomniała tamto zdarzenie i od razu poczuła się lepiej. Miał rację, nie musiała umieć wszystkiego.

– To mi zostało z czasów małżeństwa. Mój eks ciągle mnie krytykował, twierdził, że z niczym sobie nie radzę, więc chciałam mu pokazać...

Mówiła cicho, starannie unikając wzroku Szymona, by nie zobaczyć w nim litości.

– Mnie nie musisz niczego udowadniać – przerwał jej ze złością. – To, że jeden facet jest idiotą, nie oznacza, że wszyscy inni też są poszkodowani na umyśle. Mam gdzieś twoje kulinarne umiejętności. Zresztą i tak ciągle mnie dokarmiasz, więc w ramach rewanżu zapraszam cię jutro na obiad do „Muchomorka”.

Nie obawiał się, że Zieliński go rozpozna. Oktawiusz nie był tytanem intelektu, nie sprawiał też wrażenia zbyt spostrzegawczego, a mundur niesamowicie zmienia człowieka. A gdyby jednak, to policjant zawsze znajdzie jakieś wytłumaczenie powodów rozmowy z obywatelem.

– Nie musisz... – zaczęła protestować, gdy nagle dotarła do niej całkiem inna informacja, przemycona wśród wielu słów. – Jutro?

– Jutro – powtórzył twardo. – Nie będę jeździć w kółko pomiędzy Jodłowcem a Bystrzycą. Zostanę z tobą na noc. – Popatrzył spod oka i dorzucił łagodnie: – Nie patrz na mnie jak na gwałciciela. Od ciebie zależy, czy będziemy spać. Wolałbym

nie, ale decyzja należy do ciebie. Czekałem tyle miesięcy, poczekam i dłużej.

Zdezorientowana Diona zupełnie nie wiedziała, jak zareagować. Niezdecydowanie było dla niej pojęciem całkowicie obcym; dotychczas podejmowała wszelkie decyzje aż za szybko. Bezwiednie wstała i sięgnęła po papierosy.

– Idę zapalić.

Po minie Ogińskiego poznała, że ją przejrzał. Uśmiechnął się nieznacznie, zmniejszył płomień pod gołąbkami i również ruszył w stronę drzwi.

– Nie musisz robić takiej miny, jakby przyszło ci wybierać pomiędzy wystawieniem się pod kule a pozostawieniem partnera na pewną śmierć. – Przyciągnął ją do siebie i delikatnie pocałował, potem poprowadził w stronę ławki. – I nie musisz decydować teraz, bo to nie posiedzenie rady nadzorczej. Najpierw chciałbym opowiedzieć ci pewną historię. Być może po jej wysłuchaniu w ogóle nie będziesz ze mną rozmawiać.

Miał przy tym tak poważną minę, że Diona zrozumiała, że nie będzie to zbyt przyjemna opowieść. Wiedziona nagłym impulsem dotknęła lewego ramienia mężczyzny w miejscu, gdzie spod tatuażu przedstawiającego wiedźmina Geralta przebijały wyraźnie litery układające się w napis CHWDP.

– O tym?

Szymon skinął głową i podał jej ogień. Palili w milczeniu. Myśli Remańskiej błędziły od domysłów co do treści zapowiedzianego opowiadania o przeszłości poprzez przyczynę zabójstwa Angeli Mirskiej aż do sposobu dotarcia do ustaleń policji. Z tym ostatnim nadal miała problem, Marcin bowiem nie obiecywał zbyt wiele. Osobiście nie znał nikogo z małopolskiej prokuratury, obiecał jednak, że popyta wśród kolegów. Zgodził się z sugestią, że warto by zagadnąć także młodszego inspektora Cichostępskiego, ale na ewentualne

informacje Dioniza musiała poczekać, co wcale jej nie zachwyciło. Cierpliwość nie zaliczała się do jej najmocniejszych stron.

Nie zauważyła, że Ogiński bacznie jej się przygląda. Gdy zmarszczyła brwi i zacisnęła wargi, błędnie odczytał przyczyny negatywnych emocji i chwycił ją za rękę, by zwrócić na siebie uwagę.

– Nie traktuj moich słów jako ultimatum. Chodziło mi o to, że w takich sytuacjach decyzja zawsze powinna należeć do kobiety, i to niezależnie od tego, czy łączy ją coś z tym mężczyzną, czy są sobie obcy. Wszelki przymus to gwałt. Przynajmniej ja tak to widzę.

Dioniza zamrugnęła jak obudzona z głębokiego snu. W pierwszej chwili nie mogła się zorientować, o czym on mówi. Pojęła to dopiero wtedy, gdy rozwinął wypowiedź, i omal nie parsknęła śmiechem. Tak dalece pograżyła się w rozważaniach, że zupełnie zapomniała o jego zamiarze spędzenia z nią nocy.

– W ogóle o tym nie myślałam – wyznała z rozbijającą szczerością. – Zresztą o tobie też nie.

– Dzięki!

Miał naburmuszoną minę, ale w oczach migotały mu iskierki rozbawienia. Diona oparła się o jego ramię i całkowicie rozluźniona wyciągnęła przed siebie nogi.

– To powinien być nieodparty impuls, a nie decyzja podjęta na zimno. Będziesz musiał się postarać albo położę między nami obnażony miecz.

Roześmiał się i poczochnął jej włosy.

– O czym w takim razie myślałaś? Zbyt przyjemne to chyba nie było.

Opowiedziała mu wszystko, co wiedziała o zabójstwie Angeli Mirskiej. Nie było tego wiele, tylko tyle, co przekazała jej Agnieszka, a ta z kolei znała sprawę jedynie z opowiadania

Katarzyny Klai. Szymon wysłuchał jej w milczeniu, za co była mu wdzięczna, gdyż bała się, że głos może jej zadrzeć, jeśli choć na moment wypadnie z nałożonych sobie okowów opanowania. Gdy powtórzyła za Klają, że na rękach i twarzy zmarłej można było dostrzec czerwone i zielonkawe przebarwienia, Szymon ujął jej dłoń i już nie wypuścił, jakby chciał okazać jej swoje wsparcie. Zrozumiał, że właśnie to gnębiło ją najbardziej. Przebarwienia oznaczały, iż Angela nie żyła od co najmniej pięciu dni, skoro zmiany zaszły tak daleko.

– Może gdybym weszła do domu, zamiast wdawać się w rozmowę z Klonowiczem... – zaczęła i zamilkła pod wpływem jego reakcji.

Ogiński zaklął paskudnie i tak mocno ścisnął jej dłoń, że aż jęknęła. Natychmiast zwolnił uścisk.

– Sorry, nie chciałem. – Delikatnie rozmasował jej palce. – Ale takich głupot też nie chcę więcej słuchać. Zrobiłaś, ile mogłaś, i na pewno pomogłaś jej bardziej niż rodzice i policja. Okazałaś zainteresowanie, dzięki czemu poczuła, że nie jest już sama ze swoim problemem. Nie twoja wina, że inni zlekceważyli zagrożenie.

– Mogłam ją chronić – bąknęła.

W odpowiedzi nadkomisarz tylko prychnął i postukał się palcem w czoło.

– W jaki sposób miałabyś to zrobić? Czaić się koło domu? Wtedy już po kilku godzinach ten cały Klonowicz wsadziłby cię na dołek i wymyślił z tuzin zarzutów. A gdybyś się tam wprowadziła, prześladowca od razu by to odkrył i się przyczaił. I co wtedy? Zamieszkałabyś tam na zawsze?

Usta Diony wygięły się w zapowiedzi uśmiechu.

– Wiesz, to zastanawiające. Właśnie punkt po punkcie wykazałeś, jaka jestem głupia, a jakoś mi od tego lżej. Nie mam pojęcia, jak to o mnie świadczy. I jeszcze przyszło mi do

głowy, że skoro pomogłeś z jednym, to może na drugi z problemów też znajdziesz jakąś radę?

Ogiński wysłuchał planów dotarcia do akt sprawy poprzez prokuratora. Podczas tej przemowy również milczał, lecz tym razem nie zdołał się powstrzymać od pełnych dezaprobaty spojrzeń. Zauważyła to i coraz bardziej traciła pewność siebie, toteż gdy doszła do rozmowy z Marcinem, jej głos brzmiał nieledwie jak szept.

– Źle wycelowałaś – orzekł, gdy zamilkła. – Nie do tego obiektu miałaś strzelać. Prokurator nie ugania się osobiście za sprawcą i nie analizuje tropów. – Lekkim uściskiem złagodził mentorski ton wypowiedzi. – Wie tylko tyle, ile przekażą mu policjanci, więc to oni powinni być twoim celem.

– Wiem, co oznacza określenie „nadzór prokuratorski” – oburzyła się i wstała z ławki. – Dopaliłeś? To zobaczmy, czy te gołąbki nie mają już aby dość.

Rzeczywiście zdążyły się już podgrzać, a nawet zagotować. Zasiadli do stołu, wymieniając uwagi na temat rzadkiego talentu Ratia do wyczarowywania z całkiem zwyczajnych potraw czegoś wyjątkowego. Po posiłku Diona pozmywała, a Szymon zrobił kawę. Wieczór był bardzo ciepły, więc wrócili na ławkę, która wprawdzie nie była zbyt wygodna, za to siedząc tutaj, mogli swobodnie rozmawiać.

– Faktycznie nad nami nie ma żadnych okien – stwierdził nadkomisarz po uwadze dziewczyny, że w tym miejscu z pewnością nikt ich nie podsłucha. – I żadnych krzaków w pobliżu. Powiedz w takim razie, dlaczego akurat prokurator.

– Bo mnie chodzi o podstawowe informacje. Chcę wiedzieć, w jaki sposób i kiedy zginęła, co było narzędziem zbrodni i czy je znaleziono, poznać czas zgonu i ewentualne ślady pozostawione przez sprawcę. Przecież prokurator był na miejscu zdarzenia, więc powinien znać odpowiedzi.

– Na pewno był – zgodził się Ogiński. – Ale czy do końca? Jak znam życie, podpisał wszystko z góry i się zmył, a policjanci zostali, żeby dokończyć oględziny i rozpytać ewentualnych świadków. Na przykład te siostry Klaja.

Niespodziewanie wypadł z roli mężczyzny zabiegającego o uwagę interesującej go dziewczyny i przeobraził się w śledczego usiłującego dociec prawdy. Zadał tyle pytań o kobiety dysponujące własnym kluczem do domu Mirskich, że Dioniza musiała uznać jego wyższość jako dochodzeniowca. Jej nie przyszło to do głowy; przyjęła na wiarę, że jedynie znalazły ciało Angeli. A przecież wcale nie musiało tak być.

Zaciekawiło go nawet to, dlaczego siostry noszą takie samo nazwisko, skoro przynajmniej jedna z nich jest mężatką, i Remańska musiała objaśnić, że dwadzieścia lat temu w tym samym dniu siostry bliźniaczki Kuciek wyszły za mąż za braci Klajów.

Na wiele pytań nie znała odpowiedzi, lecz ku swojemu zaskoczeniu nie czuła się przez to gorsza. W uszach cały czas dźwięczały jej słowa „nie musisz umieć wszystkiego” i coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że powinna ich usłuchać.

– Jedynym policjantem z Bystrzycy, który mógłby mi pomóc, jest Gabriel – odezwała się, gdy Szymon umilkł. – Niestety jest wyjechany. Nie było go przy oględzinach i nie wiadomo, czy uda mu się zajrzeć do akt. – Westchnęła z rezygnacją. – Nikt inny nie będzie chciał ze mną rozmawiać.

Ogiński uśmiechnął się, lecz jego oczy nagle utraciły całe ciepło, choć nadal błyszcząły niczym czarny obsydian powstały z zastygłej lawy. Skojarzyły jej się ze zmrożonym ogniem, choć nie wiedziała, czy coś takiego w ogóle istnieje.

– Dobrowolnie pewnie nie – stwierdził zimno. – Ale przy odrobinie perswazji... Tam dzieje się coś niedobrego, a główną rolę grają aspirant Klonowicz i komendant Skorek.

– I jeszcze ten, z którym rozmawiałeś – dodała Diona. – Starszy posterunkowy Zieliński. Z relacji Angeli wywnioskowałam, że gość tak się nadaje na policjanta jak ja na szefa kuchni. Powiedz, trzymałbyś u siebie kogoś takiego?

– Punkt dla ciebie – przyznał nadkomisarz, rozśmieszony oryginalnym, ale jakże trafnym porównaniem. – Nie przepracowałby u mnie nawet tygodnia, bo zaraz wywaliłbym go na zbity pysk.

– Tymczasem oni nie próbują się Zielińskiego pozbyć, mało tego, Mirska nazwała go przydupasem Klonowicza. – Diona zabębniła palcami w drewnianą ławkę. – On musi mieć na nich jakiegoś haka. Innego wytłumaczenia nie widzę.

– A słyszałaś kiedyś, żeby komendant wykonywał polecenia aspiranta i pozwalał mu sobą pomiatać? – spytał Szymon i na widok jej miny pokiwał głową z satysfakcją. – No właśnie. Wynika z tego, że Zieliński trzyma w szachu Klonowicza, a Klonowicz komendanta. Popieprzony układ.

Po dość długiej dyskusji zgodził się z Remańską, że bezpośredni nacisk może nie wystarczyć, a co gorsza, prawdopodobnie wywoła skutek przeciwny do oczekiwanego. Żeby zmusić Klonowicza czy Skorka do podzielenia się wnioskami ze śledztwa, powinni dysponować mocniejszymi argumentami niż tylko podejrzeniem, że policjanci są ofiarami szantażu. Inaczej tamci nie tylko nic nie powiedzą, ale zapewne przejdą do kontrataku, żeby zagwarantować sobie utrzymanie kompromitujących ich faktów w tajemnicy.

– Ty mógłbyś zadzwonić do Darka Lipskiego – zarządziła Diona. – Służy w policji blisko trzydzieści lat, a Bystrzyca leży dość blisko Jodłowca. Może coś mu się obilo o uszy? A ja pogadam z Marcinem, niech spyta kolegów.

Ogiński przyklasnął pomysłowi i sięgnął po komórkę. Zanim wybrał numer, zasugerował, by na wszelki wypadek nie



ograniczali się tylko do dwóch nazwisk. Bezpieczniej będzie wziąć pod uwagę komisariat jako całość.

– Takie rozpytywanie zawsze rodzi domysły, a jeżeli błędnie ich oceniamy, możemy wyrządzić krzywdę niewinnym ludziom. Wiesz, jak to jest.

Remańska wiedziała aż za dobrze. Doskonale pamiętała znaczące, podejrzliwe spojrzenia, niezrozumiałe początkowo aluzje oraz rozmowy, które cichły, gdy podchodziła bliżej. Nikomu nie życzyła podobnych doświadczeń. Dlatego w rozmowie z Marcinem podkreśliła, że wprawdzie powinien zwrócić szczególną uwagę na wszelkie informacje o Klonowiczu i Skorcu, ale nikt poza nim nie powinien wiedzieć, że z całego bystrzyckiego komisariatu tylko ci dwaj funkcjonariusze znaleźli się na jej czarnej liście.

Po skończonej pogawędce oparła się wygodnie o mur i słuchała rozmowy Szymona z Dariuszem. Po raz kolejny stwierdziła, że podoba jej się sposób, w jaki nadkomisarz traktuje podwładnych. Oni chyba także akceptowali go jako komendanta, nieraz bowiem miała okazję obserwować jodłowieckich policjantów w akcji i doszła do wniosku, że autorytet Ogińskiego nie bierze się ze stanowiska czy stopnia, lecz z jego charakteru. Należał do tych dowódców, którzy krzyczą „za mną”, a nie „naprzód”.

– Patrzysz na mnie tak, jakbyś chciała mi zrobić oczami tomografię duszy. Zaczynam się bać.

Słowa Szymona przywróciły ją do rzeczywistości. Ocknęła się z zamyślenia i znowu wzięła do ręki komórkę.

– Zadzwoń jeszcze raz do tatka. Przedtem prosiłam go tylko o kontakt do prokuratury, a przecież on może mieć doświadczenie do tych policjantów. Tak samo mój były szef. Lubił mnie, więc chyba nie odmówi.

– Jak nie zapytasz, to się nie dowiesz – filozoficznie odparł Ogiński. – W takim razie ja zadzwonię do Gredtkego, bo on też

znał wielu policjantów.

Po namyśle skontaktował się jeszcze z komendantem jednego z bielskich komisariatów, gdzie służył przed przeniesieniem do Jodłowca, oraz z kilkoma dawnymi kolegami. Nic więcej na razie nie mogli zrobić, pozostało im tylko czekać na odzew.

Zmrok zapadł już zupełny, w powietrzu wyczuwało się nocny chłód. Szymon zauważył, że Diona drży, więc przyniósł jej polar i otulił nim troskliwie, a w niej ten zwyczajny gest wywołał jeszcze większe drżenie. Nikt wcześniej nie potraktował jej jak bezradnej istoty, o którą trzeba zadbać.

Zresztą nigdy tego nie wymagała; tak dalece przywykła liczyć wyłącznie na siebie, że nawet nie przyszłoby jej do głowy żądać od mężczyzny podobnego zachowania. Ale nie mogła zaprzeczyć, że sprawiło jej wielką przyjemność.

Wypalili jeszcze papierosa i wrócili do pokoju, nagle dziwnie skrępowani i niepewni. Ogiński pierwszy przełamał milczenie.

– Pójdę wziąć prysznic. Mogłabyś zrobić herbatę? Mam ci tyle do powiedzenia, że pewnie zaschnie mi w gardle.

Skinęła głową i włączyła czajnik, później pościeliła łóżko i wydobyła z szafy czystą piżamę. Podejrzewała, że nie będzie jej potrzebna, lecz nie mogła się powstrzymać. Wnioskując z błysku w oczach Szymona, odgadła, że pewnie natychmiast zedrze z niej nocny strój, ale chciała widzieć jego minę, gdy ją w nim zobaczy.

Zdążyła schować go za siebie, gdy wyszedł z łazienki. Przemknęła obok niego i szybko zamknęła drzwi, potem rzuciła z siebie ubranie i wskoczyła do kabiny, by jak najszybciej mieć za sobą wieczorne ablucje. Nie próbowała się oszukiwać, że jej uczucie do Ogińskiego ma tylko jeden wymiar. Lata, kiedy pragnęła wyłącznie romantycznych uniesień, dawno już miała za sobą, nauczyła się też, że

kobiece pożądanie wbrew opiniom dewotek jest czymś całkiem naturalnym i nie należy się go wstydzic.

Z tą myślą wyszła z łazienki i wpatrzyła się w leżącego mężczyznę, wodząc po jego ciele rozplomienionym wzrokiem. Chciała rozpalić go samym tylko spojrzeniem, lecz dopiero jego śmiech uświadomił jej, że popełniła błąd. Miała na sobie zielone króliczki.



## Rozdział 15

### Cień przeszłości

6 czerwca 2020, Bystrzyca Wielka

Dionizę obudził zapach kawy. Przetarła zaspane oczy i zobaczyła na nocnym stoliku kubek, nad którym unosiła się para, a z jego wnętrza dobiegał ją cudowny aromat. Przysłała się chciwie do napoju i aż zmrużyła oczy z rozkoszy.

– Tego mi było trzeba – oznajmiła Ogińskiemu, który nagle zmaterializował się tuż obok. – Chyba zatrzymam cię na zawsze.

– Tak jak króliczki? – Na widok jej oburzenia przypomniał sobie, że zielone stworzonka umarły, rozszarpane jego niecierpliwymi dłońmi. Uśmiechnął się pojednawczo. – Odkupię ci tę cholerną piżamę, pod warunkiem że będzie mieszkała w szafie. Nie mam nic przeciwko zatrzymaniu, ale musisz obiecać, że to ja będę najważniejszy i żadne cholerne gryzonie nie będą mi wchodzić w drogę.

– Króliki chyba nie zaliczają się do gryzoni.

Zaoponowała tak gwałtownie, jakby kwestia prawidłowego zaszeregowania była w tej chwili najważniejsza. Szymon postanowił jej udowodnić, że ma zupełnie inne priorytety. Przysiadł na brzegu łóżka i przytomnie zaczął od odstawienia kubka na stół. Również uwielbiał kawę, ale nie do tego stopnia, by zraszać nią pościel.

Dużo później, gdy już wyszła z łazienki i zasiedli do śniadania, stwierdził, że powinni pójść na zakupy. Czuł się

winny uszczuplenia zapasów, poza tym nie zamierzał w nieskończoność żywić się na koszt Diony.

– Wyszło całe masło, tak samo chleb, a przed chwilą unicestwiliśmy ostatniego pomidora. Wędliny też zostało tylko parę plasterków. Miałem w planach wstąpić przed wyjazdem do Nowosielskiego, ale zabrakło mi czasu.

Ogiński zajął się dokładnym sprawdzeniem stanu zapasów i sporządzeniem listy zakupów, a Diona w tym czasie zadzwoniła do Mariusza Klai. Miała nadzieję, że młody człowiek ma wolny dzień i dysponuje czasem, by z nią porozmawiać. Okazało się jednak, że właśnie soboty Klaja miewa najbardziej zajęte i pracuje do późnego wieczora.

– Spotkajmy się w jutro w karczmie „Pod Muchomorkiem” – zaproponował. – Zaprosiłbym panią do domu, ale mama tak przeżywa śmierć Angeli...

– W porządku – zgodziła się szybko. – O której?

Ustalili spotkanie na siedemnastą. Remańska wolałaby wcześniejszą godzinę, lecz Mariusz tłumaczył się innymi zobowiązaniami.

Ogiński skończył notatkę i przysłuchiwał się ich rozmowie, wyszli więc, gdy tylko się rozłączyła. Nie planowali jakichś wymyślnych zakupów, toteż podjechali do lokalnego sklepu, gdzie nabyli wszystko z listy Szymona, wyklócali się przy tym od czasu do czasu o wyższość jednego artykułu nad innym.

Przy kasie omal znowu nie doszło do kłótni, gdyż oboje chcieli zapłacić i żadne nie zamierzało ustąpić. Pogodziła ich dopiero kasjerka.

– Proponuję użyć karty tego pana – oświadczyła z udawaną powagą. – A jak pani tak się upiera, żeby wydać swoje pieniądze, to może pani sfinansować moje zakupy.

Włożyli siatki do samochodu i ruszyli wolnym krokiem w stronę restauracji. Tuż obok niej mieścił się mały park, gdzie wedle słów Agnieszki Krzyżanowskiej znajdował się

pomnik księdza Kieliszka, rok temu ufundowany przez kontynuatorów głoszonych przez niego wizji chrześcijaństwa. Mieli zamiar obejrzeć dzieło poświęcone cwaniakowi w sutannie, weszli więc w wysypaną żwirem alejkę.

Trzymetrowy mniej więcej pomnik rzucał się w oczy już z daleka. Na wysokim cokole stała odziana w sutannę postać z uniesioną ręką i nie byłoby w tym widoku nic szczególnego, gdyby nie jakiś szczegół niepasujący do obrazu całości.

– Ksiądz błogosławiący wiernych – mruknął Szymon. – Niby wszystko w porządku, a jednak coś mi tu nie gra.

Remańska odnosiła podobne wrażenie. Postąpiła pięć-sześć kroków do przodu, spojrzała jeszcze raz i nagle zrozumiała.

– O kurwa!

Ogiński przystanął obok, podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i także zobaczył to, co tak zbulwersowało Dionizę. Uniesiona ręka była zaciśnięta w pięść. Ksiądz nie błogosławił wiernych. On im groził.

Spojrzeni po sobie z minami pełnymi dezaprobaty dla tego jawnego pogwałcenia idei chrześcijaństwa i w milczącym porozumieniu skierowali się w bok, w stronę ławki oddalonej od pomnika na tyle, by nie drażnił ich swoją obecnością. Właśnie siadali, gdy kilka metrów dalej zobaczyli jakiegoś mężczyznę. Spoglądał przez pewien czas w skupieniu na kamienną postać księdza, po czym ruszył w kierunku wyjścia na ulicę.

Nim jednak to uczynił, przez chwilę błądził wzrokiem po okolicy. W pewnym momencie obrócił głowę w ich stronę, mogli więc zobaczyć go *en face*. Na ten widok Diona otworzyła usta, lecz nie zdołała wypowiedzieć nawet słowa, bo nagle Szymon niezbyt delikatnie przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Od razu wyczuła, że coś jest nie tak, choć niby tak samo jak dotychczas. Obejmowały ją te same ramiona, te same wargi przylgnęły do jej warg, a jednak wiedziała, że całujący ją

mężczyzna nie przywiązuje żadnej wagi do tego, co robi, i równie dobrze zamiast niej mógłby siedzieć przy nim manekin.

Otworzyła oczy, zobaczyła jego wzrok utkwiony w alejce i zrozumiała, że Ogiński spogląda za mężczyzną znikającym właśnie za zakrętem.

– Nigdy więcej nie wykorzystuj mnie bez mojej wiedzy! – Ze złością szarpnęła się w jego ramionach.

– Dionka...

– Jeszcze nie skończyłam! – oznajmiła złowieszczo. – Jeśli mam robić za twoją tarczę, muszę wiedzieć dlaczego. – Chciał coś odpowiedzieć, lecz nie dopuściła go do głosu. – Cicho! Czemu nie powiedziałeś, że go znasz, tylko pozwoliłeś mi robić z siebie idiotkę? I ciągle mnie podpuszczałeś, żebym o nim opowiadała, a sam mówiłeś o nim jak o obcym. „Ten cały Klonowicz wsadziłby cię na dołek” – przedrzeźniała, naśladowując sposób mówienia nadkomisarza. – Niech to szlag!

Wyrwała się wreszcie i chciała wstać, lecz mężczyzna złapał ją za rękę i znów przyciągnął, zmuszając, by usiadła.

– To był Klonowicz?

W pierwszej chwili Diona pomyślała, że Szymon sobie kpi, lecz napięcie w jego głosie zmusiło ją do zmiany zdania.

– Oczywiście, że Klonowicz. Chcesz powiedzieć, że nie wiedziałeś? Przecież to z jego powodu zacząłeś mnie całować.

– Nie chciałem, żeby mnie zobaczył – wyjaśnił. – Nie wiedziałem, jak inaczej... – W jego wzroku malowała się udręka. – Znałem tego gościa dawno temu, ale nigdy nie słyszałem jego nazwiska. Miał ksywę Kibic.

– Jakiś demon z mrocznej przeszłości? – spytała pozornie lekkim tonem.

– Już dawno miałem ci powiedzieć, ale ciągle się nie składało. Wczoraj...



Zagryzła wargi, powstrzymując soczyste przekleństwo. Szymon mówił prawdę. Wielokrotnie napomykał, że musi jej powiedzieć coś ważnego, ale zawsze wymyślała coś pilniejszego. Ona wymyślała, nie on, zatem to do siebie powinna mieć pretensje. Nawet wczoraj, gdy chciał najpierw porozmawiać, prowokowała go tak długo, że wreszcie zdarł z niej te cholerne króliczki i o zwierzeniach nie mogło już być mowy.

Diona westchnęła i wsunęła dłoń w rękę nadkomisarza.

– Chodźmy do domu, tam mi wszystko opowiesz. Nie chcę słuchać o twojej przeszłości w towarzystwie tego sadystycznego gnoja.

Machnęła ręką w stronę dostojnej postaci księdza, czym wywołała na twarzy mężczyzny uśmiech rozbawienia. Trzymając się za ręce, wyszli z parku i żadne z nich ani razu nie obejrzało się w stronę kamiennej postaci.

\*

– Moja rodzina się rozpadła, gdy miałem czternaście lat – odezwał się Ogiński, spoglądając w sufit niewidzącym wzrokiem.

Leżał w ubraniu na zasłanym łóżku. Lewą rękę założył pod głowę, prawą obejmował Dionizę przytuloną do jego boku. Na dźwięk wypowiedzianych słów drgnęła lekko i musnęła końcami palców policzek mężczyzny.

– W jaki sposób się rozpadła?

– Ojciec odszedł, a wtedy matka zaczęła pić.

Jakaś dziwna nuta brzmiąca w głosie Szymona powiedziała Dionie, że za tymi prostymi słowami kryje się jakieś drugie dno.

– Odszedł do innej kobiety?

– Nie. Do innego dziecka.

– Jak to? – spytała, całkiem zdezorientowana. – Nie rozumiem...

Mężczyzna westchnął i uniósł się na łokciu, by móc spojrzeć jej w twarz.

– Opowiadam ci tę historię tak, jak ją wtedy odbierałem. Z punktu widzenia czternastolatka, jedynaka, któremu nagle zawalił się świat. A prawda wygląda tak, że ojciec zginął na służbie. Był policjantem. Tamtego dnia całkiem przypadkowo znalazł się obok płonącego budynku jednorodzinnego, w którym zgodnie ze słowami sąsiadów na szczęście nie było ludzi. Podobno właściciele byli widziani godzinę wcześniej, jak wsiadali do samochodu i gdzieś pojechali.

– To było ich dziecko?

Diona wstrzymała oddech, lecz Szymon zaprzeczył.

– Nie mieli dzieci, a sąsiedzi nie wiedzieli, że dzień wcześniej przyjechał do nich siostrzeniec właścicielki. Oni wyskoczyli tylko po drobne zakupy, więc zostawili go w domu. Powiedziano nam, że mój ojciec zobaczył chłopca w oknie i poszedł tam, mimo że dowodzący akcją strażak mu zabronił. Bo w jego ocenie pożar rozprzestrzenił się tak bardzo, że próba uratowania dzieciaka nie miała szans powodzenia. Ponoć wrzeszczał, że to samobójstwo, ale ojciec nie posłuchał. Już stamtąd nie wyszedł.

– A dziecko? – spytała Diona bez tchu. – Też zginęło?

– Tata zdążył wyrzucić je przez okno. Dzieciak złamał nogę, miał poparzenia drugiego stopnia i mocno się pokaleczył, kiedy ojciec wybił nim szybę. Ale przeżył i pewnie miewa się całkiem dobrze.

– Co było potem?

Szymon ponownie ułożył się na wznak i podjął opowieść o tym, jak matka pograżyła się w rozpacz, zapominając o synu, który – chociaż już czternastoletni – nadal pozostawał dzieckiem potrzebującym matczynej uwagi i pocieszenia.

Początkowo tylko leżała i płakała, a chłopiec starał się ją pocieszyć i pilnował, by w ogóle coś zjadła.

– Czy to wtedy nauczyłeś się gotować? – spytała i zaraz stwierdziła cicho: – Tylko że cena za tę naukę była stanowczo zbyt wysoka.

Pogładził ją po policzku i lekko się uśmiechnął.

– Któregoś dnia odwiedzili nas policjanci, koledzy ojca z komisariatu. Zobaczyli, w jakim stanie jest mama, ale zamiast się nad nią litować, zjechali ją tak, że słyhać ich było chyba na sąsiednim osiedlu. Nazwali ją wrednym, samolubnym babskiem, które zawłaszczyło sobie całe cierpienie i myśli, że tylko ona przeżyła tragedię. Zagrozili, że jeżeli się mną nie zajmie, załatwią, żeby jej mnie odebrano.

Remańska pokiwała głową z aprobatą.

– Bardzo dobrze zrobili. Ale czy to pomogło?

– Tylko na krótko. W tym czasie z ich pomocą załatwiła rentę po ojcu, za pieniądze otrzymane w ramach zapomogi zapłaciła zaległe opłaty i kupiła mi ubranie na zimę. A potem znalazła nowy sposób na zabicie tęsknoty za ojcem. Zamiast płakać, zaczęła pić.

– Chryste – jęknęła Diona.

Dobrze wiedziała, jak zazwyczaj kończyły się podobne historie. Jeśli dziecko trafiło pod opiekę państwa, to mimo całej niewydolności systemu mogło mówić o szczęściu, gdyż przynajmniej dostawało szansę na lepsze życie. W rodzinnym domu pewnie skończyłoby tak jak wiecznie pijany rodzic, o ile udałooby mu się przeżyć.

Ogiński chyba potrafił czytać jej w myślach, nagle bowiem przytulił ją mocno i pocałował, po czym szepnął:

– Nie martw się tak. Jak widzisz, przeżyłem, chociaż nie było łatwo. Najgorsze, że przez wódkę zaczęły puszczać jej hamulce. W wieku prawie piętnastu lat wie się już co nieco o seksie, dlatego nie było dla mnie tajemnicą, że rodzice mieli

pod tym względem duże potrzeby. Przecież nie zamykali się w sypialni po to, żeby oglądać telewizję. Dlatego nie miałem pretensji do matki, że po śmierci ojca nie żyła jak mniszka. To mogłem zrozumieć.

– A czego nie?

– Jej wyborów i rotacji.

Urszula Ogińska tłumaczyła się przed synem, że poszukuje mężczyzny, który mógłby zastąpić mu ojca, a jej męża. Początkowo w to wierzył, ale wkrótce uświadomił sobie, że ci przewijający się przez dom, a właściwie przez jej łóżko osobnicy nic dla niej nie znaczą. Mało tego, często nawet nie znała imion przygodnych partnerów. Liczyli się o tyle, że przynosili darmową wódkę i dawali chwilę rozkoszy. Niektórzy z nich wracali, lecz nie po to, by stworzyć przypominający rodzinę związek. Odwiedzali Urszulę, bo tak im było wygodnie. Zawsze mogli liczyć na darmowy seks, a kobieta nie miała wobec nich żadnych wymagań.

Z biegiem czasu wódka coraz bardziej przejmowała nad nią władzę. Ogińska przestała dbać o siebie, tak jak już od dawna nie dbała o Szymona. Dawna uroda zaczęła być jedynie wspomnieniem, więc znacznie obniżyła standardy i teraz odwiedzali ją głównie pijaczkowie, gdyż tylko dla nich mogła jeszcze stanowić atrakcyjną zdobycz. O ile można mówić o zdobyczy w przypadku owcy zachęcającej wilka, by ją zjadł.

Szymon widział to wszystko, lecz był całkiem bezradny. Nie mógł jej pomóc, całą energię zabierała mu walka o ukrycie prawdy przed nauczycielami i szkolnymi kolegami. A tę resztkę sił, która jeszcze mu została, wydatkował na nienawiść. Nie do matki, gdyż była jedyną bliską mu osobą i gdyby ją odepchnął, zostałby na świecie zupełnie sam. Toteż całą buzującą w nim nienawiścią obdarzył nieżyjącego ojca, obarczając go winą za całe zło. Oraz policję, bo uważał, że to

z powodu złożonego kiedyś ślubowania Jacek Ogiński oddał życie.

– Gdyby nie zginął, matka nie zaczęłaby pić i wszystko wyglądałoby tak jak dawniej – odpowiedział na pytanie widniejące w oczach Diony. – Byłem wściekły, że polazł tam, chociaż nie musiał. Bo uważałem, że od ratowania ofiar pożaru byli strażacy. Został okrzyknięty bohaterem, a ja go nienawidziłem za to, że poświęcił życie dla obcego dzieciaka, że tamtego uratował, a mnie zostawił. Wysnułem z tego wniosek, że uznał go za ważniejszego ode mnie, dlatego poszedł w ogień.

Diona słyszała w głosie Ogińskiego pogardę dla chłopaka, którym wtedy był, i mogła jedynie wyobrazić sobie, co teraz czuje, gdy musi wracać pamięcią do tamtych wydarzeń. Nigdy nie doświadczyła podobnej tragedii i nagle jej własne przeżycia wydały jej się błahe, niewarte zaprzątania sobie nimi myśli.

Dotknęła delikatnie jego policzka.

– Nie powinieneś się obwiniać o tamte opinie. Byłeś jeszcze dzieckiem, choć pewnie wtedy miałeś się za dorosłego. To normalne, że szukałeś winnego, żeby móc sobie z tym wszystkim poradzić.

– Wiem o tym – burknął ze złością. – Nie rób mi psychoanalizy, Dionka. Nie potrzebuję naprawiacza. Mówię ci o tym nie po to, żebyś się nade mną litowała i głaskała mnie po głowie.

Poczuła się urażona niezbyt grzecznym tonem i jeszcze bardziej słowami sugerującymi, że Szymon uważa ją za jedną z tych kobiet, które potrafią utopić cierpiącego we łzach, ale nie pomyślą o konkretnej pomocy.

– W głowę to cię mogę co najwyżej walnąć! – warknęła. – Nie lituję się nad tobą! I nie ciebie mi żal, tylko nieszczęśliwego chłopaka, którym wtedy byłeś, pewnie tak samo pogubionego jak Ratio. Aż cud, że nie poszedłeś taką samą drogą. – Nagłe

zrozumienie zamigotało w jej oczach. Dotknęła tatuażu na ramieniu mężczyzny. – A może jednak?

Ogiński wstał i sięgnął po papierosy. Już miał zapalić, gdy najwyraźniej przypomniał sobie o zakazie, gdyż zgasił płomień zapalniczki i skierował się ku drzwiom. W progu naraz przystanął i spojrzał na leżącą dziewczynę.

– Idziesz ze mną? Sorry – bąknął z tak wyraźnym wysiłkiem, że miała ochotę się roześmiać. – Chyba za długo byłem sam. Nie bardzo umiem się zachować, kiedy ktoś okazuje mi współczucie.

Diona podniosła się z łóżka i także wzięła papierosa.

– W porządku. Ja też nie jestem w tym dobra. Ani w okazywaniu współczucia, ani w jego przyjmowaniu – sprecyzowała. – Ale na pewno jestem lepsza w przepraszaniu – dokończyła z szerokim uśmiechem.

Popatrzył na nią z urazą.

– Dlaczego? Przecież przeprosiłem.

– Niby tak. – Znów się uśmiechnęła. – Ale to „sorry” tak bardzo nie chciało ci przejść przez gardło, że o mało się nie udusiłeś. To chyba jakaś typowo męska przypadłość, bo tatek ma tak samo.

– Tylko bez seksistowskich uwag – zganił ją i podał ognia, zapewniając sobie w ten sposób chwilę bez dalszych wymówek.

Diona wolno wydmuchnęła dym. Chętnie pomęczyłaby go jeszcze trochę, ale zbyt ją ciekawiły dalsze losy młodego Szymona, porzuciła więc temat i poprosiła, by kontynuował opowieść.

Ogiński w zwięzłych słowach przedstawił jej początki swojej przestępczej kariery. Opowiedział o brzemiennym w skutkach układzie zawartym z osiedlowymi dresiarzami, o swoim rzadkim talencie do otwierania zamków bez kluczy i o włamaniach, z których ostatnie miało zaskakujący finał.

– To z tego okresu pochodzi tatuaż? – spytała najpierw, chcąc sobie wszystko uporządkować.

Czuła na sobie niepewne spojrzenie Ogińskiego i choć te zwierzenia wprowadziły chaos w jej myśli, nie dała po sobie nic poznać. Przeczuwała, że najmniejszy nawet grymas zinterpretowałby jako oznakę niechęci, a do tego nie mogła dopuścić.

Mężczyzna wreszcie odwrócił wzrok i wyraźnie uspokojony odpowiedział:

– Wtedy uważałem, że policja jest tak samo winna jak ojciec. Nie szukaj w tym logiki – ostrzegł. – Waliłem na ślepo. A że Kibic od dawna prowadził z nimi wojnę, ten tatuaż był też czymś w rodzaju hołdu dla mojego idola.

– A ty miałeś jakąś ksywę?

Zawahał się i odpowiedział niechętnie:

– Wołali na mnie Kojot, bo byłem chudy, zwinny i potrafiłem przemykać niezauważony, ale to nie był przestępczy pseudonim. Tak mnie nazwały dzieciaki z osiedla i jakoś do mnie przyłgnęło.

Diona zmarszczyła brwi, myśląc o czymś intensywnie.

– Ratio wspominał jakiegoś Kojota, który rzekomo był najlepszy w rozkminianiu zamków. Podobno umiał świetnie rzucać nożem...

Urwała i niewypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu. Ogiński zerknął na jej sztucznie obojętną minę i wygiął wargi w smutnym uśmiechu.

– Boisz się zapytać, prawda? To może sama sobie odpowiedz, czy kiedykolwiek mogłem użyć tej umiejętności przeciwko komuś.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Nie muszę pytać, bo wiem, że nie. Pytanie, którego nie zadałam, dotyczyło czegoś innego. Po co się tego uczyłeś i od kogo?

– Nauczył mnie ojciec, a sam umiał to od dziadka, który kiedyś występował w cyrku. A nauczyłem się, żeby... – Zastanowił się nad odpowiedzią. – Częściowo po to, żeby zaimponować chłopakom z bloku, ale głównie, by sprawić ojcu przyjemność. Kiedy byłem w bandzie Kibica, zyskałem dzięki temu spory autorytet, ale nigdy...

– Przecież wiem – przerwała mu niecierpliwie. – Powiedz lepiej, jak to się stało, że zakończyłeś karierę włamywacza. Mówiłeś, że uciekłeś, ale wpadłeś prosto na gliniarza. Co było potem?

Ogiński z lekkim uśmiechem opowiedział o resocjalizacji, jaką zafundował mu tamten policjant. Mówił o godzinach spędzanych na ciężkiej pracy w ogrodzie pewnej staruszki, na odśnieżaniu osiedlowego parkingu i na wielu innych niezbyt wdzięcznych pracach wykonywanych gratis w ramach pomocy starszym lub chorym. Wspomnił o tym, jak ślęczał nad książkami, by nadrobić zaległości, a mężczyzna pilnował go i nie dawał sobie zamydlić oczu żadnymi wymówkami, ale też cierpliwie tłumaczył niezrozumiałe zagadnienia i cieszył się wraz z nim z każdej pozytywnej oceny.

– Załatwił dla mamy odwyk, potem sanatorium, a mnie na ten okres zabrał do siebie. Jego żona traktowała mnie jak syna, a córka jak starszego brata. Miała na imię Regina i była cholernie wścibskim dzieciakiem, ale nie dało jej się nie lubić.

– Ogiński westchnął leciutko. – Nie żyje od sześciu lat.

– Jednym słowem załatwił cię tak, jak ja Medarda – oceniła Dioniza. – Masz z nim jeszcze kontakt? Chętnie bym go poznała.

– Już go znasz – odparł Szymon z uśmiechem. – To Robert Gredtke.

Zdumiona dziewczyna zasypała go gradem pytań, na które cierpliwie odpowiadał. Dzięki temu dowiedziała się, że Gredtke, wówczas dzielnicowy, swoimi wzmiankami



o zdarzeniach z pracy zaszczepił w nim chęć pójścia w jego ślady. Tym samym, gdy policjant przeniósł się do komendy w Żywcu, chłopak miał już wytyczoną życiową ścieżkę i nie zachodziła obawa, że z niej zboczy.

– Czy twoja mama wyszła z nałogu?

W tym przypadku nie było jednak happy endu. Kobieta co rusz lądowała na odwyku, lecz wkrótce znów wracała do picia. Trwało to kilka lat i odbiło się na jej zdrowiu do tego stopnia, że ostatnie siedem lat życia spędziła w domu opieki.

– Pod koniec nie rozpoznawała już nikogo, nawet mnie. Patrzyła tylko przed siebie i mamrotała coś niezrozumiale, a ja nie umiałem jej pomóc.

Powiedział to z takim żalem, że Diona chwyciła go za rękę i przytuliła do niej policzek, choć wcześniej obiecała sobie zachować dystans.

– Nie możesz się obwiniać. I tak zrobiłeś dla niej więcej, niż ktokolwiek mógłby oczekiwać. Sam dom opieki... Przecież to musiało kosztować majątek!

– I kosztowało – przyznał. – Jak myślisz, czemu w wieku trzydziestu pięciu lat tułam się po wynajmowanych pokojach i jeżdżę starym autem? Nie jestem dobrą partią, dopiero niedawno spłaciłem Gredtkemu resztę długu. Mało brakowało, a pokłócilibyśmy się przy tym na śmierć.

– Niech zgadnę dlaczego – wtrąciła. – On nie chciał zwrotu tych pieniędzy, a ty się uparłeś.

Ogiński przytaknął i dodał, że z powodu jego zobowiązań rozpadły się jego wcześniejsze związki. Żadna z byłych partnerek nie była zachwycona, gdy dowiadywała się, że mężczyzna, z którym planowała spędzić życie, musi dobrze oglądać każdą złotówkę, nim zdecyduje się ją wydać.

– Mity o policyjnych zarobkach też nie pomogły.

Uśmiechnął się krzywo, a Diona mu zawtórowała. Potem spojrzała mu prosto w oczy.

– Pamiętam twoje słowa, że musisz mi coś powiedzieć, zanim... zanim coś między nami się zacznie. Chodziło ci o twoją przeszłość czy o status materialny?

– O jedno i drugie – odparł zwięźle.

Pokiwała głową z wyraźnym ubolewaniem.

– Niezbyt to dobrze o mnie świadczy, że zakochałam się w kretyńcu!

– Ale dzięki temu jesteśmy na tym samym poziomie intelektualnym.

Riposta nie pozostała bez echa; Diona odpowiedziała na nią aktem przemocy, wymierzając mu kuksańca w bok. Szymon w ramach kary złapał ją za rękę i pociągnął do pokoju, grożąc przy tym, że gdy już zawlecze ją do jaskini, będzie musiała błagać o litość.

Ostatnie, na co mieli ochotę, to rozmowa, toteż gdy wreszcie zasypiali, dziewczyna uświadomiła sobie, że nie zadała Ogińskiemu pytania o dalsze losy Kibica. Była potwornie zmęczona, mimo to zmusiła się, by szepnąć:

– Śpisz?

Odpowiedział jej senny pomruk. *Wrócę do tego jutro*, przyrzekła sobie i przytuliła policzek do ramienia mężczyzny.



## Rozdział 16

### Smutek i gniew

7 czerwca 2020, Bystrzyca Wielka

Niedzielny ranek powitał ich deszczem i mgłą tak gęstą, że wystarczył jeden rzut oka za okno, by pozbyć się ochoty na spacer. Dionę nawet to ucieszyło, a gdy zerknęła na Szymona, przekonała się, że on również nie żałuje zmiany planów.

Przed chwilą zaparzył kawę, a teraz z uśmiechem wcisnął jej kubek w dłoń.

– Trzymaj, śpiochu. Możesz się nie spieszyć, bo ja nie zamierzam nigdzie iść. To żadne zwiedzanie, kiedy widzi się nie dalej niż na metr przed sobą.

– Dzięki. – Łyknęła gorącego płynu. – W takim razie mamy wolne aż do spotkania z Klają. Pójdiesz ze mną czy musisz dzisiaj wracać?

Ogiński wolał wstać w poniedziałek wcześniej i pojechać prosto do pracy. Nie miał ochoty rozstawać się z Dioną, prócz tego ciekawiło go, czy Mariusz Klaja powie im coś interesującego. Wciągnęło go to śledztwo, a od wczoraj miał dodatkową motywację, by przyjrzeć się funkcjonariuszom z tutejszego komisariatu. Rozpoznał wszak jednego z nich, dzięki czemu zyskał pewność, że w Bystrzycy dzieje się coś niedobrego.

– Dopiero jutro. Wolałbym, żebyś nie zostawała tu sama – powiedział z troską. – Nie wierzę w takie cudowne nawrócenia.

Remańska uniosła głowę i popatrzyła na niego z zastanowieniem.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Jakie nawrócenia, na litość boską? Czyżbyś także zaczął wyznawać doktrynę Kieliszka? Nie zapominaj, że on najpierw przez długi czas się alkoholizował, a dopiero później się zabrał do karania grzeszników i gromadzenia dóbr doczesnych. Zauważyłam, że dość ciężko znosisz kaca, więc może się zastanów, czy podołasz, bo łatwo na pewno nie będzie.

Szymon przyciągnął bliżej krzesło i usiadł tuż obok, a po jego minie poznała, że stracił ochotę na żarty. Nie pomyliła się, gdyż pomiął milczeniem ostatnie uwagi, a jego oczy utraciły swój zwykły lekko kpiący błysk.

– Mówię o Klonowiczu. Rozpoznałem go od razu, dlatego rzuciłem się na ciebie bez uprzedzenia. Teraz myślę, że zareagowałem przesadnie, ale licho nie śpi, lepiej się zbyt wcześnie nie odsłaniać.

Remańska szybko dodała dwa do dwóch, lecz wynik tego działania wcale jej się nie spodobał.

– Boisz się, że Klonowicz może zrobić mi krzywdę, prawda? Ale czemu miałyby mnie atakować? To ty go rozpoznałeś, nie on ciebie. Poza tym jesteś pewien, że to Kibic? Mogłeś się pomylić, przecież od tamtej pory minęło blisko dwadzieścia lat. To chyba niemożliwe, żeby osiedlowy gangus został policjantem!

– A dlaczego nie? Ja zostałem.

Odpowiedź tak ją zaskoczyła, że omal nie oblała się resztką kawy.

– Szymon! Do jasnej cholery, przestań bredzić! – W oczach Diony zamigotała furia. – Nie widzisz różnicy? Nie byłeś żadnym gangusem, tylko nieszczęśliwym dzieciakiem, który w nikim nie miał wsparcia.

Uśmiechnął się, słysząc, że dziewczyna próbuje go bronić przed nim samym, i dotknął jej dłoni uspokajającym gestem.

– Kibic był ode mnie starszy, to fakt. Ale niedużo, choć wtedy wydawał mi się całkiem dorosły. Trzy lata, może cztery? Nie widzę między nami większej różnicy. Gdyby nas złapano, obaj ponieśliśmyby karę.

Machnęła ręką, dając do zrozumienia, co sądzi o jego argumentacji.

– Przecież cię złapano – wytknęła. – Poza tym co z tego, że byłeś tylko trochę młodszy? Sam mówiłeś, że to on był szefem i wydawał ci rozkazy. Za pierwszym razem bałeś się, że cię skatują, jeśli odmówisz, a potem robiłeś, co kazali, żeby mieć na jedzenie. Gredtke to zrozumiał, dlatego się tobą zajął, zamiast zrobić aferę.

– Wspomniał kiedyś, że znał mojego ojca – objaśnił Ogiński niechętnie. – Nigdy o tym nie mówił, ale jestem pewien, że właśnie dlatego mi odpuścił.

Diona wróciła pamięcią do swojego pierwszego spotkania z Medardem Ratierem. Złapała go niemal na gorącym uczynku, widziała przecież, że wybiegł z budynku, do którego się włamano. A jednak, zamiast zawołać do policjantów z patrolu, że w jej ręce wpadł jeden ze sprawców, na widok rozpaczliwej determinacji i skrajnego przerażenia w oczach chłopaka jakiś impuls kazał jej najpierw z nim porozmawiać. Dzięki temu zorientowała się, że młody buntownik jest jeszcze jedną ofiarą rodzinnej tragedii oraz nieskuteczności systemu opieki społecznej, bardziej chroniącego pijaków i kombinatorów niż tych, którzy rzeczywiście potrzebowali pomocy.

Podjeżdżała, że w przypadku Szymona było podobnie, lecz na wszelki wypadek postanowiła się upewnić.

– Co wtedy zrobił Gredtke? Chodzi mi o kolejność. Najpierw zapytał o nazwisko i zażądał okazania dokumentów?

– Jaki to ma związek...? – zaczął nadkomisarz, lecz gniewne syknięcie Remańskiej powiedziało mu wyraźnie, że zadała to pytanie w ściśle określonym, choć jeszcze nieznanym mu celu.

Przymknął powieki, by przywołać wspomnienia tamtego wieczoru. Nie popędzała go. Wiedziała, że pośpiech mógłby zniweczyć jego wysiłki. Pograżyła się za to w świecie wyobraźni i zobaczyła niewysokiego, szczupłego wyrostka, sprawnie operującego samodzielnie sporządzonym wytrychem. Nie minęła nawet minuta, a już wyprostował pochylone plecy, pchnął drzwi, a gdy otworzyły się na niemal całą szerokość, ruchem ręki przyzwał kolegów. Cicho jak koty wślizgnęli się do budynku, lecz gdy usiłowała zapamiętać ich twarze, przekonała się, że widzi jedynie zasnutę mgłą jasne plamy. Tylko jeden miał normalne, ludzkie oblicze, lecz były to dobrze jej znane rysy dorosłego aspiranta Klonowicza. Na ten widok zachichotała i obraz zniknął.

Ogiński zapytał, co ją tak rozśmieszyło, a gdy opowiedziała o wykreowanej przez wyobraźnię scenie, okazało się, że jej wizja niewiele odbiegała od rzeczywistości. Do domu weszli tylko tamci, on natomiast stanął na czatach po drugiej stronie ulicy.

– Blikowałem ich zza krzaka, ale jakimś cudem policjanci podeszli niezauważeni i obstawili chałupę – opowiadał o swojej ostatniej przestępczej akcji. – Byłem schowany za takim łysym krzaczorem i w każdej chwili mogli mnie zobaczyć, więc dałem w długą. Już prawie udało mi się zwiąć, gdy wpadłem prosto na Gredtkego.

– Fatalny niefort – skomentowała Diona z żalem, czym go rozśmieszyła.

– Nadawałabyś się na dziewczynę dresiarza – ocenił, za co zarobił kuksańca. – Gredtke zapytał, czemu tak pędzę, jakby mnie wilki gonily. Nawet nie musiałem udawać, że się boję. Przed chłopakami z bandy zgrywałem żołnierza mafii, ale

nagle się okazało, że wcale nie jestem taki twardy. Nawet odpysknać nie umiałem, tylko stałem jak głupek i nie wiedziałem, co robić. Najchętniej bym się rozbeczał.

Brzmiąca w jego głosie pogarda do samego siebie powstrzymała Remańską od okazania współczucia.

– Co było potem?

– Przybiegło dwóch policjantów z tamtej ekipy i zapytali Roberta, czy nie widział uciekającego chłopaka, a on spokojnie zaprzeczył. Patrzyli na mnie podejrzliwie, ale odeszli, a wtedy zabrał mnie do domu i zaprosił do stołu. Najbardziej mnie zdziwiło, że jego żona o nic nie zapytała. Zjadła z nami kolację i poszła do drugiego pokoju, a Gredtke dopiero po jej wyjściu zapytał, jak się nazywam i gdzie mieszkam. Do dziś nie wiem, jak to się stało, że wszystko mu opowiedziałem.

– Wymień się doświadczeniami z Ratiem. Może wam się rozjaśni.

Dioniza sięgnęła po papierosy i wskazała drzwi. Podążył za nią ze skonsternowaną miną, usiadł na ławce i zapytał:

– Po co była ci potrzebna ta cała spowiedź?

Zrozumiała, że zastanawiał się, dlaczego kazała mu tak szczegółowo opowiadać o tamtym zdarzeniu. Widocznie zapomniał o jej pytaniach, gdy cofnął się do przeszłości, wobec której wcale nie nabrał dystansu, choć z jego wcześniejszych słów można było wywnioskować, że już dawno przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Twierdziłeś, że Robert zajął się tobą przez pamięć o twoim ojcu – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od kłębiącej się mgły. – Ale on zapytał cię o nazwisko dopiero w domu, a nie podejrzewam go o umiejętność czytania w myślach. Musiał zobaczyć w tobie coś, co mu powiedziało, że warto o ciebie zawańczyć.



Ogiński przez jakiś czas rozważał jej słowa, wreszcie przerwał milczenie.

– Jestem ci niewymownie wdzięczny, że nie powiedziałaś „a nie mówiłam?”. – Odczekał kilka sekund, a gdy nie usłyszał żadnej riposty, mówił dalej: – Nie wiem, co Robert we mnie zobaczył, ale nie wierzę, że ktoś inny dostrzegł coś podobnego w Kibicu. On uwielbiał dręczyć słabszych, dlatego tak się go bałem. Kiedy czegoś potrzebował, udawał dobrego kumpla, ale tak naprawdę był wrednym skurwysynem, dla którego nikt nie był ważny.

Zamyślona Dioniza wypuściła z ust kilka kótek dymu.

– Mówiłeś, że mieszkał na tym samym osiedlu. Wiesz coś o jego rodzinie?

Mężczyzna energicznie pokręcił głową.

– On tylko tam przychodził. Jego rodzice mieli dom jednorodzinny, niestety nie wiem, w której dzielnicy. Na osiedlu mieszkał Danny, jego najlepszy kumpel i pierwszy przydupas, dlatego Kibic się tam kręcił. Chłopaki z bandy mówili, że podobno Kibic pochodził z dobrej rodziny. Matka była lekarzem, a ojciec dyrektorem w jakimś dużym zakładzie. To wszystko, co wiem. Zrozum. – Chwycił ją za rękę. – Chciałem o tym zapomnieć i po prostu wyrzuciłem tę część życia z pamięci.

Rozumiała go doskonale. Ratio też niechętnie wspominał swoje przestępcze dzieje, sama zresztą twierdziła, że nie powinien rozmyślać o tym, co pozostawił za sobą. I tak nie zmieni przeszłości, a tylko będzie się niepotrzebnie stresować. Dlaczego więc miałyby mieć pretensje do Szymona o to, że poszedł tą samą drogą?

– W porządku – skwitowała zwięźle. – Na razie wystarczy. Domyślałam się, że rodzice Kibica użyli swoich wpływów, żeby wyciągnąć biednego syneczka z kłopotów. Ale wiedza o jego

dalszych losach może nam się przydać. Mam zadzwonić do Roberta czy wolisz sam z nim pogadać?

Stanoło na tym, że Szymon weźmie to na siebie. Zjedli śniadanie, a potem Diona usadowiła się w fotelu tuż obok mężczyzny, by nie uronić ani słowa z rozmowy z emerytowanym policjantem, choć było mało prawdopodobne, by po włączeniu trybu głośnomówiącego mogło jej coś umknąć.

Zapytany o Kibica Gredtke nie odpowiedział od razu, zainteresował się natomiast powodami, dla których Ogiński zaczął odgrzebywać przeszłość. Po usłyszeniu wyjaśnienia długo milczał, wreszcie puścił taką wiązanekę, że Remańska nie mogła uwierzyć własnym uszom. Czy naprawdę te słowa mogły wyjść z ust zawsze opanowanego, niepodnoszącego głosu mężczyzny?

– Ogi, do jebanej kurwy, nie mogłeś mi wtedy tego powiedzieć?! Dżentelmen-włamywacz się znalazł, żeby cię jasny chuj strzelił!

Okazało się, że następnego dnia po ich brzemienym w skutki spotkaniu Gredtke zainteresował się ujętymi na gorącym uczynku przestępcami, by mieć pewność, że nie zaszkodzą chłopakowi, którego postanowił objąć osobistą pieczę. Dowiedział się, że z czterech zatrzymanych dwóch jako małoletnich oddano pod rodzicielski nadzór, pozostałych dwóch natomiast czekało w izbie zatrzymań na posiedzenie aresztowe. Wszyscy konsekwentnie milczeli; nawet z nieletnich nie udało się wydusić żadnych zeznań prócz idiotycznego wyjaśnienia, że przyszli do tego domu dlatego, bo słyszeli, że w nim straszy.

– Czterech? – powtórzył zdziwiony Ogiński. – Powinno być pięciu, chyba że jeden im uciekł. Ale jak to możliwe? Sam widziałem, że cały dom był obstawiony.

Gredtke znów solidnie bluznął i wyjaśnił, w czym rzecz. Jeden z policjantów uczestniczących w zatrzymaniu zdradził mu, że rzeczywiście ujęto pięciu sprawców. Ale najstarszy z nich zdążył gdzieś zadzwonić i zanim dojechali na miejsce, otrzymali polecenie, by chłopaka natychmiast wypuścić.

– Wkurzyli się na maksa, bo to nie był pierwszy raz, że musieli puścić wolno jakiegoś patusa. Dlatego cisnęli zatrzymanych, żeby obciążyli kumpla, ale tamci byli zbyt zastraszeni. Potrzebowali kogoś, kto zrobiłby pierwszy krok, a wtedy poszliby za nim. – Robert nie próbował nawet ukryć złości. – Gdybyś wtedy powiedział to, co dzisiaj, na pewno puściliby farbę i koleś odsiedziałby swoje.

Na widok miny Ogińskiego Diona postanowiła się włączyć.

– Albo i nie – powiedziała w zadumie. – Jeśli dysponował takim zapleczem, że wyjęto go już w drodze, pewnie by go uniewinniono.

– Ale smród by został – warknął Gredtke. – A wtedy nie byłoby mu łatwo dostać się do policji.

Ponarzekał jeszcze trochę, po czym obiecał, że uruchomi dawne bielskie kontakty, by dowiedzieć się czegoś więcej o Kibicu. Nie przewidywał trudności – nazwisko Klonowicz nie było popularne.

– Nie przejmuj się, chłopaku, każdy ma prawo do swojej porcji głupoty – zakończył, a w jego głosie brzmiała nuta świadcząca, że Szymon znaczy dla niego o wiele więcej, niż można by sądzić. – Znamy imię i orientacyjny wiek, mamy śladowe informacje o rodzicach... Znajdę ci tego Kibica. Cześć.

– Cześć – odpowiedział Ogiński i już miał się rozłączyć, gdy znów dobiegł go głos Roberta:

– Szymon? Jeszcze jedno. Dobrze wybrałeś.

\*

Tuż przed szesnastą przekroczyli progi karczmy „Pod Muchomorkiem”. Specjalnie przyszl godzinę przed umówioną porą, by w spokoju zjeść obiad i poobserwować życie towarzyskie miejscowej ludności.

Diona szybko zlustrowała salę i skierowała się do stolika w rogu pod oknem, tego samego, przy którym piła kawę z Karoliną Trzcianką. Szymon uśmiechnął się porozumiewawczo i podążył za nią, a gdy uniosła jedno z krzeseł, natychmiast domyślił się powodów i ustawił je tak, by oboje mieli widok na wnętrze lokalu. Pomyślała z rozbawieniem, że widocznie pobierał takie same nauki co ona.

Ledwo zajęli miejsca, gdy tuż obok zmaterializował się kelner, w którym rozpoznała chłopaka stojącego ostatnio za barem.

– Cześć – powitała go przyjaźnie. Ty jesteś... – Przez chwilę szukała w pamięci. – Już wiem! – wykrzyknęła, gdy otworzył usta, by jej pomóc. – Rafał. Masz na imię Rafał, prawda? Ja jestem Diona, a to Szymon, mój narzeczony.

Niespodziewanie awansowany Szymon obdarzył ją nieodgadnionym spojrzeniem i zwrócił się do kelnera:

– Mógłbyś nam coś polecić?

– Chętnie, ale... – Dzieżko się zawahał. – Nie znam waszych upodobań. Ma być wege, bezgluten czy coś takiego?

Zgodnie pokręcili głowami.

– Żadnego wege – oznajmił Ogiński. – Nie będę się znęcać nad bezbronnymi roślinami tylko dlatego, że nie potrafią wydobyć z siebie głosu.

Idąc za radą chłopaka, zamówili eskalopki z frytkami i zestawem surówek oraz colę, stwierdziwszy zgodnie, że kawę wolą wypić w domu. Przed karczmą wprawdzie znajdowała się popielniczka, ale nikt nie pomyślał o postawieniu ławki. Dopiero gdy zwrócili na to uwagę Dzieżki, ten wyjaśnił, że na

tyłach budynku znajduje się ogródek ze stolikami przeznaczonymi dla palących.

Czym prędzej się tam przenieśli i teraz z rozbawieniem obserwowali grupę młodych ludzi grających w jakąś grę i zaśmiewających się przy tym do rozpuku. Tylko jeden z nich nie brał udziału w zabawie i to właśnie on zwrócił na siebie uwagę Diony. Gdzieś już widziała te bardzo jasne włosy kontrastujące z ciemnymi oczami. Chłopak siedział z ponurą miną na skraju drewnianej ławy i raz za razem podnosił do ust szklankę. Gdy wypił ostatni łyk, uniósł się nieco i machnął ręką w stronę kelnera, a gdy nie przyniosło to żadnego rezultatu, rozdarł się na całe gardło:

– Rafał! Przynieś mi jeszcze jednego!

Barman bez pośpiechu obrócił się w jego stronę i na widok szklistego spojrzenia z dezaprobatą pokręcił głową.

– Chyba masz już dość – ocenił.

Chłopak przy stoliku zmarszczył gniewnie brwi, przez co Remańska nabrała pewności, że zaraz dojdzie do awantury, ale młody człowiek ją zaskoczył. Wpatrzył się z namysłem w Dzieżkę i nagle skinął głową.

– Chyba masz rację. Jutro od rana muszę zapieprzać w robocie, nie mogę się schlać, bo mnie kac zabije.

– Najlepsza na kaca jest ciężka praca – rzucił odkrywczco któryś z jego kolegów, a reszta zarechotała, ale chłopak ich zignorował.

– Przynieś mi mocnej kawy, żebym przetrzeźwiał. Zapomniałem, że mam jeszcze z kimś do pogadania.

W tym momencie Diona zrozumiała, dlaczego od początku wydawał jej się znajomy. Widziała go na zdjęciu.

Pochyliła się w stronę Szymona i szepnęła:

– To właśnie jest Mariusz Klaja. Co robimy? Czekamy do siedemnastej czy ujawniamy się już teraz?

Ogiński wzruszył ramionami.

– Ty tu rządzisz.

– W takim razie najpierw zjedzmy w spokoju. On nigdzie się nie wybiera, z picia też zrezygnował, więc rozmowa może poczekać.

Decyzja okazała się słuszna, nie minęła bowiem nawet minuta, gdy w ogródku znów pojawił się Dzieżko. W rękach dzierżył tacę z ogromnymi talerzami, wypełnionymi niemal po brzegi.

– Ja jakoś dam radę tej porcji, ale ciebie chyba przecenili – orzekł Szymon, gdy zabrali się do jedzenia.

– Żebyś się nie zdziwił – ostrzegła i zaczęła sukcesywnie wymiatać potrawę z talerza.

Mężczyzna przyglądał jej się z fascynacją.

– Widzę, że we wszystko angażujesz się całą sobą – zauważył, a gdy uniosła na niego pytający wzrok, wyjaśnił z niekłamana satysfakcją: – Mam na myśli jedzenie i pracę. No i przede wszystkim seks.

– To źle? – spytała bez fałszywego wstydu. – Dlaczego mam udawać?

– Całe szczęście, że nie udajesz – wyznał szczerze i dorzucił z kpiącym uśmiechem: – Taka narzeczona to skarb.

Wreszcie zdołał wytrącić ją z równowagi.

– Nie wygłupiaj się! Musiałam cię jakoś...

– Zaciągnąć do łóżka, a że nie zaliczam się do łatwych, nie miałaś innego wyjścia. Ale jesteś mi winna oświadczyzny na kolanach. No i pierścionek.

Starał się zachować powagę, lecz zdradzały go diabelskie błyski w oczach. Diona zapatrzyła się w nie i całkiem zapomniała, że miała rzucić jakąś kąśliwą ripostę. Zwycięstwo w słownej potyczce przestało mieć znaczenie.

– Jedz, bo wystygnie – przypomniał i sam także znów sięgnął po widelec. – Później do tego wrócimy – obiecał, a jakaś nuta

w jego głosie kazała przypuszczać, że wcale nie miał na myśli rozmowy.

Po posiłku zdecydowali, że nie ma sensu czekać do umówionej godziny. Diona podeszła do stolika okupowanego przez młodych ludzi i dotknęła ramienia blondyna.

– Mariusz Klaja? – zagadnęła, choć była pewna, że nie popełniła omyłki. – Jestem Dioniza Remańska.

Przez chwilę sprawiał wrażenie całkiem zdezorientowanego. Nawet nie drgnął. Remańska nabrała podejrzeń, że jednak się omyliła, i już miała zamiar przeprosić, gdy poderwał się od stolika i ruszył za nią. Gdy mijali kelnera, zatrzymała się i zapytała Klaję, co może dla niego zamówić.

– Drinka – odparł natychmiast. – Takiego jak poprzednio – zwrócił się do Dzieżki. Napotkał pełne rezerwy spojrzenie Diony i wyjaśnił z ujmującym uśmiechem: – Niech się pani nie boi, wiem, co robię. Zdażyłem już wytrzeźwieć, a jeśli mam mówić o Klaudynie, to bez wspomagania nie dam rady.

Uznała jego argumenty i skinęła głową, potwierdzając jego wybór. Usiedli przy stoliku, gdzie przedstawiła mu Ogińskiego. Od razu zauważyła, że nie jest zachwycony obecnością trzeciej osoby.

– To mój narzeczonny – oświadczyła i posłała Szymonowi nieco krzywy uśmiech. – Możesz mu zaufać.

– W porządku – zgodził się i dorzucił: – Zresztą i tak nie mam nic ciekawego do powiedzenia. Naprawdę nie wiem, co ktoś mógłby mieć do Klaudyny. Ona nikomu nie zrobiła nic złego. Wszyscy ją lubili, nawet stara Helka się jej nie czepiała. Ktoś pewnie pomylił ją z kimś innym albo co.

Diona nigdy nie dawała wiary podobnym zapewnieniom. Była zdania, że nie ma na świecie ludzi lubianych przez wszystkich. Na razie udała jednak, że przyjmuje słowa Mariusza bez zastrzeżeń.

– Jak zachowywała się przed śmiercią? Może się zmieniła albo się kogoś bała? Zastanów się, bo to cholernie ważne.

Klaja złapał szklankę przyniesioną mu przez Dzieżkę i w zamyśleniu obracał ją w palcach. Na jego twarzy malował się wyraz najwyższego skupienia.

– Nie. Była taka jak zawsze – odparł w końcu i pociągnął spory łyk.

– A może kogoś poznała? – włączył się Ogiński. – Niekoniecznie faceta – sprecyzował na widok wrogiego błysku w oczach chłopaka. – Mam na myśli jakąś nową koleżankę czy znajomego.

– Nie słyszałem o żadnej nowej znajomości. Zresztą nie miała na to czasu. Dużo się uczyła, bo mówiła, że ściśle przedmioty jakoś do niej nie trafiają. Nawet jej pomagałem przy materiale z fizyki i matmy. No i często odwiedzała Angelę Mirską, ale w tym też nie ma nic dziwnego, w końcu się przyjaźniły.

To było wszystko, co udało się z niego wydusić. Diona nie kryła rozczarowania, gdy na pożegnanie podawała mu rękę. Naraz przyszło jej do głowy, że powinna zapytać jeszcze o coś. Przytrzymała go za ramię.

– Znasz może kogoś, kto mógłby nam opowiedzieć więcej o Klaudynie?

– Nie znam – burknął i jednym haustem dopił zawartość szklanki. – Zresztą szkoda sobie strzępić gębę, bo okazało się, że ona nikogo nie interesuje. Kurwa mać!

Klaja rąbnął pięścią w stół. Oczy błyszczały mu niezdrowym blaskiem; widocznie zadziałał wypity duszkiem drink i w połączeniu ze spożytym wcześniej alkoholem dał tak gwałtowne efekty.

Tuż obok pojawił się barman i spojrzał znacząco na awanturującego się chłopaka.

– Idź do domu, Mariusz. Masz już dość.



– Chuj cię to obchodzi! – warknął pijany.

– Obchodzi, bo to moja praca, a szef nie toleruje pijaków i będę mieć z twojego powodu pod górkę.

– Tak, jedyne, co cię obchodzi, to ta jebana knajpa – zawołał rozżalony Klaja. – Masz w dupie, że jakiś pojeb zabił moją dziewczynę. Wszyscy to mają w dupie!

Potoczył nieprzytomnym z gniewu wzrokiem po obecnych i zatrzymał go na Dionie. Zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał, kim jest i co robi w „Muchomorku”.

– Ja nie mam tego w dupie – powiedziała cicho, lecz dobitnie.

Przez chwilę zdawało się, że trochę oprzytomniał, ale zaraz znów dał się ponieść furii i jednym ruchem zmiotł szklanki ze stolika.

– Uspokój się – mitygował go barman. – Na sali siedzi Klonowicz. Chcesz, żeby cię zawiózł na wytrzeźwiałkę?

Mariusz go zignorował, całą uwagę natomiast poświęcił Dionie.

– Niech pani sama powie, czy to w porządku! Samobójstwo!  
– zawołał z pogardą. – Jeden wielki przekręt, nie samobójstwo! Klaudyna by w życiu nie tknęła tego gówna, nienawidziła narkotyków i wszyscy dobrze o tym wiedzą. Nie znała się z dilerami i nie chodziła po melinach. Ale po co wielki pan prokurator miałby się wysilać? Najlepiej stwierdzić, że zabiła się sama, i mieć problem z głowy. Zrobił z niej narkomankę i jeszcze pewnie łyknął za to premię. Jebany skurwysyn!

Diona miała już dość. Niezbyt delikatnie pchnęła go na krzesło, a gdy próbował wstać, przytrzymały go ręce Ogińskiego. Detektywka pochyliła się, by Klaja dobrze usłyszał, co miała mu do powiedzenia.

– Rzadko się zdarza, by prokurator sam się angażował – mówiła, patrząc mu prosto w oczy. – Na ogół ogranicza się do oceny dowodów zebranych przez policję, a jego udział

w śledztwie raczej nie przybiera formy na tyle aktywnej, by miał chodzić po domach i rozpytywać ludzi lub uganiać się po dyskotekach za znajomymi nastolatek. Teraz jarzysz? Umorzył śledztwo, bo na podstawie zebranych dowodów i informacji wyszło mu, że to było samobójstwo. – Odetchnęła z ulgą, widząc błysk zrozumienia. – Nie możesz tak na oślep rzucać oskarżeń. To urzędnik państwowy, dobre imię jest dla niego niezwykle ważne, dlatego mógłby cię oskarżyć o pomówienie.

Jasno zwerbalizowana wskazówka odniosła skutek i przy pożegnaniu Klaja oznajmił, że daruje sobie czepianie się prokuratury. Po prostu zasugerował się wydarzeniami z nie tak znów odległej wsi, gdzie właśnie prokurator okazał się mordercą. Zadowolona z sukcesu wychowawczego Diona chwyciła Szymona za rękę. Wyszli wprost na zewnątrz, by nie defilować przed aspirantem Klonowiczem, mocą milczącego porozumienia uznając, że na konfrontację z Kibicem jest jeszcze za wcześnie.

Byli już po drugiej stronie drogi, gdy przekonali się, że Klaja wcale nie zrezygnował ze swoich oskarżeń, zmienił tylko ich adresata. Krzyczał tak głośno, że każde słowo dobiegało ich całkiem wyraźnie.

– Słyszeliście? Ona powiedziała, że prokurator ocenia sprawę na podstawie informacji od policji. W takim razie trzeba się im przyjrzeć. Te skurwysyny w mundurach opierdalają się za nasze pieniądze. Jebane lesery! Myślą, że mogą nic nie robić i pierdzieć w stołki, i nawet dupy nie ruszyli, żeby znaleźć tego, co zabił Klaudię. Ale ja tego tak nie zostawię! Napiszę skargę do komendanta wojewódzkiego, do Komendy Głównej, a jak będzie trzeba, to nawet do ministra!

Dalsze okrzyki zagłuszył warkot przejeżdżającego traktora. Diona i Szymon wymienili zatroskane spojrzenia. Oby Klaja nie napytał sobie biedy rzucanymi na oślep oskarżeniami.



## Rozdział 17

### Bodyguard

8 czerwca 2020, Bystrzyca

Po wyjeździe Szymona pokój wydał się Dionie pusty i dziwnie nieprzytulny, a kawa nagle utraciła swój zwykły smak. Dziewczyna wylała ją do zlewu i z niechęcią zerknęła za okno, gdzie nocna ulewa przekształciła się w obrzydliwe siąpienie. Gdy pomyślała o wyjściu na zewnątrz, od razu straciła ochotę na papierosa.

Po sprawdzeniu godziny wskoczyła do łóżka i zakopała się w pościeli, nie odczuwając przy tym najmniejszych nawet wyrzutów sumienia. Z Izą Poloczek i Gabrielem Tokarzem umówiła się dopiero na wieczór, a zebrane dane mogła przeanalizować później.

Ponownie obudziła się, gdy zbliżało się południe. Wcale się tym nie przejęła. Z uśmiechem na ustach pobiegła pod prysznic, a później zaparzyła świeżą kawę i z kubkiem w ręce wyszła przed dom. Deszcz musiał ustać jakiś czas temu, gdyż ławka zdążyła już przeschnąć. Diona dla pewności podłożyła sobie przywiezioną przez Ogińskiego „Politykę”, co skłoniło ją do swoistej refleksji:

– To jednak prawda, że polityka jest do dupy – mruknęła, nie przejmując się niezbyt ścisłym określeniem lokalizacji nieszczęsnego tygodnika.

Później zjadła szybki posiłek nazwany przez nią śniadaniobiadem i wzięła do ręki notes, gdzie wczoraj po rozmowie

z Klają zanotowała skrótowo swoje odczucia i uwagi. Zamierzała przepisać je do tabletu, gdzie Ratio zainstalował jej opracowany przez siebie program. Dzięki temu usprawnieniu, będącemu czymś w rodzaju miniaturowej bazy danych, mogła w każdej chwili odszukać umieszczoną tam informację bez konieczności wczytywania się w cały dokument.

Zdażyła jedynie się zalogować i właśnie miała wpisać hasło do programu, gdy rozległo się głośne pukanie do drzwi.

– Moment! – krzyknęła. – Już otwieram.

Szybko wróciła do strony głównej, odłożyła tablet i podeszła do drzwi, zastanawiając się, kogo za nimi zobaczy. Stawiała na Karolinę Trzciankę, Agnieszka bowiem o tej porze powinna siedzieć przed komputerem i wbijać uczniom do głów wiadomości z fizyki. Pomyślała ze szczerą radością, że na szczęście jej to już nie dotyczy, i nacisnęła klamkę. Za drzwiami stał Ratier.

Musiała mieć wyjątkowo głupią minę, gdyż stojący w progu młody mężczyzna zmierzył ją kpiącym spojrzeniem.

– Zaniemówiłaś na mój widok z zachwyty?

Nie odpowiedziała, tylko objęła go za szyję, zmuszając do pochylecia głowy, a potem ucałowała w oba policzki.

– Jeszcze trzy lata temu byłeś niższy ode mnie.

Medard przybrał minę pełną godności.

– Po prostu jestem wielki nie tylko duchem i intelektem. Będziemy tu tak stać czy może jednak wpuścisz mnie do środka? Napiłbym się kawy.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że zagraża mu drogę, i szybko cofnęła się, robiąc przejście.

– Właż, Ratio. Fajnie, że jesteś. Ale skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

Popatrzył z wyraźnym politowaniem.

– To jednak prawda, że miłość ogłupia nawet tych najmądrzejszych. Jeszcze niedawno od razu byś się domyśliła.

Skierował się prosto do aneksu kuchennego, rzucił na podłogę ogromną, mocno wypchaną torbę i z uznaniem przyjrzał się ekspresowi. Diona oparła się o ścianę i z zainteresowaniem obserwowała jego poczynania. Ostatnią uwagę pominęła milczeniem, całą sobą dając do zrozumienia, że reagowanie na zaczepkę jest poniżej jej godności.

– Co masz w tym torbiszczu? Przeprowadzasz się tu na stałe?

– Na stałe to może nie – odparł z zaskakującą powagą. – Ale na trochę na pewno. Zostanę tak długo, jak będzie trzeba.

Spoglądała na niego w zadumie; w myślach zaczęło jej się rysować wyjaśnienie nagłych odwiedzin. Postanowiła się upewnić.

– Jak długo będzie trzeba – powtórzyła wolno. – Mógłbyś bardziej sprecyzować?

– Mógłbym.

Nie dodał nic więcej i dziewczyna prychnęła, rozbawiona, że użył w tej słownej potyczce jej własnej broni.

– Nie bądź taki mądry. Nie chcesz gadać? To bez łąchy, i tak wiem, co uknuliście. Szymon cię tu przysłał. Mam rację?

Ratio nie odpowiedział, ale po jego minie poznała, że trafiła w sedno. Dobrze, że zawrócił z przestępczej drogi, skonkludowała w myślach. I że nie wybrał kariery hazardzisty. Z twarzą, na której odbijały się wszystkie uczucia, nie miałyby żadnych szans.

– Mam robić za bodyguarda – przyznał w końcu.

Nie oczekiwała innego wyjaśnienia, mimo to nie była nim zachwycona.

– Szymon niepotrzebnie zawracał ci głowę, a ty masz przecież swoją robotę. Nic mi tu nie grozi. Panuję nad sytuacją.

Podniósł torbę i zaczął wypakowywać z niej różne produkty i upychać je w lodowce i szafkach. Ilość pakunków świadczyła

o tym, że nie zamierzał szybko opuścić Bystrzycy. Diona poczuła, że gubi się w odczuciach. Z jednej strony ucieszyła się, że będzie miała towarzystwo, z drugiej zirytowało ją, że Szymon bez pytania o zdanie postawił ją przed faktem dokonanym. Nie znosiła, gdy ktoś narzucał jej swoją wolę i jeszcze śmiał twierdzić, że robi to dla jej dobra.

Część tych uczuć musiała się odbić na jej fizjonomii, gdyż Medard naraz odłożył na blat trzymany w ręce garnek.

– Nie wygłupiaj się, Dionka. Ogi się o ciebie boi i wcale mu się nie dziwię. Jeżeli uważa, że ten facet jest niebezpieczny, to ja mu wierzę. W końcu łąził z nim na robotę przez dwa lata, więc miał czas go poznać.

– Mógł mnie uprzedzić, a nie bez pytania uszczęśliwiać na siłę – burknęła bardziej dla zasady niż z rzeczywistej złości. Ta zdążyła już opaść, pokonana logiczną argumentacją Ratiera.

– Mówił mi, że pomyślał o tym dopiero w drodze. Dlatego od razu przyjechał do mnie, a dopiero potem uciekł do pracy. Nie czytałaś mejla?

Ze słów Medarda wynikało, że nadkomisarz wysłał do Dionizy wiadomość, w której wszystko jej wytłumaczył. Ona niestety nawet nie zdążyła włączyć laptopa. Zrobiła to teraz i te kilka widniejących na ekranie zdań wywołało w jej skołatanim umyśle jeszcze większy zamęt.

– Napisał, że mu zależy – powiedziała niepewnie. – I że mnie odstrzeli, jeśli go nie posłucham. Czy tylko ja mam wrażenie, że to się wzajemnie wyklucza?

– Nie udawaj, że nie rozumiesz – rozzłościł się Ratio. – Wreszcie trafiłaś na faceta, który nie daje sobie jeździć po głowie, a jednocześnie potrafi się o ciebie zatroszczyć. Wolałabyś drugiego Kamila? Tak myślałem – stwierdził z satysfakcją na widok jej miny. – To przestań wydziwiać i poproś lepiej gospodynię o jakiś materac.

– Ratio, po co ci materac?

Medard stracił cierpliwość i zaklął, choć na ogół starał się nie używać wulgaryzmów w jej obecności.

– Kurwa mać! Z tobą dzisiaj jest chyba coś nie tak. Gdzie niby mam spać? W twoim łóżku? Sorry, ale Ogi chyba nie takie zastępstwo miał na myśli.

Do Remańskiej wreszcie dotarła cała absurdalność tej sytuacji i wybuchnęła śmiechem. Zastanawiała się, co Agnieszka pomyśli o lokatorce mającej taką rotację w goszczeniu osobników płci męskiej.

Za pierwszą bytnością Szymon przebywał tu zaledwie kilka godzin, lecz w ubiegły weekend jego wizyta nie przeszła już tak niewinnie. W niedzielę poszedł do Krzyżanowskiej i po przedstawieniu się jako narzeczony Dionizy chciał zapłacić za swój pobyt. Gospodyni pieniędzy nie przyjęła. Stwierdziła, że pokój został już opłacony, a ona nie zamierza wnikać, ile osób w nim przebywa, i przymrużywszy oko, życzyła im dobrej nocy.

Ciekawe, jak zareaguje na wieść, że niemal natychmiast po wyjeździe narzeczonego Diona znalazła sobie nowego lokatora? Uzna ją za szczęściarę czy za dziwkę? A może przyjmie to jak coś zupełnie naturalnego?

Krzyżanowska wydawała się całkowicie niezainteresowana nowym lokatorem, jednak materaca Dionie nie dała.

– Muszę go najpierw poszukać. Zawołam, jak znajdę.

Detektywka nie zareagowała na ten jakże czytelny wybieg.

– Założę się – powiedziała do Ratiera po powrocie do pokoju – że przytaszczy go sama. Przecież musi cię obejrzeć.

I rzeczywiście już wkrótce gospodyni przyniosła materac, a gdy starali się ukryć rozbawienie przewidywalnością jej zachowania, przyznała bez cienia wstydu, iż była ciekawa nowego gościa Diony. Przyjrzała mu się uważnie i orzekła:

– Trochę podobny do twojego narzeczonego. Pewnie młodszy brat?



Ratio skłonił jej się uprzejmie i odpowiedział bez mrugnięcia okiem:

– Brat, ale przyrodni. Mieliśmy różnych ojców, dlatego noszę inne nazwisko. Medard Ratier – przedstawił się, po czym zaproponował: – Napije się pani z nami kawy?

Agnieszka odmówiła, tłumacząc się koniecznością powrotu przed kamerę. Kategorycznie odmówiła przyjęcia opłaty za nocleg, a na odchodnym jeszcze raz obrzuciła chłopaka uważnym spojrzeniem.

– Dobrze, że pan tu z nią zostanie. Mam wrażenie, że w Bystrzycy zrobiło się ostatnio mało bezpiecznie. – Pochyliła się ku Dionie i zniżyła głos. – Klonowicz już dwa razy wypytywał o ciebie i twojego narzeczonego. Potwierdziłam, że jesteście kuzynkami. Potem powiedziałam, że o twoim facecie nic nie wiem, bo jesteście ze sobą od niedawna i poznałam go dopiero tutaj. I wcale nie skłamałam.

Gdy wyszła, Medard zajął się wypakowaniem ubrań, później wyciągnął się w poprzek łóżka z laptopem na brzuchu. Diona obserwowała przez kilka minut śmigające po klawiaturze szczupłe palce chłopaka, potem przypomniała sobie słowa Krzyżanowskiej i przeniosła wzrok na jego twarz. Nie dostrzegła żadnego podobieństwa między nim a Szymonem poza kolorytem oczu i włosów.

Ogiński przypominał jej trochę Jacka Domańskiego, który w kultowym serialu *07 zgłoś się* grał w dziewiątym odcinku oficera czerwonych beretów. Mieli podobne rysy twarzy, sylwetki także, zwłaszcza gdy nadkomisarz miał na sobie mundur. Ogiński był wyższy, bardziej postawny, lecz w jego ruchach było coś, co od pierwszej chwili wydało jej się znajome i tak długo wysilała pamięć, aż skojarzyła go właśnie z Domańskim.

Ratio natomiast poruszał się zupełnie inaczej. Zamiast pewności siebie objawiającej się nonszalanckim, lekko

rozkołysanym krokiem, w jego ruchach była zwinność drapieżnego zwierzęcia przemykającego niezauważenie tuż przed ludzkim okiem.

Uśmiechnęła się na to porównanie i już miała zamiar wyjść na papierosa, gdy ktoś głośno zapukał do drzwi. Zajęty swoim programem Ratio nawet nie uniósł głowy znad laptopa i dziewczyna doszła do wniosku, że jako ochroniarz chłopak nie za bardzo się sprawdza. Odwróciła się tyłem, nie mogła więc zobaczyć, że spiął się cały, gotowy w każdej chwili rzucić się na pomoc.

Za drzwiami stał aspirant Klonowicz. Spodziewała się, że będzie chciał ją przesłuchać, bardziej jednak stawiałaby na wezwanie do komisariatu niż na pogawędkę nieniosącą za sobą żadnych skutków prawnych.

– Dzień dobry. Chciałbym z panią porozmawiać. Ma pani chwilę?

– Oczywiście. Wejdzie pan czy rozmawiamy na polu?

Nie odpowiedział od razu i w zapadłej nagle ciszy głośne kichnięcie zabrzmiało jak wystrzał. Zaraz potem rozległo się „ja pierdolę” wypowiedziane męskim głosem i Diona stłumiła śmiech, domyśliła się bowiem, że Ratio opluł ekran.

– Ma pani towarzystwo. Pewnie narzeczony – stwierdził domyślnie.

Nie potwierdziła, ale też nie zaprzeczyła, zrobiła tylko nieokreślony ruch ręką. W gruncie rzeczy mógł oznaczać wszystko, przez co był bardzo przydatny w podobnych sytuacjach i nieraz już ratował ją przed koniecznością udzielenia konkretnej odpowiedzi. Jeszcze się nie zdarzyło, by rozmówcy zinterpretowali go niezgodnie ze swoimi założeniami i aspirantowi również nie udało się wyłamać z tego wzorca. Pokiwał domyślnie głową i porzucił temat narzeczonego.

– Usiądźmy może na ławce – zaproponował i cofnął się od progu.

Podążyła za nim, zajęła miejsce tuż obok i z ciekawością patrzyła, jak policjant rozkłada sobie notatnik na kolanie.

– Będzie pan spisywać moje zeznania? – spytała naiwnie.

– Nie zamierzam pani przesłuchiwać – odparł poważnie. – To tylko luźna rozmowa. Wyszło nam, że była pani ostatnią osobą, która widziała Angelę Mirską żywą.

– Myli się pan – zaprzeczyła stanowczo. – Ostatnią osobą był ten, z którym poszła do łóżka. Zapewniam, że to nie ja z nią spałam.

Po jego twarzy przemknął jakiś cień. Diona gotowa była przysiąc, że dostrzegła na niej rozpacz, co całkiem zbiło ją z pantałyku, gdyż przeczyło wszystkim jej założeniom. Czyżby oboje z Szymonem pomylili się co do jego roli w tych zdarzeniach?

– Nie wiem, z kim spędziła tamten wieczór, ale panią mogę wykluczyć z czystym sumieniem. Nie o tym chciałem rozmawiać. Miałem na myśli, że rozmawiała pani z Angelą na krótko przed jej śmiercią. Jak oceniłaby pani jej stan psychiczny?

Skrzywiła się lekko, co natychmiast zauważył i dorzucił, że wcale nie oczekuje profesjonalnej opinii. Wie przecież, że Remańska jest instruktorem strzelectwa, a nie żadnym psychologiem. Ale podczas pracy na strzelnicy spotyka różnych ludzi i z pewnością nauczyła się oceniać ich kondycję psychiczną i rozpoznawać ewentualne zaburzenia.

– To prawda – przyznała i zamilkła, zastanawiając się, czy może być z nim szczerą.

Po namyśle zdecydowała, że w tym konkretnym przypadku może sobie pozwolić na powiedzenie prawdy, choć podejrzewała, że nie będzie tym zachwycony. Ważniejsze jednak było, że Angeli prawda nie mogła już zaszkodzić, a jej rodzicami Diona nie zamierzała się przejmować. W jej ocenie nie zasłużyli na żadne względy.

Klonowicz nie mógł doczekać się obszerniejszej odpowiedzi i ponaglił ją niecierpliwie.

– Jaka jest pani opinia?

– Według mojego rozeznania Angela nie sprawiała wrażenia osoby chcącej targnąć się na swoje życie – oparła, patrząc mu prosto w oczy. Czekwała na gwałtowne zaprzeczenia, a gdy nie nastąpiły, mówiła dalej: – Była przerażona prześladowaniami, trudno zresztą, by było inaczej. Obwiniła się o śmierć koleżanki, mam jednak wrażenie, że udało mi się wybić jej z głowy poczucie winy. Z kolei obojętny stosunek rodziców do jej kłopotów załamał ją, ale też wzbudził gniew, a to z kolei wzbudziło chęć buntu. Jestem pewna, że gdy się rozstawałyśmy, była bardziej wściekła niż przybita.

Policjant podziękował za opinię, po czym zaskoczył ją po raz drugi, przyznając, że on również nie zgadza się z teorią o samobójstwie, choć jego koledzy z uporem forsują tę wersję. Była pewna, że to właśnie on zajmuje się sprawą śmierci Angeli, lecz wyjaśnił zwięźle, iż z powodu jego bliskiego związku z Weroniką Mirską prokurator odsunął go od śledztwa, co najwyraźniej uznał za osobistą obrazę.

– Nic mi tu nie pasuje – powiedziała, gdy po rozstaniu z aspirantem zadzwoniła do Szymona. – Myślałam, że to on za wszelką cenę dąży do zakwalifikowania zgonów nastolatków jako samobójstwa, bo nie chce, żeby Bystrzyca znalazła się w centrum uwagi. Ale z naszej rozmowy wynikało coś zupełnie innego. Całkiem się pogubiłam – wyznała z niespotykaną u niej bezradnością.

– Jesteś pewna, że ten zgon również został uznany za samobójstwo?

– Z tego, co wywnioskowałam, jeszcze nie ma oficjalnej decyzji, ale śledztwo zmierza w tym kierunku. We wsi także się mówi, że Angela odebrała sobie życie, a taka gadanina nie bierze się znikąd.

Ogiński dość długo milczał. Dała mu czas na przetrwanie nowych informacji. Usłyszała szcęk zapalniczki, odgłos świadczący o wydmuchnięciu dymu z płuc, ciche chrząknięcie, wreszcie pełne niepokoju słowa:

– Trzymaj się Ratia i nie lekceważ niebezpieczeństwa. Najchętniej kazałbym ci wiać stamtąd natychmiast, ale wiem, że nie usłuchasz, więc przynajmniej uważaj na siebie. Tam dzieje się coś złego. Też byłem pewien, że za wszystkim stoi Klonowicz. Teraz boję się o ciebie jeszcze bardziej, bo nie wiem, z której strony może nadejść uderzenie. Nie chcę cię stracić. Obiecuj, że będziesz ostrożna.

Obiecała, choć wszystko się w niej buntowało przeciwko tym ograniczeniom. Ale nie mogła inaczej. Nie po takich słowach.

\*

Po powrocie do komisariatu Sławomir Klonowicz zabrał się do uzupełniania akt. Na ogół zlecał tę żmudną pracę któremuś z funkcjonariuszy, dzisiaj jednak chciał się tym zająć sam. Dawało mu to pretekst do zapoznania się z zawartością pewnej konkretnej teczki, dotyczącej śledztwa w sprawie nagłej śmierci Angeli Mirskiej.

Przeglądał wypełnione komputerowo karty oraz notatki sporządzone eleganckim pismem aspiranta sztabowego Ścieszki i ogarniała go coraz większa wściekłość. Również na siebie. Niepotrzebnie spanikował przy oględzinach, przez co zachował się nieodpowiedzialnie jak jakiś gówniarz, a nie doświadczony policjant. Niepotrzebnie doprowadził do upadku na łóżko. Zamierzoną operację można było przeprowadzić dużo subtelniej.

Wstał od biurka, otworzył okno na całą szerokość, a gdy pełną piersią wdychał czyste wiosenne powietrze, poczuł, że powoli wraca mu spokój. Powiódł wzrokiem po górach

otaczających wioskę, potem jego uwagę przyciągnął dźwięczny dziecięcy głosik, perorujący o czymś z zapalem tuż pod oknami komisariatu.

– Mamo! – Dziecko pociągnęło matkę za rękę dla zwrócenia na siebie uwagi. – Mamo, jak nazywa się ta góra, co byliśmy na?

Uśmiechnął się, usłyszawszy tak dziwacznie sformułowane pytanie. Dziewczynki nie kojarzył, ale gdy przyjrzał się jej matce, rozpoznał w niej jedną z mieszanek Bystrzycy. Kobieta wraz z mężem przeniosła się jakiś czas temu do Anglii. Dziecko przyszło na świat już na Wyspach i chyba pierwszy raz odwiedziło Polskę. To tłumaczyło nietypowy szyk wyrazów w zdaniu.

Młoda matka z wyglądu przypominała trochę Remańską, toteż myśli aspiranta powędrowały do kobiety, której obecność w wiosce ciągle wydawała mu się podejrzana. Nie zachowywała się jak typowa wczasowiczka. Ani razu nie poszła w góry, nie pytała miejscowych o obiekty godne odwiedzenia. Z tego, co mu przekazał oddelegowany do jej obserwacji Zieliński, Remańska rzadko opuszczała posesję Krzyżanowskiej, a kiedy już to robiła, spotykała się z osobami blisko związanymi z Klaudyną Poloczek.

Przez pewien czas Klonowicz podejrzewał nawet, że kobieta może być tajniczką z BSW, co oznaczałoby, że jego dni jako policjanta są policzone. Jej zachowanie jednak nie potwierdzało tych domysłów. Nie dążyła do zadzierzganiania znajomości z nikim z komisariatu, nie rozpytywała o żadnego z policjantów i wszystko wskazywało, że mówiła prawdę o przypadkowości spotkania z Angelą.

Miał ochotę obejrzeć bliżej jej narzeczonego, lecz wczoraj zbyt późno się dowiedział, że siedzą przy stoliku na zewnątrz. Zanim tam dotarł, zdążyli już wyjść i znacznie się oddalić, zobaczył więc tylko, że towarzyszący jej mężczyzna jest wysoki

i ma ciemne włosy. Dzisiaj także nie poszło mu lepiej. Widział go przez okno, lecz nie był w stanie rozróżnić rysów twarzy, a nie znalazł pretekstu do zawarcia bliższej znajomości.

Mimo to był zadowolony. Z tonu Remańskiej wywnioskował, że kobieta nie poświęca zgonom nastolatek zbyt wielkiej uwagi. Mówiła o swoich spostrzeżeniach dość obojętnie, bez ekscytacji charakteryzującej wszystkich ciekawskich, pomyślał więc, że jest to zasługą ciemnowłosego mężczyzny. Widocznie narzeczony zbyt ją absorbował, by chciało jej się tracić czas na wtykanie nosa w cudze sprawy.

Aspirant wrócił do biurka, odłożył na miejsce teczkę z aktami dotyczącymi zabójstwa Mirskiej, a pozostałe przesunął na brzeg blatu bez poświęcenia im bodaj odrobiny uwagi. Miał na głowie ważniejsze sprawy. Co zrobić z tym cholernym Oktawem? Chłopak stanowczo za bardzo się rozbestwił. Poczul się bezkarny do tego stopnia, że przestał zachowywać ostrożność, a to mogło ich wszystkich posłać za kratki. Trzeba będzie go ukrócić, przypomnieć, gdzie jest jego miejsce. A jeśli nie usłucha? No cóż, wtedy trzeba będzie sięgnąć po mocniejsze argumenty.

W ogóle ostatnio zrobiło się tu zbyt niebezpiecznie. Komendant nagle zaczął stawiać opór i zachowywał się tak, jakby przestało mu na czymkolwiek zależeć. A tamten drugi? Klonowicz zacisnął szczęki w paroksyzmie wściekłości na wspomnienie człowieka, który ośmielił się go szantażować.

– Za dużo tych zależności – mruknął w zamyśleniu. – Prędzej czy później to wszystko musi pierdolnąć.

Nie zamierzał iść na dno sam. W razie wtopy bez skrupulów pociągnie za sobą innych, w myśl zasady: „Na szczyt powinno się wchodzić samemu, lecz gdy się z niego spada, warto mieć towarzystwo”.

Wrócił pamięcią do dawnych czasów i twarz znowu ściągnęła mu się gniewem. Jakim prawem ten bezczelny kutas go

ocenia? Sam na pewno zrobiłby w jego sytuacji to samo, gdyby tylko zobaczył szansę wymiksowania się z kłopotów. Świętoszek jebany, żeby go koń w jaja kopnął!

Na korytarzu rozległy się kroki i Klonowicz szybko rzucił okiem na regał, by sprawdzić, czy odłożył teczkę na właściwą półkę. Wszystko było w porządku, więc kiedy Ścieszka i Zieliński weszli do pokoju, nawet nie uniósł głowy schylonej nad aktami dotyczącymi złamania reżimu sanitarnego.





## Rozdział 18

### Powrót po śmierć

9 czerwca 2020, Bystrzyca

Nie minęły nawet dwa tygodnie, a on już tak bardzo tęsknił za Angelą, że czuł niemal fizyczny ból. Nie umiał pogodzić się z jej śmiercią i nie rozumiał, dlaczego musiała umrzeć. Przecież było im razem tak dobrze! Żałował wprawdzie, że nie wykazywała żadnej inicjatywy, tylko leżała bezwolna niczym nadmuchiwana lala z sexshopu, ale cały czas pocieszał się, że prędzej czy później dziewczyna zrozumie, iż to właśnie on jest jej przeznaczeniem. A wtedy sama rzuci mu się w ramiona.

Wrócił pamięcią do tamtej nocy i ściągnął gniewnie brwi. Niepotrzebnie mu się przyznał, gdyby nie to, Angela pewnie nadal by żyła i z niecierpliwością oczekiwała kolejnego spotkania. Nie mogło być inaczej, przecież dał z siebie wszystko, więc musiała wiedzieć, że z nikim innym nie zazna tak oszałamiającej rozkoszy. Odsunął od siebie wspomnienie jej obojętnej twarzy, nie chciał pamiętać, że nie wydała z siebie nawet cichutkiego westchnienia. W marzeniach słyszał, jak wykrzykuje jego imię i błaga o więcej, nałożył więc swą wizję na rzeczywisty obraz zdarzeń i wreszcie poczuł się w pełni szczęśliwy.

– Nie, wcale nie! – wrzasnął z rozpaczą, a na widok zdziwienia na twarzach idących z naprzeciwka ludzi pogroził im pięścią.

Szczęście odeszło wraz z Angelą i nigdy już nie wróci. A może jednak? Bo oto zobaczył w sklepowej witrynie dziewczęcą buzię o wielkich niebieskich oczach, okoloną brązowymi lokami. Nie miała w sobie ani odrobiny podobieństwa do Angeli, a jednak poczuł, że mógłby ją pokochać. Była delikatna i krucha, i taka słodka z wyrazem wiecznego zdziwienia, nadawanego jej twarzy przez wygięte w łuk, mocno uniesione brwi. Potrzebowała kogoś, kto by się nią zaopiekował.

Gorączkowo usiłował przypomnieć sobie jej imię. Przecież już nieraz ją widywał, tylko przedtem, zafascynowany Angelą, nie zwracał uwagi na inne dziewczyny. Mało brakowało, a przegapiłby prawdziwą miłość.

– Ewelina – szepnął.

Nazywała się Ewelina Lasota i była dwa lata młodsza od Angeli. To nawet dobrze, że ma dopiero szesnaście lat, dzięki temu będzie dla niej prawdziwym autorytetem. Warto by się zorientować, gdzie i z kim mieszka. Nie przewidywał żadnych problemów. Wystarczy uważnie słuchać, a wówczas można bez wysiłku dowiedzieć się wszystkiego.

Zastanawiał się, czy zaczepić ją już teraz, czy lepiej nawiązać najpierw kontakt telefoniczny. Nie, nie powinien być niecierpliwy. Lepiej powoli odkrywać przed nią ogrom uczucia, poprzez filmiki przygotować na czekającą ją rozkosz. Niech ją także zacznie spalać ten niedający się ugasić ogień.

*Ale na Angelę to nie podziałało, przypomniał sobie, więc czym prędzej znów zerknął przez sklepową szybę. Zauważył, że Ewelina ze smutną miną odłożyła jakiś ciuszek, i poczuł radość, że będzie mógł dać jej to wszystko, na co teraz nie mogła sobie pozwolić. *Angela? Kto to w ogóle był? Moja kochana Ewelinka! Obsypię cię prezentami, tylko bądź ze mną i nie próbuj mnie odtrącać, gdy będę chciał się kochać.**

Ruszył za nią w pewnym oddaleniu, by nie zauważyła, że jest śledzona. Gdy wsiadła do busa jadącego do Bystrzycy Wielkiej, przypomniał sobie, że często ją tam widywał. Wszedł tuż za nią, rzucił krótkie „siema” do zaprzyjaźnionego kierowcy i przecisnął się obok dziewczyny, ocierając się o nią przy tej okazji. Niczego nie zauważyła, a on omal nie eksplodował, gdy przycisnął wzwidziony członek do jej ciała. Z trudem się powstrzymał od powtórzenia tego ruchu i przeszedł na tył pojazdu. Jeśli pasażerów nie będzie zbyt wielu, będzie mógł się dotykać i wyobrażać sobie, że to jej smukłe palce przesuwają się po wypukłości dżinsów.

Z planów nic nie wyszło, lecz nawet przez chwilę tego nie żałował. Bo oto ta cudowna dziewczyna rozejrzała się w poszukiwaniu wolnego miejsca i oczy jej rozbłyły na widok znajomej twarzy.

– Wolne? – spytała z tak zniewalającym uśmiechem, że poczuł się szczęśliwy jak nigdy dotąd.

– Pewnie, że wolne – wychrypiał. Z emocji głos wiał mu w gardle. Odkaszlnął. – Masz na imię Ewelina, prawda? Byłaś na zakupach?

Potwierdziła, po czym skrzywiła się z niechęcią.

– Mam wrażenie, że wszystko ostatnio podrożało. Myślałam, że kupię jakąś fajną bluzkę, ale zabrakło mi pieniędzy.

– Starzy ci nie dołożą?

Kształtne wargi wykrzywiły się w podkówkę.

– Mama umarła, gdy byłam malutka, a ojciec... O tak, na pewno by mi nieźle dołożył, jakby się dowiedział, że chciałam wydać szmal na ciuchy. Przecież wódka jest ważniejsza. Dopóki żyła babcia, jakoś się trzymał, ale teraz codziennie tankuje.

Nie odpowiedział. Nawet na nią nie spojrział, by nie mogła dostrzec błysku radości w jego oczach. *Ewelinka mieszka tylko z ojcem, a z pijakiem łatwo sobie poradzić*, kalkulował

w myślach. Gdy dostanie pół litra, nie będzie zważał na to, że córka przestała sypiać sama. Może nawet pokochają się w jego obecności, żeby mógł potem opowiadać, jakie dziewczyna ma szczęście. Mało który facet daje radę trzy razy z rzędu! A gdyby dała się namówić na wyjście z domu ze śladami spermy na twarzy lub włosach, cała Bystrzyca by się dowiedziała, że ta dziewczyna należy do niego.

Bezwiednie złapał Ewelinę za rękę i już chciał przyłożyć ją sobie do krocza, gdy przyszło opamiętanie. *Nie tutaj, kretynie*, upomniał sam siebie. *To porządna dziewczyna, nie robi tego przy ludziach*. Na razie, dopowiedział, wierząc święcie, że oszołomiona jego łózkowymi zdolnościami szybko zatraci poczucie wstydu. A wtedy robi wszystko, czego on zażąda. Był tego całkiem pewien.

\*

Poprzedniego dnia Remańskiej nie udało się porozmawiać z Gabrielem Tokarzem. Sierżant zadzwonił na pół godziny przed umówionym spotkaniem i przeprosił za niedotrzymanie terminu. Nie miała do niego żalu, wiedziała przecież, że nie wszystko można ustalić za pomocą grafiku służb. Wystarczy jedno nieoczekiwane wydarzenie, by cały plan rozsypał się w pył. Tokarz obiecał, że postara się wpaść do niej dzisiaj, nie umiał jednak sprecyzować, o której godzinie miałyby to nastąpić.

– Może skoczę do „Muchomorka” i kupię coś na wynos? – rozmyślała głośno.

Była pewna, że jeśli jeszcze trochę posiedzi nad notatkami, w najlepszym razie zacznie głośno krzyczeć. Jeszcze nigdy nie czuła się tak bezradna. Jeden fakt przeczył drugiemu i w żaden sposób nie mogła połączyć obu zgonów w spójną

całość, choć dałaby sobie głowę uciąć, że obie dziewczyny zginęły z ręki tego samego sprawcy.

Dopóki typowała do tej roli Sławomira Klonowicza, obraz jako tako mieścił się w ramach, ale wbrew sobie przestała wierzyć, że to on jest zabójcą. To byłoby zbyt oczywiste, zbyt łatwe i w gruncie rzeczy zbyt absurdalne. Nikt nie mógłby uznać aspiranta za głupca, a kimś takim właśnie by się okazał, gdyby to on zabił. Owszem, zdobycie kilku działek kompotu z pewnością nie stanowiło dla niego żadnego problemu, ale właśnie ta łatwość stawiała go na miejscu zarezerwowanym dla podejrzanych.

Podobnie miała się sprawa z próbkami biologicznymi. Jeżeli zostawił jakieś na zwłokach zabitych dziewczyn, tłumaczył go ogólnie znany fakt, że był kochankiem Weroniki Mirskiej i bardzo często bywał w jej domu. Gdyby jednak prokurator się uparł, mógłby je uznać za okoliczność obciążającą, bo być może Klonowicz liczył właśnie na to, że dzięki statusowi domownika Mirskich te próbki nikogo nie zdziwią.

„Myślę, że oni myślą, że ja myślę, że oni myślą...”, przypomniała sobie słowa Ratia, które kiedyś rozśmieszyły ją do łez, a dzisiaj wywołały jedynie irytację, że tak dokładnie oddają stan jej ducha.

– Idę! Co ci przynieść? – zawołała do chłopaka od rana staczającego nierówną walkę z jakimś problemem.

Oderwał wzrok od ekranu laptopa i popatrzył nieprzytomnie. Czekala cierpliwie, aż porzuci zero-jedynkowe uniwersum i wróci duchem do świata ludzi. Zabrało mu to około trzydziestu sekund, w których trakcie oczy stopniowo traciły wyraz zagubienia, aż wreszcie nabrały zwykłej przenikliwości.

– Nie ma mowy, żebyś poszła sama.

Poczuła żal, że nie krzyknął czy chociaż nie użył gniewnego tonu. Wówczas mogłaby strzelić focha i zignorować zakaz godzący w zagwarantowaną konstytucją swobodę obywatelską

albo zrobić mu awanturę. Ale jak tu się kłócić z kimś, kto mówi spokojnym głosem, a w jego oczach czai się troska?

– Nie możemy iść oboje. Gdyby Tokarz przyszedł pod naszą nieobecność, gotów pomyśleć, że go olałam.

Ratio westchnął ostentacyjnie.

– W takim razie ja pójdę. Tylko nie bardzo wiem po co, bo lodówka pęka w szwach. Znudziło ci się moje gotowanie?

Odłożył laptop, podniósł się z łóżka i poleciał na ścianę, zahaczywszy stopą o kant materaca, który sam ustawił rano w tym miejscu. Diona stłumiła śmiech i zdołała powstrzymać się od komentarza, choć słowa „wiedziałam, że tak się to skończy” same cisnęły się jej na usta. Proponowała mu przecież, żeby wsunął materac pod łóżko, ale uparł się zrobić to po swojemu. No i ma teraz to „swoje”.

– Nie to, że się znudziło, tylko nie chciałam odrywać cię od pracy. Przecież widzę, że zapieprzasz, jakbyś miał normę do wyrobienia.

Ratio odkleił się od ściany, wyplątał stopę z kabla zasilającego laptop i przegarnął dłonią zmierzwiłone włosy.

– Przyda mi się przerwa, bo tak się zapętliłem, że zacząłem robić w kółko to samo, a w ten sposób na pewno nie rozwiążę problemu. Potrzebuję świeżego spojrzenia na sprawę. – Wszedł do łazienki, zerknął w lustro i skrzywił się wymownie. – Wyglądam jak... Właściwie wcale nie wyglądam.

Zdjął gumkę z kucyka bardziej przypominającego mocno zużyty pędzel, rozczesał włosy i ponownie je związał. Przyjrzał się nieogolonej twarzy, dotknął palcem policzka i skrzywił się, lecz nie sięgnął po maszynkę.

– Czemu się tak pindrzysz?

– Bo nie wiem, czy mogę się tak pokazać ludziom, a chyba jednak pójdę do tej karczmy. Muszę dotlenić rozum. Gotowce są zamrożone, mogą poczekać.

- Dobrze jest - oceniła, gdy już przyjrzała mu się krytycznym okiem, i zaraz się wyzłośliwiła. - Laski uważają taki zarost za zajebiaszczo seksowny. Może wyhaczysz jakąś nad skrzynką z marchewką?

Nie dał się sprowokować. Przypomniiał, że nie wybiera się do sklepu, tylko do karczmy, a tam trudno o ogólnodostępną skrzynkę z warzywami. Włożył dokumenty do kieszeni, zabrał ze stołu papierosy i wyszedł.

Remańska również postanowiła zapalić. Ze swego ulubionego miejsca na ławce obserwowała Ratia, dopóki nie zniknął za rogiem budynku. Stwierdziła, że jest niebywale pociągający, co z kolei sprowokowało ją do zastanowienia, dlaczego z nikim się nie spotyka. Żadnych randek, żadnego powtarzającego się w opowieściach imienia... Trudno jej było uwierzyć, że jest aseksualny, a jednak coś tu było nie tak. Postanowiła przy najbliższej okazji napomknąć coś na ten temat.

Rozmyślenia przerwał jej dziwny, niedający się zidentyfikować odgłos. Dobiegał z głębi ogrodu i zabrzmiał jak rytmiczne szuranie, poprzedzone głuchym tupnięciem, jakby ktoś skoczył z dość dużej wysokości na miękkie podłoże. *To z pewnością nie jest zwierzę - rozważała - bo wtedy usłyszałabym dwa tupnięcia. Ten intruz jest dwunożny, a szuranie to nic innego jak odgłosy odchylanych gałęzi.*

Odrobinę zaniepokojona i znacznie bardziej zaintrygowana wbiła wzrok w wysokie krzaki malin w nadziei, że dostrzeże między nimi jakiś ruch, dzięki któremu zidentyfikuje sprawcę nietypowych dla przydomowego ogrodu dźwięków.

Nie pomyślała przy tym, że ktokolwiek to był, raczej nie zamierzał stratować upraw Krzyżanowskiej, zatem z pewnością wybrał inną drogę. Ale szuranie naraz ucichło i słychać było tylko donośne trele flirtujących ptaków.



Naraz kątem oka zarejestrowała ruchomą ciemną plamę w miejscu, na które w ogóle nie zwracała uwagi. Było zbyt oddalone od źródła odgłosów, by ktoś mógł stamtąd nadejść. Przymrużyła powieki, oślepiona słońcem świecącym prosto w oczy, i teraz mogła już dostrzec sylwetkę mężczyzny w granatowym policyjnym mundurze. Średniego wzrostu, szczupły i zwinny, zręcznie lawirował między krzakami agrestów i porzeczek. Była pewna, że nigdy dotąd go nie widziała.

Wkrótce już mogła stwierdzić, że jego włosy są jasnobrązowe, a nie w odcieniu ciemnego blond, jak początkowo myślała, a na sympatycznej twarzy widnieje przyjazny uśmiech. Ale Ted Bundy też był sympatyczny i przyjazny, toteż na wszelki wypadek porzuciła ławkę i stanęła wsparta o mur w pozornie rozluźnionej pozie.

Mężczyzna dostrzegł ją i pozdrowił ruchem dłoni. Wyminął rabatkę z intensywnie różowymi piwoniami, skręcił na chodnik prowadzący do domu i ostatecznie metry przebył już wyznaczonym w tym celu traktem. Stanął przed Dioną, obrzucił ją uważnym spojrzeniem i uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Dzień dobry.

Odwzajemniła uśmiech. Wcześniejsze podejrzenie zamieniło się w pewność; teraz już nie miała żadnych wątpliwości w kwestii identyfikacji gościa chadzającego tak nietypowymi ścieżkami. Gredtke opisał go zbyt dokładnie, by mogła zajść pomyłka, poza tym Remańska nie przypuszczała, by w bystrzyckim komisariacie mogło służyć dwóch brunetów w stopniu sierżanta, z piwnymi oczami i pojawiającym się przy uśmiechu dołeczku w prawym policzku.

– Dzień dobry, panie Gabrielu. Cieszę się, że w końcu mam okazję pana poznać i z panem porozmawiać.

– Dzień dobry. Pani Dioniza Remańska, prawda? Mam nadzieję, że pani nie przestraszyłem. Wolałem iść przez zboże, bo we wsi Moskał stoi.

Rozbawiło ją to jakże trafne zaadaptowanie do własnych potrzeb najstynniejszego chyba hasła z kabaretu Olgi Lipińskiej. Uścisnęli sobie dłonie, po czym Diona zaproponowała, by porozmawiali w pokoju. Nie chciała narażać Tokarza na nieprzyjemności.

Do sprawy tajemniczego zgonu Klaudyny Poloczek sierżant w zasadzie nie wniósł nic nowego. Prócz jednej kluczowej informacji.

– Jestem pewien, że pod torebką leżała rękawiczka – opowiadał mężczyzna. – Czarna, pięciopalczysta, skórzana. Ale gdy później czytałem protokół oględzin, nie było tam o niej ani słowa.

– Może należała do Klaudyny?

Diona sama w to nie wierzyła. Gabriel Tokarz wywarł na niej wrażenie inteligentnego i spostrzegawczego policjanta. Tacy jak on nie popełniają szkolnych błędów. Ale zapytać musiała.

– Na pewno nie – odparł z niezachwianą pewnością. – Klaudyna miała rękawiczki na dłoniach. Obie. A gdyby nawet nie, to nie pasował ani kolor, ani rozmiar. Iza kupiła jej pod choinkę nowe rękawiczki. Czerwone, takie pod kolor kurtki. W dodatku ta czarna była duża, męska, a Klaudyna miała bardzo drobne dłonie.

Upił łyk coli z postawionej przed nim szklanki, podczas gdy Diona nadal zastanawiała się, co dla jej śledztwa oznacza zatajenie istnienia tak ważnego dowodu. Teraz wreszcie wiedziała, dlaczego Tokarz od razu podejrzewał jakiś przekręt.

– Powiedział pan, że to była męska rękawiczka. Jest pan pewien, że nie należała do kobiety?

Sierżant energicznie pokręcił głową.

– Stuprocentowej pewności oczywiście mieć nie mogę, ale nie sądzę, bo musiałyby mieć naprawdę ogromne dłonie. Ta rękawiczka nawet na mnie byłaby za duża.

Zademonstrował, rozcapierzając palce, i Diona natychmiast pojęła, co miał na myśli, mówiąc o ogromnych dłoniach. Sam miał przeciętne, doszła więc do wniosku, że większe gabaryty musiałyby od razu rzucać się w oczy, zwłaszcza u kobiety.

– A co ze sprawą Angeli Mirskiej? – spytała, gdy wyczerpali temat pierwszego z nagłych zgonów. – Ma pan jakieś informacje na ten temat?

Tokarz skrzywił się jak po zjedzeniu cytryny i popatrzył z nagłą złością, toteż jego odpowiedź wcale Diony nie zdziwiła.

– Gównu mam, nie informacje! – warknął, lecz zaraz się zreflektował i przeprosił. – Nie powinienem się na pani wyżywać. Przecież to nie pani wina.

– Nie szkodzi – zapewniła go, uśmiechając się uspokajająco. – Rozumiem pana. To musi być cholernie wkurzające, poza tym nie bardzo rozumiem, dlaczego trzymają te wszystkie szczegóły w tajemnicy nawet przed swoimi. Podobno sprawę prowadzi jakiś Ścieszka. Jest dobry?

Sierżant nie potrzebował czasu na zastanowienie, natychmiast z zapałem pokiwał głową. Milczał, więc Diona ponagliła go ruchem ręki.

– Aspirant sztabowy Jan Ścieszka – rzekł Tokarz w zadumie. – To jest naprawdę dobry gliniarz. Sumienny i dokładny, tylko prywatnie nie do życia. Wyznaje tak surowe zasady moralne, że patusy boją się go jak ognia. Wiedzą, że u niego nie ma zmiłuj.

– W takim razie chyba nie zachodzi obawa, że coś pochachmęci?

– To fakt – przyznał policjant. – Ale przez to nie ma szans, żeby się czegoś dowiedzieć, bo on w życiu nie przełamie nałożonego przez prokuratora embarga.

Dalsze słowa sierżanta wyjaśniły sprawę. Po tym, jak wyciekła informacja, że Mirska tuż przed śmiercią zafundowała sobie porządny seks, prokurator Rozmus wydał osobom związanym ze śledztwem kategorię zakaz rozmawiania o sprawie nawet ze współpracownikami.

Remańska nie kryła sceptycyzmu.

– A oni są tacy posłuszni? Jakoś nie wierzę.

Odpowiedział jej grymasem przy odrobinie dobrej woli mogącym uchodzić za oznakę oburzenia.

– Pani Diono, jak pani może tak mówić?! Podstawową cechą policjanta jest przecież posłuszne wykonywanie rozkazów. – Zrobił krótką przerwę, nim dodał: – Oczywiście, że nastąpiły przecieki! – Uśmiechnął się szeroko, lecz zaraz sposepniał. – Przyczyną zgonu było przedawkowanie narkotyku.

Słowa policjanta sprawiły, że Dioniza aż podskoczyła w fotelu.

– Słucham?!

Ponura mina Tokarza w zasadzie mogła wystarczyć za odpowiedź. Mężczyzna ponownie sięgnął po szklanę i duszkiem dopił resztę coli.

– Polska heroina – sprecyzował. – Podobno o identycznym składzie co ta użyta przez Klaudynę, a to moim zdaniem daje do myślenia.

Diona wróciła pamięcią do czasu spędzonego z Angelą. Dziewczyna na pewno nie miała na rękach śladów po wstrzyknięciach, lecz to jeszcze o niczym nie świadczyło. Gdy ktoś chce ukryć swój nałóg przed otoczeniem, znajduje inne miejsca do iniekcji. Jednak Mirska nie przejawiała żadnych oznak osoby zmagającej się z nałogiem, a Remańska doskonale wiedziała, jak bardzo kompot uzależnia.

– Jeżeli ten Rozmus myśli, że Angela ćpała, to jest żalonym kretynem!

– Nie, aż tak głupi nie jest – odpowiedział sierżant. – Ale mądry też wcale. Podobno obaj ze Ścieszką skłaniają się ku wyjaśnieniu, że Klaudyna i Angela miały zamiar razem popełnić samobójstwo, stąd identyczność składu kompotu. Kupiły go w tym samym dniu od tego samego dilera.

Detektywka energicznie postukała się palcem w głowę, po czym stwierdziła z gryzącą ironią:

– No tak, to logiczne. Chciały zabić się razem, tylko że Mirska zasnęła. Niedługo, zaledwie trzy miesiące z małym hakiem. Naprawdę nie widzą innego wyjaśnienia?

– Dlatego w tym przypadku też mam wątpliwości – przyznał policjant. – Ale nic nie mogę zrobić, bo oficjalnie o niczym nie wiem. Zresztą od lutego jestem na czarnej liście, bo nie zgadzałem się z uznaniem śmierci Klaudyny za samobójstwo. Wie pani, to by zaburzyło wyniki komisariatu, a jak na razie mamy je doskonałe. Spraw niemożliwych do wykrycia po prostu się nie wszczyna, przestępstwom obniża się kwalifikacje i traktuje się je jak wykroczenia. Dzięki temu są pochwały i premie.

Więcej informacji sierżant nie miał. Diona podziękowała mu serdecznie, choć w głębi duszy zamiast wdzięczności kłębiło się w niej dojmujące uczucie zawodu. Tyle sobie obiecywała po tej rozmowie, a dostała tak niewiele.

\*

Mariusz Klaja szedł wolno, z wysiłkiem powłócząc nogami. Był dopiero wtorek, a on już nie mógł się doczekać końca tygodnia. Mógłby oczywiście zrezygnować z pracy, lecz żał mu było dobrze płatnego zajęcia. Szef wymagał od pracowników pełnego zaangażowania, ale rekompensował im to wysoką, wypłacaną w terminie pensją. Nie wszyscy pracodawcy byli uczciwi, więc Klaja nie narzekał.

Niestety szef nie okazał zachwytu, gdy Mariusz poinformował go, że w tym tygodniu ze względu na matury nie będzie przychodzić do pracy. Niechętnie wyraził zgodę na spóźnienie, lecz to było wszystko. Oświadczył kategorycznie, że jeśli Klaja chce nadal u niego pracować, musi pojawić się na budowie zaraz po egzaminie i pracować aż do wieczora.

– Inwestor ma w dupie twoją maturę – tłumaczył zdziwionemu chłopakowi. – Nie płaci za postoje. Nie mam nic przeciwko maturze, ale to twoja sprawa. Decyduj, bo nie mam czasu na gadanie.

Mariusz przystał na te warunki, lecz teraz zastanawiał się, czy nie popełnił błędu. Wczoraj był egzamin z języka polskiego, dzisiaj rano z matematyki. Tych nie bał się ani trochę. Ale do kolejnych chciał się trochę jeszcze pouczyć, dlatego tej nocy prawie w ogóle nie spał. Zdrzemnął się dopiero wówczas, gdy jako jeden z pierwszych rozwiązał wszystkie zadania i oddał test. Miał czas do czternastej, przysiadł więc w kącie dworcowej poczekalni i zapadł w czujny, niespokojny sen, który bardziej go wymęczył, niż dał mu wytchnienie.

W pracy pojawił się dopiero o siedemnastej i nieprzerwanie do dwudziestej drugiej kładł gładzie gipsowe, przeklinając w duchu inwestora. *Po chuj mu taki metraż? My mamy tylko trzy pokoje na cztery osoby i jakoś żyjemy. A z szefa jest kawał kutasa. Nie mógł mi odpuścić ten jeden raz?*

Wkrótce przekonał się, że mężczyzna wcale nie miał serca z kamienia, poza tym umiał docenić rzetelnego pracownika. Przyjechał kilka minut po dwudziestej drugiej i zarządził koniec pracy.

– Na dziś fajrant – oznajmił, pojawiwszy się niepostrzeżenie niczym duch. – Zbieraj się, podrzucę cię do tej twojej Bystrzycy.

Nie musiał dwa razy powtarzać. Nie minęło pięć minut, a chłopak zrzucił robocze ubranie i w czystych spodniach oraz świeżym T-shircie zameldował się obok samochodu. W drodze rozmawiali o planach na najbliższe dni, więc Klaja nie miał czasu rozmyślać o tym, jak bardzo jest zmęczony. Odczuł to dopiero wtedy, gdy wyskoczył z auta opodal komisariatu. Czekало go jeszcze strome podejście, które musiał pokonać pieszo.

Nienawykły do pełnej wertepów drogi mężczyzna bał się, że może uszkodzić drogi samochód, i zawsze zatrzymywał się w tym miejscu. Mariusz i tak był mu wdzięczny. To nie pierwszy raz szef nadkładał drogi, by pracownik nie tracił czasu na dojazd busem czy wyczekiwanie na przystanku.

Chłopak skręcił w boczną drogę i po kilku minutach minął ostatni ze stojących przy drodze domów. Znajdował się teraz na odcinku wiodącym wzdłuż jabłoniowego sadu, gdzie po drugiej stronie duktu także wznosiły się jabłonie. Te wyrosły z samosiejek, a ich owoce były małe i cierpkie.

– No nareszcie – usłyszał nagle czyjś głos. – Już myślałem, że się nie doczekam.

Mężczyzna w ciemnej bluzie wychynął zza pnia jednej z przydrożnych samosiejek. Poruszał się zwinnie niczym wielki, czarny kot.

– Na mnie? – zdziwił się Klaja. – O co chodzi?

– O to!

Mężczyzna doskoczył i psiknął czymś prosto w twarz chłopaka. *On mnie... gazem...*, zdążył pomyśleć Mariusz, nim wszystko dziwnie się rozmyło. Obcy podtrzymał go, nie pozwalając upaść na kamienie, i pociągnął między drzewa. Zaplątał się czupryną o nisko wiszące gałęzie, lecz uwolnił ją szybko. Poczował ból wyrywanych włosów, a potem kolejny, gdy gałąź przeorała mu czubek głowy. Miał jednak do załatwienia ważną sprawę, więc tylko zaklął cicho, z wprawą zacisnął

trytytkę na ramieniu nieprzytomnego i niespiesznie wyjął z kieszeni strzykawkę wypełnioną brudnobrązowym płynem.





## Rozdział 19

### Pierwsze informacje

10 czerwca 2020, Bystrzyca Wielka

Zwłoki Mariusza Klai znalazła stara Helka i z krzykiem pobiegła w stronę najbliższych domów, budząc przeraźliwym zawodzeniem całą okolicę. Przesłuchiwana później przez policję nie umiała lub nie chciała odpowiedzieć na proste pytanie, dokąd zmierzała o tak wczesnej porze. Jedyne, co od niej usłyszeli, to bredzenia o karze zesłanej na Klaję przez księdza Kieliszka. Nie miało to jednak większego znaczenia; ślad po wkłuciu powiedział lekarzowi wyraźnie, w jaki sposób chłopak zginął.

Sprawa nagłego zgonu Klai trafiła do Sławomira Klonowicza, a ten natychmiast dostrzegł cechy wspólne z dwoma innymi przypadkami i poczuł lęk ściskający mu gardło. Przewidywał kłopoty. Ogromne.

Podobny lęk widział w oczach komendanta Skorka, który nawet nie próbował grać nieustraszonego stróża prawa. Bardziej przypominał skazańca czekającego na wykonanie wyroku. Dłonie mu się trzęsły tak bardzo, że nie mógł utrzymać długopisu, a górna warga co rusz unosiła się w nerwowym tiku.

Mężczyźni najpierw spojrzeli bezradnie po sobie, później jak na komendę odwrócili wzrok w innym kierunku, nie chcąc w oczach rozmówcy zobaczyć odbicia własnego przerażenia.

Nadkomisarz Skorek pierwszy przerwał milczenie.

– Kto ma nadzór?

Klonowicz skrzywił się wymownie.

– Jakiś Łukasz Zborski. Nowy w prokuraturze. Nikt o nim nic nie wie, dlatego nie mogę przewidzieć, co wykombinuje.

– Młody czy jakiś niepokorny z przeniesienia? – dopytywał się Skorek.

– Młody. Wspomniał coś, że to jego pierwszy samodzielny trup.

W momencie wypowiedzania tych słów Klonowicz nagle zrozumiał, że jeszcze nic straconego. Prokurator bez doświadczenia kontra policyjny wyga... Wystarczy dobrze wszystko rozegrać, a szczawikowi nawet do głowy nie przyjdzie, że został wydymany.

Komendant musiał pomyśleć o tym samym, gdyż z jego twarzy zniknął wyraz strachu, zastąpiony rodzącym się powoli chytrym uśmieszkiem.

– W takim razie wiesz, co powinieneś robić. Byle działać z głową, a wszystko będzie dobrze. – Popatrzył na krzywiącego się niechętnie aspiranta, udał, że nie dostrzegł braku entuzjazmu, i dorzucił nie bez złośliwości: – Sam tego chciałeś. Teraz już nie mamy wyjścia. Jak się powiedziało „A”, trzeba powiedzieć „B”.

Klonowicz skinął głową i opuścił pokój bez słowa, choć na usta cisnęły mu się epitety, z których „chuj złamany” był jednym z łagodniejszych. Najbardziej zaboląło go, że komendant miał rację.

Zmierzając w stronę swojego gabinetu, obmyślał plan działania i nim znalazł się za biurkiem, miał już gotowy scenariusz. Najistotniejsze było, że w przypadku śmierci Mariusza Klai okoliczności były niemal identyczne z tymi w sprawie Klaudyny Poloczek. W obu przypadkach zwłoki leżały na odkrytym terenie z dala od domów, na ciele nie zauważono żadnych śladów świadczących o przemocy czy

walce prócz jednego jedyne go znaku informującego o wkluciu w żyłę. Można więc będzie ten zgon również podciągnąć pod samobójstwo, tym razem z rozpaczy po śmierci ukochanej.

Aspirant odetchnął głęboko i pochylił głowę nad teczką z aktami, zawierającą zaledwie kilka kart.

\*

Jeszcze nigdy nie czuł się tak nieszczęśliwy. Nawet wtedy, gdy odtrąciła go Angela, choć wydawało mu się, że właśnie ona jest tą jedyną. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Ewelina mu to zrobiła. A może tylko się z nim przekomarzała?

Wyjął z kieszeni telefon i odczytał wysłanego wczoraj SMS-a: „Zostaw na noc otwarte okno. Przyjdę do ciebie i będziemy się kochać do rana”. Pod nim widniała krótka odpowiedź: „Spierdalaj, z boku”. Po otrzymaniu wiadomości zaraz do niej zadzwonił, niestety rozłączyła się, gdy tylko zaczął mówić o swoim uczuciu. Odczekał kilka minut i spróbował ponownie, a wtedy się przekonał, że go zablokowała.

Żałował, że wszystkie inne aparaty zostawił w domu i zabrał tylko ten jeden. Ale skąd mógł wiedzieć, że nagle spotka na swojej drodze przyszłą żonę?

– Ty głupi bucu – mruknął pod swoim adresem.

Schował komórkę do kieszeni i rozpiął zamek džinsów. Zaledwie jednak wsunął dłoń w majtki, na korytarzu rozległy się kroki, musiał więc szybko doprowadzić garderobę do porządku.

– Może byś się wreszcie wziął do roboty? – usłyszał od drzwi głos koleżanki. – Sama mam wszystko robić? Ja też chcę zajarać.

Miała dobre układy z szefem, toteż nie próbował wchodzić z nią w dyskusje, tylko zgasił kopiącego się w popielniczkę papierosa i opuścił pomieszczenie socjalne. Aż gotował się

z wściekłości, że byle dziewczucha zwraca mu uwagę, jednak dobrze wiedział, że nie ma innego wyjścia jak usłuchać. Nie mógł stracić tej pracy. Tego ojciec by mu już nie darował.

Naraz przyszło mu do głowy, że mógłby wykorzystać ten dzień na nagranie kilku filmików. Gdy Ewelina zobaczy go w akcji, na pewno zapragnie poczuć go w sobie. Szkoda, że nie pomyślał o włączeniu nagrywania w nocy, gdy onanizował się tak długo, że aż rozboleła go ręka. Ale nic straconego, nadrobi to dzisiaj.

Pracował jak automat, ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do ust, a w myślach przywoływał twarze swoich dawnych dziewczyn. Jak dotąd tylko dwie dobrowolnie poszły z nim do łóżka, a i one nie chciały potem mieć z nim do czynienia. Ta pierwsza... Jak ona miała na imię? Kasia? A może Basia? Nieważne. W każdym razie to ona powiedziała mu prosto w oczy, że gdyby była trzeźwa, za nic by się z nim nie przespała.

Dyskretnie przejrzał się w lusterku i wzruszył ramionami. Wyglądał całkiem przeciętnie, a jednak ta Kasia czy Basia twierdziła, że jest odrażający. Nie wiedział, że to nie ogólny wygląd odrzuca od niego przedstawicielki płci przeciwnej, lecz płonąca w jego oczach dzika żądza. Zamiast podniecenia wywoływała w nich obawę, wyczuwały bowiem, że dla swojego zaspokojenia gotów jest posunąć się nawet do okrucieństwa.

Potem była jeszcze jedna, która kochała się z nim z własnej woli, o ile można tak nazwać niemal kompletną bezwolność będącą skutkiem upojenia alkoholowego. Po wytrzeźwieniu zwyzywała go i opluła, a potem zagroziła oskarżeniem o gwałt. Na szczęście na początku nagrywał ich łóżkowe zmagania kamerką sprytnie ukrytą wśród kwiatów. Po kilku minutach nagranie się urywało, gdyż jak na złość coś się zepsuło, ale te początkowe sceny, na których dziewczyna była jeszcze w miarę

przytomna, wystarczyły, by raz na zawsze wybić jej z głowy pomysł z oskarżeniem.

Następne panny zdobywał już inaczej. Uświadomił sobie, że istnieje coś takiego jak pigułka gwałtu, w dodatku dobrze wiedział, jak ją zdobyć, i bez najmniejszych skrupułów sięgał do ojcowskich zapasów. Nie przejął się wcale, gdy któregoś dnia został przyłapany na kradzieży, zamiast tego wyrąbał ojcu prosto w oczy:

– Przez ciebie jestem taki. Mam to wrodzone. Tobie też ciągle stoi, chociaż jesteś już stary. Myślisz, że nie wiem, czemu zamykasz się z mamą w pokoju? Ona nie chce tak często i mówi, że to grzech, więc faszerujesz ją tymi tabletkami i możesz sobie dymać do woli. A ja? Co ja mam robić?

– To, co ja zrobiłem – padła natychmiastowa odpowiedź. – Znajdź sobie spokojną, potulną dziewczynę i jak najszybciej się z nią ożeń. Nie musi być mądra czy ładna, ważne, że da ci zaspokojenie. Innej możliwości nie ma. Myślisz, że nie wiem o tej ćpunce, którą przez tydzień tu przetrzymywałeś? I o tej małolacie? Musisz z tym skończyć, bo prędzej czy później wpadniesz. A ze swoją kobietą będziesz mógł się kochać w każdej chwili. Poza tym, kiedy już się ożenisz, musisz ją szybko zapłodnić. Wtedy nie odejdzie. Masz. – Podał mu woreczek z pigułkami. – To na dobry początek.

Pomysł z pewnością był dobry i rozwiązałyby wszystkie problemy, ale jak miał namówić do małżeństwa jakąś dziewczynę, jeśli żadna nie chciała się z nim spotykać? Ojciec rozwiązał to inaczej, po prostu dał żonie dziecko, którego tak pragnęła.

Pomyślał z rozbawieniem o sobie jako o karcie przetargowej, dzięki której ojciec zdobył swoją kobietę, lecz po chwili znów się zasepił. Bardzo chciał, żeby Angela została jego żoną, ale nic z tego nie wyszło. Czy dlatego, że nie była potulna, tylko ładna i mądra? W takim razie z Ewelina też się nie uda.

Trzeba poszukać innej, najlepiej niezbyt urodziwej, niemającej powodzenia. Taka na pewno będzie mu wdzięczna, że chce się z nią ożenić. Może nawet z tej wdzięczności sama będzie rozkładać nogi? Ale trochę żal rezygnować z Eweliny. Przecież nie stanie się nic złego, jeśli zaryzykuje ten ostatni raz i da jej małą pigułkę szczęścia.

10 czerwca 2020, Jodłowiec

Pierwsze informacje spłynęły nie do Dionizy, lecz do nadkomisarza Ogińskiego. Dostarczył ich Robert Gredtke, który uruchomił swoje dawne kontakty, a po uzyskaniu odpowiedzi natychmiast przyjechał do Szymona.

– Aspirant Klonowicz to rzeczywiście twój dawny kolega – oświadczył po przekroczeniu progu wynajmowanego pokoju. Rozglądał się dookoła z wyraźnym niesmakiem. – Nie wiedziałem, że komendanci komisariatów tak kiepsko zarabiają. Naprawdę cię nie stać na nic lepszego niż ta nora?

Mimo ukończonych trzydziestu pięciu lat Ogiński znów poczuł się jak nastolatek karcony przez wymagającego, lecz sprawiedliwego opiekuna i tak jak kiedyś zaczął przedstawiać swoje argumenty.

– Nie narzekam na zarobki. Ale dobrze wiesz, ile kosztował pobyt matki w domu opieki. I wiesz, ile długu musiałem spłacić. Dopiero teraz wyszedłem na prostą i mogę pomyśleć o przyszłości.

– Mówiłem ci, że nie musisz mi oddawać tych pieniędzy, więc to nie tak, że nie miałeś innego wyjścia, jak się tu gnieździć. Teraz też je masz. – Gredtke nie dał sobie zamydlić oczu. – Mój dom jest wystarczająco duży dla nas dwóch. Ponawiam propozycję.

Szymon podziękował mu wzrokiem, lecz zaraz pokręcił głową.

– Dzięki, Robert, ale nie. Już wystarczająco mi pomogłeś. Zresztą teraz mieszkam tu tylko dlatego, że nie wiem, jak się sytuacja rozwinie.

– Z Dionką? – domyślił się Gredtke. – Faktycznie lepiej poczekać, ona przecież ma dom, więc na cholerę ci mieszkanie.

– No właśnie. Lepiej wydać te pieniądze na nowe meble czy co tam jeszcze jest potrzebne. Ale zacząłeś mówić o Klonowiczu. Skąd on się wziął w policji?

Z ustaleń Roberta wynikało, że gdy kilka dni temu snuli przypuszczenia co do dalszych losów przywódcy bandy, zaskakująco trafnie odgadli, co wydarzyło się później. W policyjnych aktach nie została nawet najmniejsza wzmianka o zatrzymaniu Kibica, a gdy grupa przestała istnieć, chłopak jakby się opamiętał.

– Może zmańdrzał? A może rodzice go zmusili? – mówił emerytowany policjant. – W sumie nieważne. W każdym razie młody Klonowicz poszedł do szkoły wieczorowej, zdał maturę i nawet chciał studiować, ale odpadł na egzaminach wstępnych. Później rozpoczął płatne studia na kierunku marketing i zarządzanie, lecz z nieznanых przyczyn je przerwał i w dwa tysiące czwartym wstąpił do policji. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata.

Z dalszych słów Gredtkego wynikało, że dawny przywódca młodocianego gangu zyskał sobie opinię policjanta co prawda solidnego, lecz bez specjalnego polotu. Właśnie z tego względu długo nie chciano go skierować do szkoły aspirantów.

– A ja myślałem, że w cenie są właśnie tacy jak on, bez własnego zdania i inicjatywy – zauważył Ogiński.

Gredtke spojrział na niego; w szarych oczach błysnęło rozbawienie.



– Gdyby tak było, w życiu nie zostałbyś nawet sierżantem, a o szkole oficerskiej mógłbyś tylko pomarzyć. Głowę dam sobie uciąć, że twój były komendant rekomendował cię na obecne stanowisko, bo to była jedyna szansa, żeby się wreszcie pozbyć z komisariatu najbardziej bezczelnego i niesubordynowanego gliniarza.

Szymon tylko się uśmiechnął. Nie znosił bezmyślności i nie wahał się jej wytknąć, choć popularności mu to nie przysparzało. Na szczęście w przypadku swojego ostatniego przełożonego nie musiał tego robić, tak jak nigdy nie zakwestionował jego rozkazów. Ale wcześniej bywało z tym różnie, zdarzyło się nawet, że po wielkiej kłótni z zastępcą komendanta na krótko wyłądownął w zamrażarce.

– Było, minęło – skwitował krótko. – Mów dalej.

Robert odpowiedział uśmiechem i podjął opowiadanie, uprzedziwszy, że właściwie nie ma nic ciekawego do dodania. Klonowicz przesłużył bez większych sukcesów osiem lat, nim dostał propozycję przeniesienia się do Bystrzycy Wielkiej. Jak podejrzewano, zawdzięczał to układom rodziców, gdyż wraz z wyższym etatem otrzymał gwarancję skierowania do szkoły aspirantów.

Inni twierdzili, że przeniesienie załatwiła mu kochanka, Weronika Mirska, która właśnie tam zamieszkała po tym, jak na działce odziedziczonej po dziadkach wybudowała wielki dom. Od tej pory minęło siedem lat. Klonowicz ożenił się z mieszkanką Bystrzycy i pod jej wpływem stał się aktywnym członkiem Kościoła, co nie przeszkadzało mu nadal spotykać się z Weroniką.

– Trzy lata temu awansował na pełnego aspiranta. Spektakularnych sukcesów nie odnotowano, porażek też nie. To wszystko, co mam.

Ogiński przez kilka minut rozważał słowa Gredtkego.

– Gdyby ktoś wiedział o jego niechlubnej młodości, miałby go w rękę – odezwał się cicho, bardziej do siebie. – Ale nic nam to nie daje, bo to nie on jest szantażowany.

– Moim zdaniem daje wam bardzo dużo – sprzeciwił się Robert. – Zyskaliście broń przeciwko niemu, a o to chyba chodziło. Chyba że etyka ci nie pozwala...

– W dupie mam całą etykę – rozzłościł się Szymon. – Najważniejsze jest bezpieczeństwo Diony. Może jestem przewrażliwionym idiotą, ale...

Przerwało mu energiczne pukanie do drzwi. Nie spodziewał się żadnych gości, więc nie otworzył od razu, tylko zagapił się bezmyślnie na Gredtkego. Pukanie się powtórzyło i to wyrwało go z bezruchu. Szarpnął za klamkę, stanął oko w oko z Marcinem Lipskim i ponownie zastygł, tym razem ze zdziwienia.

Zdążyli się już dość dobrze poznać i choć nie łączyła ich przyjaźń, ich wzajemny stosunek można było nazwać koleżeństwem. Jednak nie na tyle bliskim, by składali sobie prywatne wizyty.

Szymona wreszcie odblokowało i zdobył się na krótkie powitanie.

– Cześć. Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

Marcin rzucił mu kpiące spojrzenie.

– A jak myślisz? Nadkomisarzy nie uczyli, w jaki sposób można ustalić adres obywatela?

Dopiero po tych słowach Ogiński oprzytomniał. Gestem zaprosił nowego gościa do środka i wyjął colę z malutkiej lodówki. Kawy nie zaproponował, nie miał tylu czystych kubków, a nie chciał iść do wspólnej kuchni, by je wmyć. Był pewien, że zaintrygowana jego nagłym życiem towarzyskim gospodyni czai się tam, gotowa w każdej chwili wziąć go w krzyżowy ogień pytań.

Marcin przyssał się łapczywie do butelki, wodząc przy tym oczami po klitce będącej mieszkaniem nadkomisarza. Wypił duszkiem połowę zawartości, odjął flaszkę od ust i skonstatował:

– Fajny ten apartament. Komendant to ma klawe życie. Że o wyżywieniu nie wspomnę – dorzucił, kierując wzrok w stronę minilodówki, gdzie zdążył zauważyć małą puszkę szprotów w oleju i kawałek podeschniętej pasztetowej.

Ogiński nie zareagował na zaczepkę; pogrążony w myślach w ogóle nie usłyszał jego słów.

– Z czym przyszedłeś? – spytał wprost. – Bo chyba mi nie powiesz, że nagle zatęskniłeś za widokiem mojej pięknej buzi.

Lipski wzniósł oczy do nieba.

– Buzi?! Buzie to mają dzieci, a ty masz taką gębę, że dla dobra innych powinienes na niej siadać. – Nagle spowaźniał: – Dowiedziałem się czegoś o Skorku, ale nie chciałem przez telefon.

– Teoria spisku czy mania prześladowcza? – spytał Szymon z udawanym współczuciem. – Biedaku! Nie da się tego leczyć?

Słowa kolegi dały mu jednak do myślenia. Cicho jak kot podszedł do drzwi i otworzył je energicznym szarpnięciem. Straciwszy nagle oparcie, gospodyni poleciała do przodu i byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał.

– Ja tylko... – Potoczyła wokół spłoszonym wzrokiem. – Chciałam zapytać, czy nie zjadłby pan trochę bigosu. Ugotowałam więcej...

– Dziękuję, pani Drozdowa, proszę sobie nie robić kłopotu. Podśluchiwać pod drzwiami też już pani nie musi, bo właśnie wychodzimy.

– No wie pan?! – Aż się zapowietrzyła z oburzenia. – Pan mnie posądza...?

Zamiast odpowiedzieć, chwycił kobietę za ramiona, obrócił twarzą w stronę drzwi i leciutko pchnął. Nastroszyła się

niczym kwoka na jajach i zamamrotała coś o wezwaniu policji, co rozbawiło ich niemal do łez.

Wsluchiwali się w kroki schodzącej po schodach gospodyni, dopóki nie ucichły. Wówczas Ogiński cicho westchnął.

– Że też z tyłu proponowanych mi pokoi musiałem trafić akurat na tę plotkarę. Pewnie już tu nie wróci, ale...

– Licho nie śpi – przerwał mu Marcin. – Mam dosyć hardkorowego newsa i wolałbym, żeby nie trafił w niepowołane uszy. Bo jeżeli gość jest niewinny...

– Zniszczymy mu życie – dokończył Gredtke. – Proponuję pojechać do mnie.

– Do mnie jest bliżej – sprzeciwił się Lipski.

Szymon nie wtrącał się do ich dyskusji. Było mu wszystko jedno, gdzie dokończą rozmowę. Bardziej interesowała go odpowiedź na pytanie, czy gospodyni podsłuchiwała już wcześniej, a jeśli tak, ile zdążyła usłyszeć.

Obserwujący go kątem oka Marcin musiał się domyślić powodów zatroskanej miny nadkomisarza, gdyż nagle odpowiedział na niezwerbalizowane pytanie, wprawiając tym Gredtkego w osłupienie.

– Na pewno nic nie słyszała. Była w sklepie. Szła przede mną z siatami, a raczej się nie rozdziwiła.

Ogiński odetchnął z ulgą. Gredtke wreszcie uznał swoją przegraną, mogli więc opuścić ciasne pomieszczenie, nagrzane od słońca padającego na źle zaizolowany dach. Lipscy mieszkali na peryferiach Jodłowca, mężczyźni postanowili więc, że każdy pojedzie swoim samochodem.

Mała kolumna składająca się z trzech pojazdów dotarła do celu w kilka minut. Marcin poprowadził ich do swojej części domu, stanowiącej samodzielne mieszkanie z osobnym wejściem. Wskazał im drzwi do pokoju, sam zaś zniknął w kuchni.

– Kawy? – zawołał, lecz nim zdążyli odpowiedzieć, ktoś zapukał do drzwi, po czym wszedł, nie czekając na zaproszenie.

Okazało się, że niespodziewanego gościa przygnała tutaj ciekawość. Dariusz Lipski wracał właśnie z żywieckiego sądu, gdy zobaczył znajome samochody skręcające na podjazd. Natychmiast zapragnął się dowiedzieć, co oznacza ten zlot. Nie zdążył nawet się przebrać i Gredtke mógł podziwiać cztery osadzone na szaszłyku błyszczące nowością gwiazdki na naramiennikach.

– Aspirant sztabowy Lipski – powiedział wolno, jakby smakował słowa. – Gratuluję awansu.

– Dziękuję. Tobie też. – Dariusz zwrócił się do Ogińskiego. – Za to, że o tym pomyślałeś. Kiedyś to była norma, że dostawało się awans przed pójściem na emeryturę, ale teraz wszystko jest inaczej.

– Nie masz za co dziękować, już dawno należał ci się sztabowy – burknął Szymon. – Dziwię się, że żaden z moich poprzedników cię nie awansował. Chociażby po to, żeby mu się Lipscy nie mylili.

Po opanowaniu zamieszania związanego ze ściskaniem dłoni, rozdzielaniem kubków z kawą i siadaniem wokół maleńkiego stolika mogli wreszcie przejść do meritum. Tu jednak Dariusz zażyczył sobie, by wprowadzili go w całość sprawy, a Marcin natychmiast go poparł, zadowolony, że żądanie wyszło z ust ojca. Zauroczenie Dioną przeszło mu już całkowicie, w czym spory udział miała pewna niebieskooka sierżant, ale sympatia do dziewczyny pozostała, dlatego martwił się o jej bezpieczeństwo. Bał się jednak, by Szymon nie uznał jego zainteresowania za próbę wejścia pomiędzy nich.

Najpierw głos zabrał Gredtke i w zwięzłych słowach zdał relację ze swego krótkiego pobytu w Bystrzycy Wielkiej. Później

pałeczkę przejął Ogiński i powtórzył to, co usłyszał od Diony, opowiedział też o własnych spostrzeżeniach. Na koniec znów włączył się Robert i przekazał informacje o Klonowiczu vel Kibicu. Lawirował przy tym tak, by nie zdradzić nic z przeszłości Szymona, za co ten był mu wdzięczny. Może kiedyś opowie im o swojej przestępczej karierze? Ale dzisiaj nie było na to czasu.

Obaj Lipscy słuchali uważnie, nie przerywając żadnymi pytaniami. Te posypały się dopiero później, gdy Gredtke zamilkł i sięgnął po kubek. Odpowiadał głównie Ogiński, gdyż to on miał najwięcej do czynienia z tą pokręconą sprawą.

Gdy wreszcie zaspokoiли ciekawość, Marcin przeszedł do właściwego powodu spotkania i przekazał im, czego dowiedział się od naczelnika Cichostępskiego. Słuchali z ponurymi minami, potem długo siedzieli w milczeniu. Wiedzieli już, dlaczego komendant Skorek był szantażowany, lecz świadomość tego nie poprawiła im humoru.

Naraz Ogiński odwrócił się w stronę Dariusza Lipskiego.

– Darku, mam prośbę. Muszę wyjechać na kilka dni, ale tak nieoficjalnie. Nie mogę zostawić Diony samej. Niby Ratio jej pilnuje, ale to jednak cywil. Zastąpisz mnie? Będę pod telefonem, więc jakby co...

Starszy mężczyzna pod wpływem prośby widniejącej w oczach komendanta zapomniał, że jeszcze godzinę temu uznał się za zbyt starego do tej pracy i postanowił złożyć raport o przejściu na emeryturę. Wyprostował zgarbione plecy, popatrzył mu prosto w oczy i bez wahania wyraził zgodę.



## Rozdział 20

### Sekret komendanta

11 czerwca 2020, Bystrzyca Wielka

Poprzedniego dnia Ogiński jednak nie zdołał wyjechać do Bystrzycy. W porę przypomniał sobie o zaległym sprawozdaniu dla komendanta powiatowego, toteż wkrótce po wyjściu gości wrócił do komisariatu. Nie chciał tego zrzucić na barki Dariusza, dał więc z siebie wszystko, by w ciągu jednej nocy zrobić to, co zwykle zajmowało mu ze trzy dni.

Na szczęście o tej porze nikt mu nie przeszkadzał, mógł całą uwagę poświęcić niewdzięcznemu zajęciu bez konieczności odrywania się od pracy co kilka minut. Skończył tuż przed szóstą, zanim jeszcze pojawiła się pierwsza zmiana, i przeciągnął się, by rozruszać mięśnie zastygłe od długiego siedzenia.

Czuł się potwornie zmęczony. Poprzedniej nocy udało mu się złapać zaledwie godzinę snu, a wszystko to przez trzech smarkaczy, którzy postanowili uprzyjemnić policjantom życie anonimowymi zgłoszeniami o podłożeniu bomby. W związku z tym najpierw trzeba było ewakuować szkołę, budynek urzędu gminy oraz dom kultury, później zaś przez długie godziny intensywnie poszukiwano dowcipnisiów. Co gorsza, jeden z nich był nieletni, nie można więc było zastosować zwykłych procedur.

Kolejna nieprzespana noc dobiła nadkomisarza, toteż najpierw zamierzał pojechać do domu i trochę się zdrzemnąć.



Zaraz jednak doszedł do wniosku, że równie dobrze może się przespać już na miejscu, i skręcił w stronę Bystrzycy. Na drodze ze względu na święto ruch był minimalny, przez co przejechał trasę na tyle szybko, że musiał dość długo dobijać się do drzwi, zanim zaspany Ratio mu otworzył.

Chłopak powitał go uśmiechem, a jego mina wskazywała, że szykuje się do jakiejś kąśliwej uwagi, ale kiedy przetarł oczy, by odzyskać ostrość widzenia, i przyjrzał się uważnie twarzy gościa, bez słowa wskazał mu swój materac. Ogiński podziękował mu apatycznym skinieniem i tak jak stał, padł za legowisko i zapadł w kamienny sen. Nie poruszył się, gdy Medard wyszarpał przyciśnięty nogami koc i przykrył go aż po brodę, nie obudził go nawet głośny okrzyk Dionizy, gdy dziewczyna zauważyła jego obecność.

– Ratio! – wrzasnęła i wyskoczyła z łóżka.

Wyraźnie słyszała stłumione pochrapywanie Medarda i widziała ciemne włosy kontrastujące z bielą poduszki. Kto w takim razie był w łazience? Obudził ją hałas dobiegający właśnie stamtąd i nie był to majak senny. Tam naprawdę ktoś buszował. Teraz musiał coś upuścić, usłyszała bowiem brzękliwy odgłos, a zaraz potem jakieś słowa. Nie rozpoznała ich znaczenia, ale wywnioskowała z intonacji, że stanowiły nieparlamentarną reakcję na zrzucenie tego czegoś.

– Ratio! – krzyknęła jeszcze głośniej.

Na palcach pobiegła w stronę kuchennej szafki, gdzie powinien znajdować się nóż. Innej broni nie miała szans zdobyć. Już tylko metr dzielił ją od celu, gdy drzwi łazienki rozwarły się lekko, a zza tej osłony wychynęła głowa Ratiera.

– Wołałaś mnie?

Z trudem zapanowała nad kłębiącymi się w niej uczuciami. Z jednej strony miała ochotę go skląć za to, że ją wystraszył, z drugiej zaś ucałować z ulgi, że to tylko on, że w łazience nie czaił się wróg. Nagłe skojarzenie sprawiło, że zachichotała,

a gdy popatrzył jak na wariatkę, zanuciła fragment piosenki, którą kiedyś często śpiewali razem: „To nie wróg był, bo głos cichy i subtelny, ale polski i nieskazitelny. To nie wróg był, ten by zaraz mnie zapytał, czy mój światopogląd celny...”<sup>[1]</sup>

W pierwszej chwili Ratio sprawiał wrażenie całkiem ogłupiałego, zaraz jednak do niej dołączył i razem zaśpiewali refren. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że ktoś obserwuje ich bacznie spod współprzymkniętych powiek. Tymczasem Ogiński musiał przywołać na pomoc wszystkie znane mu techniki samokontroli, by nie wybuchnąć śmiechem, tak komicznie się prezentowali.

Diona stała sztywno wyprostowana, z uniesioną w dramatycznym geście ręką, nie zdając sobie chyba sprawy z tego, jak bardzo owa teatralna poza kłóci się z jej strojem. W kolejnej wywołującej ochotę do śmiechu pizamie, której intensywnie fioletowa barwa ostro kontrastowała ze wzorem w uśmiechnięte, wściekle pomarańczowe myszy, bardziej wyglądała na obudzoną ze stuletniego snu Śpiącą Królową niż na wykonawczynię pieśni zaangażowanych. Szymon pomyślał, że musi koniecznie później zapytać o producenta jej nocnego przyodziewku. Nasycenie barw sugerowało poważne zaburzenia.

Z kolei stojący w drzwiach łazienki Ratio wyciągał przed siebie dłonie, jakby rzucał klątwę lub zaklęcie. Przyodziany jedynie w ręcznik zamotany wokół bioder, mógłby nawet skojarzyć się z jakimś pogańskim bogiem, gdyby nie krople wody spływające ze świeżo umytych włosów wprost na kafelki podłogi.

Naraz Diona zamilkła i przyjrzała się podejrzliwie Ratierowi.

– Medard, wytłumacz mi jedną rzecz. W jaki sposób się sklonowałeś?

Ratio przerwał na wysokiej nucie i odpowiedział niepewnie:

– O czym ty mówisz? Jakie sklonowanie? Prysznic tylko brałem.

– Chodzi mi o to – odparła inkwizytorskim tonem – że jeżeli ty stoisz tutaj, to kto, do jasnej cholery, chrapie na materacu?

Szymon omal się nie udusił, gdy próbował stłumić chichot pięścią wepchniętą w usta. Wreszcie się poddał i roześmiał głośno. Diona odwróciła się błyskawicznie, a jej oczy zogromniały ze zdumienia.

– Co ty tu robisz?

Zamiast odpowiedzieć, gestem dał znać, by do niego podeszła. Ratio natychmiast zwietrzył okazję i zaśpiewał pełną pierś: „Podejdz bliżej, więc podeszłam jak skruszony obywatel do przedstawiciela władzy”. W połowie wersu Remańska mu zawtórowała i dalej śpiewali już razem: „Podejdz bliżej, już wiedziałam, że ucieczka błyskawiczna tu niczemu nie zaradzi...”<sup>[2]</sup>

Ogiński słuchał ich z przyjemnością, jak zwykle podziwiając szybki refleks, a także fakt, że na niemal każdą okazję umieli znaleźć odpowiedni fragment jakiejś piosenki. Nie pierwszy raz był obserwatorem podobnego spektaklu i zazdrościł im nie tyle talentu, ile łączących ich więzów. On nigdy nie miał kogoś, z kim byłby aż tak blisko. Od Gredtkego dzieliła go zbyt duża różnica wieku, by relacja podopieczny-opiekun mogła przekształcić się w przyjaźń, a nikogo więcej nie dopuścił do siebie na tak bliską odległość.

Usiadł na materacu, przeciągnął się i wstał, konstatuując ze zdumieniem, że nadal ma na sobie wczorajsze ubranie. Minęło dobrych kilkanaście sekund, nim przypomniał sobie, iż padł na posłanie z myślą, że odpocznie przez chwilę, a później pójdzie pod prysznic.

– Chyba już jestem za stary do tej roboty – stwierdził melancholijnie. Napotkał pytające spojrzenia i wyjaśnił: –

Dawniej mogłem nie spać trzy doby albo nawet więcej, a nie czułem się tak parszywie.

– Jeżeli zarywałeś je z dziewczyną, to wcale się nie dziwię – stwierdził Ratio i podstawił kubek pod wylewkę ekspresu. – Zrobiłbym ci kawy, ale ponoć starszym szkodzi.

– Zarywałem je w związku ze służbą – oświadczył Szymon sztucznie oficjalnym tonem. – Ale komuś, kto ma przezwisko Stosunek, wszystko się kojarzy tylko z jednym.

Ratio popatrzył na niego spode łba i już otworzył usta, lecz Diona nie dopuściła go do słowa. Stała przed niespodziewanym lokatorem i przez kilka chwil mierzyła go surowym wzrokiem.

– Pytałam, co tu robisz.

Ogiński nie odpowiedział. Wstał, rozejrzał się w poszukiwaniu swojej torby, a gdy nie znalazł, uświadomił sobie, że nie zabrał jej z samochodu. Zmienił więc plany. Najpierw kawa i papieros, potem doprowadzenie się do ludzkiego wyglądu.

– Nie odpowiem, dopóki nie wezmę łyka – oznajmił i złapał kubek wypełniony parującym, aromatycznym płynem. – Kogo jak kogo, ale ciebie nie powinno to dziwić.

Diona nie zaprotestowała, widocznie argument trafił jej do przekonania. Zabrała swój kubek i ruszyła za nim przed dom, a po chwili dołączył do nich Ratio. Dość długo siedzieli w milczeniu, celebrując poranny rytuał.

Szymon pierwszy dopalił papierosa. Zgasił niedopałek, pociągnął jeszcze jeden łyk i z namysłem spojrzał na chłopaka, rozważając w myślach, czy powinien mówić w jego obecności o sprawie rzucającej brzydki cień na kolegę po fachu. Niepisane prawo głosiło, że co się dzieje w policji, zostaje w policji.

Jednakże Medard i tak wiedział na ten temat dużo więcej niż przeciętny obywatel, w dodatku w ubiegłym roku czynnie

uczestniczył w śledztwie. To właśnie dzięki jego informacjom policja z Jasienia ujęła sprawców kilku zabójstw. Od tamtej pory minęło już ponad pół roku, a na forum publiczne nie wypłynęło nic poza oficjalnymi komunikatami o wynikach śledztwa w tej ponurej sprawie. Wniosek zatem był tylko jeden – Medard Ratier umiał dochować tajemnicy.

– Marcin dokopał się czegoś na temat nadkomisarza Skoraka. Dlatego tu przyjechałem. Bo jeśli to jest prawda, a ty zamieszasz w szambie, pan komendant może dojść do wniosku, że trzeba cię zmusić do milczenia.

Diona aż sapnęła z niedowierzania, potem wbiła w niego rozjarzone bursztynowo oczy, pałające gniewem spod ściągniętych brwi.

– Ogi, chyba ci rozum odjęło. Czy ty słyszysz, co mówisz?! Jak miałby mnie zmusić? Przystawić mi glocka do głowy i kazać przysiąc, że nikomu nie pisnę ani słówka? Przecież to jest gliniarz, a nie jakiś bandzior! A ja to niby kto jestem? Jakaś mimoza, co pozwoli się sterroryzować jednemu palantowi?

Pozwolił jej wykrzyczeć wszystkie wątpliwości, lecz gdy zaczęła się powtarzać, przerwał tę chaotyczną wypowiedź słowami, które rozwścieczyły ją jeszcze bardziej.

– Wiesz, że kiedy jesteś wściekła, zawsze mówisz do mnie „Ogi”?

Wypowiedziana kpiącym tonem uwaga nie pomogła Remańskiej w opanowaniu emocji, bardziej podziałała jak granat zapalający.

– Do jasnej cholery! Przestań się zachowywać jak skończony debil! I nie rób ze mnie idiotki!

– Z tym to akurat świetnie sama sobie poradziłaś. – Ratio postanowił włączyć się do rozgrywki. – Zamiast się wściekać, lepiej spytaj, jakie konkretnie zagrożenie miał na myśli. Od wrzeszczenia wiedzy ci nie przybędzie.

– Spaliście razem na tym materacu, że tak go bronisz? Podobno wspólnie spędzona noc pomaga wytworzyć specyficzną więź.

Diona nadal mówiła podniesionym tonem, lecz każdy, kto choć odrobinę ją znał, zorientowałby się od razu, że złość już jej minęła, a do głosu doszło tak dla niej charakterystyczne poczucie humoru. Ogiński postanowił nie domagać się przeprosin, lecz zanotował zdarzenie w pamięci. Wyciągnie je w stosownej chwili i użyje jako argumentu, gdy dziewczyna znów wytknie mu nieumiejętność przepraszania.

– Nie miałem na myśli ataku bezpośredniego, tylko jakąś wredną intrygę – odezwał się tak spokojnie, jakby nic się nie stało. – I nie traktuję cię jak idiotki. Wiem, że sama byś na to wpadła, gdybyś całej energii nie władowała w udowadnianie, że nie potrzebujesz opieki. – Uniósł dłoń, powstrzymując dziewczynę przed wejściem mu w słowo. – Poczekaj, daj mi skończyć. Nie mam zamiaru być twoim ochroniarzem, tylko świadkiem, który w razie czego powstrzyma ich przed wrobieniem cię w jakieś gówno. Będę twoim alibi. Dotarło wreszcie czy masz zamiar się kłócić dla samej kłótni?

Widocznie zdążyła już całkiem ochłonać, gdyż na jej obliczu pojawił się wyraz zawstydzenia. Dotknęła lekko dłoni Szymona.

– Ratio ma rację, z robieniem z siebie idiotki radzę sobie świetnie.

Była to jakaś forma przeprosin, wprawdzie pokrętna, ale lepsza taka niż żadna. Nie zamierzał domagać się więcej, sam pewnie nie zdobyłby się nawet na to.

– Właśnie zaliczyliśmy pierwszą kłótnię, a ja zyskałem gwarancję, że na pewno nie będę się z tobą nudzić. To może teraz opowiem, czego Marcin się dokopał? Właściwie nie on sam, tylko jego szef, ale na jedno wychodzi. Mogę mówić czy znowu będziesz próbować wydrapać mi oczy?

Obdarzyła go tak słodkim uśmiechem, że gdyby jej tak dobrze nie znał, z pewnością by go zemdliło.

– Proszę bardzo. Ratio, teraz morda w kubek, bo będzie przemawiać komendant nadkomisarz magister Szymon Ogiński. Jest bardzo ważną figurą, więc pod żadnym pozorem nie można mu przeszkadzać.

W jej głosie także było tyle słodczy, że zdecydowanie przewyższała zawartość cukru w cukrze.

– Jędza – mruknął i zwięźle przedstawił sprawę.

Nadkomisarz Waldemar Skorek został mianowany na stanowisko komendanta komisariatu w Bystrzycy Wielkiej czternaście lat temu. Jako funkcjonariusz nie wyróżniał się niczym szczególnym, dlatego od początku dla nikogo nie było tajemnicą, że objął tę funkcję z nadania partyjnego. Kolejne zmiany rządów w żaden sposób nie wpłynęły na jego zawodową karierę i nie zanosiło się, by coś w tej materii mogło się zmienić. Komisariat był zbyt mały, by stanowić łakomy kąsek, a posłuszny, idealnie nijaki komendant mógł się przydać.

Ponieważ przebieg służby Skorka nie budził żadnych zastrzeżeń, inspektor Krzysztof Cichostępski polecił Lipskiemu przyjrzeć się życiu prywatnemu komendanta. Było to o tyle łatwe, że Skorkowie mieszkali w Jeleśni, podlegającej terytorialnie pod żywiecką komendę powiatową, toteż nikogo w komisariacie nie zdziwiła wizyta funkcjonariusza z powiatówki. Zwłaszcza że ten chciał jedynie dowiedzieć się czegoś bliższego o mieszkańcach kilku domów stojących przy niezbyt długiej ulicy, podejrzewając, że wśród nich może się znajdować współsprawca serii kradzieży.

Dzielnicy wolno przejechał tam i z powrotem leżącą na peryferiach wąską uliczką i przedstawił w skrócie swoją opinię o ludziach zamieszkujących stojące tam domy. Marcin nie starał się przyspieszyć rozwoju wydarzeń pytaniami

o Skorków. Doświadczenie mówiło mu, że czasem lepiej pozwolić, by słowa płynęły swoim własnym rytmem. Również tym razem taka strategia przyniosła spodziewane efekty, bo kiedy wreszcie przyszła kolej na interesującą go posesję, dzielnicowy skrzywił się lekko i stwierdził, że mieszka tam małżeństwo z dorosłą córką. Dodał, że dziewczyna jest rozpuszczona jak dziadowski bicz i wcale by go nie zdziwiło, gdyby to właśnie ona uczestniczyła we włamaniach.

– Marcin oczywiście zapytał, skąd taka opinia, więc dzielnicowy wyjaśnił, że zamieszkujący tam mężczyzna pracuje w policji, przez co jego córka jest pewna swojej bezkarności – opowiadał Ogiński. – Widać było, że nie darzy Skorka sympatią, nie miał też oporów przed podzieleniem się lokalnymi plotkami. A Marcin starał się zapamiętać każde słowo.

– Bo w każdej plotce jest ziarnko prawdy. – Diona weszła mu w słowo. – Tak twierdzi moja babcia i muszę przyznać, że najczęściej ma rację.

– Coś w tym jest – zgodził się Szymon. – Posłuchajcie, co było dalej...

Trzy lata temu Luiza Skorek pożyczyła od ojca samochód i wraz ze swoim chłopakiem pojechała na imprezę. W drodze powrotnej wskutek nadmiernej prędkości i kiepskich warunków atmosferycznych kierowca nie zapanował nad pojazdem i zjechał z drogi. Samochód uderzył w drzewo z taką siłą, że niemal się wokół niego owinął. Kierujący pojazdem chłopak odniósł bardzo ciężkie obrażenia i zmarł, zanim przyjechało pogotowie, a dziewczyna została ranna i ponad miesiąc spędziła w szpitalu.

– Nie widzę w tym nic szczególnego – orzekła Remańska. – Ciągłe się słyszy o podobnych przypadkach. Brak doświadczenia i chęć zaimponowania w połączeniu z fatalną widocznością czy śliską jezdnią wywołuje najczęściej tragiczne



skutki. Jak znam życie, takie wyjaśnienie przyczyny wypadku wydało się plotkarzom zbyt banalne, więc dopowiedzieli sobie coś bardziej sensacyjnego. Na przykład kierowca był pijany lub pod wpływem narkotyków, uciekali przed ścigającą ich mafią albo uprawiali seks w trakcie jazdy.

– Nie trafiłaś – odpowiedział ubawiony Ogiński. – Sama to wymyśliłaś czy miałaś do czynienia z takimi plotkami?

– Wymyśliłam tylko ten seks, bo mi się komponował z całością. – Potrząsnęła głową z ubolewaniem. – Poddaję się. Widocznie moja wyobraźnia nie jest w stanie osiągnąć tak wysokiego levelu.

W innym przypadku Szymon pewnie trochę by się z nią podroczył, lecz tym razem chciał jak najszybciej jej uświadomić, że gra toczy się o wyższą stawkę, niż dotychczas przypuszczali. Tu nie chodziło o taką błahostkę jak w przypadku Klonowicza, któremu groziła co najwyżej utrata autorytetu, a prawdopodobnie nawet nie to. Najpewniej cała afera skończyłaby się na niewybrednych docinkach.

– Problem w tym, że wypadek zdarzył się w miejscu podlegającym pod jurysdykcję komisariatu w Bystrzycy. Innymi słowy, czynności prowadzili podwładni ojca uczestniczki wypadku, co dało ludziom do myślenia. Widzisz, według słów Luizy Skorek samochód prowadził jej chłopak, tylko że z nich dwojga jedynie ona miała prawo jazdy.

– Ooo!

Diona nie wypowiedziała ani słowa, lecz ten okrzyk oraz błysk zrozumienia w oczach wystarczyły. Wiedział, że pojęła istotę problemu, mówił więc dalej:

– Rodzina chłopaka zwróciła też uwagę na to, że uszkodzenia samochodu znajdowały się głównie po stronie pasażera. Dlatego wydało im się logiczne, że musiała tam siedzieć ta osoba, która odniosła poważniejsze obrażenia. Podobno rodzice pisali skargi do komendy powiatowej i prokuratury, ale

niczego nie zyskali. Wtedy akurat przez cały tydzień lało, a tuż po wypadku przyszła prawdziwa ulewa. Zanim przyjechała policja, większość śladów uległa zniszczeniu, a czego nie załatwił deszcz, dokładnie zdeptali ludzie udzielający pierwszej pomocy.

– A krew? – dopytywała się Diona. – Nie sprawdzono, czyja krew jest na siedzeniach? I jak Skorkówna wytłumaczyła fakt, że pozwoliła prowadzić samochód komuś bez uprawnień?

Niespodziewanie na pierwsze z pytań odpowiedział Ratio, dotychczas przysłuchujący się rozmowie w absolutnym milczeniu.

– Krew to żaden problem. Gdybym chciał pochachmęcić, powiedziałbym, że moja krew znalazła się na fotelu kierowcy, kiedy próbowałem go ratować.

– Tak? – spytała Dioniza pozornie zgodnym tonem. – A skąd krew kierowcy na fotelu pasażera? Specjalnie się przechylił, żeby nie siedzieć na mokrym?

Uniosła brwi w wyrazie wystudiowanego zdziwienia, bezskutecznie usiłując zmienić położenie tylko jednej. Zazdrościła Marcinowi tej umiejętności i nieraz ją trenowała, przytrzymując palcem prawą brew, lecz nadal nie poczyniła żadnych postępów.

Na Ratiu ta demonstracja nie wywarła spodziewanego wrażenia. Uśmiechnął się tylko i odrzekł z irytującą pewnością siebie:

– Specjalnie to może nie, ale jeżeli był nieprzytomny, mógł opaść na sąsiednie siedzenie. Albo go tam rzuciło przy wypadku. Albo tamtędy wyciągała go z auta. Nie wiem, jak to wszystko wyglądało, ale na pewno coś bym wymyślił.

Ogiński przysłuchiwał się im z zainteresowaniem.

– Dziewczyna rzekomo wywlokła chłopaka z auta przez drzwi od strony pasażera. I tu trafiłeś, Medard. – Posłał Ratierowi spojrzenie pełne uznania. – Właśnie tym przeciąganiem

tłumaczyła obecność jego krwi na swoim fotelu, a nikt nie widział powodu, by to kwestionować. Była ranna. Musiała odpocząć, więc na jakiś czas tam go pozostawiła, stąd obfitość krwawych zacieków. Wyciąganie rannego z samochodu tłumaczyło też, skąd się wzięła jej krew na kierownicy. Miała rozbity łuk brwiowy, więc gdy się schylała...

– Wszystko jasne – prychnęła Diona. – A chłopak pewnie dlatego odniósł tyle obrażeń, bo w przeciwieństwie do niej nie miał zapiętego pasa.

– Jakbyś przy tym była! Ale musisz przyznać, że wymyślili to bezbłędnie. – W głosie Ogińskiego pojawiła się nutka podziwu. – Również z brakiem prawa jazdy. Podobno Luiza Skorek zeznała, że widocznie chłopak ją okłamał, gdyż twierdził, jakoby niedawno je uzyskał. I udowodnij, że to nieprawda! – Wcześniejszy podziw zniknął bez śladu, pozostał tylko gniew. – Nie ma to jak zwalić winę na kogoś, kto już nie może się bronić. Córeczka tatusia, niech to szlag. Nie wiem, czy sama zaczęła kombinować, a on tylko pomógł to wszystko uwiarygodnić, czy może zamiana była od początku do końca jego pomysłem. Ale dam sobie głowę uciąć, że to właśnie Skorkówna prowadziła, a chłopak stał się ofiarą jej nieostrożnej jazdy.

Nie odpowiedziała; on zresztą wcale odpowiedzi nie oczekiwał. Remańska była zbyt inteligentna, by nie zauważyć, że taki scenariusz był bardziej niż prawdopodobny, zwłaszcza w kontekście informacji, że początkowo na miejsce zdarzenia przyjechali tylko komendant i aspirant Klonowicz. W dodatku według słów sierżanta Tokarza właśnie mniej więcej w tamtym czasie z nieznanых przyczyn Skorek pozwolił Klonowiczowi przejąć władzę w komisariacie, a sam stał się komendantem jedynie de nomine.

– Chodźmy coś zjeść – zaproponowała. – Muszę obmyślić taktykę, a na głodniaka mój mózg odmawia współpracy.

Przy śniadaniu pogrążyła się w myślach do tego stopnia, że nie usłyszała ani słowa z prowadzonej tuż obok niej rozmowy. Mężczyźni najpierw uzgodnili kwestię noclegów, Ratio bowiem doszedł do wniosku, że powinien zapewnić zakochanym odrobinę prywatności. Stało na tym, że w czasie gdy Szymon i Diona pójdą rozprawiać się ze Skorkiem i Klonowiczem, on porozmawia z Agnieszką Krzyżanowską o wynajęciu dodatkowego pokoju. Ufał, że pomieszczenie znajdujące się tuż obok nie jest zarezerwowane.

Gdy z talerzy zniknęły ostatnie kawałki grzanych kiełbasek, pozostawili Dionizę wpatrującą się nieruchomym wzrokiem w pusty talerz i poszli do ogrodu. Ratio zaprowadził Szymona do osłoniętego pergolą zakątka, gdzie z dala od ludzkich spojrzeń doskonalił swoje umiejętności. Teraz mógł je zaprezentować i z góry cieszył się na pochwałę. Wiedział, że zrobił kolosalne postępy.

Ogiński rzeczywiście nie szczędził mu słów uznania, pełen podziwu dla determinacji chłopaka. Nie podejrzewał go o aż taką wytrwałość, a przecież mógł się spodziewać, że ktoś, kto ma cierpliwość ślęczeć godzinami nad tworzeniem programów komputerowych, musi mieć ją niezmierną.

– No, chłopaku! Jeszcze trochę, a staniesz się prawdziwym mistrzem.

Ratio posłał mu enigmatyczne spojrzenie, a po chwili jakby coś sobie uświadomił, gdyż uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Takim jak Kojot?

– Zapomnij! Choćbyś się tu usrał, to Kojotowi i tak nie dorównasz. Ale poćwiczyć zawsze warto.

– Wal się, głupi glino!

Przerwało im nawoływanie Remańskiej, wychynęli więc zza krzaków i ruszyli w jej stronę. Nie obyło się bez złośliwych przypuszczeń co do powodów ich zniknięcia, lecz tym razem kpiny nie miały zwykłego polotu. Dioniza wyraźnie błądziła

myślami gdzieś daleko. Naraz urwała w pół słowa i popatrzyła na Szymona.

– Zacznę od komendanta, on wydaje mi się słabszym ogniwnem.

– Chciałaś chyba powiedzieć, że zaczniemy – poprawił ją stanowczym tonem.

Zerknął przy tym porozumiewawczo na Ratia, a chłopak w odpowiedzi uśmiechnął się znacząco. Jednak słusznie się domyślali, że w trakcie ich rozmowy przebywała w całkiem innym świecie.

Jeśli jednak oczekiwali wybuchu, spotkał ich zawód, gdyż detektywka nie podniosła głosu. Odpowiedziała z naciskiem, lecz spokojnie.

– To moje śledztwo i sama pójdę na komisariat.

Szymon nie zamierzał się kłócić o rzeczy oczywiste.

– Twoje – przytaknął, lecz zaraz dodał: – Tak jak twoje życie.

– O co ci chodzi? – Popatrzyła nieufnie.

– O to, że nikt nie ma prawa o nim decydować, co nie znaczy, że powinnaś podejmować głupie ryzyko. Jesteś pewna, że żaden z nich nie ma na sumieniu którejś z ofiar?

– Podobieństwa wskazują... – zaczęła, ale nie pozwolił jej dokończyć.

– Zapomnij o urażonej dumie i pomyśl logicznie. Komu najłatwiej byłoby zostać naśladowcą, jak nie policjantowi? Pójdę tam z tobą, i już.

Widział odbijające się na jej twarzy emocje i czekał cierpliwie na finał wewnętrznej walki rozsądku z chęcią postawienia na swoim. A jeżeli wynik będzie inny, niż zakładał? To by świadczyło, że się omylił w jej ocenie, a wtedy wszystko inne nie będzie już miało znaczenia.

Naraz Diona złapała go za rękę dla zwrócenia na siebie uwagi.

– Ogi, nie bądź idiotą! Tu wcale nie chodzi o moją urażoną dumę. Dobrze wiesz, że nie możesz podejmować działań na obcym terenie. Tym bardziej że tu jest inne województwo. Jeśli ktoś na ciebie doniesie, mogą cię wywalić z policji. Teraz rozumiesz?!

Nie czekając na odpowiedź, weszła do domu i z hukiem zatrzasnęła za sobą drzwi. Długo patrzyli za nią w milczeniu, wreszcie Ratio spytał z niepokojem:

– Czy ona ma rację? Powiedz, Ogi, mogliby tak zrobić?

Ogiński rozłożył ręce.

– Jeśli to się wyda, na pewno przestanę być komendantem. Wydalenie z policji raczej mi nie grozi, ale kto to wie? Gdyby się uparli...

– I co teraz? – W głosie Ratiera pojawił się lęk. – Pozwolisz jej pójść samej?

– A w życiu! – W oczach nadkomisarza zapłonął ponury ogień. – Wiesz co, Medard? Lubię moją pracę, ale Diona jest dla mnie ważniejsza. Najwyżej będę musiał poszukać innej roboty. Mam dopiero trzydzieści pięć lat, spokojnie mogę zacząć od nowa.

Ratio nie odpowiedział, tylko szybkim ruchem ścisnął go za ramię. Nie potrzebowali słów, by się zrozumieć.

[1] Fragment piosenki „Tango na głos, orkiestrę i jeszcze jeden głos” autorstwa Grzegorza Tomczaka.

[2] Ibidem.



## Rozdział 21

### Podejrzani

12 czerwca 2020, Bystrzyca Wielka

Nadkomisarz Waldemar Skorek nie próbował nawet ukrywać, jak bardzo jest niezadowolony z niespodziewanej wizyty. Spoglądał na gości wrogo spod zmarszczonych brwi, potem sięgnął po telefon. Zdążył jednak zaledwie podnieść słuchawkę, gdy dłoń przybysza mocnym chwytem zmusiła go do cofnięcia ręki.

– Co jest, kurwa?! Kim jesteście i czego chcecie?

Włożył cały wysiłek w to, by jego słowa zabrzmiały pewnie, niestety głos go zawiódł i dźwięki wydobywające się z gardła zabrzmiały piskliwie, kontrastując z groźną miną. Zaczął się podnosić, lecz powstrzymał go głos mężczyzny, ostry, nawykły do wydawania rozkazów.

– Siadaj, Skorek. Musimy porozmawiać.

– Nie mam wam nic do powiedzenia. Wynocha stąd! – wykrzyknął ze złością, ale bunt nie trwał długo i komendant niemal natychmiast spytał, nieumiejętnie skrywając lęk: – O czym chcecie rozmawiać?

– O Luizie.

Towarzyszająca intruzowi kobieta miała zimny głos, jeszcze zimniejsze oczy i nieruchomą, pozbawioną mimiki twarz. Podświadomie wyczuwał, że pod tą maską emocje aż się gotują, i przeraził się jeszcze bardziej.



– O Luizie? – powtórzył tępo, zaraz jednak uświadomił sobie z przerażeniem, co te słowa mogą oznaczać. – Co z nią zrobiliście?! Czego chcecie?!

Zawisnął spojrzeniem na twarzy nieznajomego, lecz on tylko wzruszył lekko ramionami i wskazał kobietę. Uśmiechnęła się przyjaźnie, lecz to bynajmniej nie przyniosło mu uspokojenia. Miał wrażenie, że te dziwne złocistobrazowe tęczyówki hipnotyzują go, gdy bez mrugnięcia powiekami spoglądała mu w twarz niczym jadowita kobra tuż przed atakiem na upatrzoną zdobycz.

– Spokojnie, bo żyłka panu pęknie – ostrzegła go i zwróciła się do towarzysza: – On chyba myśli, że jesteśmy z jakiejś mafii.

Mężczyzna sprawiał wrażenie rozbawionego. Mruknął w odpowiedzi coś, czego Skorek nie dosłyszał, a gdy skinęła głową, zapytał:

– Naprawdę nie wiesz, kim ona jest? – Wskazał na kobietę. – A tak was podobno interesowała. To pani Dioniza Remańska. Będziesz udawać, że nigdy o niej nie słyszałeś?

Komendant natychmiast odzyskał rezon. Twarz mu poczerwieniała z gniewu, gdy poderwał się z fotela i wykrzyczał mu prosto w twarz:

– Co ma oznaczać to wtargnięcie?! Jakies głupie żarty czy co? Daje wam minutę na opuszczenie tego pokoju. Potem wezwę dyżurnego i skończycie na dołku.

Remańska nie zmieniła wyrazu twarzy, tylko z jej oczu zniknął chłód, a w zamian pojawiło się zaciekawienie.

– Naprawdę pan chce, żebyśmy opowiedzieli przy podwładnych, jak to naprawdę było z wypadkiem Luizy?

Pociemniało mu w oczach. Zastanawiał się gorączkowo, jak powinien zareagować, by nie dostrzegli, jak bardzo jest przestraszony. Skłąć ich i wyrzucić na zbity pysk czy najpierw wybadać, co wiedzą?

Usiadł, wziął głęboki wdech i wybrał drugą możliwość.

– Moja córka została ciężko ranna w tym wypadku. Tam zginął jej chłopak, a wy sobie jaja robicie?

Nie musiał udawać rozzalenia. Na samą myśl o tym, że tak niewiele brakowało, by stracił swoje jedyne dziecko, robiło mu się słabo. Przybysze jednak nie wyglądali na przejętych. Mężczyzna, którego nazwiska dotąd nie poznał, nie zaszczycił go nawet spojrzeniem, a Remańska tylko prychnęła lekceważąco.

– Wiem, że zginął. Wiem też, dlaczego zginął, i aspirant Klonowicz też to wie. Dlatego pana szantażuje.

– Brednie! Nikt mnie nie szantażuje. Co to w ogóle za isne... inse...

Z nerwów zaplątał się w to słowo i z trudem się powstrzymał od uderzenia pięścią w biurko. Remańska podpowiedziała uprzejmie:

– Insynuacje. To pan chciał powiedzieć? To dobrze, że się nie udało, bo po co tak głupio kłamać? Wiemy, że to pana córka wtedy prowadziła. Kto zamiast niej dmuchnął w alkomat?

– Nikt – warknął Skorek. – Luiza była trzeźwa.

– W takim razie zachowała się jak idiotka, przenosząc ciało, a wy też nie błysnęliście rozumem. Ile by dostała? Pół roku? Pewnie nawet nie tyle, w dodatku w zawiasach – rozważała głośno Remańska. – Chyba że wcześniej nie miała czystej kartoteki.

Słuchał beznamietnego głosu mówiącego o Luizie jak o jakimś nieznanym sprawcy, wziętym jako przykład nieodpowiedzialnego zachowania, i nagle coś w nim pękło.

– Przestań! – wrzasnął i znów zerwał się na równe nogi. – Jakie zawiasy, ty głupia babo?! Luiza nie prowadziła tego pierdolonego samochodu!

– Jak pan chce. – Kobieta nie przejęła się krzykiem doprowadzonego do ostateczności policjanta. – W takim razie

nie pozostaje mi nic innego, jak w porozumieniu z rodziną chłopaka wnieść o ponowne śledztwo w tej sprawie. Gwarantuję panu, że tym razem wynik będzie inny. Znalazłam świadka.

– Jakiego znowu świadka? To bezczelne kłamstwo! Tam nie było żywego ducha, sprawdziła to dokładnie, zanim...

– Zanim wywlokła ciało swojego ukochanego z samochodu, posadziwszy je wcześniej za kierownicą – dokończyła za niego Remańska, a jej głos zabrzmiał zaskakująco łagodnie. – Każdy ma granice wytrzymałości, a pan swoje już dawno przekroczył. To nie byłoby łatwe dla żadnego uczciwego człowieka, a co dopiero dla policjanta. Pewnie pan myśli, że zdradza swoją córkę, ale to nieprawda. Po prostu dobił pan do ściany i nie ma już pola manewru.

– Co teraz z nią będzie?

O swoją przyszłość nie zapytał. To nie miałoby sensu, wszak dobrze wiedział, że nic go nie uratuje przed odpowiedzialnością. Jedyne, co go zaskoczyło, to dziwne uczucie lekkości. I spokój, wreszcie spokój.

\*

– Nie wiedziałem, że był świadek wypadku.

Ogiński odstawił filiżankę z kawą na spodek i spojrzał na Dionizę z kpiącym uśmiechem. Nawet nie mrugnęła okiem.

– Ja też nie wiedziałam.

– Przecież wiem. Jak myślisz, dotrzyma słowa?

Jeszcze przed wizytą w komisariacie uzgodnili, czego będą żądać od komendanta. Publiczne wyznanie prawdy o wypadku nie zostało tam ujęte. Razem z Ratiem doszli do zgodnego wniosku, że nie przyniosłoby to nikomu żadnej korzyści, a jedynie otworzyłoby z trudem zabliznione rany.

Tak czy inaczej, Luiza Skorek będzie musiała żyć ze świadomością, że jej nieostrożna jazda doprowadziła do śmierci ukochanego, a pobyt w więzieniu niczego by tu nie zmienił.

Chłopakowi też życia by to nie wróciło, a komendant poniósł już wystarczającą karę jako ofiara szantażysty. Ogiński stwierdził, że na miejscu Skorka wolałby chyba wydalenie z policji czy nawet odsiadkę od życia w ciągłym strachu, a Diona i Medard przyznali mu rację.

Dlatego na pytanie Skorka o przyszłość zażądali, by natychmiast złożył raport o przejście na emeryturę, a do czasu odejścia ze służby miał przebywać na chorobowym. Nie trzeba było mieć wykształcenia medycznego, by stwierdzić, że z jego zdrowiem nie jest najlepiej. W pewnej chwili Remańska nawet się przeraziła, że mężczyzna ma atak serca, nagle bowiem zrobił się popielaty na twarzy, a na czoło wystąpiły mu grube krople potu. Na szczęście pomogła nitrogliceryna wsunięta pod język.

Komendant przystał bez sprzeciwu na te warunki. Już dawno odszedłby z policji, gdyby nie Klonowicz. Aspirantowi zbyt się podobał obecny układ, by miał z niego rezygnować. To on sprawował w komisariacie rzeczywistą władzę, za nic jednocześnie nie odpowiadając, i gdyby doszło do jakiejś wpadki, wyszedłby z tego obronną ręką. Dlatego na wzmianki o przejściu na emeryturę reagował groźbami, że ujawni prawdę o wypadku Luizy.

Skorek nie wyglądał na zachwyconego zawartym porozumieniem, co było całkiem zrozumiałe. Nikt nie lubi, by go zmuszano do podjęcia określonych działań. Ale oprócz niechęci Diona dostrzegła na jego twarzy również panikę i tak długo drażyła, aż przyciśnięty do muru mężczyzna wyznał prawdę. Bał się Klonowicza, który z pewnością zechce się

zemścić i rozpowie wszystko, co mu wiadomo o wypadku Luizy.

Musieli przyznać, że obawy Skoraka nie były pozbawione sensu. Wobec tego Remańska naradziła się szeptem z Ogińskim, który później usiadł koło komendanta i dość długo coś mu tłumaczył. Gdy skończył, Skorek już nie protestował, a z jego oczu zniknął strach.

Na tym zakończono rozmowę i teraz Diona i Szymon siedzieli w karczmie „Pod Muchomorkiem”, czekając na powrót Klonowicza do komisariatu. Popijali kawę i obserwowali drogę, nie chcąc przegapić jego przyjazdu. Wzrok obojga co jakiś czas prześlizgiwał się po obecnych na sali klientach i obsłudze. Ta składała się z ruchliwej, zawsze pogodnej kelnerki i jak zwykle nieco topornego, lecz uprzejmego Rafała. Detektywka zastanawiała się nawet, czy pełniący jednocześnie funkcje barmana i kelnera chłopak ma kiedykolwiek wolne, bo za każdą swoją bytnością w karczmie widziała go w pracy. Miała właśnie to skomentować, gdy na drodze przed karczmą pojawił się radiowóz.

– W imię Boże, zaczynajmy. – Ogiński sparafrazował wypowiedź Sienkiewiczowskiego Zagłoby, wstał i pierwszy ruszył do drzwi. Diona podążyła za nim.

W komisariacie znaleźli się kilka minut po Klonowiczu. Ten już na nich czekał, uprzedzony przez dyżurnego, któremu poprzednio Szymon musiał się wylegitymować, inaczej nie przepuściłby ich przez drzwi opatrzone elektronicznym zamkiem. Aspirant długo mierzył ich wzrokiem, wreszcie zaprosił do pokoju.

– Pani Remańska załatwiła sobie policyjną eskortę – rzucił w przestrzeń. – To bardzo interesujące. Bała się pani, że już stąd nie wyjdzie?

– Istniała taka możliwość – przyznała pogodnie. – Mojemu współnikowi groził pan osadzeniem na dołku, dlatego wolałam

nie ryzykować.

Nie zdołał ukryć, jak bardzo zaskoczyły go te słowa.

– Wspólnikowi? – powtórzył, dodając intonację pytającą. – Niby komu? Nie przypominam sobie...

– Robert Gredtke z biura detektywistycznego „Certum” – wyjaśniła z niekłamaną satysfakcją.

Klonowicz zaklął pod nosem, przeszedł przez pokój i ciężko opadł na krzesło. Ni słowem, ni gestem nie zaproponował przybyzsom, by usiedli, toteż rozgościli się sami, dosuwając stojące pod ścianą krzesła do biurka, którym się od nich odgrodził. Z ponurą miną przekładał jakieś papiery, wreszcie znalazł to, czego szukał – notatnik oprawny w elegancką granatową okładkę. Przekartkował go, odszukał właściwą stronę, przeczytał umieszczoną tam notatkę i dopiero wtedy skomentował wypowiedź Dionizy.

– Zeznała pani nieprawdę. – Zatarł ręce, jakby ten fakt wprowadził go w zadowolenie. – Powiedziała pani, że pracuje na strzelnicy.

– Zeznaje się do protokołu – odparowała. – Poza tym chyba tylko w praca w policji wyklucza podjęcie dodatkowego zatrudnienia. Na strzelnicy nie stosuje się takich obostrzeń. Ma pan jeszcze jakieś pytania czy możemy przejść do konkretów?

Rozłożył ręce, informując tym gestem, że oddaje jej głos, lecz oczy spoglądały czujnie, a wargi skrzywiły się w chytrym grymasie. Remańskiej to nie zdziwiło, przewidywała, że z nim nie pójdzie tak łatwo jak ze Skorkiem.

Z obojętną miną zapytała o przyczynę zgonu Angeli Mirskiej oraz Mariusza Klai, i z równie obojętną miną przyjęła kategoryczną odmowę odpowiedzi, okraszona uśmiechem fałszywego ubolewania. Klonowicz był równie szczery w okazywaniu uczuć co aktor porno wyznający na ekranie miłość swojej partnerce.

– Takie mamy przepisy i nic na to nie poradzę. Choćbym chciał, to nie mogę.

W tej samej chwili do pokoju wszedł komendant. Diona popatrywała na niego ukradkiem, niepewna, czy nie zechce niespodziewanie zerwać umowy, na szczęście mężczyzna nie miał takich zamiarów. Prawdopodobnie był zbyt wystraszony, by zastanowić się nad swoją sytuacją i szukać wyjścia z impasu. Jedyne, na co mógł się zdobyć, to ścisła realizacja wymyślonemu przez Remańską scenariusza.

– Sławek, daj mi akta Poloczek, Mirskiej i Klai – polecił, nie patrząc na podwładnego.

Aspirantowi oczy omal nie wyszły z orbit, tak bardzo wytrzeszczył je w zdumieniu. Potem pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Zwariowałaś? Przecież sprawy Poloczek i Mirskiej zostały umorzone, a teczki leżą w archiwum! Poza tym po co ci te akta?

– Ale akta podręczne są u nas. Chcę je dostać do rąk. Nie zapominaj, kto tu jest komendantem – upomniał go Skorek. – Albo wykonasz rozkaz, albo daj odmowę na piśmie.

Zgodnie z przewidywaniami Remańskiej Klonowicz nie zdobył się na otwarty bunt. Podeszedł do szafy, wyjął dwie teczki i rzucił je na biurko.

– Proszę uprzejmie!

Z uprzejmością jego głos nie miał nic wspólnego; bardziej przypominał warknięcie. Remańska udała, że tego nie zauważyła, i pochyliła się nad aktami dotyczącymi śmierci Angeli Mirskiej, zakwalifikowanej jako samobójstwo. Wymieniła zdeglustowane spojrzenie z Ogińskim, który przysunął się z krzesłem, by móc zaglądać jej przez ramię. Przede wszystkim interesowała ich opinia sądowo-medyczna lekarza wykonującego autopsję.

– Zapomniałeś o trzeciej teczce – upomniał Klonowicza komendant.

– Są w szafie Ścieszki, a Janek ma wolne za nadgodziny.

Na twarzy aspiranta pojawił się wyraz satysfakcji, lecz Skorek odparł dobitnie:

– To je przynieś!

Klonowicz wyszedł, a oni wrócili do studiowania akt. Wkrótce mogli się przekonać, że dziewczyna zmarła wskutek przedawkowania polskiej heroiny, a więc z identycznego powodu co jej przyjaciółka. Dodatkowo dowiedzieli się z protokołu sekcji, że denatka na jakieś trzy godziny przed śmiercią odbyła stosunek płciowy. Niestety lekarz nie był w stanie kategorycznie stwierdzić, czy stało się to za jej zgodą. Kilka krwawych wybroczyn w okolicach sromu mogło świadczyć, że padła ofiarą gwałtu, ale równie dobrze mógł to być efekt uprawiania ostrego seksu.

Następnym interesującym ich dokumentem były wyniki toksykologiczne, a konkretnie dokładny skład narkotyku znajdującego się w organizmie Mirskiej. Porównali go z zapiskami dostarczonymi Dionie przez Tokarza, a dotyczącymi Klaudyny Poloczek, i pospieszyli sprawdzić, czy znajdą podobieństwa w aktach sprawy dotyczącej zgonu Mariusza Klai, przyniesionych właśnie przez aspiranta. Tu również zgodnie z ich przewidywaniami jako przyczynę podano przedawkowanie polskiej heroiny o składzie identycznym z tą w poprzednich przypadkach.

Ogiński odsunął swoje krzesło na poprzednie miejsce i długo wpatrywał się w Klonowicza. Aspirant najpierw odpowiedział wyzywającym uśmiechem, lecz ten nieruchomy, przewiercający go na wylot wzrok musiał się stać nie do zniesienia, gdyż mężczyzna nagle uderzył pięścią w biurko i wrzasnął:



– Co to ma być? Kino? Czego się na mnie gapisz? – Nie zjechał na odpowiedź, tylko zwrócił się do komendanta: – Waldek! Kim, do chuja, jest ten facet?

Skorek najpierw skulił się w sobie, ale zaraz się wyprostował. Najwyraźniej uświadomił sobie, że już nie musi się bać. Odpowiedział jednak na zadane pytanie, lecz sformułował wypowiedź tak, by nie zdradzała zbyt wiele.

– Nasz kolega po fachu. Nadkomisarz, więc ma wyższy stopień niż ty.

Klonowicz najpierw zbladł, potem poczerwieniał.

– Kurwa – mruknął niewyraźnie. – BSW? – Gdy nikt nie odniósł się do jego mamrotania, przeniósł wzrok na komendanta. – Doniosłeś na mnie? No to się, kurwa, zdziwisz, bo na mnie nic nie znajdzie. Za to na ciebie... – Zawiesił znacząco głos i wskazał palcem na Szymona. – Pewnie go zainteresuje twoja córka...

Skorek zachował spokój, choć Dioniza podejrzewała, że nie przyszło mu to łatwo. Nie był typem wojownika, a lata uległości wobec Klonowicza też zrobiły swoje. Widocznie jednak wcześniejsza rozmowa musiała dodać mu sił, gdyż nie tylko wzruszył lekceważąco ramionami, ale i zdobył się na obojętny ton.

– Wiesz co, Sławek? Możesz mnie w dupę pocałować. Dzisiaj jestem tu ostatni dzień. Odchodzę na emeryturę.

Klonowicz zerknął na Ogińskiego, lecz nie doczekał się żadnej reakcji. Mimo to nie zamierzał skapitulować.

– I co z tego? Myślisz, że emerytów nie wsadzają? Poza tym jeszcze ciągle jesteś w służbie i wewnątrzni wezmą cię jak swego. Panie nadkomisarzu! – Znów przeniósł wzrok na Szymona. – Powiem panu coś takiego...

Ogiński nie pozwolił mu dokończyć.

– Nie wysilaj się, Kibic. Nie jestem z BSW.

Wrażenie nie mogłoby być większe, nawet gdyby Ogiński strzelił mu z pistoletu tuż koło ucha. Klonowicz podskoczył na krześle, uniósł się, a potem wolno na nie opadł. Na czoło wystąpiły mu krople potu, a gdy chciał je obetrzeć, dostrzegli drżenie ręki trzymającej chusteczkę.

– Skąd...? Co...?

Szymon już otworzył usta, by odpowiedzieć na niezadane pytanie, lecz tylko syknął i popatrzył na Dionę z wyrzutem. Dziewczyna cofnęła dłoń od jego boku i uśmiechnęła się zniewalająco, jakby to wcale nie ona wbiła mu przed chwilą palce między żebra. Nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia. Skoro Klonowicz nie rozpoznał w Ogińskim Kojota, nie zamierzała dopuścić, by stało się to teraz.

– Naprawdę myślałeś, że nikt nie wie, co kiedyś robiłeś? Mam ci przypomnieć adresy tych wszystkich okradzionych piwnic? A jak to było z tym domem przy Mireckiego? Nie chciałabym być niemiła, ale tam dałeś dupy na całej linii.

– Wcale nie! – oburzył się Klonowicz. – To Danny albo Szufła się rozpruli przed gliniarzami, dlatego tam przyjechali.

– To ciekawe, bo ja poznałam całkiem inną wersję. Chyba jest bardziej prawdopodobna, bo tylko tobie udało się wymiksować z siedzenia na dołku. Kapusta z ciebie, Kibic. Nie wiem, kto bardziej się ucieszy z moich informacji. Żandarmy czy twoi kumple z bandy? Danny, Szufła, Rosół... Ktoś jeszcze z wami łąził? A, zapomniałam o Kojocie i Oстрыm.

Aspirant coraz szerzej otwierał oczy, gdy Dioniza po kolei wymieniała pseudonimy jego współników. Widać było, jak kolosalne wrażenie zrobiła na nim jej znajomość spraw, które on sam dawno pogrzebał w niepamięci. Otwierał i zamykał usta, aż wreszcie ciekawość zwyciężyła.

– Skąd znasz te ksywy? Kto ci to wszystko powiedział?

– Przecież jestem detektywem. Zadawałam pytania różnym osobnikom, a oni na nie odpowiadali. Tak już mam, że ludzie

mi się zwierają. Wiem wszystko o twoim dawnym życiu, a teraz wie to też komendant Skorek. Na twoim miejscu nie próbowałabym go ruszyć, bo sam widzisz, że ten kij ma dwa końce.

– Kurwa jebana mać! – Klonowicz dał upust wściekłości. – Co to ma być? Chcecie mnie szantażować?

Był tak oburzony, że Remańska nie wytrzymała i roześmiała się głośno.

– Coś ci się nie podoba? – włączył się Ogiński. – Naraz cię szantaż brzydzi?

– Zostawmy to – powstrzymała go Diona. – Nie ma sensu go umoralniać, on i tak nie skuma. Przejdźmy lepiej do konkretów. Klonowicz, jak to jest możliwe, że taki doświadczony gliniarz jak ty nie zwrócił uwagi na identyczność składu narkotyku zaaplikowanego ofiarom?

Rozbiegane oczy aspiranta powiedziały im więcej niż jego słowa, za których pomocą usiłował zbagatelizować sprawę.

– Przypadek. Pewnie kupili u tego samego dilerka.

– Zła odpowiedź. Kompot nigdy nie wychodzi taki sam, a ty jako policjant powinieneś o tym wiedzieć.

– Widocznie jednak taki mu wyszedł.

Klonowicz wzruszył ramionami z udawaną obojętnością, ale nie zdołał ukryć miotających nim uczuć. Strach i wściekłość to groźna mieszanka, toteż Ogiński poprawił się na krześle, symulując szukanie wygodniejszej pozycji, w rzeczywistości zaś sprawdzał, czy aspirant ma przy sobie broń. Mężczyzna nie miał przypiętej do paska kabury, a ponieważ Diona twierdziła, że właśnie tak ją nosił, Szymon odrobinę się rozluźnił. Wolałby nie musieć wdawać się w strzelaninę na terenie obcego komisariatu.

Tymczasem Dioniza kontynuowała rozmowę.

– Taki mu wyszedł – powtórzyła za Klonowiczem. – Hm. Teoretycznie jest to możliwe. Rachunek

prawdopodobieństwa...

– No właśnie! – przerwał jej z satysfakcją. – Teoria teorią, a w praktyce bywa inaczej. Teoretycznie jest takie samo prawdopodobieństwo, że włoży się buty prawidłowo, jak to, że włoży się lewy na prawą nogę, a prawy na lewą. Mam rację?

Nie wiedziała, do czego aspirant zmierza, ale nie mogła się z nim nie zgodzić.

– Masz rację – przyznała. – Ale jaki to ma związek z kompotem?

– To dlaczego małe dzieci zawsze wkładają buty na opak?! – zawołał z miną odkrywcy. – Jak to się ma do tego pierdolonego rachunku prawdopodobieństwa? Sami widzicie, że na teorii nie zawsze można polegać.

– Okej. Dobra, załóżmy, że było, jak mówisz, choć nie sądzę, żeby ktoś w to uwierzył. Jak w takim razie wytłumaczysz, że troje młodych ludzi niemających związku z narkotykami wybiera taki sam rodzaj samobójstwa?

– A cholera ich wie, tych gówniarzy. Za dobrze mają i we łbach im się pierdoli.

– I z tego pierdolenia w głowach wiedzieli, u kogo kupić kompot i w jaki sposób go sobie zaaplikować – powiedziała w zadumie. – Ciekawe... Powiedz, ale tak szczerze. Kto cię szantażuje? Bo czym, to już wiemy. No, Kibic, gadaj, bo to twoja ostania szansa.

– Idiotka! Nikt nie wie o mojej przeszłości. A nawet gdyby, to gówno by to dało, bo nie ma mnie w kartotece. – Na uwagę Diony, że smród by pozostał, Klonowicz nieco spuścił z tonu, lecz nadal ani myślał skapitulować. – Czy ja wyglądam na kogoś, kto pozwoliłby się szantażować? Ja nie jestem takim cieniasem jak Waldek.

Pogardliwy ton Klonowicza był tak samo szczery jak jego uśmiech i Remańska nagle pojęła, jak przemówić mu do

rozsądku. Że też nie wpadła na to od razu, gdy Szymon przedstawił jej losy Kibica po aresztowaniu bandy.

– Pamiętasz o naszej rozmowie po śmierci Angeli? Wtedy twierdziłeś, że także nie wierzysz w jej samobójstwo. Powiedziałeś wtedy, że traktowałeś ją jak córkę. Bo to była twoja córka, prawda?

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł młody funkcjonariusz.

– Wujek, daj mi stówę! – zawołał od progu.

Ogiński rozpoznał jego głos i szybko podszedł do okna, by tamten nie mógł go rozpoznać, Diona natomiast przeciwnie, obejrzała się i zlustrowała wzrokiem nowo przybyłego od ubłoconych butów przez naramienniki z belką starszego posterunkowego aż po okrągłą twarz, na której na widok gości pojawił się wyraz niechęci. Domyśliła się, kim jest, choć nigdy dotąd go nie spotkała.



## Rozdział 22

### Trzeci podejrzany

12 czerwca 2020, Bystrzyca Wielka

Młody policjant zamknął za sobą drzwi i podszedł do biurka, nie poświęcając cywilom najmniejszej uwagi. Z obrażoną miną powtórzył prośbę, która tym razem zabrzmiała bardziej jak rozkaz. Klonowicz posłał mu wściekle spojrzenie.

– Wyjdź! – wrzasnął, a gdy chłopak nie usłuchał, ryknął wściekle: – Wypierdalaj stąd! Ale już!

– No patrzcie, jak to wszystko pięknie się układa. – Gdy tylko zostali w poprzednim gronie, Szymon oderwał się od kontemplowania zaokiennego widoku. – Obecny tu Kibic jest wujkiem starszego posterunkowego Oktawiusza Zielińskiego.

– Tego samego, który po obejrzeniu w telefonie Angeli aktu masturbacji powiedział... Jak to szło? – Dioniza wzięła do ręki długopis i podrapała się nim po nosie, co w jej przypadku było oznaką rozmyślenia. – Już wiem. Pozwólcie, że włączę nagranie.

Zanim zdążyli zareagować, wyjęła z kieszeni telefon, odszukała stosowny plik i uruchomiła w mniej więcej odpowiednim miejscu. Okazało się, że przesunęła je zbyt daleko, więc cofnęła odrobinę, potem jeszcze trochę. Utrafiła za czwartym razem. Tuż przed poszukiwaną kwestią zwiększyła głośność do maksimum i nagle w pokoju rozległ się głos Angeli Mirskiej: „Ten Zieliński powiedział, że powinnam być zadowolona, że ten facet się mną zainteresował, bo ma

kutasa jak koń i tryska spermą niczym z karchera. I że jak się wreszcie do mnie dobierze, to będę mdlała z rozkoszy”.

Diona pilnie obserwowała Klonowicza i od razu zauważyła, że nagranie nim wstrząsnęło. Przez kilka sekund łapał powietrze niczym ryba wyjęta z wody, potem opuścił głowę na piersi i wymamrotał:

– Nie wierzę. On nie mógł tego zrobić. Nie Oktaw.

– A jednak to powiedział – stwierdziła sucho Remańska.

Ogiński przysłuchiwał się tej wymianie zdań i nie spuszczał oka z Klonowicza. Naraz aspirant zakrył oczy rękami i wtedy w pamięci pojawił się obraz wyjątkowo dużych dłoni trzymających kubek z kawą.

– Zaczynam rozumieć – odezwał się, wchodząc Dionie w słowo. – To wcale nie był szantaż, prawda? Ty cały czas go chroniłeś. Zorientowałeś się, że to on, kiedy na miejscu zbrodni znalazłeś wyjątkowo dużą rękawiczkę. Ukryłeś ją i od tej pory robiłeś wszystko, żeby zgon uznano za samobójstwo. Następne zgony też, bo niestety twój kochany siostrzeniec nie poprzestał na Klaudynie. Chyba mu się spodobało. Zamierzałeś pozwolić, by wymordował pół wsi?

– To nie on! Jezu Chryste, to nie Oktaw zabijał!

W głosie Klonowicza było tyle rozpacz i szczerego przekonania, że Szymon zwątpił, choć jeszcze przed chwilą gotów był przysiąc, że ma rację. Spoglądał na człowieka, który kiedyś sprowadził go na ścieżki wiodące poza prawem, i poczuł litość zmieszana z pogardą. Kibic dostał od losu taką samą szansę i początkowo kroczyli również taką samą drogą. Co się stało, że zamienił to, co określała rota policyjnego przyrzeczenia, w żądę władzy i wygodnego życia? A może nigdy nie zamierzał dotrzymać ślubowania?

– Jeśli nie Oktaw, to kto jest zabójcą? – spytała Diona. – I dlaczego, do jasnej pieprzonej cholery, ukryłeś tę rękawicę, jeżeli był niewinny?



Aspirant milczał tak długo, że Ogiński w końcu stracił cierpliwość.

– Słuchaj, nie mam zamiaru czekać do usranej śmierci, aż się łaskawie odezwiesz. Albo zaczniesz gadać, albo dzwonię do BSW. Twój wybór.

Klonowicz skierował wzrok na niego, potem na Dionę i podjął decyzję.

Z jego słów wynikało, że na widok rękawicy rzeczywiście pomyślał o siostrzeńcu, który nie dość, że miał duże dłonie, to jeszcze wyraźnie nie radził sobie z kobietami. Nigdy z żadną się nie spotykał, a na każdą wzmiankę o seksie reagował tak nerwowo, że wuj był pewien, iż Oktawiusz jeszcze nigdy nie kochał się z żadną dziewczyną. Być może właśnie w ten sposób chciał się zaspokoić?

Aspirant pomagał siostrze wychować chłopaka po tym, jak doprowadził do uwięzienia jego ojca. Czuł się winny, że przyczynił się do rozbicia rodziny, a oni bezlitośnie to wykorzystywali. Mieli też sojusznika w osobie żony Klonowicza, gdyż odkąd kobieta związała się z wyznawcami doktryn księdza Kieliszka, nie było dnia, by nie kazała mu błagać Boga o wybaczenie za grzech cudzołóstwa.

Nie pomogły tłumaczenia, że od dawna łączyła go z Weroniką Mirską tylko Angela. Plotkarze jak zwykle wiedzieli lepiej, a ona wolała wierzyć im niż mężowi. Brak własnego dziecka uznała za karę za grzechy męża. Nienawidziła Mirskich i całą miłość przelała na Oktawiusza, a rozpieszczany przez matkę i ciotkę chłopak wyrósł na roszczeniowego, wiecznie niezadowolonego niezgułę, i gdyby nie wuj, młody mężczyzna nie popracowałby w policji zbyt długo.

Klonowicz miał już dość tej kuli u nogi, ale nie mógł się zdobyć na ujawnienie swoich podejrzeń, dlatego naciskał na umorzenie śledztw i zabrał z miejsca zbrodni rękawiczkę,

którą później ukrył w szafie. Teraz zrozumiał swój błąd, ale było już za późno.

– Trzeba było pomyśleć o konsekwencjach wcześniej, a nie dopiero wtedy, gdy ci z bagna tylko łeb wystaje – oznajmił zimno Ogiński. – Wezwij go. Pora to kończyć.

– A co ze mną? Doniesiesz wewnętrznym?

W odpowiedzi Szymon zaproponował mu pakt podobny do tego, który zawarli z komendantem Skorkiem – udzielenie Dionizie wszelkiej pomocy w odszukaniu zatartego tropu prowadzącego do sprawcy i następnie odejście z policji. W zamian on i Diona zobowiązali się do milczenia na temat jego niechlubnej roli w śledztwach.

Nie dodał ani słowa o tym, że gdy dojdzie do zatrzymania sprawcy, ci raczej nie będą milczeć. Był pewien, że opowiedzą nawet o tym, co nieistotne, aby tylko urwać choć kilka miesięcy z grożącego im wyroku. Ale to już nie była jego sprawa, Diony tym bardziej.

Klonowicz i Skorek na to nie wpadli, co oznaczało, że są jeszcze gorszymi policjantami, niż myślał, dlatego Szymon nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia.

Wezwany do natychmiastowego stawienia się przed obliczem aspiranta Zieliński kazał im na siebie czekać blisko pół godziny, a gdy wreszcie raczył się pojawić, zaprezentował im swoją zwykłą minę człowieka obrażonego na cały świat. Stał na środku pokoju i niechętnie słuchał słów Dionizy, która wzięła na siebie wstępne rozpytanie.

– Chyba nie muszę z nią rozmawiać?

Popatrzył niepewnie na Klonowicza. Przybrał przy tym ton skrzywdzonego dziecka, który zawsze działał na wuja, tym razem jednak aspirant nawet na niego nie spojrzał, tylko odpowiedział jednym słowem:

– Musisz. Siadaj i mów.

– Ale ja nie pamiętam, co wtedy robiłem – wybuchnął starszy posterunkowy. – To było pół roku temu!

– Nie pół roku, tylko cztery miesiące – sprostowała Diona. – Zastanów się. Byłeś obecny przy oględzinach, bo twoje nazwisko widnieje w protokole. Skąd przyjechałeś? Z domu, od kumpla, od dziewczyny?

Zieliński skinął głową i przymknął powieki. Zastanawianie się musiało być dla niego straszną męczarnią, gdyż twarz poczerwieniała mu z wysiłku, a bolesne skrzywienie ust świadczyło o udręce.

– Wiem! – wykrzyknął naraz i jego oblicze pojaśniało w pełnym zadowolenia uśmiechu. Przesuwał triumfalnym wzrokiem po obecnych jakby w oczekiwaniu na pochwały, i nagle jego wzrok spotkał się ze wzrokiem wuja. Wówczas uśmiech zaczął blednąć, aż zniknął zupełnie. – Nie wiem – oświadczył Oktawiusz ku ich zdumieniu. – Nie pamiętam. Pewnie spałem.

– Przed chwilą powiedziałeś, że wiesz – przypomniała mu Remańska.

– Pomyliłem się – odburknął, lecz nie spojrzał jej w oczy.

Odczekała kilka minut, dając mu czas na zmianę zdania, po czym spytała, co robił tamtej nocy, gdy zginęła Angela Mirska, lecz historia się powtórzyła. Detektywka nie miała żadnych wątpliwości, że Zieliński doskonale wie, co wtedy robił, lecz z jakichś względów nie chce o tym mówić, a jego zachowanie wskazywało, że wpływ na jego decyzję ma Klonowicz. Czyżby aspirant ich oszukał?

Pewna, że za chwilę znów usłyszy „nie pamiętam”, poprzedzone zerkaniem na Klonowicza, spytała obojętnie o noc, gdy zginął Mariusz Klaja, tym razem jednak Zieliński ją zaskoczył. Oświadczył, że miał służbę i cały czas przebywał albo w komisariacie, albo w radiowozie w towarzystwie kolegi z patrolu.

Dioniza zagryzła wargi. Założyli, że sprawca był tylko jeden. Czyżby się mylili?

– Pokaż ręce – zażądała niespodziewanie.

Ogłupiony tym nietypowym poleceniem Oktawiusz wyciągnął przed siebie wielkie jak bochny dłonie. *Za duże*, pomyślała, porównując je w myślach do rękawiczki znalezionej przy zwłokach, którą Klonowicz najpierw przydepnął, a później niezauważenie podniósł i schował do kieszeni, czyniąc ją w ten sposób całkowicie nieprzydatną dla badań osmologicznych. Ale do celów porównawczych się nadawała.

Myśli Ogińskiego musiały biec tym samym torem, gdyż bez słowa sięgnął po plastikową torebkę, którą wcześniej Klonowicz wydobył z szafy, wyjął rękawiczkę i polecił krótko:

– Przymierz!

Zieliński popatrzył na swoje ręce i pokręcił głową.

– Nie da rady. Jest wielka, ale moje łapy...

Położył sobie rękawiczkę na dłoni i podstawił Szymonowi pod nos. Teraz mogli wyraźnie stwierdzić, że nawet nie sięga krańców dłoni.

– Jaki masz obwód? – zaciekawiała się Diona.

– Dwadzieścia dziewięć. A butów czterdzieści osiem.

Porzucona obok ciała denatki rękawiczka miała niespełna czternaście centymetrów szerokości, była zatem o mniej więcej półtora centymetra węższa. Gdy Klonowicz wyjął ją z szafy, Remańska od razu zwróciła uwagę na zatartą od długiego użytkowania wszywkę z rozmiarem. Ale nawet gdyby oznaczenie było czytelne, niewiele by im pomogło, gdyż producenci nie stosowali jednolitej numeracji. Poza tym kto by pamiętał rozmiar rękawiczek kupowanych raz na kilka lat?

Wszystkie te rozważania nie miały znaczenia wobec faktu, że to nie Zieliński zgubił przy zwłokach część garderoby. Zatem to jednak nie on był sprawcą. Dlaczego więc nie chce podać alibi? To całkowicie wyeliminowałoby go jako podejrzanego.

Dioniza zerknęła na Klonowicza i postanowiła spróbować inaczej.

– Możecie na chwilę zostawić nas samych z Oktawiuszem?

Niby zapytała, lecz ton nie pozostawiał złudzeń. To był rozkaz. Skorek i Klonowicz popatrzyli na nią z oburzeniem, lecz pozostała nieugięta. Wstali więc wolno i z ociąganiem opuścili pokój.

– Posłuchaj, Oktaw – zwróciła się do młodego funkcjonariusza – domyślam się, że nie chciałeś mówić przy wujku. Ale nam musisz powiedzieć, gdzie wtedy byłeś, co robiłeś i z kim. To ważne.

– Nic nie muszę! – nabzdyczył się Zieliński. – Nie mam ochoty z wami rozmawiać. Nie macie prawa mnie przesłuchiwać.

Podniósł się z krzesła, lecz nie zdążył zrobić nawet kroku, gdyż powstrzymały go ostre słowa Ogińskiego.

– Siadaj i zacznij wreszcie robić użytek z mózgu! Dalej nie wiesz, po co pytamy o to wszystko? Jeżeli nie zaczniesz gadać, skończysz pod celą, oskarżony o zabójstwo tych dziewczyn. To jak będzie?

Do Zielińskiego nadal nie docierała powaga sytuacji. Wpatrywał się w Szymona z miną osoby wietrzącej jakiś podstęp.

– Jak to o zabójstwo? Przecież ja jestem policjantem.

– Podobno nie wychodzi ci z dziewczynami, a na film w telefonie Angeli zareagowałeś tak, jakbyś już go widział. Do tego nie masz alibi na obie te noce. Jestem pewien, że kiedy pobierze się od ciebie wymaz do badań, kod DNA okaże się zgodny z kodem uzyskanym z próbki pobranej na miejscu zbrodni.

Oktawiusz obdarzył go spojrzeniem pełnym nienawiści. Zmarszczył czoło, analizując coś w myślach, i nagle wykrzyknął z triumfem:

– Wszyscy widzieli, że wujek się potknął o nogę Ścieszki i że to on pociągnął mnie za sobą na to łóżko, bo chciał się ratować przed upadkiem.

Genezę tego zdarzenia poznali już z ust Klonowicza, toteż słowa Zielińskiego nie były dla Diony i Szymona żadnym zaskoczeniem. W przeciwieństwie do starszego posterunkowego wiedzieli również, że nie był to wcale przypadek. Zajście zaaranżował aspirant przeświadczony o sprawstwie siostrzeńca.

– Nie miałam na myśli śladów pozostawionych przy upadku, tylko próbkę nasienia – wyjaśniła Remańska.

Oktawiusz wyraźnie się odprężył.

– A to co innego. Jak chcecie, możecie od razu zrobić mi wymaz. Ja na pewno nie mam z tym nic wspólnego.

Zachował stanowczo zbyt wielki spokój, by mógł to być blef. Zieliński nie nadawał się na pokerzystę, miał tak wyrazistą twarz, że dokładnie odzwierciedlała jego emocje. Wszystko wskazywało więc, że chybili, typując go na sprawcę.

Diona właśnie miała pozwolić mu odejść, gdy dostrzegła znaki dawane jej przez Szymona. Wskazał ręką kartkę, którą podsunął niezauważenie na skraj biurka. Przysunęła ją bliżej i odczytała nakreślone tam słowa: „Pomęczmy go jeszcze trochę. Chcę wiedzieć, gdzie był i dlaczego nie chce o tym mówić”. W odpowiedzi skinęła leciutko głową i oddała pole nadkomisarzowi, a ten natychmiast przystąpił do zadawania pytań:

– Założmy, że badanie DNA wykaże niezgodność z próbką spermy. Ale to nadal nie wykluczy cię jako odpowiedzialnego za zabójstwo. Nie wiemy, co wtedy robiłeś, a ty się uparłeś trzymać to w tajemnicy. Chronisz kogoś? To głupio robisz, bo przez tę swoją lojalność możesz skończyć w pierdłu.

– Nie licz, że jakoś się z tego wymiksujesz – dorzuciła Diona.

– Wujek ci już nie pomoże. Skończyło się babci sranie.

Do młodego mężczyzny wreszcie dotarła groza sytuacji. Przyzwyczajony, że wszelkie problemy załatwiał za niego wuj, rzucił spłoszone spojrzenie w kierunku jego biurka, lecz tym razem nie zobaczył znajomej twarzy. Fotel aspiranta stał pusty, a po drugiej stronie blatu siedziało tych dwoje, którzy zachowywali się tak, jakby przejęli władzę w komisariacie. A może rzeczywiście tak było?

Oktawiusz nie zwrócił uwagi na absurdalność supozycji, że komisariatem mogłaby rządzić jakaś kobieta wraz z mężczyzną, który wprawdzie wydawał mu się znajomy, lecz nienawykły do wytężonej pracy mózg starszego posterunkowego nie skojarzył twarzy przybysza z niedawną wizytą w jodłowieckim komisariacie. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to myśl, że pozbawiony opieki Klonowicza nie przetrwa tutaj, jeśli nie nawiąże przyjaznych stosunków z zaborcami.

– Powiem wam, ale mam prośbę. Nie mówcie nic wujkowi. On by mnie chyba zabił, gdyby się dowiedział.

– O matko! Aż tak źle? – Diona obdarzyła go pokrzepiającym uśmiechem. – W porządku, będziemy milczeć jak grób.

– Jak dwa groby – poprawił ją Szymon.

Nie dodał, że ich przyrzeczenie nie będzie miało żadnego znaczenia, gdyby się okazało, że wyjaśnienie nie oczyszcza Oktawiusza z podejrzeń. Nie sądził jednak, by tak się stało. Tak jak na początku rozmowy był pewien winy Zielińskiego, tak teraz miał przeświadczenie o jego niewinności. Z zachowania Dionizy wywnioskował, że dziewczyna ma takie samo zdanie, a dwie osoby nie mogły się mylić.

Zobaczmy, pomyślał i dał znak Oktawiuszowi. Młody mężczyzna wziął głęboki wdech, zanim wyznał swoją tajemnicę. Zaczął od najważniejszego, chcąc mieć to już za sobą.

– Jestem gejem – oświadczył z miną osoby prowadzonej na ścięcie.

Umilkł w oczekiwaniu na reakcję, a gdy ta nie nastąpiła, spojrzął podejrzliwie na interlokutorów. Oni z kolei czekali na ciąg dalszy. Nastąpiła cisza, przerywana przez Dionę, jak zawsze niecierpliwą i poirytowaną niepotrzebną zwłoką.

– Co dalej? Bo z twoich słów niewiele wynika.

Zieliński wyglądał na urażonego. Nie wiedzieli, czy bardziej odpowiedzią Remańskiej, czy spokojem, z jakim przyjęli jego oświadczenie. Przez kilka sekund wydymał usta w grymasie niezadowolenia, nim zdobył się na replikę.

– Jak to niewiele? Jestem gejem, więc powinno być dla was oczywiste, że dziewczyny mnie nie interesują.

– Niekoniecznie. – W oczach Diony tliły się iskierki rozbawienia. – Mówiąc słowami mojej znajomej, możesz być na żagiel i na parę.

Dość długo trwało, nim Oktawiusz wychwycił sens tej wypowiedzi. Wówczas najpierw się zachnął, następnie oznajmił obrażonym tonem:

– Byłem z nim całą noc, więc chyba nie mogłem być gdzie indziej, tak?

Remańska nie znosiła, gdy ktoś w ten sposób kończył zdanie. Uważała, że świadczy o zarozumiałości rozmówcy zakładającego z góry, iż ma rację. Jej ocena Zielińskiego znowu spadła o kilka punktów.

– Nie wiem, czy mogłeś, czy nie. Ty mi powiedz. Albo lepiej daj mi kontakt do tego faceta, sama go o to zapytam. Tę noc, gdy zginęła Angela, też z nim spędziłeś?

Zieliński przytaknął i z oporami podyktował jej rząd cyfr, a Ogiński wybrał numer. Gdy mężczyzna potwierdził słowa Oktawiusza, uznali, że starszy posterunkowy może wracać do swoich zajęć. Wiedzieli, że nic więcej z niego nie wyduszą.



Był już w drzwiach, gdy naraz się odwrócił i spytał niespokojnie:

– Na pewno nie powiecie wujkowi? On nienawidzi gejów.

Dionę potwornie wymęczyła ostatnia rozmowa, a po minie Ogińskiego rozpoznała, że mężczyzna czuje się podobnie. Doszli do zgodnego wniosku, że woleliby rozładować wagon igieł luzem niż ponownie narazić się na taką traumę.

– Mam wrażenie, że mi uszami wyciekły fragmenty mózgu – żaliła się, podając Szymonowi kolejną kartę do skserowania.

Po obietnicy złożonej Zielińskiemu zostali w pokoju sami. Byli pewni, że za chwilę ktoś się pojawi, lecz gdy nieobecność ich wcześniejszych rozmówców się przedłużała, Ogiński poszedł na zwiady. Wrócił z zaskakującą informacją. Obaj policjanci wyszli i nie należało się dzisiaj spodziewać ich powrotu. Wobec takiego obrotu sprawy skorzystali z okazji i skopiowali interesujące ich dokumenty.

– Nie wiem, jak ty, ale ja mam już dość. – Szymon odłożył ostatnią kartę i wyłączył ksero. – Wracajmy do Ratia. Uratować nas może tylko rozmowa z kimś normalnym.

Miał rację, dzisiaj na pewno nie była w stanie wymyślić niczego konstruktywnego. Zwłaszcza że musiała przeanalizować wszystko od początku.

14 czerwca 2020, Bystrzyca Wielka

Tego dnia obudzono ją dwa razy. Najpierw Szymon zaczął się krzątać tuż po piątej, na co zareagowała dość dosadną opinią, że tylko kompletnie porąbani ludzie wstają w środku nocy. Niespecjalnie się tym przejął. Spokojnie wyjaśnił zaspanej Dionie, że nie ma pojęcia, ile zajmie mu dojazd do Żywca, gdzie musiał się pojawić o ósmej. Potem dorzucił, że zamierza mieć na nią baczenie, dopóki będzie przebywała w Bystrzycy,

bo wprawdzie nie musiała już obawiać się Klonowicza czy Skorka, ale zabójca nadal przebywał na wolności.

Była zbyt śpiąca, by się z nim kłócić, więc tylko odwróciła się demonstracyjnie twarzą do ściany i natychmiast ponownie zasnęła. Za drugim razem ze snu wyrwał ją Ratio, dobijając się do drzwi. Odgarnęła włosy z twarzy i zerknęła na zegarek, po czym nie dowierzając własnym oczom, podsunęła go sobie pod sam nos. Nie chciało być inaczej. Dochodziła dwunasta, a ona wcale nie czuła się wyspana. Potem przypomniała sobie przyczynę tego stanu i pomyślała, że ma to na własne życzenie.

– Zachciało ci się romansów, to teraz masz – mruzczała pod nosem, miotając się w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby zakryć nagość.

Otworzyła drzwi poirytowanemu Medardowi i skierowała się w stronę ekspresu, by jak zwykle zacząć dzień od kawy. Ratio podążał za nią jak cień, mamrocząc pod nosem uwagi na temat okrucieństwa kobiety utrudniającej mu dostęp do kawopoję.

Nie reagowała na zaczepki, doszła bowiem do wniosku, że poniekąd miał rację. Dość długo szukała w myślach rozwiązania problemu, nim wreszcie stwierdziła, że jedynym wyjściem jest dorobienie klucza. Już miała mu to powiedzieć, gdy przyszło opamiętanie. Ależ by się wygłupiła!

– Chcesz powiedzieć, że taki byle zameczek jest dla ciebie przeszkodą? Że potrafi cię skutecznie powstrzymać?

– To zwykły szajs. Antywłamaniowe otwieram w kilka minut, z tym poradziłbym sobie nawet szpilką – prychnął Ratier i podał jej kubki. – Nie chciałem wam przeszkadzać. – Rozejrzał się po pomieszczeniu. – A gdzie Ogi? Zamordowałaś go i zakopałaś pod czereśnią?

Postukała się znacząco w głowę.

– Pojechał do pracy, więc mogłeś śmiało wejść.

– Nie jestem Duchem Świętym, żeby wzrokiem przenikać mury – skontrował. – Idziemy na dymka?

Tradycyjnie już rozsiedli się na ławeczce przed domem i przez jakiś czas palili w milczeniu. Potem Ratio zapytał o plany w związku ze śledztwem.

Wczoraj po powrocie opowiedzieli mu o nieudanej akcji, o szantażach i Klonowiczu, który koniec końców wzbudził ich współczucie. Z jednej strony naciskany przez siostrę, z drugiej gnębiony przez przesadnie religijną żonę, uciekał do dawnej kochanki, lecz i tam zamiast spokoju i odprężenia znajdował chaos. Angela go nie znosiła, toteż nie odważył się wyznać, że jest jej biologicznym ojcem, a dla Weroniki najbardziej liczyła się ona sama. Potem doszły kłopoty z Angelą. Klonowicz przysięgał, że uwierzył kochance, gdy ta złożyła opowieści córki na karb problemów psychicznych.

– Moje plany poszły się paść. – Diona siorbnęła łyk kawy i wciągnęła dym w płuca. – Muszę sobie wszystko ułożyć na nowo.

– Będziesz dzisiaj gdzieś wychodzić?

– Raczej nie. Czemu pytasz?

Zaintrygowało ją to wypytywanie, tak nietypowe dla Ratia.

– Muszę być o piętnastej w Bielsku – wyjaśnił nieco zmieszany. – Mam spotkanie z jeszcze jednym potencjalnym nabywcą nowej gry. A potem chciałbym pojechać do Osin. Spotykam się z Marianną Zawodną.

Dionie natychmiast nasunęło się mnóstwo pytań, lecz przezornie ugryzła się w język i ograniczyła się do skąpej pochwały:

– To wspaniała dziewczyna. Dobrze wybrałeś. Zabierz moje auto, dzięki temu zyskasz na czasie.

– Nie boisz się, że znowu je rozpieprzę?

– Nie bądź idiotą – prychnęła, po czym dodała: – Daj znać, co załatwiłeś i o której mniej więcej wrócisz. Tak orientacyjnie,

żebym się nie martwiła.

– Tak jest!

Zasalutował z kpiącym uśmiechem, ale w jego oczach dostrzegła wzruszenie i sama także je poczuła. Czym prędzej wstała, by nie zauważył, że się rozczuliła.

– W takim razie chodźmy coś zjeść, żebyś nie musiał jechać na głodniaka.



## Rozdział 23

### Olśnienie

14 czerwca 2020, Bystrzyca Wielka

W komisariacie panowało całkowite rozprzężenie. Kiedy okazało się, że komendant Skorek jest nieobecny, dyżurny zajrzał do pokoju aspiranta Klonowicza, lecz i tam nikogo nie zastał. Po półgodzinie pojawił się jak zwykle spóźniony Zieliński z informacją, że Klonowicz się rozchorował i ma zwolnienie lekarskie. Doniósł też, że na L-4 wylądował również komendant, którego problemy zdrowotne okazały się na tyle poważne, że prosto od lekarza został przewieziony do szpitala.

Po słowach Oktawiusza zapanowało istne pandemonium, którego dyżurny nie potrafił ogarnąć. Jedni mówili przez drugich, przekrzykiwali się nawzajem, rozważając, kto powinien przejąć dowodzenie. Jak zwykle w takich sytuacjach na cztery osoby przypadało pięć opinii, toteż gwar był niemiłosierny.

Na to wszystko trafił aspirant sztabowy Ścieszka i ze zdumieniem wysłuchał najświeższych informacji. Wczoraj odbierał wolne za godziny nadliczbowe, dlatego nie miał pojęcia o wizycie dwojga obcych, nie mógł więc dopatrywać się w niej przyczyny dzisiejszej absencji szefostwa.

– Dlaczego akurat tobie powiedział, że ma L-4? – spytał Zielińskiego.

– Mieszka niedaleko, więc do mnie miał najbliżej. Zepsuł mu się telefon i nie miał jak zadzwonić.

Ścieszka skinął głową. Uznał, że dosyć już tego bezhołowia, i zabrał się do zaprowadzenia dyscypliny. Jest komendant czy go nie ma, zadania muszą zostać wykonane. Początkowo funkcjonariusze spoglądali krzywo na uzurpatora, lecz gdy wytłumaczył im, że komendant powiatowy na pewno lada moment wyznaczy tymczasowe zastępstwo, bez dalszych narzekań rozeszli się do swoich zajęć. Nie chcieli zostać ocenieni negatywnie przez obcego.

Minęło już południe, gdy samozwańczy szef jednostki dowiedział się o wczorajszej wizycie dwojga cywili. Początkowo nie przywiązywał wagi do paplaniny dyżurnego, lecz nadstawił ciekawie ucha, gdy padło nazwisko znienawidzonej przez Klonowicza Remańskiej. Wkrótce wiedział już, że zaraz po rozmowie z dwojgiem obcych komendant i Klonowicz opuścili komisariat.

– Wiadomo, po co tamci tu przyszli? – zainteresował się Gabriel Tokarz, popijający kawę w dyżurce.

– Cholera ich wie. Oktaw coś bredził, że interesowali się zgonami tych dzieciaków i ponoć nawet go typowali na zabójcę, ale ni chuja mu nie wierzę.

Ścieszka skrzywił się, lecz nie zareagował, choć zazwyczaj tępił używanie wulgaryzmów. Temat go zainteresował, choć na myśl o Zielińskim jako o zabójcy miał ochotę się roześmiać, tak bardzo pomysł był absurdalny.

– Długo tu siedzieli? – drążył Gabriel.

Dyżurny skinął głową i bezwiednie ściszył głos.

– Cholernie długo. Ten facet to gliniarz. Nie chciałem ich wpuścić, więc okazał legitymację. Może to jakiś kontroler czy wewnętrzny? – zastanawiał się głośno. – Bo to dziwne, że zostali i gadali z Zielińskim, chociaż Skorek i Klonowicz już sobie poszli. A potem Oktaw też wyszedł, a oni tam zostali.

– Sami? To przecież wbrew przepisom! – oburzył się Tokarz, a Ścieszka ze zdumieniem skonstatował, że sierżant jest

podenerwowany. – Jeżeli będzie jakiś przeciek...

– To co? – przerwał mu dyżurny. – Chcesz powiedzieć, że to moja wina?! A skąd miałem wiedzieć, że ten buc Zieliński ich tam zostawił?!

Ścieszka wkroczył między nich, nie chcąc dopuścić do awantury.

– Spokój, panowie! Nie ma się o co kłócić. Stało się i trudno.

Tokarz nie ustępował, choć teraz miał minę bardziej zmartwioną niż gniewną.

– A jeśli sprzedadzą coś prasie? Zrobi się smród i będą nici z premii. Ta Remańska od początku mi się nie widziała. Niby przyjechała wypocząć, a ciągle gdzieś łąziła i zadawała pytania. Zastanawiałem się nawet, czy to nie policjantka.

– Na pewno nie – uspokoił go Ścieszka. – Sprawdziłem, pracuje na strzelnicy. Nie ma co martwić się na zapas. Wyniki mamy eleganckie, więc nie ma podstaw do obcięcia premii. Wracaj do roboty, Gabriel.

Sam też zajął się pracą, choć ciężko mu było się skupić. Cały czas oczekiwał informacji o wyznaczeniu tymczasowego komendanta, lecz telefon uparcie milczał.

\*

Po długotrwałej analizie zebranych danych Diona poczuła takie znużenie, że pod koniec nie bardzo już wiedziała, co czyta. Jedynym wyjściem było pozwolić umysłowi odpocząć.

Stwierdziła, że najlepiej pomoże w tym spacer, zabrała więc dokumenty i telefon i wyszła z domu. Idąc w stronę furtki, rozmyślała nad obiadowym menu. Szymon postarał się o porządne zaopatrzenie lodówki, ale na samą myśl, że miałyby tracić czas na przygotowanie potrawy, która finalnie i tak okazałaby się niesmaczna lub całkiem niejadalna,



dziewczyna poczuła żywiołową niechęć. Tym samym pozostało tylko udać się do „Muchomorka”.

Na parkingu przed karczmą stały dwa wycieczkowe autokary i Dioniza skrzywiła się w przewidywaniu problemów ze znalezieniem wolnego stolika. Przypuszczenie okazało się słuszne, gdyż na sali panował gwar, a wśród kłębiących się ludzi biegała zaaferowana kelnerka. Za obleganym przez klientów barem Rafał uwijał się jak w ukropie, chcąc jak najprędzej obsłużyć spragnionych.

Remańska weszła w głąb sali, by sprawdzić, czy jakimś cudem nie uchowało się coś wolnego, i zobaczyła Karolinę Trzciankę siedzącą tuż przy barze przy dwuosobowym stoliku. Kobieta popijała piwo i bez większego zainteresowania spoglądała na turystów. Diona bez zastanowienia podeszła bliżej.

– Cześć. Mogę się dosiąść?

Trzcianka przeniosła na nią wzrok, a w jej oczach pojawił się błysk rozpoznania.

– Cześć. Siadaj, we dwie zawsze przyjemniej. Napijesz się piwa?

– Chętnie, ale na razie to raczej niewykonalne.

Diona machnęła ręką w stronę kolejki przy barze, lecz Karolina tylko się uśmiechnęła. Wstała, podeszła do barmana i powiedziała coś półgłosem, na co chłopak skinął głową i podsunął jej pokal dopiero co napełniony złocistym płynem.

– Tak się to załatwia. – Podała Dionie napój i wyjaśniła: – Średnio dwa razy w tygodniu zdarzają się tu takie najazdy, bo karczma słynie z dobrego żarcia. Gdyby miejscowi mieli czekać, aż tamci zostaną obsłużeni, mogliby umrzeć z pragnienia, dlatego właściciel kazał Rafałowi i Marcelinie podawać nam napoje bez kolejki. Na jedzenie niestety będziesz musiała poczekać.

– Nie szkodzi. – Remańska się uśmiechnęła. – Ważne, że mogłam się dosiąść i napić piwa. Teraz mogę spokojnie poczekać.

Jakiś czas siedziały w milczeniu, skupione na obserwacji wycieczkowiczów. Już po chwili Dioniza doszła do wniosku, że nie widzi żadnej różnicy pomiędzy tymi dorosłymi ludźmi, z których większość z pewnością przekroczyła wiek emerytalny, a rozbrykanymi dzieciakami z podstawówki. Tak samo biegali od stolika do stolika i przekrzykiwali się nawzajem, co rusz wybuchając głośnym śmiechem.

– Mogliby już się nażreć i odjechać w pizdu – sarknęła Trzcianka. – Głodna jestem.

– Ja też. Może by tak krzyknąć, że autokar się pali?

– E tam, popatrz tylko na nich. Poza zawartością talerzy nic ich nie interesuje. – Karolina znów spojrzała na przepelnioną salę. – Ciekawe, czy podziałałaby wzmianka o salmonelli?

Diona nie odpowiedziała. Od pewnego czasu obserwowała Dzieżkę przygotowującego jakiś wymyślny drink. Najpierw śledziła bacznie kolejne butelki, z których nalewał odrobinę płynu, i zastanawiała się, czy klienci zorientowaliby się, gdyby któryś z licznych składników został pominięty. Nagle coś innego przykuło jej uwagę. Barman schwycił właśnie następną szklankę i wtedy wyraźnie zobaczyła to, co przedtem tylko bezmyślnie zarejestrowała wzrokiem. Dłoń tak dużą, że naczynie całkiem w niej ginęło.

Jedyna karczma we wsi. Barman. Piwo. Pizza. Frytki. Młodzież.

Myśli przelatywały jej przez głowę, tworząc naturalny ciąg skojarzeń.

– Kurwa, cały czas miałam go na widoku.

Nie wiedziałyby nawet, że wypowiedziała to zdanie na głos, gdyby nie Karolina.

– Kogo? – spytała z żywym zainteresowaniem. – Rafała? Daruj sobie.

– A to dlaczego? – Udała pierwszą naiwną. – Całkiem nieźle z niego ciacho.

– Mówiłam ci przecież, że to gej. Albo impotent. W każdym razie nie pamiętam, żeby kiedykolwiek miał dziewczynę. No i ma w oczach coś takiego, że aż ciarki idą po plecach.

Karolina wzdrygnęła się i sięgnęła po prawie pustą szklankę. Remańska ponownie zerknęła na Dzieżkę i zauważyła, że chłopak przygląda jej się z uwagą. Czyżby słyszał ich rozmowę? Niemożliwe, nie w takim gwarze. A jednak nie spuszczał z niej wzroku, a w jego oczach płonął jakiś dziwny ogień. Co oznaczał? Miała odpowiedź na końcu języka, lecz nie mogła sobie jej przypomnieć.

Jednym haustem dopiła piwo i wstała.

– Dzięki za towarzystwo. – Położyła na stoliku dziesięć złotych. – To za piwo.

– Nie zaczekasz na Marcelinę? Już się rozładowało, zaraz podejdzie.

– Innym razem. Pa.

Już w holu wyjęła telefon i gdy tylko znalazła się na zewnątrz, wyszukała właściwy numer. Rozmówca odebrał niemal natychmiast.

– Dioniza Remańska. – Pominęła wstępne grzeczności. – Niech mi pan da wszystko o Rafale Dzieżko. Tak, o tym barmanie. Myślę, że to on.

\*

Ogiński przyjął nową hipotezę Diony ze sporą dozą sceptycyzmu. Początkowo nawet uznał jej racje, lecz zmienił zdanie po usłyszeniu, co o Dzieżce miał do powiedzenia Klonowicz. Ze słów aspiranta wynikało, że barman miał

dwadzieścia pięć lat, a od czterech był zatrudniony w karczmie „Pod Muchomorkiem”. Pracowity i sumienny, nigdy nie dał najmniejszych powodów do podejrzeń, że wiedzie podwójne życie lub że coś z nim jest bodaj odrobinę nie w porządku. Nie odnotowano żadnych ekscesów z jego udziałem ani też skarg na brak profesjonalizmu.

– Noż kurwa, ideał! Nie wierzę w istnienie ludzi bez skazy, bo są nieprawdziwi. Nie zauważyłaś, że zawsze po pewnym czasie wychodzą na jaw jakieś grzeszki? I jeszcze te ogromne łapska!

– Mają go wsadzić za to, że ma duże dłonie? Chyba przesadziłaś. W dodatku ma alibi na czas śmierci Angeli. Należy do OSP i gasił wtedy pożar. Nie słyszałaś, jak kobiety w sklepie go wychwalały?

Wobec takiego nastawienia Remańska poniechała drażnienia tematu. Ich związek był jeszcze zbyt kruchy, by poddawać go próbie tylko po to, by udowodnić swoją rację. Zakończenie rozmowy o Dzieźce było nawet celowe, gdyż zaczęła właśnie smażyć naleśniki, co w jej przypadku wymagało maksymalnego skupienia.

Tym razem obyło się bez zdrapywania z patelni żałosnej brei i mogła z dumą postawić na stole talerz z przyrumienionymi, idealnie okrągłymi plackami. Wiedziała, że tak naprawdę to żaden wyczyn i średnio rozgarnięta gospodyni przyrządziłaby taką potrawę z zamkniętymi oczami, jednak w jej przypadku sprawy wyglądały inaczej. Była niekwestionowanym antytalentem i własna matka zwykła była twierdzić, iż Diona potrafi przypalić także to, co nawet nie leżało koło ognia.

– Jak długo jeszcze tu będziesz? – spytał Szymon po zjedzeniu ostatniego naleśnika.

– W Bystrzycy? Nie mam pojęcia.

– Może lepiej byłoby zrezygnować? – zasugerował. – Ten trop jest już całkiem zatarty i nikt nie powinien mieć pretensji, że odpuściłaś.

– Myślałam, że jesteś tu po to, żeby mnie wspierać, a nie dołować!

Zabrała ze stołu papierosy i wyszła przed dom, gotując się ze złości. Miała taką ochotę trzasnąć solidnie drzwiami, że aż ją zdziwiło własne opanowanie. *Następny, który chce mi dyktować, co mam robić, użalała się w myślach. A niedoczekanie!*

Po kilku minutach Szymon również wyszedł na papierosa i dołączył do niej. Palili w milczeniu jak dwoje obcych sobie ludzi. On odezwał się pierwszy:

– Dionka, posłuchaj...

– Chyba usłyszałam już dość – odpowiedziała cicho. – Od początku wiedziałeś, jaką mam pracę, i nagle zaczęła ci przeszkadzać? No to sorry, ale nic z tego...

Nie pozwolił jej dokończyć w obawie, że wypowiedziane stanie się nieodwracalne.

– Nie rozumiesz, że się o ciebie boję?! – Teraz on stracił całe opanowanie, którym tak się szczycił. – Ciągle pamiętam, co przeżywałem, kiedy byłaś w śpiączce. Nie chcę powtórek, a w tej wiosce jest chyba jeszcze gorzej niż w Jasieniu. Proszę cię, odpuść.

Nie mogła pozostać obojętna na szczere zatroskanie w jego głosie. Gniew i rozzalenie minęły, zastąpione radością. Ale zmienić zdania i tak nie zamierzała. Zwróciła uwagę mężczyzny na oczywisty fakt, że jego praca niesie ze sobą dużo więcej niebezpieczeństw, a nikt nie wymaga, by ją zmienił. Poza tym żaden człowiek nie ma pewności, że dożyje następnego miesiąca czy nawet jutra.

– Mogą mnie zranić na strzelnicy albo przejedzie mnie samochód. Albo poślizgnę się w wannie i przywalę głową w obudowę. Albo...

– Przestań już – poprosił. – Nie jestem debilem, wiem, co chciałaś mi uświadomić. Ale czy to moja wina, że się boję, bo

mi na tobie zależy?

Do tematu już nie wrócili. Później Ogiński stwierdził, że Dionie należą się solidne przeprosiny, i na tym przepraszaniu zeszło im do północy. Tuż przed zaśnięciem Dioniza nagle szeroko otworzyła oczy. Jak mogła na to nie wpaść? Przecież odpowiedź była oczywista! On sam się zdradził, mówiąc zbyt wiele, tylko ona tego nie zrozumiała. Myślała, że chodziło mu o Klaudynę, podczas gdy mężczyzna miał na myśli Angelę.

Usiadła i zaczęła mówić, ale nagle zorientowała się, że Szymon jej nie słucha. Równomierny oddech i miarowo wznosząca się pierś nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Mężczyzna zdążył już zapaść w głęboki sen. Nie miała serca go budzić.

Postanowiła, że o swoim odkryciu opowie mu jutro, lecz rano na wpół śpiąca dziewczyna zdobyła się tylko na przypomnienie, by ze względu na Ratia nie zamykał drzwi na klucz, i naciągnęła kołdrę na głowę, by odciąć się od promieni słonecznych zagładających przez niedokładnie zasłonięte okno.

15 czerwca 2020, Bystrzyca Wielka

Mężczyzna ubrany w szare spodnie i tak samo szarą bluzę z kapturem naciągniętym na głowę bezszelestnie przemykał przez ogród. Nie żeby wyczuwał jakieś zagrożenie. Wiedział, że jest tutaj całkowicie bezpieczny, nie chciał jednak głupio ryzykować. Gdyby nie ta ostrożność, wpadłby od razu, nie przewidział bowiem, że ona nie będzie sama. Na szczęście w porę dostrzegł zaparkowany pod płotem obcy samochód i wstrzymał się z działaniem, by najpierw dokładnie rzecz przemyśleć. Nigdzie nie widział jej terenówki, toteż mógł śmiało założyć, że zmieniła samochód. To normalne, że ludzie

wymieniają auta na większe czy nowsze. Jednak stojąca przy płocie honda wyglądała na starszą i bardziej zużytą od jej pojazdu, więc gdzie tu jakiś sens?

Gdy tak stał i zastanawiał się, co dalej, w pokoju naraz rozbłysło światło, a w oknie zarysowała się cieniem jakaś sylwetka. Zaintrygowany, podbiegł aż do ścieżki przy domu, przykucnął za różanymi krzewami i zza tej osłony spoglądał w okno, gdzie teraz nie mógł dostrzec nikogo. Nagle zapłonęła lampa nad drzwiami, rozjaśniając poranny półmrok, szaro ubrany mężczyzna przypadł w panice do ziemi. Czyżby został zauważony i stąd ta iluminacja? Zaraz jednak przekonał się, że to tylko wyobraźnia podpowiadała mu fatalne zakończenie dzisiejszej wyprawy. Nie uznał tego za ostrzeżenie, lecz jedynie za jedną z możliwych opcji, i nie zmienił planów.

Chwilę później szczęknęła klamka, drzwi się otworzyły i w progu stanął wysoki mężczyzna z kubkiem w ręce. Przeciągnął się i usiadł na ławce, po czym odstawił kubek i włożył papierosa w usta. Na moment płomień zapalniczki oświetlił jego twarz i wówczas leżący płasko na ziemi człowiek go rozpoznał. To był facet, z którym była w „Muchomorku”. *Kurwa mać, wszystko na nic*, zaklął w duchu. Nienawidził zmieniać planów.

Nie mógł się wycofać, dopóki tamten siedział przed domem, leżał więc za krzakami róż i z nudów obserwował żarzący się punkcik to zbliżający się do ust, to wędrujący gdzieś w dół. Po pewnym czasie mężczyzna spojrział na zegarek, zabrał kubek i zgasiwszy papierosa, wszedł do środka. Sprawiał wrażenie kogoś, kto zamierza gdzieś wyjść i obawia się spóźnienia, toteż człowiek leżący wśród róż postanowił poczekać i przekonać się, czy tak jest rzeczywiście. Nie trwało to długo. Po mniej więcej dziesięciu minutach światło w pomieszczeniu zgasło. Tamten ponownie wyszedł przed dom, lecz tym razem nie usiadł na

ławce, lecz skierował się w stronę stojącego przy płocie samochodu.

Obserwujący go człowiek pozwolił mu odjechać, zanim opuścił różaną kryjówkę. Schylony, cicho przemknął w stronę budynku i przytknął twarz do szyby, lecz w środku panowała ciemność i nie dostrzegł nic prócz zamazanych konturów mebli. Przesunął się w stronę drzwi i zaczął gmerać w zamku zagiętym drutem. Denerwował się przy tym coraz bardziej, gdyż czas płynął nieubłaganie, a efektów działania jakoś nie było widać. Nagle na drodze pojawiły się światła nadjeżdżającego samochodu i włamywacz przylgnął do drzwi, by stać się jak najmniej widocznym. Niechcący nacisnął przy tym klamkę.

Skrzydło się uchyliło, pociągając go do środka, i szaro przyodziany człowiek zmachał gwałtownie rękami, by uchronić się przed upadkiem. Potracił przy tym jakiś przedmiot, który roztrzaskał się z głośnym brzękiem u jego stóp. Intruz zamarł.

– Czemu się tak tłuczysz?

Prócz rozspanego głosu doszedł go szelest pościeli, więc czym prędzej skoczył w tamtym kierunku. Chciał to załatwić szybko, bez niepotrzebnej szarpaniny i przede wszystkim bez krzyków. Planował, że później podejdzie do Eweliny i pokocha się z nią do utraty tchu, i w ogóle nie dopuszczał do siebie myśli, że mogłaby odmówić.

Kobieta siedziała na łóżku, wpatrzona w stronę drzwi. Na widok nadbiegającej sylwetki chciała wstać, ale zaplątała się nogami w kołdrę, tracąc cenne sekundy, a on natychmiast wykorzystał jej chwilowe unieruchomienie. Przycisnął ją ciałem do łóżka, lecz zanim zatkał jej usta, zdążyła głośno krzyknąć. Co dziwnie, w okrzyku nie było strachu, tylko złość.

Ugryzła rękę rozgniatającą jej wargi. Mężczyzna zawył z bólu, cofnął dłoń i sięgnął po leżącą obok poduszkę. Teraz już nie była w stanie nic zrobić. Przyduszona poduszką,



z nogami bezskutecznie wierzgającymi pod kołdrą i jedną ręką przyciśniętą własnym ciałem, mogła tylko bić na oślep drugą.

Uchylając głowę przed ciosami, gmerał jednocześnie w kieszeni w poszukiwaniu napełnionej strzykawki i igły. Wreszcie znalazł. Położył oba przedmioty na wolnej połowie łóżka i znów wsunął rękę do kieszeni, by wyjąć stamtąd trytytkę. Genialny wynalazek! Teraz jeszcze musiał zapiać ją na ramieniu tej furiatki, a do tego potrzebował obu rąk. Puścił przytrzymywaną poduszkę, z czego dziewczyna natychmiast skorzystała i kilkoma ruchami głowy strąciła ją z twarzy. Teraz już nie musiała bić na oślep, czego natychmiast dowiodła i napastnik wrzasnął głośno z bólu, gdy naraz zawiódł go refleks i pięść trafiła go prosto w oczodół.

Zdzielił ją raz i drugi, nie zważając już, że pozostawi po sobie ślady przemocy, ona jednak walczyła uparcie. Jej ciosy były wprawdzie słabsze, ale mierzone daleko lepiej i każdy trafiał w jakiś czuły punkt. Najpierw rozbiła mu wargę, a gdy zdekoncentrował się pod wpływem bólu, rąbnęła go w grdykę, na moment pozbawiając tchu. Uratowało go tylko to, że leżąc na wznak, nie mogła wziąć większego zamachu, dlatego uderzenie nie było zbyt mocne. Gdyby nie to, zmiażdżyłaby mu krtań. Na samą myśl o takim końcu ogarnęła go wściekłość tak wielka, że myślał już tylko o tym, żeby ją pokonać za wszelką cenę.

– Ty dziwko!

Złapał rękę zmierzającą ku jego twarzy, potem drugą i unieruchomił je, więżąc w wielkiej jak łopata lewej dłoni, prawą zaś złapał strzykawkę i pomagając sobie zębami, nasadził na nią igłę. Ostro zakończony stalowy czubek zbliżał się już do zgięcia łokcia dziewczyny, gdy od drzwi rozległ się niepewny głos:

– Diona? Mogę wejść?

– Ratio! Uważaj! – wrzasnęła, nim zdążył zasłonić jej usta. Reszta słów uwięzła w wielkiej dłoni, stając się niezrozumiałym bełkotem.

\*

Medard wrócił do Bystrzycy w wyśmienitym humorze. Spędził z Marianną Zawodną cudowne popołudnie, a gdy nastał wieczór i Ratier zaczął niechętnie zbierać się do powrotu, dziewczyna niespodziewanie zaproponowała, by został do rana. Nie musiała powtarzać tego dwa razy.

W łóżku okazała się tak samo szalona i nieokiełznana, nic więc dziwnego, że chociaż zmęczony i niewyspany, Ratio podjechał pod dom z zadowoloną miną. Przechodząc obok okna Diony, usłyszał jej stłumiony krzyk, któremu odpowiedział przeciągły męski jęk, i uśmiechnął się ze zrozumieniem. Nie on jeden miał dziś miły poranek.

Nagle zmęczenie odeszło i Ratier poczuł rozpierającą go energię. Włączył laptop, lecz już po chwili stwierdził, że praca go nuży. Potrzebował bardziej dynamicznego zajęcia, żeby rozładować nadmiar adrenaliny, zabrał więc swoją ulubioną zabawkę i wyszedł przed dom.

Z pokoju Diony znowu dobiegły go krzyki i jęki i chłopak pokręcił głową z podziwem. No, no, no, ten Ogi! Żeby tak raz za razem? Miał zamiar pójść dalej, lecz powstrzymała go jakaś myśl błakająca się po obrzeżach świadomości. Coś mu się w tym wszystkim nie zgadzało, lecz zanim zdążył się zastanowić, usłyszał wyraźnie gniewne słowa:

– Ty dziwko!

Wtedy zrozumiał. Przy płocie nie było samochodu Szymona, poza tym Ratio nie wyobrażał sobie, by Ogiński nawet w gniewie mógł się tak odezwać do kobiety, którą kochał. Zatem to nie on znajdował się w pokoju Diony.

Medard zawrócił i podbiegł do drzwi, lecz tylko je uchylił i spytał, czy może wejść. Nie był pewien, czy nie pomylił się w ocenie sytuacji, a nie chciał naruszać prywatności przyjaciółki. Zaraz jednak przekonał się, że były to zbędne skrupuły, gdyż odpowiedziała ostrzegawczym okrzykiem, który zaraz przeszedł w niewyraźne mamrotanie.

Nie czekał dłużej i wbiegł do środka.



## Rozdział 24

### Trzy strzały

15 czerwca 2020, Bystrzyca Wielka

Mężczyzna przyciskał ciałem szamoczący się pod nim kształt. Jedną ręką zatykał dziewczynie usta, drugą usiłował wbić jej strzykawkę w rękę. Na ten widok Ratio poczuł, że ogarnia go chłód, zwiastujący nadejście furii, tym straszniejszej, że pozbawionej emocji, zimnej jak lód. Już miał się rzucić na obcego, gdy przypomniał sobie długie godziny, podczas których Diona uczyła go, jak zapanować nad sobą, nie dopuścić, by gniew wziął w nim górę nad człowieczeństwem.

– Nie zabiję go – powiedział do siebie.

Zrobił to jednak na tyle głośno, że tamten usłyszał. Odwrócił się, rzucił na Medarda szybkie, przerażone spojrzenie, ale zamiast podjąć próbę ucieczki, ponownie odwrócił się do Dionizy i znów zamierzył się strzykawką w zgięcie łokcia.

Ratier nie czekał dłużej. Nie wiedział, co zawiera strzykawka. Mógł to być narkotyk, ale równie dobrze mogła się tam znajdować substancja niebezpieczna tak bardzo, że wystarczyłoby lada draśnięcie, by doszło do infekcji lub zatrucia. Igła już niemal dotykała skóry, zatem nie było czasu na obmyślanie jakiejś skomplikowanej taktyki.

Ratio porwał z kuchenki patelnię z resztkami wczorajszej jajecznicy i rąbnął napastnika w rękę, wytrącając mu strzykawkę. Obcy ryknął z bólu, lecz nie zamierzał się podać. Przetoczył się na łóżku i przyklęknął na jedno kolano, gotując

się do skoku. Do tego Medard absolutnie nie zamierzał dopuścić. Szybko podbiegł i przyłożył patelnię w głowę przeciwnika. Ten wrzasnął i osunął się na łóżko, a spod przyciśniętej do zranionego miejsca ręki powoli wypłynęła strużka krwi, zmieszana z resztkami jajecznicy.

Medard podszedł jeszcze bliżej i bezceremonialnie zepchnął go z łóżka. Nie zważając na żałosne jęki, rozglądał się po pokoju w poszukiwaniu jakiegoś sznurka, gdy zobaczył na łóżku pęk trytytek.

– Fajnie, że je przyniosłeś. – Rzucił jedną na kolana rannego.  
– Przystępczo, skuj się sam – rzucił tonem celebryty występującego w spocie reklamowym. – No, zakładaj! – dodał ostro, gdy tamten nie usłuchał.

– Nie mogę – jęczał pokonany napastnik. – Nie widzisz, że jestem ranny, ty głupi ciulu? Kurwa, jak boli! Mam krwotok!

– Chuja masz, nie krwotok – zawyrokował Ratio. – Tam nie ma żadnej ważnej arterii. No już, bo stracę cierpliwość.

Na widok jego miny ranny stracił ochotę do dalszej dyskusji i podciągnawszy trochę ugięte w kolanach nogi, zapiął na nich trytytkę. Ratier sprawdził ją uważnie i dociągnął mocniej, potem wziął do ręki następną.

– Dawaj łapy.

Przeciwnik najwyraźniej nie pogodził się jeszcze z kapitulacją, gdyż nagle poderwał się na nogi, celując ogromną pięścią w twarz. Medard uchylił się zwinnie, lecz nie podjął walki. Uskoczył w bok i niespodziewanie jego obuta w ciężki glan stopa wylądowała na łydce napastnika, a w pokoju rozległ się kolejny ryk bólu. Potem sięgnął po nóż, o którym dopiero teraz sobie przypomniał.

– Nie próbuj kombinować, bo obetnę ci uszy i rzucę psu Krzyżanowskiej – ostrzegł z taką miną, że tamten skulił się w sobie i znów jęknął.

– Boli cię? To bardzo dobrze – rozległ się głos Diony.

Obaj jak komendę zwrócili się w jej stronę. Mówiła niewyraźnie, z trudem przepychając słowa przez posiniaczone, krwawiące wargi. Na skroni i pod okiem widniały sińce, a Ratio pomyślał, iż dobrze się stało, że wcześniej tego nie zauważył, bo wtedy przeciwnik nie wyszedłby stąd o własnych siłach.

– Ty kurwo – syknął ranny. – Jeszcze cię dorwę.

Zatoczył się w jej stronę, wrzasnął z bólu i opadł na podłogę. W miejscu, gdzie przed chwilą stał, widniała krwawa plama. Remańska podeszła do Ratiera, chwyciła go za ramię i dość długo spoglądała na napastnika.

– Zapomnij, Dzieżko. Teraz to raczej się módl, żeby cię chłopaki pod celą nie dorwały, bo oprócz głowy będzie ci krwawić dupa.

Wykrzywiła twarz w kpiącym uśmiechu, a Ratio jeszcze nigdy nie podziwiał jej tak jak w tej chwili. Czuł, jak palce dziewczyny wbijają mu się w biceps, widział pierś unoszącą się w nierównym oddechu i był pewien, że niejedynemu mężczyźnie na jej miejscu kwiliłby z bólu jak dziecko. Ona jednak nie dała nic po sobie poznać, by do reszty pogiębić człowieka, który chciał pozbawić ją życia. Będzie teraz musiał żyć ze świadomością, że mimo ogromnej przewagi fizycznej nie zdołał jej pokonać.

– Zapnij sobie trytytkę na rękach – powtórzył. – Potem założę ci opatrunek.

Podał Dzieżce kolejną plastikową taśmę, a gdy ten nie spieszył się z wykonaniem polecenia, ostrzegł beznamiętnym tonem, że pozwoli mu wykrwawić się na śmierć, jeśli mężczyzna nie usłucha. Ultimatum przyniosło spodziewany skutek i wkrótce spacyfikowany napastnik przestał protestować.

Gdy unieszkodliwiony Dzieżko został opatrzony, Ratio zadzwonił na numer alarmowy i poprosił o przyjazd policji,

zaznaczając przy tym, że napastnik jest ranny. Zostawili go tam, gdzie upadł, a sami usiedli na ulubionej ławeczce przed domem. Zapalili, później Ratio spytał z troską:

– Bardzo cię boli?

Diona ostrożnie obmacała sobie twarz, potem westchnęła. Przed nim nie musiała udawać niezniszczalnej.

– Jak cholera. Ale to przejdzie – dodała szybko. – Niczego mi chyba nie złamał, a to dużo. Tylko że przez kilka dni nie powinnam się pokazywać Szymonowi na oczy, bo na mój widok gotów uciec z krzykiem.

– Taa, już to widzę! Gdyby on był na moim miejscu, zatłukłby gnoja na śmierć za to, co ci zrobił. Ogi cię kocha, ty kretynko! – Medard umilkł, ale po pewnym czasie znów się odezwał: – Ten Dzieżko... Nie podejrzewaliście go?

Pokręciła głową.

– Skupiliśmy się na komisariacie, bo tam ewidentnie coś nie grało. Najbardziej pasował nam Zieliński, głównie przez to, co powiedział Angeli o filmie. Uznałam jego słowa za ukrytą groźbę. A może nie tyle groźbę, ile przepowiednię. Pomyślałam, że chciał jej uzmysłwić, jakie szczęście ją czeka. – Parsknęła głośnym śmiechem. – A okazało się, że to był zachwył. I zazdrość, że to nie on będzie krzyczeć z rozkoszy podczas spotkania z właścicielem uwiecznionego na filmie organu.

– Chcesz powiedzieć, że on...? – Oszołomiony Medard nie dokończył zdania i popatrzył na Dionę z niedowierzaniem. – Przecież to policjant!

– Ratio! Mało razy ci tłumaczyłam, że policjanci to ludzie jak inni?

– Pamiętam – burknął, lecz zaraz dorzucił swoim zwykłym, lekko kpiącym tonem: – Uprawiają nawet seks, bo skądś muszą się brać młodzi policjanci. No dobra, zdziwiłem się jak jaki głupek. Czyli Dzieżko niczym wam nie podpadł?



Diona skrzywiła się na wspomnienie popełnionego błędu. Założyła, że sprawca albo jest miejscowy, albo z jakichś względów doskonale zna wioskę i okolice. Dzieżki jednak nie brała pod uwagę. Widywała go wyłącznie w karczmie i nawet pomyślała, że chłopak jest wiecznie w pracy, ale w ogóle nie zastanawiała się nad jego życiem prywatnym. Potraktowała go jak integralną część wyposażenia karczmy i za ten błąd przyszło jej dzisiaj zapłacić. Tylko Ratierowi zawdzięczała, że nie była to cena najwyższa.

– Do wczoraj nie – przyznała niechętnie. – Wpadłam na to dopiero wtedy, gdy zwróciłam uwagę na jego rękę. Ale Szymon powiedział, że podobno Dzieżko ma alibi na czas zgonu Angeli, więc...

Urwała i rozłożyła bezradnie dłonie. W milczeniu dotrwali do przyjazdu radiowozu, który dotarł jako pierwszy. Na widok siedzącego w nim Jana Ścieszki Diona pomknęła za róg budynku i zadzwoniła do Ogińskiego. Miała złe przeczucia.

Szymon bez zbędnych pytań wysłuchał jej zwięzłej relacji i obiecał, że bezzwłocznie przyjedzie, a wcześniej zadzwoni na komisariat w Bystrzycy, gdzie powinien już urzędować nowy komendant. Kazał jej się pomodlić o to, by nie okazało się, że jest nim właśnie Ścieszka. Nic więcej nie mógł zrobić.

Wróciła akurat na moment, gdy podjechało pogotowie, i weszła do pokoju wraz z ratownikiem medycznym. Ścieszka musiał pojawić się tam tuż przed nim, gdyż pochylał się właśnie nad więźniem i przecinał krępujące go trytytki, a w tym czasie Dzieżko płaczącym tonem żalił się, jak to został brutalnie potraktowany tylko dlatego, że przyjął zaproszenie Diony i mieli wspólnie spędzić noc.

– Ten bandyta groził mi nożem! – krzyknął, wskazując na Ratiera.

– Pan nas wzywał? – spytał go ratownik, nim Ścieszka zdążył zareagować.

– Nie on, tylko ja – odpowiedział spokojnie Ratio. – Medard Ratier – przedstawił się, po czym dorzucił: – Nie wzywałem go do tego śmiecia, tylko do niej.

Wskazał ręką na Dionę, na co oczy przybyłych zwróciły się w jej kierunku. Ścieszka zaklął, ratownik natomiast natychmiast podszedł do dziewczyny i łagodnie poprowadził ją do okna, przez które prześwitywały promienie słońca. Odsunął na bok zasłony i obejrzał jej pokancerowaną twarz, potem przeniósł wzrok na nadgarstki, gdzie trytytka wyźłobiła ślady, pozostawiając zdartą skórę i krwawe wybroczyzny.

– To ja jestem ranny! – wrzeszczał Dzieżko. – Najpierw mnie zaprosiła, a potem zaatakowała. O, proszę!

Dotknął palcem zasinionego oczodołu, potem szyi.

Na ratowniku nie zrobiło to większego wrażenia. Rzucił tylko okiem na wskazane miejsca, przeniósł wzrok na głowę, gdzie bielił się opatrunek nałożony przez Ratia, i wrócił do udzielania pomocy Dionizie. Ścieszka natomiast zaraz podchwycił temat.

– Chciałeś ją zgwałcić?

– Ależ skąd – zaperzył się barman. – Przyszła do karczmy i zaproponowała, żebym ją odwiedził. Mam na to świadka!

– Chyba jednak nie masz – skontrowała Diona. Mówiła niewyraźnie, ale nie na tyle, by nie dało się zrozumieć jej słów. – Komendant komisariatu już nie będzie wam posłuszny, więc Karolina nie ma żadnego interesu w tym, by kłamać.

– Nie wiedziałem, że na randce należy bić kobietę i przyduszać ją poduszką – wtrącił się Ratio.

Naraz przypomniał sobie o strzykawce, lecz widząc, do czego policjant zmierza, przezornie o niej nie wspomniał, tylko dyskretnie wkopał ją pod szafkę nocną. Obawiał się, że dowód rzeczowy mógłby zniknąć.

– Cicho! – huknął na niego Ścieszka. – Później będziesz gadał. A teraz dawaj ręce.

Sięgnąwszy po kajdanki, podszedł do Ratiera. Na widok drwiącego uśmiechu na twarzy Dzieżki Medard znów poczuł chłód. Spiał się w sobie, lecz nie zdążył zrobić nic głupiego, jak na przykład stawienie oporu policjantowi. Przeszkodził mu nieznamy głos dochodzący od drzwi:

– A to czemu, panie starszy aspirancie?

Ścieszka drgnął jak ukłuty szpilką i odwrócił się w jego kierunku. Obcy, niski i tęgi mężczyzna dobrze po czterdziestce przedstawił się jako komisarz Wiktor Zemanek, pełniący obowiązki komendanta komisariatu.

– Panie komendancie, to kochanek tej kobiety. Zwabiła tu Rafała, a potem razem go pobili. Ten człowiek ma nóż, jest niebezpieczny. A ona...? Mało jej było dwóch, to jeszcze sprowadziła sobie trzeciego. Dziwka!

Splunął z obrzydzeniem na podłogę.

Komisarz wysłuchał go spokojnie, po czym zapytał:

– Rozumiem. Wezwał pan technikę?

– A po co miałbym ich wzywać? Sprawa jest oczywista, nie ma potrzeby zawracania im głowy. Szkoda czasu.

– Ma pan zdolności jasnowidzenia? – zdziwił się Zemanek. – Już w komisariacie wiedział pan, co tu zastanie? A może kogo tu zastanie? – dorzucił po chwili. – Zadzwoił do mnie nadkomisarz Ogiński i zasugerował, żebym najpierw porozmawiał z Dionizją Remańską, zanim podejmę jakieś kroki. To pani, prawda? W takim razie słucham.

Diona wyrwała się z rąk ratownika usiłującego nałożyć jej opatrunek na pokaleczony policzek i podeszła do komisarza. Specjalnie ustawiła się tak, by mógł dokładnie widzieć każdy siniec i każdą ranę. Teraz ważyły się losy Ratia, więc wołała mieć Wiktora Zemanka po swojej stronie.

– Panie komendancie. Od lutego doszło w tej wiosce do zgonów trojga młodych ludzi i choć wszystkie miały cechę wspólną, zostały zakwalifikowane jako samobójstwa. Zostałam

zaangażowana przez rodzinę jednej z ofiar do wyjaśnienia sprawy i odkryłam, że jednym ze sprawców jest obecny tu Rafał Dzieżko.

Ruchem ręki wskazała barmana, nad którym pochylał się ratownik. Ten ostatni nakładał właśnie opatrunek na zranioną głowę, lecz nie poświęcał temu zajęciu zbyt wielkiej uwagi, bardziej skupiając się na słuchaniu słów Remańskiej. Dzieżko ze złością odtrącił medyka i zerwał się na równe nogi.

– Ona bezczelnie kłamie! To ja jestem poszkodowany!

– Cisza! Nie przeszkadzać! – huknął Zemanek i dał znak Dionie, by mówiła dalej.

– Niestety Dzieżko zorientował się, że go podejrzewam, i zakradł się tutaj, żeby uciszyć mnie na zawsze – podjęła opowieść Remańska. – Chciał mi coś wstrzyknąć, a że tamci zginęli wskutek przedawkowania polskiej heroiny, podejrzewam, że w strzykawce znajduje się taka sama substancja.

– Znowu kłamie! – niemal zawył Dzieżko.

Uwagi Diony nie umknął jego pytający wzrok skierowany na Ścieszkę i odpowiedź aspiranta zawarta w bezradnym ruchu głową oraz gorączkowym rozglądaniu się po pokoju. Dziewczyna odczekała chwilę, po czym wyciągnęła z torebki nitrylową rękawiczkę i skinęła na Ratia. Chłopak natychmiast zrozumiał ten niemy przekaz i przesunął się w stronę regału, gdzie wcześniej położył nóż. Na szczęście interwencja nie była potrzebna. Dzieżko i Ścieszka z bezsilną złością obserwowali, jak dziewczyna wydobywa strzykawkę spod szafki nocnej, lecz nie odważyli się zaatakować.

Aspirant podjął kolejną desperacką próbę chronienia barmana.

– Równie dobrze to może należeć do niej – zauważył. – Bredzi o jakimś spisku, a sama jest nie lepsza od prostytutki. Sypia z tym gówniarzem i jednocześnie prowadzi się z policjantem

z Jodłowca. Jakby mogła, każdego chłopca zaciągnęłaby do łóżka. Zdzira! Że też nie ma na takie kary boskiej!

W głosie Ścieszki pojawiły się nutki fanatyzmu i Diona nagle pojęła, dlaczego Angela musiała zginąć.

– Nauki księdza Kieliszka, tak? – Parsknęła śmiechem. – Jak to możliwe, że dorosły, inteligentny facet dał się do tego stopnia ogłupić tej sekcji?! Ale pan zapomniał o odciskach palców, a Rafał o rękawiczkach... A, racja, przecież nie mógł ich włożyć, bo zgubił jedną przy ciele Klaudyny, a na takie łapska trudno mu było kupić nowe.

– Rafał ma alibi na czas zgonu Angeli – odparował aspirant.

Dioniza wykrzywiła zmaltretowane wargi w drapieźnym uśmiechu.

– Och, wcale mnie to nie dziwi, bo Dzieżko wcale jej nie zabił. W jego mniemaniu nawet jej nie zgwałcił, bo przecież podanie kobiecie GHB to żaden gwałt.

Po minie Dzieżki poznała, że trafiła w sedno, poszła więc za ciosem i snuła przypuszczenia tak, jakby na każde ze słów miała materialny dowód.

– Po powrocie do domu Rafał pochwalił się... – Urwała i przez kilka sekund popatrywała to na aspiranta, to na Dzieżkę. – ...wujkowi? Nie, wujek nie posunąłby się do morderstwa dla ochrony bratanka czy siostrzeńca. Ojciec! – wykrzyknęła z triumfem. – Tylko rodzic jest zdolny do takiego poświęcenia, szczególnie wtedy, gdy czuje się winny, że nie uznał oficjalnie własnego dziecka.

Nagle poczuła się tak zmęczona i obolała, że zakręciło jej się w głowie. Czujny Ratio natychmiast to zauważył. Doskoczył i ująwszy ją pod rękę, zmusił, by usiadła na krześle. U jego boku pojawił się też medyk i nie pytając o zgodę, zaaplikował jej zastrzyk.

– Przeciwbólowy i na wzmocnienie – odpowiedział na pytanie Zemanka. – Powinienem zabrać ją do szpitala, może mieć

wstrząśnienie mózgu.

Diona natychmiast ostro zaprotestowała, Ratio z kolei poparł ratownika. Komisarz pozwolił im na tę kłótnię, rozumiejąc, że muszą jakoś odreagować, w końcu jednak musiał przerwać spektakl, który w innej sytuacji by go rozbawił.

– Skoro pani Remańska ma siłę się kłócić, myślę, że może bez uszczerbku dla zdrowia dokończyć opowiadanie.

– Musimy wysłuchiwać tych bredni? – spytał wyraźnie podenerwowany Ścieszka, lecz Zemanek nakazał mu milczenie i polecił Dionie, by mówiła dalej.

Detektywka rzuciła aspirantowi drwiące spojrzenie i opowiedziała o swoich przypuszczeniach. Według nich ojciec zobaczył na twarzy syna zachwyty i ekscytację. A może nawet Rafał przyznał, że ma zamiar powtórzyć swój czyn? W każdym razie ojciec stwierdził, że nie może do tego dopuścić, i nie chodziło mu wyłącznie o bezpieczeństwo syna, którego w każdej chwili mógł ktoś przyłapać. Jako członek sekty wyznającej zasady księdza Kieliszka nie mógł pozwolić na podobne bezceństwo, a za grzech należy się przecież kara.

– Oczywiście kara musiała spaść na Angelę, bo przecież winna jest zawsze kobieta – dokończyła ze źle tłumionym gniewem.

– Brednie – powtórzył Ścieszka. – Ciekawe, jak dopasujesz to wszystko do śmierci Klai. Będziesz nam wmawiać, że Rafał jest pedziem?

Diona i na to znalazła logiczne wytłumaczenie. Pijany Mariusz Klaja odgrażał się w karczmie, że dorwie zabójcę Klaudyny Poloczek, oskarżył też policjantów o mataczenie, by ukryć jego tożsamość. Groził też, że napisze skargę do wyższych władz, a na to ojciec Rafała nie mógł pozwolić. Dlatego go zabił.

– Kim jest ten człowiek? – spytał Zemanek. – Cały czas mówi pani o nim „ojciec Rafała”. Najwyższy czas zdradzić nam jego

nazwisko.

– A gdzie dowody? Masz zamiar je wyczarować? – równocześnie odezwał się Ścieszka. – Panie komendancie, ta kobieta to wariatka!

– Może tak, a nie może nie. Niech opowie o tych dowodach.

Remańska tylko czekała na znak komisarza, teraz więc odgięła mały palec prawej ręki i przemówiła gawędziarskim tonem.

– Zacznę od ostatniej ofiary. Na gałęzi wiszącej nad ciałem Mariusza Klai ujawniono kilka włosów. Zostały wyrwane wraz z cebulkami, toteż podczas badania wyodrębniono kod DNA. Drugi dowód – tu dołączyła do małego palca serdeczny – to krew na tej samej gałęzi, zawierająca identyczny kod. Morderca Klai musiał ładnie przywalić w tę gałąź. Założę się, że nadal ma ślad pod włosami. – Diona rzuciła znaczące spojrzenie na głowę Ścieszki, wzięła głęboki wdech i kontynuowała wyliczanie, odginając przy tym mały palec lewej ręki: – Weźmy drugą ofiarę. Była tam sperma; tę zostawił Rafał, co wykażą badania, gdy pobierze się od niego próbkę.

– O ile zgodzi się ją oddać – warknął Ścieszka. – To tylko pomówienia, a przeciw Rafałowi nie prowadzimy żadnego postępowania, więc ma prawo odmówić.

– Nie prowadziliście – poprawił go Zemanek z naciskiem. – Ale teraz to się zmieni. Pani Dionizo, proszę kontynuować.

Diona spojrzała kpiąco na gotującego się ze złości Dzieżkę, potem przeniosła wzrok na starszego aspiranta i aż się wzdrygnęła na widok nienawiści płonącej w jego oczach. Naraz poczuła na ramieniu delikatny uścisk dłoni Ratia. Pomogło. Wzięła głęboki wdech i wróciła do omawiania dowodów.

– Ujawniono też smugę krwi o kodzie całkowicie różnym od profilu DNA wyodrębnionego z krwi pozostawionej przez Mirską, za to mocno zbliżonym do tego z nasienia i identycznym z kodem uzyskanym z włosów i krwi na gałęzi.

Wszystko to znajduje się w protokołach oględzin, wystarczy uważnie przeczytać. – Odgięła serdeczny palec prawej ręki. – Mamy więc trzy do jednego w zawodach, który ze sprawców okazał się większym matosem.

Dzieńko nie wytrzymał napięcia i skoczył w kierunku Diony, lecz powstrzymali go Ratio wraz z ratownikiem, chwytając barmana wpół. Zemanek sięgnął do pasa i rzucił Ratierowi kajdanki.

– Przykuj go gdzieś, bo zrobił się trochę zbyt mobilny. A pan – zwrócił się do ratownika – powinien chyba już wracać. Myślę, że pacjentowi nic nie zagraża, a pani Remańska wyraźnie nie ma ochoty z panem jechać. O zachowaniu tajemnicy nie muszę chyba przypominać.

– Szkoda – mruknął medyk z wyraźnym żalem.

Nie miał jednak innego wyjścia, jak się oddalić, choć było widać, że robi to bardzo niechętnie. Dioniza odczekała jeszcze minutę czy dwie, a gdy znów nastąpił spokój, przystąpiła do snucia opowieści.

– Wyobrażam sobie, jak bardzo tatuś, który wziął na siebie rolę sprzątacza, musiał być wściekły, gdy za każdym razem prokuratorzy zarządzili poddanie pobranych próbek badaniom na wyodrębnienie profilu DNA. – Diona pokiwała głową z udawanym współczuciem. – Założę się, że robił wszystko, by ich od tego odwieść, ale cóż, nie mógł nic na to poradzić. To prokurator ma decydujący głos w śledztwie.

– Teraz będziemy wysłuchiwać opowieści o wyobrażeniach? – Ironiczny ton Ścieszki stał w sprzeczności z jego gniewną miną. – Wielka pani detektyw naoglądała się różnych CSI i wydaje jej się, że poznała na wylot policyjną robotę.

Remańska nie zmieszała się ani trochę. Przeniosła ciężar ciała na prawą nogę, by odciążyć lewą, która nieco ucierpiała podczas szarpaniny z barmanem, i popatrzyła chłodno na aspiranta.



– Gdyby zadał pan sobie chociaż odrobinę trudu, bez większych problemów mógłby się pan dowiedzieć, że ponad siedem lat służyłam w policji. Ale to teraz nieważne, zajmijmy się lepiej pierwszą ofiarą. Częściowo schowana pod torebką Klaudyny Poloczek, leżała tam męska rękawiczka w nietypowym, bardzo dużym rozmiarze. Myślę, że jest w sam raz na tę rękę. – Wskazała ogromną dłoń Dzieżki. – Zapachu już tam nie będzie, ale uważam, że warto zbadać inne ślady biologiczne. Na pewno znajdzie się naskórek właściciela i założę się, że będzie idealnie pasować do Rafałka.

– Ty cipo! – rozdarł się Dzieżko.

Remańska nawet nie spojrzała w jego stronę. Spokojnie odgięła serdeczny palec lewej ręki i z satysfakcją pokiwała głową.

– Trzy do dwóch dla tatusia. Ale mecz jeszcze nie jest zakończony, bo na rękawie kurtki Poloczek znajdował się brudny ślad męskiej ręki. Wielkiej. Takiej jak ta. – Znow wskazała na dłonie Rafała i dołączyła środkowy palec do dwóch pozostałych. – Trzy do trzech. Jaki tatuś, taki synek. Obaj nie za mądrzy.

Celowo pastwiła się słownie nad Rafałem, gdyż zdawała sobie sprawę, że dowody przeciwko niemu nie są zbyt mocne. Ale przeczuwała, że chłopak nie wytrzyma napięcia, a wówczas łatwo popełnić błąd. Chwilę później tak właśnie się stało.

– Masz mnie za głupiego, a to nieprawda – wrzasnął, doprowadzony do ostateczności. – Wcale jej nie zabiłem, wstrzyknąłem jej tylko trochę kompotu, żeby miała fazę. Potem by myślała, że to były zwidy.

– Co za zwidy? – spytała szybko.

– Ta idiotka zrobiła mi zdjęcie, kiedy obserwowałem dom Angeli. Oświetliła mnie fleszem i rozpoznała. Musiałem coś z tym zrobić.

Było więc tak, jak przypuszczała, ale jeszcze jedna rzecz nie dawała jej spokoju. Jeśli zabójstwo było spontaniczne, podyktowane potrzebą chwili, skąd w takim razie wziął się w torebce Klaudyny jej rzekomy list pożegnalny? Nie podejrzewała, by Dzieżko miał na tyle zimną krew, by wrócić na miejsce zbrodni i podrzucić kartkę do torebki. Wydrukować listu w lesie też nie mógł.

– Jak to było z listem pożegnalnym? – spytała obojętnie, jakby odpowiedź w ogóle jej nie interesowała.

Dzieżko nie odpowiedział od razu, tylko najpierw wpatrzył się w nią nierozumiejącym wzrokiem. Potem zaprzeczył żywo, jakoby wiedział coś o tej sprawie.

– Nie wiem, o czym mówisz. Chcesz mnie w coś zrobić?

Jego oburzenie było tak szczere, że musiało być prawdziwe. Diona odwróciła się od Dzieżki, nie poświęcając mu już uwagi, i popatrzyła na aspiranta, stojącego pod ścianą ze sztucznie obojętną miną.

– Ojciec pewnie się domyślił, co synus zrobić. A może Rafał sam mu powiedział? – Nawet na nią nie spojrzął, lecz nie miało to żadnego znaczenia. – Nieważne. W każdym razie kochający tatuś przygotował list, a potem wykorzystał sposobność, żeby go podrzucić. Niestety znowu popełnił błąd. W liście do rodziców Klaudyna nigdy by się nie podpisała imieniem Klaudia. Tak że mecz wygrał ojciec. Cztery do trzech dla głupszego.

Zamilkła i spojrzała na komisarza z miną mówiącą: „Jest twój”. Zemanek podziękował jej wzrokiem i przypomniał:

– Nazwisko tego drugiego proszę.

Widziała, że już wie, że domyślił się prawdy w trakcie rozmowy. Zresztą musiałby być kompletnym durniem, żeby nie powiązać jej słów z zachowaniem Ścieszki. Ale rozumiała też, dlaczego chciał, by wypowiedziała to nazwisko.

– To obecny tutaj aspirant sztabowy Jan Ścieszka.

Zdawać się mogło, że do wymienionego policjanta jej słowa w ogóle nie dotarły. Spokojnie patrzył gdzieś pomiędzy szafę a okno, nie zwracając na nich uwagi. Nagle, nim ktokolwiek zdążył zareagować, wydobył broń i oddał dwa strzały. Więcej razy nie zdążył wystrzelić. Kula z pistoletu Zemanka trafiła go w ramię, wytrącając glocka z dłoni.

Komendant i Ratio podążyli wzrokiem za bronią i dopiero wtedy to zauważyli. Diona stała skulona z jedną dłonią przyciśniętą do prawego obojczyka, drugą do brzucha. Spod palców ściekała jej krew.



## Epilog

15 czerwca 2020, Sucha Beskidzka

Ratio siedział na twardym krześle szpitalnej poczekalni i tępo wpatrywał się w podłogę. Na widok Szymona niosącego kubki z kawą ożywił się trochę i nawet wziął kilka łyków, lecz zaraz ponownie zapadł w stan podobny do stuporu.

Ogiński obserwował go z niepokojem. Obawiał się, że chłopak może nie poradzić sobie ze... Nie dokończył rozważania, jakby sama myśl o śmierci mogła ją przywołać. Musiał koniecznie zająć czymś Ratiera.

– Zadzwoń do jej rodziców – poprosił. – Należy ich poinformować, co się stało. Pewnie będą chcieli przyjechać.

Sam zadzwonił do Gredtkego, uznawszy, że emerytowany policjant nie darowałby mu pozostawienia go w niewiedzy. Gdy wyłączył telefon, przekonał się, że Ratio też już skończył rozmawiać.

– Pan Imielski powiedział, że zaraz ruszą w drogę.

Szymon popatrzył w ciemne oczy, z których wreszcie zniknęła ta straszna pustka, i skinął głową.

– Robert też przyjedzie. – Uścisnął ramię Ratiera, chcąc dodać mu otuchy. – Będzie dobrze, zobaczysz. Diona to wojowniczką, nie tak łatwo ją pokonać. Będzie dobrze – powtórzył, zaklinając los. Musi być.

Medard nie odpowiedział, skinął tylko głową. Siedzieli w milczeniu, pograżeni w ponurych myślach, obojętni na wszystko, wpatrzeni czujnie w drzwi sali operacyjnej. Minuty mijały, a oni ciągle trwali bez ruchu, dwaj tak podobni do siebie mężczyźni, których los zetknął ze sobą i połączył uczuciem do tej samej kobiety.

Po dość długim czasie Ogiński przerwał ciszę oszczędną pochwałą:

– Fajnie wyszło z tą patelnią.

Ratio znów trochę się ożywił. Uśmiechnął się niepewnie i wyjaśnił:

– Tylko ona była pod ręką. – Po kilku sekundach rozwinął wypowiedź: – Akurat szedłem poćwiczyć, kiedy usłyszałem, że coś się tam dzieje. – Znowu zamilkł, lecz zaraz wyznał: – Chciałem w niego rzucić nożem, ale się bałem, że nie trafię. Albo że on złapie nóż i zagrozi nim Dionie.

Wypowiadał krótkie, urywane zdania głosem tak pełnym emocji, jakby stoczona z Dzieżką walka dopiero co się skończyła. Szymon objął go i na mgnienie oka mocno przytulił, po czym przemówił mentorskim tonem, w obawie, że Medard całkiem się rozklei. Sam panował nad sobą resztkami sił, a miał dużo większą wprawę w utrzymywaniu samokontroli.

– Dobrze zrobiłeś. Rzucanie nożem jest dobre tylko w filmach akcji. W prawdziwej walce ma sens pod warunkiem, że rzucasz, żeby zabić. Inaczej przeciwnik zyskuje broń, a ty zostajesz jak debil z pustymi rękami.

Ratio skinął głową i odmruknął coś w odpowiedzi. Temat się wyczerpał i nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Nie w sytuacji, gdy za szerokimi, białymi drzwiami ważyły się losy Diony.

Przyjazd Imielskich na kilka minut wyrwał ich z kokonu milczenia, lecz po krótkim naświetleniu sytuacji na powrót się

w nim pograżyli. Pół godziny później pojawili się Gredtke i obaj Lipsy. Marcin pochylił się do Szymona.

– Skrzyknąłem chłopaków z komendy i z twojego komisariatu. Przyjechali oddać krew. – Zamilkł, lecz zaraz znów się odezwał. – Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

Ogiński dopiero teraz pojął, że najbardziej bolała go własna bezradność. Zrobiłby wszystko, by uratować Dionę, ale nie mógł zrobić nic.

– Co się właściwie stało? – spytał Marcin. – Słyszałem przez radio, że strzelał policjant. To prawda?

Ogiński poprawił się na niewygodnym krześle i zdał zwięzłą relację ze śledztwa Diony. Większa jej część była im już znana, ale zaczął od początku ze względu na Imielskich, którzy z pewnością chcieli poznać dokładny przebieg wszystkich zdarzeń.

– Dlaczego Dzieżko nosi inne nazwisko? – zainteresował się Marcin. – Jest pozamałżeńskim dzieckiem?

– Właściwie tak. Widzisz, Ścieszka był kiedyś związany z pewną kobietą i ona zaszła z nim w ciążę.

– Skąd o tym wiesz? – zainteresował się Ratio. – Nie chce mi się w to wierzyć, przecież to religijny fanatyk.

Nadkomisarz uśmiechnął się lekko mimo przygnębienia.

– Rozmawiałem z komendantem Zemankiem, który kazał go sprawdzić na dziesiątą stronę. Przesłuchał też osobiście zatrzymanego, stąd te informacje. Ścieszka wtedy jeszcze był normalnym katolikiem, takim jak wielu znanych mi ludzi. Chciał się ożenić z tą dziewczyną, ale najpierw wysłano go na jakiś kurs do Szczytna, a potem okazało się, że ciąża jest zagrożona i dziewczyna do porodu leżała na podtrzymaniu.

– Czemu później się nie ożenił?

– W kilka dni po opuszczeniu szpitala dziewczynę zabił pijany kierowca. Dlatego Ścieszka tak nienawidzi pijaków i innych uzależnionych – wyjaśnił Ogiński. – Ścieszka nie miał

nikogo, kto mógłby się zająć dzieckiem, więc oddał go na wychowanie rodzicom dziewczyny i początkowo mało się nim interesował.

Marcin pokiwał głową ze zrozumieniem, ale widać było, że są jeszcze kwestie, które chciałby wyjaśnić. Zaraz też zadał następne pytanie:

– Co spowodowało, że zajął się chłopcem?

– Kobieta – padła natychmiastowa odpowiedź. – Kobieta, która marzyła o zostaniu matką, lecz z jakichś względów nie mogła mieć własnych dzieci. Zaraz po ślubie zaczęła namawiać Ścieszkę, żeby sprowadził syna do siebie, ale on się nie zgodził. Żona już wtedy była prawdziwą fanatyczką, a on pod jej wpływem także zaczął się stawać fanatykiem, dlatego nie chciał, by inni się dowiedzieli, że kiedyś żył w grzechu.

– Czyli co? Ścieszka nagle odkrył w sobie ojcowskie uczucia?

Marcin nie krył sceptycyzmu, lecz Ogiński z całą powagą potwierdził jego przypuszczenie.

– Wygląda na to, że tak właśnie było. Niemożliwe, żeby udawał, bo to trwa już siedem lat. Rafał nazywa jego żonę mamą, a ona dba o niego jak o rodzzonego syna. Zresztą Ścieszka też wykazywał się jako ojciec. Kupił synowi mieszkanie w Pewli, bo sami też tam mieszkają, a chcieli go mieć bliżej siebie. To on załatwił Rafałowi pracę, opłacał czynsz za mieszkanie i usuwał wszelkie kłody spod nóg. Postawił tylko jeden warunek – nikt obcy, a zwłaszcza mieszkańcy Bystrzycy i koledzy z komisariatu nie mieli prawa się dowiedzieć, że łączą ich tak bliskie więzy. Oficjalnie go nie uznał i z tego powodu miał wyrzuty sumienia. Czuł, że jest mu coś winien, dlatego go krył i po nim sprzątał.

Szymon już zakończył relację, gdy naraz zwrócił uwagę na to, co przedtem uznał za nieistotną wzmiankę.

– Podły gnój z tego Ścieszki – odezwał się ponownie. – Zachciało mu się Kościoła wojującego i rozwiązań rodem ze



Starego Testamentu.

Chciał wstać, by rozprostować kości, lecz Gredtke przytrzymał go za rękę.

– O czym ty mówisz?

Opadł z powrotem na krzesło i posłał Robertowi ponure spojrzenie.

– Żona Ścieszki opowiedziała mu kiedyś legendę o księdzu Kieliszku, a on uznał jego metody za doskonałe. Zaczął je rozpowszechniać i wkrótce stworzył coś na kształt sekty. Nawoływał do donoszenia na grzeszników, do karania, a nawet do samosądów. Specjalnych sukcesów jednak nie odniósł, bo ludzie są tam tacy sami jak wszędzie. Każdy ma własne grzechy na sumieniu i boi się, żeby mu ich nie wypomniano. Wtedy postanowił, że sam zaprowadzi prawo.

– Angela?

Marcin bardziej stwierdził, niż zapytał. Szymon przytaknął.

– Nie musiał jej zabijać, żeby uchronić syna od kary za gwałt. Dzieżko podał jej GHB, więc i tak nic by nie pamiętała. Ścieszka jako policjant dobrze wiedział, że pigułka gwałtu oddziałuje na pamięć krótkotrwałą, a jednak poszedł tam, by ją zabić. Bo według jego chorej moralności zgrzeszyła, pozwalając, by Dzieżko ją zgwałcił.

Motyw morderstwa był tak absurdalny, że słuchającym na moment zabrakło słów. Zaraz jednak przypomnieli sobie wypowiedzi świadczące, że ich autorzy mentalnie jeszcze nie zeszli z drzew. Sens tych powtarzanych po wielokroć bredni zamykał się w stwierdzeniu, że winna jest zawsze kobieta, bo gdyby nie chciała, to... Tu zawsze następowało mniej lub bardziej bezsensowne rozwinięcie. Mogła nie nosić krótkich sukienek czy dekoltów, mogła nie wychodzić wieczorem z domu, mogła się nie uśmiechać... Mówiący te idiotyzmy nie zdawali sobie chyba sprawy z tego, że chcąc sprowadzić kobiety do roli użytkowego przedmiotu, jednocześnie

ukazywali mężczyzn jako bezrozumnych, rządzonych testosteronem i opętanych żądzą samców, nieumiejących nad sobą zapanować.

– Klai też nie musiał zabijać, bo Mariusz w niczym mu nie zagrażał. Nikt nie wziął na poważnie pogroźek pijanego w sztok chłopaka. Ale dla niego grzech stanowił sam fakt, że Klaja ośmielił się mu grozić. Dlatego po raz kolejny naciągnął do strzykawki kompotu i czekał sposobnej chwili.

– Skąd oni wzięli ten kompot? – zainteresował się Ratio. – Raczej trudno go zaliczyć do przetworów, które skrzętna gospodyni przechowuje w spiżarni.

Uwaga chłopaka na moment ich rozbawiła, zaraz jednak wrócili do smutnej rzeczywistości.

– Mnie też to zaciekało – przyznał Ogiński. – Zastanawiałem się, czemu Dzieżko miał w kieszeni strzykawkę wypełnioną tym świństwem. Komendanta Zemanka też to intrygowało, dlatego postraszył barmana przesłuchaniem drugiego stopnia, a ten od razu wymiękł. Cienias – ocenił pogardliwie.

– Oni w większości są tacy – ocenił Marcin. – Mocni wobec kobiet, bo dysponują fizyczną przewagą. Wobec równych sobie już nie bardzo.

Szymon skinął głową, zgadzając się z jego opinią, po czym zrelacjonował, czego dowiedział się od Zemanka. Według słów Dzieżki polską heroinę ukradł kiedyś Ścieszka, uszczuplając dość mocno objętość pojemnika będącego dowodem rzeczowym przeciwko jej producentowi. Prawdopodobnie już wtedy chodziło mu po głowie własnoręczne wymierzanie sprawiedliwości, możliwe też, że chciał jej użyć przeciwko narkomanom, wprowadzając w życie cytaty z Ewangelii: „Wszyscy, którzy miecz biorą, od miecza poginą”.

Rafał potajemnie zabrał trochę kompotu, wymyślił bowiem, że gdyby udało mu się uzależnić Angelę, miałby nad nią pełną

kontrolę. Na wszelki wypadek zabierał z sobą narkotyk pod dom dziewczyny, gdyż za każdym razem się łudził, że Angela zaprosi go do środka. Jak zeznał, napełnił strzykawkę do pełna, żeby mieć zapas na kilka razy; kłamał zatem, gdy zapewniał, iż aplikując Klaudynie zastrzyk, nie wiedział, że dawka jest za duża.

– A Diona? – zapytał nagle Gredtke. – Czym ona zawiniła, że tak jej nienawidził?

Szymon westchnął ciężko i potrząsnął głową. Dla niego również było to niepojęte. Nie słyszał nienawiści i pogardy w głosie Ścieszki, gdy ten oskarżał Dionę o rozwiązłość, zarzucając jej intymne stosunki z dwoma mężczyznami naraz. Nie mógł więc wiedzieć, że zgodnie z zasadami księdza Kieliszka powinna zostać za to ukarana śmiercią.

Pogrążony w ponurych myślach Ogiński nie od razu dostrzegł, że drzwi do sali operacyjnej się otworzyły. Uprzytomnił mu to dopiero okrzyk Ratia. Podniósł oczy i ujrzał lekarza z poszarzałą ze zmęczenia twarzą. Chciał wstać, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa i z powrotem opadł na krzesło. Jednak ani na moment nie oderwał wzroku od mężczyzny, który po wysłuchaniu gorączkowych pytań Imielskich wolno pokręcił głową.

*To już koniec. Koniec wszystkiego,* pomyślał z rozpaczą. Wstał i nie oglądając się na nikogo, wolno ruszył przed siebie.

KONIEC





**że spodobała Ci  
się ta KSIĄŻKA**

po więcej zajrzyj do księgarni

[www.wydajenamsie.pl](http://www.wydajenamsie.pl)



**Burza niszczy to, co słabe,  
robiąc miejsce na nowe.  
Na lepsze.**



Rok 1980. Inga Piątkowska staje u progu dorosłego życia z niemałym bagażem doświadczeń. Choć od samobójstwa jej przyjaciela minął rok, wciąż nie może się pogodzić ze stratą.

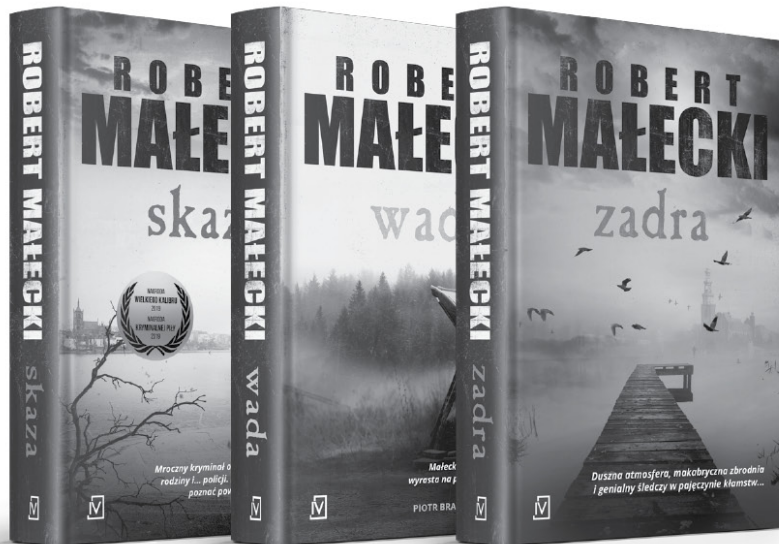
W czasie wyjazdu służbowego młoda kobieta poznaje Brinka Speedmana. Kanadyjczyk przyjechał do Polski, aby odwiedzić nieznaną dotąd rodzinę i odnaleźć cenną pamiątkę po pradziadku. Co ciekawe, od pierwszego spotkania z Inga mężczyzna nie może się pozbyć wrażenia, że dziewczyna wygląda dziwnie znajomo.

Gdy Speedman znika w niewyjaśnionych okolicznościach, Inga zostaje uwikłana w sprawę jego zaginięcia. Od tej pory każda z trudem zdobywana wskazówka będzie na wagę złota.





**Duszna atmosfera,  
makabryczna zbrodnia i genialny  
śledczy w pajęczynie kłamstw.**



Mroczny kryminał o piekle polskiej prowincji, rodziny i... policji.  
Małecki to autor, którego poznać powinien każdy fan gatunku.

**Wojciech Chmielarz**

Małecki z każdą kolejną książką wyrasta  
na prawdziwego arcy mistrza polskiego kryminału.

**Piotr Bratkowski, „Newsweek”**

„Skaza”, „Wada” i „Zadra” to powieści o zbrodni i dramatach zatruwających ludzkie umysły. O miłości, zemście i sprawiedliwości – niekiedy tak różnie pojmowanych. Poznaj mroczną serię kryminalną zdobywcy Nagrody Głównej Wielkiego Kalibru 2019 oraz Nagrody dla Najlepszej Polskiej Miejskiej Powieści Kryminalnej roku 2018.



# Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział 1. Nóż w sercu](#)

[Rozdział 2. Zaproszenie czy wezwanie?](#)

[Rozdział 3. Zadziwiająca dyscyplina](#)

[Rozdział 4. Odłożona randka](#)

[Rozdział 5. Ksiądz Kieliszek](#)

[Rozdział 6. Stalker](#)

[Rozdział 7. Niespodziewany gość](#)

[Rozdział 8. Biała pigułka](#)

[Rozdział 9. Policjant i Diona](#)

[Rozdział 10. Dwie prawdy](#)

[Rozdział 11. Nieudana misja](#)

[Rozdział 12. Zwiastun burzy](#)

[Rozdział 13. Znalezisko sióstr Klaja](#)

[Rozdział 14. Zmrożony ogień](#)

[Rozdział 15. Cień przeszłości](#)

[Rozdział 16. Smutek i gniew](#)

[Rozdział 17. Bodyguard](#)

[Rozdział 18. Powrót po śmierć](#)

[Rozdział 19. Pierwsze informacje](#)

[Rozdział 20. Sekret komendanta](#)

[Rozdział 21. Podejrzani](#)

[Rozdział 22. Trzeci podejrzany.](#)

[Rozdział 23. Olśnienie](#)

[Rozdział 24. Trzy strzały.](#)

[Epilog](#)

[Polecamy również](#)